

AUTORKA BESTSELLERÓW „ELEONORA I PARK” ORAZ „FANGIRL”

RAINBOW ROWELL

ZAŁA
CZNIK



Rainbow Rowell

Załącznik

Tłumaczenie:

Magdalena Słysz

Dla Kaia, który jest lepszy niż fikcja

ROZDZIAŁ 1

Od: Jennifer Scribner-Snyder

Do: Beth Fremont

Wysłane: w środę, 18.08.1999, o godz. 9.06

Temat: Gdzie się podziewasz?

Czy to by cię zabiło, gdybyś zjawiała się w pracy przed dwunastą? Siedzę tu ze zrujnowanym - z tego, co wiem - życiem, a ty... gdybyś tylko wiedziała, obudziłabyś się w jednej chwili. Pewnie jesz właśnie musli i oglądasz talk-show Sally Jessy Raphael. Napisz do mnie, kiedy tylko przyjdiesz, jeszcze zanim zrobisz cokolwiek innego. Nawet przed przeczytaniem komiksów.

Beth do Jennifer:

Dobra, najpierw Ty, potem komiksy, tylko się streszczaj. Spieramy się z Derekiem o to, czy *For Better or For Worse* rozgrywa się w Kanadzie, i dziś może wyjść na moje.

Jennifer do Beth:

Chyba jestem w ciąży.

Beth do Jennifer:

Co takiego? Dlaczego miałabyś być w ciąży?

Jennifer do Beth:

Bo w zeszłą sobotę wypiałam trzy drinki.

Beth do Jennifer:

Będziemy musiały odbyć pogadankę o pszczołkach i kwiatkach. Od picia alkoholu nie zachodzi się w ciążę.

Jennifer do Beth:

Zawsze, kiedy za dużo wypiję, mam wrażenie, że jestem w ciąży. Pewnie dlatego, że prawie nigdy tego nie robię. To logiczne, że kiedy wreszcie postanowię się rozluźnić, od razu zajdę w ciążę. Trzy godziny słabości i do końca życia będę się

borykać ze skutkami wrodzonego alkoholizmu u dziecka.

Beth do Jennifer:

To się chyba nazywa inaczej.

Jennifer do Beth:

Mały przyjdzie na świat ze zbyt szeroko rozstawionymi oczkami i wszyscy w sklepie będą gapić się na mnie i komentować przyciszonym głosem: „Spójrz na tę pijaczkę. Nie mogła odstawić na dziewięć miesięcy piwa jabłkowego”. To straszne.

Beth do Jennifer:

Pijesz piwo jabłkowe?

Jennifer do Beth:

Działa naprawdę odświeżająco.

Beth do Jennifer:

Nie jesteś w ciąży.

Jennifer do Beth:

Ależ jestem.

Zawsze dwa dni przed okresem robią mi się syfy na twarzy i dostaję skurczów w dole brzucha. A tym razem mam cerę gładką jak pupcia niemowlaka. A zamiast skurczów wyczuwam w okolicach macicy coś dziwnego. Jakby nowe życie.

Beth do Jennifer:

Może zadzwoń pod numer telefonu zaufania i powiedz, że wyczuwasz w okolicach macicy nowe życie.

Jennifer do Beth:

Fakt, nie pierwszy raz się boję, że zaszłam w ciążę. Przyznaję, że strach o to należy u mnie do zespołu napięcia przedmiesiączkowego. Ale mówię ci, że tym razem jest inaczej. Mam zupełnie nowe odczucia. Jakby ciało mi mówiło: „Zaczęło się”.

Nie mogę uwolnić się od przerażających myśli, co będzie dalej. Najpierw dostanę mdłości. A potem się roztyję. I umrę na sali porodowej z powodu tętniaka.

Beth do Jennifer:

Albo... urodzisz zdrowe, piękne dziecko. (Widzisz, jak skutecznie udało ci się

mnie wciągnąć w tę urojoną historię o ciąży?).

Jennifer do Beth:

Albo... urodzę zdrowe, piękne dziecko, którego nie będę widywać, bo będzie spędzało całe dni w żłobku z jakąś niewolnicą pracującą za marne pieniądze, którą uzna za matkę. Już widzę, jak z Mitchem staramy się zjeść wspólną kolację, położywszy maleństwo do łóżeczka, choć padamy na nos. Przysypiam, kiedy opowiada, jak minął mu dzień; nie ma mi tego za złe, bo i tak nie chce mu się gadać. Je swojego hamburgera i myśli o świeżo zatrudnionej w szkole zgrabniutkiej nauczycielce podstaw przedsiębiorczości, która nosi czarne szpilki, cieliste rajstopy i jedwabne spódnice przyklejające jej się do ud, kiedy siada.

Beth do Jennifer:

A co na to Mitch? (To znaczy, na nowe życie w twoim łonie. Nie na nową nauczycielkę podstaw przedsiębiorczości).

Jennifer do Beth:

Uważa, że powinnam zrobić test ciążowy.

Beth do Jennifer:

Rozsądny facet. Może komuś takiemu jak on byłoby lepiej z nauczycielką podstaw przedsiębiorczości. (Taka na pewno nie serwuje na kolację hamburgerów). Ale pewnie zostanie z tobą, zwłaszcza teraz, kiedy nosisz w łonie dziecko specjalnej troski.

ROZDZIAŁ 2

- Lincoln, wyglądasz okropnie.

- Dzięki, mamó. - Musiał uwierzyć jej na słowo. Nie patrzył tego dnia do lustra. Ani wczorajszego. Lincoln przetarł oczy i przeczesał palcami włosy, próbując je przygładzić... a może tylko przyklepać. Chyba powinien był uczesać się wieczorem po wyjściu spod prysznicza.

- Mówię poważnie, popatrz na siebie. I spójrz na zegar. Już południe. Obudziłeś się dopiero teraz?

- Mamó, wychodzę z pracy po pierwszej w nocy.

Ściągnęła brwi i podała mu łyżkę, jakby to miało w czymś pomóc.

- Masz - powiedziała - zamieszaj fasolę. - Włączyła mikser i zaczęła przekrzykiwać jego warkot: - Wciąż nie rozumiem, co to za praca, której nie można wykonywać za dnia! Nie tak, kochanie, nie baw się! Zamieszaj porządnie!

Lincoln zaczął mieszać energiczniej. W całej kuchni pachniało szynką, cebulą i czymś jeszcze, czymś słodkim. Zaburczało mu w brzuchu.

- Tłumaczyłem ci już - odparł głośno, żeby go usłyszała. - Ktoś cały czas musi być na miejscu. W razie problemów z komputerami albo... sam nie wiem.

- Czego nie wiesz?! - Wyłączyła mikser i spojrzała na Lincolna.

- Może mam pracować w nocy, żeby nie nawiązać z innymi bliższych relacji.

- Co takiego?

- No bo gdybym ich poznał - podjął - mógłbym...

- Mieszaj. Mów i mieszaj.

- Gdybym ich poznał... - zamieszał - mógłbym nie być obiektywny w egzekwowaniu regulaminu.

- Nie podoba mi się, że czytasz e-maile innych ludzi. Zwłaszcza nocą w pustym budynku. Co to za praca. - Wzięła na palec to, co miksowała, skosztowała i podsunęła mu miskę. - Spróbuj... W jakim my świecie żyjemy, to ma być praca zarobkowa?

Przecięgnął palcem po krawędzi miski i spróbował mikstury. Lukier.

- Czuje się syrop klonowy?

Skinął głową.

- Budynek nie jest pusty - wyjaśnił. - W dziale newsów pracują jacyś ludzie.

- Rozmawiasz z nimi?

- Nie. Ale czytam ich e-maile.

- To nie w porządku. Jak w takim miejscu można się swobodnie wypowiadać?

Wiedząc, że ktoś siedzi im w głowie i śledzi ich myśli.

- Nie siedzę im w głowie. Siedzę w systemie komputerowym, firmowym systemie komputerowym. Wszyscy o tym wiedzą... - Nie potrafił jej tego wytłumaczyć. Nigdy nawet nie widziała e-maila.

- Oddaj tę łyżkę. - Westchnęła. - Wszystko zepsujesz. - Oddał posłusznie i usiadł przy stole kuchennym, przed talerzem z parującym jeszcze chlebem kukurydzianym. - Mieliśmy kiedyś listonosza - podjęła matka. - Pamiętasz? Chyba czytał przychodzące do nas kartki. Zawsze rzucał jakieś komentarze. „Widzę, że wasza znajoma dobrze się bawi w Karolinie Południowej”. Albo: „Ja tam nigdy nie byłem na górze Rushmore”. Muszą czytać te wszystkie pocztówki... to znaczy, listonosze. Pracownicy poczty. Nudne zajęcia. Ale tam ten był wręcz z tego dumny... chełpił się tym. Na pewno powiedział naszym sąsiadom, że abonuję „Ms”^[1].

- To nie na tym polega - odrzekł Lincoln, znowu przecierając oczy. - Ja tylko sprawdzam, czy pracownicy nie naruszają regulaminu. Nie to, żebym czytał czyjś dziennik czy coś takiego.

Matka już nie słuchała.

- Jesteś głodny? Sprawiasz takie wrażenie. Wyglądasz na niedożywionego, jeśli chcesz znać prawdę. Podaj mi talerz, kochanie. - Wstał i podał jej, a ona ujęła jego nadgarstek. - Lincoln... co z twoimi rękami?

- Nic.

- Spójrz na swoje palce, są szare.

- Od farby drukarskiej.

- Od czego?

- Farby drukarskiej.

Kiedy Lincoln w okresie szkoły średniej pracował w McDonalddie, olej do smażenia przenikał wszystko. Wieczorem po powrocie do domu wydawało mu się, że ma lepkie ręce jak po zjedzeniu frytek. Olejem przesiąknięte były jego włosy i skóra. Następnego dnia wypacał go w ubrania szkolne.

W „Courierze” tak samo działo się z farbą drukarską. Szara warstwa pokrywała wszystko, choćby się stale myło i sprzątało. Szare plamy kwitły na ścianach z gruboziarnistą fakturą i akustycznych płytach sufitowych.

Redaktorzy z nocnej zmiany brali każde wydanie gazety wprost z maszyn, jeszcze ciepłe. Zostawiali szare ślady placów na klawiaturach i biurkach. Kojarzyli się Lincolnowi z kretami. Poważni ludzie w grubych okularach i z szarą cerą. Może to kwestia lamp – myślał. Pewnie nie poznałby ich w świetle dziennym. We wszystkich kolorach.

Oni z całą pewnością by go nie poznali. Lincoln spędzał prawie cały czas pracy w biurze informatyków w dziale IT, na dole. Pięć lat wcześniej mieściła się tam ciemnia, z dwoma tuzinami lamp fluorescencyjnych, i w tym oświetleniu, wśród serwerów, człowiek miał wrażenie, że tkwi w centrum bólu głowy.

Lincoln lubił, kiedy wzywano go do działu newsów, żeby zresetował jakieś urządzenie albo uruchomił drukarkę. Było to duże, przestronne pomieszczenie, z oknami na dłuższej ścianie, nigdy zupełnie puste. Redaktorzy z nocnej zmiany pracowali do późna jak on. Siedzieli razem na końcu sali, pod szeregami monitorów telewizyjnych. Dwie redaktorki, które zajmowały miejsca obok drukarki, były nawet młode i ładne. (Tak, uznał Lincoln, można być ładnym i przypominać kreta.) Ciekawiło go, czy ludzie, którzy pracują nocami, chodzą na randki za dnia.

ROZDZIAŁ 3

Od: Beth Fremont

Do: Jennifer Scribner-Snyder

Wysłane: w piątek, 20.08.1999, o godz. 10.38

Temat: Przepraszam, że pytam, ale...

Czy już skończyłyśmy z udawaniem, że jesteś w ciąży?

Jennifer do Beth:

Przekonamy się za 40 tygodni. Może już 38...

Beth do Jennifer:

Czy to znaczy, że nie możemy rozmawiać o innych sprawach?

Jennifer do Beth:

Nie, to znaczy, że powinnyśmy o nich rozmawiać. Staram się nie myśleć o tamtym.

Beth do Jennifer:

Świetny pomysł.

Dobra. Więc wczoraj wieczorem zadzwoniła do mnie młodsza siostra. Wychodzi za mąż.

Jennifer do Beth:

A co na to jej małżonek?

Beth do Jennifer:

Moja druga młodsza siostra. Kiley. Poznałaś jej chłopaka... narzeczonego, Briana, u moich rodziców w Dzień Pamięci^[2]. Pamiętasz? Nabijaliśmy się z tatuażu na jego kostce, symbol bractwa studenckiego, do którego należy...

Jennifer do Beth:

A, Brian. Pamiętam. Był w porządku, no nie?

Beth do Jennifer:

Bardzo nam się spodobał. Chodzący ideał. Z tych, których nasze córki powinny poznać na pijackiej imprezie.

Jennifer do Beth:

Czy to ma być jakaś dowcipna aluzja do wrodzonego alkoholizmu u mojego dziecka?

Jeśli dojdzie do tego ślubu, będzie to wina twoich rodziców. Dali jej na imię Kiley. Od urodzenia było jej przeznaczone, że wyjdzie za porządnego, barczystego majora, wybierającego się na studia medyczne.

Beth do Jennifer:

Prawnicze. Kiley jednak sądzi, że facet skończy na czele rodzinnej firmy handlującej częściami hydraulicznymi.

Jennifer do Beth:

Mogłoby być gorzej.

Beth do Jennifer:

Szczerze, to lepiej trafić nie mogła.

Jennifer do Beth:

Ojej, przepraszam. Dopiero teraz do mnie dotarło, że to nie jest dobra wiadomość. Co mówi na to Chris?

Beth do Jennifer:

To, co zwykle. Że Brian to ciołek. Że Kiley za dużo słucha Dave'a Matthews'a. I jeszcze powiedział: „Mam dziś próbę, więc nie czekaj na mnie”, „Hej, daj mi te bibułki do skrętów, dobra?” i „Będiesz na tym ślubie? Super, przynajmniej znowu włożysz jedną z tych kiecek w stylu Scarlett O'Hary. Chodź tu do mnie, gorąca z ciebie druhna. Przesłuchałaś to nagranie, które ci zostawiłem? Danny mówi, że go zagłuszam, ale, o rany, tylko wyświadczam mu przysługę”.

A potem mi się oświadczył. W mojej wyobraźni.

W realu Chris nigdy mi się nie oświadczy. I sama nie wiem, czy przez to jest palantem - czy może to ja jestem głupia, że tak bardzo tego chcę. Nie potrafię nawet z nim o tym porozmawiać, o małżeństwie i tak dalej, bo by powiedział, że on też chce. Że zechce wkrótce. Kiedy tylko złapie wiatr w żagle. Kiedy zespół wróci na top. Bo nie chciałby być na moim garnuszku, być dla mnie ciężarem...

Tylko nie mów, proszę, że już jest na moim garnuszku - chociaż przeważnie to

prawda.

Jennifer do Beth:

Przeważnie? Opłacasz za niego czynsz.

Jennifer do Beth:

Opłacam za nas czynsz. Ale i tak bym opłacała... Gdybym mieszkała sama, i tak płaciłabym za gaz, telewizję kablową i wszystko inne. Gdyby Chris się wyprowadził, nic bym na tym nie oszczędziła.

Poza tym nie przeszkadza mi, że za to wszystko płacę, i mogłabym to robić także po ślubie. (Tata zawsze utrzymywał mamę i nikt nie nazywa jej pasożytem.)

Tu nie chodzi o płacenie rachunków. Raczej o dojrzałość emocjonalną. W świecie Chrisa facet może mieszkać ze swoją dziewczyną, przygotowując demo. Ale nie może robić kariery gitarzysty, mając żonę, która pracuje.

Jeśli facet ma żonę, jest dorosły. A Chris nie chce stać się dorosły. I może ja też nie chcę, żeby taki był.

Jennifer do Beth:

To jaki ma być?

Beth do Jennifer:

Przez większość czasu? Chyba chcę, żeby był długowłosym muzykiem. Facetem, który budzi cię o drugiej w nocy, żeby przeczytać ci wiersz właśnie napisany przez niego na twoim brzuchu. Chłopakiem o oczach jak kalejdoskop.

Jennifer do Beth:

Rzeczywiście, gdyby Chris poszedł do roboty, skończyłoby się pisanie wierszy o drugiej w nocy na twoim brzuchu.

Beth do Jennifer:

No właśnie.

Jennifer do Beth:

Więc wszystko w porządku?

Beth do Jennifer:

Nie. Muszę się wbić w kolejną suknię drużyny. Bez ramiączek – Kiley już wybrała fason. Nie jest w porządku, i to bardzo. Ale chyba

nie mogę narzekać, no nie? Chcę go. A on chce czekać. I mimo to go chcę. Więc nie mam prawa się skarżyć.

Jennifer do Beth:

Oczywiście, że masz prawo. Niezbywalne. Ale przynajmniej nie jesteś w ciąży.

Beth do Jennifer:

Ty też nie. Zrób w końcu test ciążowy.

ROZDZIAŁ 4

Jeśli miał być szczery – wobec siebie – Lincoln nigdy nie odpowiedziałby na ogłoszenie o pracę, które by brzmiało: „Zatrudnimy osobę do czytania cudzych e-maili. Praca na drugą zmianę”.

Ogłoszenie w „Courierze” głosiło: „Pełen etat na stanowisku administratora bezpieczeństwa informatycznego. Świadczenia emerytalne i rentowe, opieka zdrowotna i stomatologiczna”.

Administrator bezpieczeństwa informatycznego. Lincoln już wyobrażał sobie, jak tworzy zapory sieciowe i chroni dane gazety przed niebezpiecznymi hakerami – a nie wysyła upomnienia za każdym razem, gdy ktoś z księgowości prześle sprośny dowcip koledze w sąsiednim boksie.

„Courier” był chyba ostatnią gazetą w Ameryce, która umożliwiła dziennikarzom dostęp do Internetu. Przynajmniej tak mówił Greg. Greg był szefem Lincoln, głową działu IT. Pamiętał jeszcze czasy, kiedy dziennikarze posługiwali się elektrycznymi maszynami do pisania.

– Pamiętam – powiedział – bo to nie było tak dawno temu... w pięćdziesiątym drugim. Musieliśmy przejść na komputery, ponieważ nigdzie już nie mogliśmy zamówić taśm do maszyn, i wcale nie żartuję.

Podłączenie do sieci bardzo nie podobało się kierownictwu, opowiadał Greg. Z punktu widzenia wydawcy dostęp do Internetu pozwalał podwładnym pracować, jeśli mieli ochotę, a jeśli nie mieli, oglądać pornosy.

Jednak brak dostępu do Internetu powoli stawał się śmieszny.

Kiedy przed rokiem gazeta uruchomiła stronę internetową, dziennikarze nie mogli nawet przeczytać on-line swoich artykułów. No i w tych czasach czytelnicy chcieli mieć z wydawcą kontakt e-mailowy, zarówno trzecioklasiści, jak i weterani drugiej wojny światowej.

Kiedy Lincoln podjął pracę w „Courierze”, eksperyment z Internetem wchodził w trzeci miesiąc. Wszyscy pracownicy gazety korzystali już z poczty elektronicznej. Dostęp do sieci miał każdy z działu newsów.

Zdaniem Grega wszystko szło jak po maśle.

Zdaniem kierownictwa natomiast panowało ogólne rozprężenie.

Ludzie robili zakupy w Internecie i plotkowali, udzielali się na forach

dyskusyjnych i zapisywali do fikcyjnych lig futbolowych. Uprawiali hazard. I robili inne brzydkie rzeczy.

- Co wcale nie jest takie złe - sprzeciwiał się Greg. - Pomaga wyeliminować zboków.

Według szefów Grega największą wadą Internetu było to, że nie dało się teraz odróżnić tych, którzy pilnie pracowali, od tych, którzy rozwiązywali w sieci test osobowościowy „Jaką jestem rasą psa?”.

I stąd wziął się... Lincoln.

Pierwszego wieczoru w pracy pomagał Gregowi zainstalować nowy program o nazwie WebShark. WebShark miał monitorować wszystkie działania pracowników w Internecie i Intranecie. Każdy e-mail, który wysyłali albo odbierali. Każdą stronę, na którą wchodzi. Każde słowo, które napisali.

A WebSharka miał monitorować Lincoln.

Mailowe filtry zdefiniował jakiś zboczeniec (być może Greg). Stworzył bowiem pokaźną listę podejrzanych słów. Zawierała wulgaryzmy, obelgi rasistowskie, nazwiska szefów, takie wyrazy jak „poufny”, „tajny” czy „pilny”.

Właśnie ten ostatni, „pilny”, sparaliżował działanie całej sieci już w pierwszej godzinie pracy WebSharka; spowodował wstrzymanie większości e-maili, które wychodziły z działu ogłoszeń i do niego przychodziły.

WebShark znakował także większe załączniki, podejrzanie długie wiadomości, dziwnie częste wiadomości... Do zabezpieczonej skrzynki trafiały codziennie setki potencjalnie niebezpiecznych e-maili i Lincoln miał za zadanie kontrolować je wszystkie. To oznaczało czytanie każdego z osobna, więc czytał. Ale zdecydowanie mu się to nie podobało.

Nie mógł się przyznać przed matką, ale rzeczywiście to, co robił, wydawało mu się niewłaściwe jak podsłuchiwanie. Może gdyby należał do tych, którzy lubią takie rzeczy... Jego dziewczyna, była dziewczyna, Sam, zawsze zaglądała do cudzych szafek z lekami.

- Syrop na kaszel - donosiła potem w samochodzie w drodze do domu. - I zwykłe plastry. I coś, co wyglądało jak wyciskarka do czosnku.

Lincoln nie lubił nawet korzystać z cudzych łazienek.

Jeśli przyłapał kogoś w redakcji na łamaniu przepisów bezpieczeństwa, musiał dopełnić skomplikowanej procedury. Jednak w większości przypadków wystarczyło tylko pisemne upomnienie i winni w przyszłości wystrzegali się podobnych wykroczeń.

Pierwsza fala upomnień okazała się nawet tak skuteczna, że Lincoln wkrótce nie

niał nic do roboty. WebShark wprowadził znakował kilkadziesiąt e-maili dziennie, ale były to przeważnie fałszywe alarmy. Greg wyraźnie się nie przejmował.

- Spokojna głowa - powiedział do Lincoln w dniu, w którym WebShark nie wyłapał ani jednego e-maila, który faktycznie stanowiłby naruszenie zasad bezpieczeństwa. - Nie zwolnię cię. Ci na górze są zachwyceni tym, co robisz.

- Ale ja nic nie robię - zauważył Lincoln.

- Robisz dużo. Czytasz ich e-maile. Wszyscy się ciebie boją.

- Kto się boi? Jacy „wszyscy”?

- Wszyscy, czyli każdy z osobna. Chyba żartujesz, w całym budynku nie mówi się o nikim innym, jak tylko o tobie.

- To nie mnie się boją. Boją się, że zostaną złapani.

- Złapani przez ciebie. Wiedzą, że co wieczór przetrząsas ich skrzynki, i już sama tego świadomość powstrzymuje ich przed łamaniem przepisów.

- Ja niczego nie przetrząsam.

- Ale mógłbyś - odparł Greg.

- Mógłbym?

Greg wrócił do pracy, czegoś w rodzaju sekcji zwłok laptopa.

- Słuchaj, Lincoln, już ci mówiłem. I tak ktoś musi być tu w nocy. Odbierać telefony i mówić: „Tu pomoc informatyczna”. Wiem, że siedzisz beczynnie. Wiem, że masz za mało pracy. To nieważne. Rozwiązuj krzyżówki. Ucz się języka obcego. Mieliśmy w dziale dziewczynę, która szydełkowała...

Lincoln nie umiał szydełkować, ale czytał gazetę. Przynosił z domu komiksy, czasopisma i powieści w wydaniach kieszonkowych. A czasami dzwonił do siostry, jeśli nie było za późno, a on czuł się samotny.

Przeważnie jednak surfował po Internecie.

ROZDZIAŁ 5

Od: Jennifer Scribner-Snyder

Do: Beth Fremont

Wysłano: w środę, 25.08.1999, o godz. 10.33

Temat: To tylko test. W razie pilnej potrzeby...

Dostałam go. Wracam do swojego zwykłego oprogramowania.

Beth do Jennifer:

Co dostałaś?

Jennifer do Beth:

No wiesz... Tego, co ci mówi, że nie jesteś w ciąży.

Beth do Jennifer:

Masz na myśli okres? Miesiączkę? Ciotkę, która przyjeżdża z wizytą na pięć-siedem dni? O to chodzi?

Dlaczego używasz słownictwa jak z reklamy podpasek?

Jennifer do Beth:

Staram się być ostrożna. Nie chcę wzbudzić podejrzeń i zwrócić uwagi faceta od bezpieczeństwa informatycznego, wysyłając głupiego e-maila na t e n temat.

Beth do Jennifer:

Nie sądzę, żeby do słów, które zwracają jego uwagę, należała menstruacja.

Jennifer do Beth:

Więc się tym nie przejmujesz?

Beth do Jennifer:

Twoim okresem?

Jennifer do Beth:

Nie, tą notatką, w której nas upominano, żebyśmy nie wysyłały ze służbowych komputerów e-maili o treści osobistej.

Beth do Jennifer:

Czy się przejmuję, że źli ludzie z *Tronu* czytają nasze e-maile? No nie. Wszystkie te zabezpieczenia nie są wymierzone przeciwko takim jak my. Mają na celu wyłapanie czubków. Zboków uzależnionych od pornosów w sieci, hazardzistów grających w internetowego blackjacka, szpiegów korporacyjnych...

Jennifer do Beth:

To chyba te słowa, które powodują alarm. „Zbok”. „Pornos”. „Szpiegostwo”.

Beth do Jennifer:

Nie obchodzi mnie, jeśli czytają naszą korespondencję. Wystąp, Tronie! Zmier się ze mną. Odbierz mi prawo do wolności słowa. Jestem dziennikarką. Bojowniczką o swobodę wypowiedzania się. Walczę w służbie Pierwszej Poprawki. Nie zatrudniłam się tu dla kiepskiej pensji i szcątkowej opieki zdrowotnej. Zatrudniłam się dla prawdy, blasku słońca, otwartych drzwi!

Jennifer do Beth:

Bojowniczką o swobodę wypowiedzania się! Rozumiem. O co walczysz? O prawo przyznania *Billy'emu Madisonowi* pięciu gwiazdek?

Beth do Jennifer:

Hola, hola. Nie zawsze byłam zepsutą recenzentką filmową. Nie zapominaj, że przez dwa lata pisałam doniesienia z North Havenbrook. Dwa lata w okopach. To była moja krwawica. Bob Woodward by mi nie podskoczył.

Poza tym gdyby to ode mnie zależało, przyznałabym *Billy'emu Madisonowi* sześć gwiazdek. Wiesz, jakie żywię uczucia do Adama Sandlera - i że przyznaję dodatkowe gwiazdki za piosenki Styxu. (Dwie, jeśli to *Renegade*).

Jennifer do Beth:

W porządku. Poddaję się. Do di@bła z systemem bezpieczeństwa: zeszłej nocy zaczął mi się okres.

Beth do Jennifer:

Niech dowiedzą się o tym wszyscy. Gratulacje.

Jennifer do Beth:

Taaa, w tym rzecz...

Beth do Jennifer:

Co znowu?

Jennifer do Beth:

Kiedy się zaczął, nie czułam zwykłej szalonej ulgi ani nie zachciało mi się piwa jabłkowego. To znaczy, poczułam ulgę – bo nie tylko, że ostatnio piłam piwo, ale w ciągu zeszłego roku nie spożyłam nic, co zawierałoby kwas foliowy, a być może nawet spożywałam różne rzeczy, które go zabijają, więc zdecydowanie odetchnęłam – ale to nie był szal radości.

Poszłam na dół, żeby powiedzieć Mitchowi. Właśnie robił instrumentację na orkiestrę dętą i w normalnych okolicznościach bym mu nie przeszkadzała, ale to było ważne.

- Dla twojej informacji – powiedziałam – dostałam okres.

A on odłożył ołówek i powiedział: „Aha”. (Po prostu. „Aha”).

Gdy spytałam, dlaczego tak zareagował, wyjaśnił, że myślał, że tym razem naprawdę zaszłam w ciążę – i że byłoby fajnie.

- Wiesz, że lubię dzieci – zauważył.

- W porządku – odparłam. – Może kiedyś.

- Kiedyś w niedalekiej przyszłości – zaznaczył.

- Kiedyś w końcu tak. Gdy będziemy gotowi.

Wtedy wrócił do tej swojej instrumentacji. Nie był zły ani zniecierpliwiony. Tylko smutny, a to o wiele, wiele gorzej.

Więc zapytałam jeszcze:

- Gdy będziemy gotowi, tak?

A wtedy on:

- Ja tam już jestem gotowy. Jestem gotowy od roku, Jenny, i zaczyna mi się wydawać, że ty nigdy nie będziesz. Nawet nie chcesz być gotowa. Zachowujesz się tak, jakby ciąża była chorobą, którą można złapać w publicznym kiblu.

Beth do Jennifer:

I co na to powiedziałaś?

Jennifer do Beth:

A co miałam powiedzieć? Nie jestem gotowa i już. I może wprowadzałam go w błąd za każdym razem, kiedy mówiłam „kiedyś” i „w końcu”. Nie wyobrażam sobie siebie z dziećmi...

Ale też nie wyobrażałam sobie siebie zamężnej, dopóki nie poznałam Mitcha.

Zawsze sądziłam, że dojrzeję do dzieci, że zarażę się od niego tymi jego zdrowymi pragnieniami i pewnego ranka obudzę się z myślą: „Co za piękny świat, żeby wydać na niego dziecko”.

A jeśli to nigdy nie nastąpi?

Jeśli Mitch postanowi ograniczyć straty i znaleźć sobie normalną kobietę – szczupłą z natury, która nie będzie nadużywała antydepresantów i która także zechce mieć jak najszybciej dziecko?

Beth do Jennifer:

Jak Barbie w stanie nieustającej owulacji.

Jennifer do Beth:

Właśnie.

Beth do Jennifer:

Jak ta fikcyjna nowa nauczycielka podstaw przedsiębiorczości.

Jennifer do Beth:

A żebyś wiedziała!

Beth do Jennifer:

To niemożliwe.

Jennifer do Beth:

Dlaczego?

Beth do Jennifer:

Z tego samego powodu, z którego Mitch każdego lata próbuje wyhodować wielkie dynie – mimo że wasz ogródek jest mały, pełno w nim chrząszczy i ma za mało słońca. On nie chce czegoś, co przychodzi zbyt łatwo. Woli popracować, żeby osiągnąć to, na czym naprawdę mu zależy.

Jennifer do Beth:

Głupiec z niego. Głupiec, który nie doczeka się plonu.

Beth do Jennifer:

Nie rozumiesz. To głupiec, który tak łatwo z ciebie nie zrezygnuje.

Jennifer do Beth:

Nie wiem, czy się nie mylisz, ale chyba już mi trochę lepiej. Więc do roboty.

Beth do Jennifer:

Jestem do usług w każdej chwili.

(Rozumiesz, że „w każdej chwili” znaczy po 10.30, no nie?).

Jennifer do Beth:

(Uhm).

ROZDZIAŁ 6

Jennifer Scribner-Snyder według spisu pracowników była adiustatorem artykułów prasowych.

Beth Fremont Lincoln znał. W każdym razie słyszał o niej. Czytał jej recenzje filmowe. Była dowcipna i zazwyczaj zgadzał się z jej opiniami. To dlatego poszedł na *Mroczne miasto*, *Igraszki z losem* i *Babe*.

Kiedy sobie uświadomił, że nie wysłał żadnego upomnienia Beth Fremont i Jennifer Scribner-Snyder – po nie wiadomo ilu przypadkach naruszenia zasad bezpieczeństwa: trzech, pół tuzina? – nie pamiętał już, dlaczego tego nie zrobił. Może dlatego, że nie zawsze potrafił określić, którą z nich łamią. A może dlatego, że obie wydawały się zupełnie nieszkodliwe. I miłe.

Teraz zaś nie mógł wysłać im upomnienia, nie tego wieczoru. Nie, kiedy zaczęły się niepokoić, że je dostaną. To byłoby dziwaczne, prawda? W sytuacji, kiedy wiedziały, że ktoś przeczytał ich korespondencję o tym, że jest przez kogoś czytana. Gdyby miało się manię prześladowczą, można by się zacząć zastanawiać, czy inne niepokojące sprawy także nie są prawdziwe. I nabrać podejrzeń, że może „oni” na mnie dybią.

Lincoln nie chciał być złym człowiekiem z *Tronu*.

Poza tym... Poza tym chyba polubił Beth i Jennifer, w każdym razie na tyle, na ile można polubić kogoś, czytając jego e-maile, niektóre e-maile.

Jeszcze raz przejrzał ich ostatnią korespondencję. Podejrzanym słowem był niewątpliwie „hazard”. Podobnie jak „blackjack” i „porno”. Co do „zboka” i „menstruacji” nie miał pewności.

Umieścił pliki w koszu i poszedł do domu.

– Nie musisz przygotowywać dla mnie lunchu – powiedział do matki. Chociaż lubił, kiedy to robiła. Odkąd wrócił do domu, skończył ze śmieciowym żarciem. W kuchni u matki stale coś się piekło, smażyło, gotowało albo stygło na talerzu. I kiedy wychodził z domu, zawsze wciskała mu do rąk pełne pojemniki.

– To nie lunch – odpowiedziała. – Tylko kolacja.

– Ale nie musisz – zaoponował. Nie przeszkadzało mu, że mieszka u matki, ale mieszkanie u matki miało co najmniej kilka stopni zaawansowania. I nie ulegało

wątpliwości, że pozwalając na to, aby przygotowywała mu posiłki, posuwał się za daleko. Żywnienie go zaczęło stanowić cel jej życia.

- Nic nie muszę - odparła, wręczając mu papierową torbę z pobrzękującym ciężkim szklanym naczyniem.

- Co to takiego? - zapytał. Pachniało cynamonem.

- Kurczak tandoori. To znaczy, nie mam tandoori ani tandoor, jednego z tych pieców, nie miałam nawet jogurtu, bo często go stosują, prawda? Użyłam kwaśnej śmietanki. I dodałam papryki. Może to paprykarz z kurczaka... Wiem, że nie muszę dla ciebie gotować. Ale chcę. Jestem spokojniejsza, wiedząc, że jesz... jesz coś zdrowego, nie z pudełka. Już i tak dość się o ciebie martwię: że nie śpiesz, że nie wychodzisz na słońce...

- Śpię, mammo.

- W ciągu dnia. Powinieneś budzić się rano, wraz ze słońcem, przyswajając witaminę D, a spać nocą, kiedy jest ciemno. Gdy byłeś małym chłopcem, nie pozwalałam ci sypiać nawet przy zapalanej lampce nocnej, pamiętasz? To zakłóca produkcję melatoniny w organizmie.

- W porządku - rzekł. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek z nią wygrał.

- W porządku? Co to ma znaczyć?

- To znaczy „w porządku”. Słyszę, co mówisz.

- Och, w takim razie to nic nie znaczy. Weźmiesz tego kurczaka? I zjesz go?

- Dobrze. - Wziął torbę, przycisnął ją do piersi i uśmiechnął się do matki. Starał się wyglądać na kogoś, o kogo nie musi się tak bardzo martwić. - Zjem z przyjemnością - odpowiedział. - Dziękuję.

Kiedy Lincoln wszedł do działu informatycznego IT, Greg już na niego czekał. Ze względu na serwery zawsze panowała tu o kilka stopni niższa temperatura niż gdzie indziej; przyjemniej, można by pomyśleć. Rześko. Ale tak naprawdę było nie tyle chłodniej, ile wilgotniej.

- Hej, senatorze - przywitał go Greg. - Zastanawiałem się nad tym, co powiedziałaś kilka dni temu, no wiesz, o braku pracy. I znalazłem ci zajęcie.

- Super - odparł Lincoln całkiem poważnie.

- Zaczyniesz archiwizować i kompresować pliki użytkowników z ostatnich sześciu miesięcy - wyjaśnił Greg, najwyraźniej przekonany, że to genialny pomysł.

Lincoln nie był tego taki pewny.

- Po co mam to robić? - zapytał. - To strata czasu.

- Myślałem, że o coś takiego ci chodzi.

- Chodzi mi o coś... Dobra, o nic mi nie chodzi. Po prostu źle się czuję ze świadomością, że płacą mi za nic.

- Więc już nie musisz tak się czuć - odrzekł Greg. - Właśnie dałem ci coś do roboty.

- Niby tak, ale archiwizowanie i kompresowanie... to może potrwać całe lata. A niczemu nie służy.

Greg włożył wiatrówkę i zebrał teczki. Wychodził wcześniej, żeby zawieźć synka do ortodonta.

- Trudno cię zadowolić, co, Lincoln? To dlatego nie znalazłeś sobie dziewczyny. Skąd on wie, że nie mam dziewczyny? - pomyślał Lincoln.

Przez resztę wieczoru archiwizował i kompresował pliki, na złość Gregowi. (Mimo że Greg nawet by nie zauważył, że zostało to zrobione, nie mówiąc już o tym, że na złość.) Lincoln archiwizował, kompresował i poważnie myślał o tym, żeby rzucić tę robotę. Mógłby odejść już w tej chwili, gdyby w dziale IT znalazł się ktoś, kto przyjąłby jego wymówienie.

Dochodziła dziesiąta, kiedy przypomniał sobie o kurczaku tandoori od matki.

Pojemnik otworzył się w papierowej torbie i na dywanie pod biurkiem powstała jaskrawopomarańczowa plama od sosu. Wiedział, że dziewczyna, która siedziała tu za dnia, Kristi, będzie wściekła. Już kiedyś zostawiła mu samoprzylepną karteczkę z prośbą, żeby nie jadł w jej miejscu pracy. Twierdziła, że zostawił na klawiaturze okruchy.

Lincoln zabrał więc kurczaka do pokoju socjalnego na drugim piętrze. W nocy prawie nikt z niego nie korzystał - redaktorzy jedli przy biurkach - ale i tak było tam więcej życia niż w pustym biurze IT. Podobały mu się automaty z napojami i czasami spotykał tu dozorców, którzy także robili sobie przerwę. Ale tego wieczoru nikogo nie zastał. Pomieszczenie świeciło pustkami.

Po raz pierwszy jednak Lincoln był zadowolony, że jest sam. Wziął plastikowy widelec, usiadł przy stole w kącie i zabrał się do kurczaka. Nawet go nie podgrzał.

Wtedy weszły dwie osoby, mężczyzna i kobieta. Kłócili się o coś po przyjacielsku.

- Miej trochę zaufania do naszych czytelników - mówiła kobieta, machając zwiniętym dodatkiem sportowym i opierając się o automat do kawy.

- Nie mogę - odparł mężczyzna. - Zbyt wielu ich poznałem. - Miał na sobie sfatygowaną białą koszulę i gruby brązowy krawat. Wyglądał, jakby się nie przebierał i porządnie nie wyspał od czasu prezydentury Cartera. Kobieta była od niego młodsza. Miała żywe oczy, szerokie ramiona i długie włosy sięgające połowy pleców. Była zbyt ładna, żeby mógł się jej przyjrzeć.

Wszystkie one były na to zbyt ładne. Nie pamiętał, kiedy ostatnio spojrzał kobiecie w oczy. Nie licząc matki. Ani Eve, siostry.

Jeśli nie patrzył na nie, nie ryzykował przypadkowego kontaktu wzrokowego. Nie znosił tego uczucia – w banku, w windzie – kiedy niechcący pochwycił wzrok jakiejś kobiety, a ona czuła się w obowiązku pokazać, że nie jest nim zainteresowana. Robiły tak czasami, odwracały głowy, zanim nawet zdążył się zorientować, że na nie spogląda. Kiedyś przeprosił jedną z nich, na stacji benzynowej, kiedy ich wzrok się spotkał. Udała, że nie słyszy, i spojrzała w przestrzeń.

– Jeśli nie znajdziesz sobie dziewczyny – groziła mu Eve – zacznę cię umawiać z porządnymi młodymi luterankami. Prawdziwymi luterankami. Z Kościoła Luterańskiego Synodu Missouri.

– Nie waż się – odpowiedział. – Gdyby któraś z twoich koleżanek z Kościoła poznała mamę, miałabyś zrujnowaną opinię. Nikt nie chciałby siedzieć obok ciebie na zajęciach z Biblii dla dorosłych.

Kobieta w pokoju socjalnym zaśmiała się i pokręciła głową.

– Uparciuch z ciebie – powiedziała. Była tak zajęta rozmową, że mógł bezpiecznie się jej przyjrzeć. Miała na sobie sprane džinsy i jasnozieloną marynarkę, która zadarła się nieco, kiedy jej właścicielka się pochyliła, żeby wziąć kawę. Lincoln umknął spojrzeniem w bok.

– Wszystko z tobą w porządku, Lincoln – mówiła mu siostra. – Chodziłeś na randki. Miałeś dziewczynę. Nie ma w tobie nic, co dyskwalifikowałoby cię jako faceta.

– To ma mnie pocieszyć? Bo z tego wszystkiego słyszę tylko, że coś może dyskwalifikować mnie jako faceta.

Rzeczywiście, chodził na randki. Miał dziewczynę. Widywał zagłębienia nad kobiecymi pupami. Na koncertach, meczach piłkarskich i przyjęciach w suterenie trzymał dłoń na plecach kobiet, na plecach Sam, wsuwając palce pod jej sweter. Wiedział, że uchodzi mu na sucho poufałość, możliwość dotykania jej ukradkiem, kiedy nikt nie widział.

Nic nie dyskwalifikowało Lincolna jako faceta. Przed trzema laty był na randce. Siostra kolegi szukała osoby towarzyszącej na ślub i wesele. W efekcie przetańczyła całą noc z jednym z drużbów, który, jak się okazało, był jej kuzynem, podczas gdy Lincoln pochłoniął trzynaście ciastek z kremem.

Właściwie nie bał się chodzić na randki. Tyle że jakoś nie potrafił sobie tego wyobrazić. Potrafił za to wyobrazić sobie siebie za rok w jakimś przyjemnym miejscu, z dłonią na plecach dziewczyny, tuż nad jej pupą. Ale żeby poznać tę

dziewczyne, poderwać ją... w tym był beznadziejny.

- Nie wierzę ci - mówiła Eve. - Przecież poznałeś Sam. Zdobyłeś jej względy, tak że się w tobie zakochała.

Otóż nie. Nawet nie zwrócił na nią uwagi, dopóki w dziesiątej klasie na geografii nie dźgnęła go w ramię.

- Masz ładną postawę - powiedziała wtedy. - I pieprzyk na karku, wiesz o tym?

- Dużo czasu patrzę na ten pieprzyk - ciągnęła. - Więc pewnie umiałabym w razie wypadku zidentyfikować twoje ciało. Jeśli tylko kark nie uległby straszliwej deformacji.

Zarumienił się, słuchając tego. Następnego dnia powiedziała mu, że pachnie jak brzoskwinia. Była żywiołowa. I zabawna. (Choć nie tak zabawna, jak żywiołowa). Do tego potrafiła patrzeć mu w oczy - przy ludziach - i mówić: „No, naprawdę, Lincoln, pachniesz brzoskwiniami”. A potem się śmiała, a ona się czerwieniła.

Lubiła go zawstydząć. Lubiła to, w czym była dobra.

Kiedy mu zaproponowała, żeby towarzyszył jej na balu absolwentów, pomyślał, że żartuje, że będzie się z niego nabijała w obecności koleżanek. Ale i tak się z godził. A ona wcale nie żartowała i nie nabijała się z niego.

Sam stawała się inna, kiedy byli sami: cicha - no, cichsza - i wtedy mógł jej wszystko powiedzieć, wszystko, co miało znaczenie. Lubiła rozmawiać o tym, co ma znaczenie. Była serdeczna i pełna pasji.

Nie zrobił nic, żeby się w nim zakochała. Zrobiła to sama z siebie.

I on też się w niej zakochał.

Lincoln podniósł głowę i spojrzał w stronę automatu do kawy, ale mężczyzna w pomiętej koszuli i dziewczyna z piegami zniknęli.

ROZDZIAŁ 7

Od: Beth Fremont

Do: Jennifer Scribner-Snyder

Wysłane: w poniedziałek, 30.08.1999, o godz. 11:24

Temat: Kto wygląda dobrze w sukience bez ramiączek?

Nie tylko bez ramiączek. W sukience tubie bez ramiączek. Kto może sobie na to pozwolić?

Jennifer do Beth:

Eee... Joan Collins. Lynda Carter. Shania Twain...

Beth do Jennifer:

Po pierwsze, czy oglądasz tylko Lifetime Network? Czy czasami przerzucasz się na Hollywood Squares?

Po drugie, nawet te piękne panie wyglądałyby grubo przy druhnach mojej siostry, z których wszystkie mają 20 lat i nienaturalnie wąskie biodra.

Może kiedyś włożenie sukni tuby bez ramiączek uszłoby mi płazem... na przykład w 1989, ale te czasy dawno minęły.

Jennifer do Beth:

Dziesięć lat temu.

Beth do Jennifer:

Wielkie dzięki. Och, nie mówiłam ci, że ślub ma mieć motyw przewodni? Narzeczony Kiley chce, żeby nawiązywał do nowego milenium.

Jennifer do Beth:

Co to znaczy?

Beth do Jennifer:

A skąd mam wiedzieć? Chciałabym, aby znaczyło, że mogę włożyć srebrny kombinezon.

Jennifer do Beth:

Może siostra pozwoli ci narzucić na ramiona szal, sweterek albo coś w tym rodzaju, żebyś nie czuła się rozebrana.

Beth do Jennifer:

Dobry pomysł. Może nawet udałoby mi się namówić Gwen, żeby też tak zrobiła. Wtedy nie byłabym sama.

Jennifer do Beth:

Gwen też przyjedzie na ślub? Ona nie należy do tych wychudzonych członkiń stowarzyszenia siostrzanego. Więc nie będziesz jedyną druhną o normalnych wymiarach.

Beth do Jennifer:

Nie, zgadza się. Masz rację. Nie wiem, dlaczego to mnie tak dobija. Ta sukienka, cały ten ślub. Naprawdę cieszę się ze względu na Kiley. Na ciebie i wszystkie inne szczęśliwe mężatki.

Tyle że was nie lubię. Chciałabym, żebyście zdechły. Kiedy Kiley pokazała mi pierścionek zaręczynowy - platynowy, 1,4 karata - naprawdę miałam ochotę powiedzieć o nim coś wrednego. Komu potrzebny taki wielki pierścień, pytam cię. Był ogromny, jak te, które nosiła Elizabeth Taylor. I nasze babcie nazywały ją wywołką.

A potem w końcu powiedziałam coś wrednego, kilka prawdziwych podłości.

Byłyśmy w sklepie z sukniami ślubnymi - a tak, pojechałyśmy już na pierwszą przymiarke - i stwierdziłam, że szalwiowa zieleń przypomina brudną wodę w akwarium. A poliestrowa krepa cuchnie potem, zanim jeszcze się ją włoży.

A kiedy Kiley nam wyjawiała, co będzie grane na ślubie - bo oczywiście wybrali już utwór i ma to być *What a Wonderful World* Louisa Armstronga - zauważyłam, że wybór tej piosenki to jak kupno ramek, w które nigdy potem nie wstawia się zdjęć.

Jennifer do Beth:

Ojej. Wciąż jesteś zaproszona na ślub?

Beth do Jennifer:

I wciąż jestem druhną.

Nikt nie zwrócił uwagi na moje złośliwości. Kiley przymierzała welony, a pozostałe druhnny były zbyt zajęte liczeniem sobie nawzajem żeber, żeby mnie słuchać.

Po wyjściu ze sklepu czułam się małym, podłym człowiekiem. Miałam wyrzuty sumienia z powodu sceny, którą urządziłam. Byłam zła, że nikt się nie przejął. Pomyślałam, że należą do tych, którzy zrobiliby wszystko, wywołaliby pożar, żeby zwrócić na siebie uwagę. Co nagle wydało mi się nie najgorszym pomysłem...

Podpalić coś. Najlepiej z poliestrowej krepy.

Nie potrafiłabym podpalić sukni Kiley – na razie, przez następne 10-12 tygodni, nawet się do niej nie zbliżę – ale w szafie mam pełno martwych sukienek. Sukienek balowych, sukienek druhen. Byłam gotowa wyciągnąć je wszystkie i zanieść ich naręczę do śmietnika przed budynkiem. Zamierzałam zapalić papierosa od ognia, w którym by stanęły, jakbym była bohaterką ze *Śmiertelnego zauroczenia*...

Jednak nie mogłam tego zrobić. Bo nie jestem taka. Nie jestem jak Winona Rider z któregośkolwiek filmu. Jo z *Małych kobietek*, dla przykładu, nigdy nie wyłożyłaby tych wszystkich sukien na łóżko i nie zaczęłaby ich przymierzać, jedna po drugiej...

Łącznie z tą z odsłoniętym ramieniem, którą włożyłam na ślub brata 12 lat temu. Jest w kolorze cyrankowym (to szałwiowa zieleń roku 1987), ma bufiaste rękawy i brzoskwińskie kokardki w pasie. Oczywiście, w międzyczasie zrobiła się dla mnie za mała i suwak się nie zapina – bo nie mam już szesnastu lat. I wtedy to do mnie dotarło – że nie mam już szesnastu lat.

I nie w tym oczywistym, banalnym sensie. Ale takim, jak w *Jacku i Dianie*. „No tak, życie toczy się dalej, długo po tym, jak przeminą ekscytujące chwile”.

Nie jestem już nawet tamtą dziewczyną, która była w stanie zaciągnąć suwak. Tamta uważała, że włożenie ohydnej sukienki w najszcześniejszy dzień życia kogoś innego to dopiero początek – koniec kolejki, w której się stoi po taki dzień.

A nie ma takiej kolejki. Jest tylko scena z poczekalni w *Soku z żuka*.

(Kolejny film z Winoną, którą nie jestem).

Kiedy Chris wrócił do domu, wszystkie te sukienki leżały porozkładane w dodatkowej sypialni. Próbowałam jakoś sensownie wyjaśnić, dlaczego mam na sobie starą, zakurzoną kieckę druheny i ryczę. Ale on zalaatywał dymem papierosowym i poszedł prosto do łazienki, żeby wziąć prysznic, więc nie musiałam się tłumaczyć – co było jeszcze bardziej dobijające, bo naprawdę chciałam, żeby ktoś jeszcze uzalił się nade mną.

Jennifer do Beth:

Mnie jest ciębie żal.

Beth do Jennifer:

Naprawdę?

Jennifer do Beth:

Naprawdę. Myślę, że jesteś żalosna. To wręcz żenujące czytać twoje e-maile, kiedy wpadasz w taki stan.

Beth do Jennifer:

Wiesz, jak wesprzeć przyjaciółkę. Zaraz mi powiesz, że pewnego dnia sama będę piękną panną młodą...

Jennifer do Beth:

Bo będziesz. Nie mam co do tego wątpliwości. I kiedy wreszcie Chris zbierze się do kupy i ci się oświadczy, wszyscy na pewno będą brali ślub w srebrnych kombinezonach.

ROZDZIAŁ 8

- Dlaczego się przejmujesz, skoro ci płacą, żebyś tam siedział? - zapytała Lincolna siostra.

Zadzwoił do Eve, bo się nudził. Bo przeczytał już wszystkie pliki z folderu WebShark. Niektóre nawet dwa razy...

Znowu korespondencja Beth i Jennifer. Nie wysłał im upomnienia. Ponownie. Powoli nabierał wrażenia, że je zna jak koleżanki z pracy. Dziwne. Kolejny powód, żeby rzucić tę robotę.

- Wcale się nie przejmuję - odpowiedział siostrze.

- Ależ tak. Już dwa razy dzwoniłeś do mnie, żeby się wyżalić.

- Nie żalę się - zaprotestował, trochę zbyt mocno.

- To miała być lekka praca. Mówiłeś mi, że szukasz zajęcia, które nie wymagałoby za dużo myślenia, żebyś mógł się zastanowić, co chcesz robić dalej.

- To prawda.

- Więc co cię obchodzi, jeśli płacą ci za nicnierobienie? To wręcz idealna sytuacja. Wykorzystaj czas i przeczytaj *Jakiego koloru jest twój spadochron*, poradnik dla szukających pracy. Zaczniij opracowywać swój plan pięcioletni - mówiła bardzo głośno, żeby przekrzyczeć jakiś mechaniczny hałas.

- Odkurzasz?

- Dustbusterem! - wyjaśniła.

- Więc przestań. Mówisz, jakbyś wrzeszczała.

- Bo wrzeszczę!

- To brzmi, jakbyś wrzeszczała ze złością - dodał. - Nie pamiętam już, o czym mówiłem.

- Skarżyłeś się, że płacą ci za nic. - Wyłączyła dustbustera.

- To, że dostaję pieniądze za nic, wciąż mi przypomina, że nic nie robię - próbował wytłumaczyć. - A nicnierobienie pochłania więcej energii, niż mogłoby ci się wydawać. Przez cały czas jestem zmęczony.

- Jak możesz być zmęczony przez cały czas? Śpisz za każdym razem, kiedy dzwonię.

- Eve, wychodzę z pracy o pierwszej w nocy.

- Ale o dziewiątej powinieneś już być na nogach.

- Wracam do domu o wpół do drugiej. Jestem na pełnych obrotach. Jeszcze przez godzinę czy dwie siedzę przy komputerze. Zasypiam około czwartej nad ranem. Budzę się o pierwszej, wpół do drugiej po południu. A potem przez następne trzy godziny myślę o tym, że przed pójściem do pracy nie zdążę już nic zrobić. Oglądam powtórki *Zagubionego w czasie* i znowu siadam do komputera. Jadę do pracy. I tak w kółko. Wciąż to samo.

- To brzmi okropnie, Lincoln.

- Jest okropne.

- Powinieneś rzucić tę pracę.

- Powiniennem rzucić tę pracę... - powtórzył. - Ale jeśli w niej zostanę, będę mógł wyprowadzić się od mamy.

- Kiedy?

- Kiedy tylko będę chciał. Pensja jest wysoka.

- Więc nie rzucaj - oświadczyła stanowczo Eve. - Wyprowadź się. Znajdź nową pracę. A potem się zwolnij.

Wiedział, że tak mu poradzi. Zdaniem Eve wszystkie jego problemy brały się z tego, że mieszkał u matki. „Nigdy nie będziesz miał własnego życia, jeśli będziesz u niej mieszkał” - mówiła, gdy tylko znalazła okazję. Radziłaby mu, żeby nie rezygnował z pracy w zakładzie mięsny, gdyby to oznaczało zdobycie własnego mieszkania.

Lincoln jednak nie był pewny, czy chce się wyprowadzić. Lubił dom matki. Lubił w nim to, że wszystko było tam już ułożone. Miał dla siebie całe piętro, a nawet własną łazienkę. I przeważnie nie przeszkadzała mu obecność matki. Wolałby, żeby dawała mu więcej swobody. Swobody myślenia.

- Nie wstydzisz się, kiedy mówisz komuś, że wciąż mieszkasz w domu rodzinnym?

- zapytała Eve.

- A kogo miałyby interesować, gdzie mieszkam?

- Nowych znajomych.

- Nie poznaję żadnych nowych ludzi.

- I nigdy nie poznasz, dopóki będziesz mieszkał u matki.

- A kogo miałbym poznać, gdybym mieszkał u siebie? Czy wyobrażasz mnie sobie, jak kręcę się nad basenem? Zagajam rozmowy na siłowni w bloku?

- Może - odparła. - Dlaczego nie? Umiesz pływać.

- Nie lubię apartamentowców. Nie lubię dywanu w holu, betonowych balkoników ani schowków.

- Co ci się nie podoba w schowkach?

- Są z płyt pilśniowych i śmierdzą myszami.
- Rany, Lincoln, w jakich mieszkaniach bywałeś?
- Mam kumpli, którzy mieszkają w blokach.
- Najwyraźniej obrzydliwych blokach.
- Blokach dla samotnych facetów. Wiesz, jak to jest.

Eve wyprowadziła się z domu, kiedy miała dziewiętnaście lat. Wyszła za mąż za Jake'a, faceta, którego poznała w college'u. Był od niej o dziesięć lat starszy i służył w lotnictwie wojskowym. Kupił jej parterowy dom w stylu ranczerskim na przedmieściach i Eve pomalowała każdy pokój w innym odcieniu kremowego.

Lincoln kiedyś przyjeżdżał do nich na weekendy. Miał wtedy jedenaście lat i Eve przydzieliła mu jego własny pokój.

- Zawsze jesteś tu mile widziany - mówiła. - Zawsze. Dopóki tylko zechcesz. To także twój dom.

Lubił jeździć do Eve i Jake'a, ale nigdy nie miał wrażenia, że do nich ucieka. Nie czuł potrzeby ucieczki od matki, tak jak Eve. Nie rozumiał, dlaczego nie mogą się porozumieć. Nawet nie rozpoznawał swojej rodzicielki w opowieściach Eve.

- Mama nigdy nie miała fajki do palenia marihuany - protestował.
- Owszem, miała. Z butelki po coca-coli. Trzymała ją na stoliku do kawy.
- Kłamiesz. Mama nigdy nie piła coca-coli.

Kiedy Lincoln następnego popołudnia przyszedł do pracy, Greg kłócił się z kimś przez telefon. Zatrudnił konsultanta z zewnątrz, który miał się zająć problemem pluskwy milenijnej, a teraz mówił, że nie będzie mógł przyjechać do siedziby gazety aż do końca stycznia. Greg nazwał go szarlatanem i jednookim Cyganem, a potem się rozłączył.

- Ja mogę się zająć pluskwą milenijną - oznajmił Lincoln. - Pisałem już programy...

- Jasne - odparł Greg. - Sami się tym zajmiemy, ja, ty i kilku ośmioklasistów ze szkół zaocznych... Na pewno sobie poradzimy... - Wyłączył komputer, wrywając kabel z listwy przebiegniowej. Lincoln aż się skrzywił. - Mimo że mnie wkurza, nie mogę stracić tej pracy - powiedział Greg, biorąc papiery i kurtkę. - Do jutra, senatorze.

Hm. Pisanie programów. Usuwanie usterek, odpluskwianie. Nie były to ulubione zajęcia Lincolna, ale były na głowę archiwizowanie i kompresowanie. Przynajmniej stanowiły problem do rozwiązania. I nie mogły zająć wiele czasu, zaledwie kilka miesięcy, może jeszcze mniej.

Zajrzał do WebSharka. Były tam tylko dwa podejrzane e-maile. To oznaczało, że Lincoln czeka tego wieczoru od trzydziestu sekund do pięciu minut pracy. Już postanowił, że zachowa ją sobie na czas po kolacji.

Miał na ten wieczór pewien plan.

Cóż... plan, żeby sporządzić plan. Wstał tego dnia wcześniej, o dwunastej, i poszedł do biblioteki, żeby poszukać poradnika dla szukających pracy, o którym wspomniała Eve. Wziął go do pracy razem z aktualnymi ogłoszeniami o zatrudnieniu, żółtym markerem, dziesięcioletnim notesem, wydaniem „Entertainment Weekly” i kanapką z indykiem, która pachniała tak kusząco, że z trudem myślał o czymkolwiek innym.

Z kanapką i czasopismem uporał się do siódmej.

Później zamierzał przejrzeć ogłoszenia o pracę i poradnik – ale zamiast po nie, sięgnął po notes. Położył go na biurku i uważnie przekartkował, przerzucając notatki dotyczące wojny o niepodległość i konspekt eseju na temat *Nowego wspaniałego świata*.

Wiedział, czego szuka, to było gdzieś w środku, o, tutaj... Pismo Sam. Czerwony atrament. Nadmiar wielkich liter.

„W czym Lincoln jest dobry”.

Sporządziła tę listę w ostatniej klasie szkoły średniej, kiedy wybierał przedmiot kierunkowy studiów. Lincoln wiedział już, że pójdzie do college'u – do tego, do którego szła Sam.

Matka chciała, żeby studiował niedaleko domu. Na uniwersytecie stanowym, czterdzieści pięć minut drogi od domu, proponowano mu stypendium rektorskie. Ale Sam za skarby by tam nie poszła. Wybierała się na dobrą, znaną uczelnię – i odległą. A Lincoln chciał iść z nią. Matka, poruszając temat stypendium, za każdym razem mówiła, jak miły jest tutejszy kampus, że Lincoln mógłby przyjeżdżać do domu, aby zrobić pranie... On wyobrażał sobie Sam pakującą swoje rzeczy do miniwana ojca i ruszającą na zachód za słońcem. Pranie mógł robić samodzielnie.

W kwestii wyboru uczelni zdał się więc na nią, a ona zamówiła foldery reklamowe i jeździła w weekendy oglądać kampusy.

- Chcę studiować w pobliżu oceanu, Lincoln, oceanu! Chcę czuć fale. Chcę wyglądać jak jedna z tych dziewczyn, które mieszkają nad oceanem, z rozwianymi włosami i rumieńcami na policzkach. I chcę mieć w pobliżu góry, przynajmniej jedną, czy to zbyt wiele? I drzewa. Nie cały las, oczywiście, wystarczy mi zagajnik. Sceneria. Pragnę scenerii! – Czegoś, czym mogłaby się napawać – pomyślał Lincoln.

Sam w końcu wybrała college w Kalifornii – niedaleko oceanu, niedaleko gór – z kampusem otoczonym drzewami i mocnym programem teatralnym. Lincoln także się tam dostał i mógł przebierać w stypendiach.

– Praktycznie – powiedział matce – to taka sama suma, jaką oferowano mi na uniwersytecie stanowym.

– Być może – odparła – ale chesne jest cztery razy wyższe.

– Nie płacisz za nie – zaproponował.

– Co za podła uwaga.

– Nie chciałem być podły. – Mówił szczerze.

Miała wyrzuty, że nie będzie opłacać mu chesnego. Przynajmniej od czasu do czasu. Wiedział o tym. Musiał opłacać je sam. Oczekiwała, że będzie to robił, tak jak kiedyś oczekiwała, że sam zapłaci za swoją konsolę do gry.

– Możesz je sobie kupić, jeśli chcesz i za nie zapłacisz – usłyszał w dziewiątej klasie.

– Nie mam pieniędzy – powiedział.

– Ciesz się z tego, Lincoln. Pieniądze są złe. Stają między tobą a rzeczami, których pragniesz, i ludźmi, których kochasz.

– W jaki sposób pieniądze stają między tobą a ludźmi, których kochasz?

– W taki, w jaki stają w tej chwili między nami.

Kalifornijskiej uczelni nie miała za złe chesnego. Po prostu nie chciała, żeby wyjechał do Kalifornii, bo nie chciała, żeby w ogóle wyjeżdżał. To było zbyt daleko. I nie chciała, żeby wyjechał tak daleko z Sam.

Jego matka nie lubiła Sam.

Uważała, że Sam jest skupiona na sobie i manipuluje ludźmi. (Przyganiał kocioł garnkowi – mówiła Eve). Że Sam jest zbyt głośna. I bezczelna. I ma zdanie na każdy temat. Skarżyła się, gdy Lincoln spędzał u niej za dużo czasu. Kiedy przyprowadzał ją do siebie, było jeszcze gorzej. Sam zawsze robiła coś – przestawiała przyprawy w szafce, włączała za dużo świateł, mówiła, że nie znosi zielonej papryki, czegoś z orzechami albo Susan Sarandon – co irytowało jego matkę.

– Czy ona zawsze taka jest, Lincoln?

– Jaka?

– Taka w nadmiarze?

– Tak – odpowiadał, starając się stłumić zadowolenie, które go przepełniało. – Zawsze.

Matka tolerowała Sam, starała się nic na jej temat nie mówić, przez mniej więcej rok. Potem zaczęła zwracać Lincolnowi uwagę, że jest bardzo młody, zbyt młody,

żeby się z kimś wiązać. Prosiła go, żeby zwolnił tempo, pomyślał o innych dziewczętach. Mówiła:

- To jak z kupnem koszul, Lincoln. Jeśli potrzebujesz koszuli, nie kupujesz pierwszej, którą przymierzysz. Nawet jeśli ci się podoba. Szukasz dalej, przymierzasz następne. Starasz się znaleźć taką, w której będzie ci najlepiej.

- Mamo, a jeśli jest mi najlepiej w pierwszej koszuli? I jeśli przypadnie, zanim skończę zakupy? Jeżeli później nigdy już takiej nie znajdę?

Nie była przyzwyczajona, żeby z nią dyskutował.

- Tu nie chodzi o koszulę, Lincoln.

Zawsze, kiedy z nim rozmawiała, zwracała się do niego po imieniu. Nikt oprócz niej tak nie robił, jeśli nie chciał przyciągnąć jego uwagi. Miał wrażenie, jakby klepała samą siebie po plecach za to, że wymyśliła dla niego takie wspaniałe imię - albo próbowała mu przypomnieć, że to ona je dla niego wybrała. Że był jej dziełem. Kiedyś, w dość burzliwym okresie dorastania, w okresie Sam, krzyknął do matki:

- Nie rozumiesz mnie!

- Oczywiście, że cię rozumiem, Lincoln - odparła. - Jestem twoją matką. Znam cię jak nikt. Nikt nigdy nie będzie cię tak kochał jak ja.

Sam dowiodła, że matka się myliła.

A potem, że jednak miała rację.

Wcześniej jednak usiadła na jego łóżku z zielonym notesem i powiedziała:

- Chodź, Lincoln, musisz wybrać dla siebie przedmiot kierunkowy.

- Ty go dla mnie wybierz - odrzekł. Położył głowę na jej kolanach i wrócił do czytania powieści w wydaniu kieszonkowym o mieczach i królowych goblinów.

- Lincoln, mówię poważnie. Musisz go określić. To wymóg. Skupmy się na tym.

Czym chcesz się w życiu zajmować?

Odłożył książkę i uśmiechnął się do niej, aż odpowiedziała tym samym.

- Tobą.

- Nie mogę być twoim przedmiotem kierunkowym.

Z powrotem wziął książkę.

- Później się nad tym zastanowię.

Wyrwała mu ją.

- Możemy poważnie porozmawiać?

Westchnął i usiadł przy niej.

- W porządku. Rozmawiajmy.

- Dobrze. - Uśmiechnęła się, bo dopięła swego. - A teraz pomyśl, co chciałbyś robić w życiu.

- Nie wiem.

- A co mógłbyś chcieć robić?

- Nie wiem.

- W czy jesteś dobry? Tylko nie mów, że nie wiesz.

Więc nic nie powiedział. Sam przestała się uśmiechać.

- Dobra - rzuciła. - Sporządzimy listę.

Otworzyła notes i napisała u góry nowej strony: „W czym Lincoln jest dobry”.

- Nieprecyzyjne sformułowanie - zauważył. - Wątpliwy początek.

„1.” - zaczęła pisać. „Gramatyka”.

- I ortografia - dodał. - W piątej klasie wygrałem konkurs ortograficzny.

„2. Ortografia. 3. Matematyka”.

- Nie jestem dobry w matmie - zaproponował.

- Jesteś - nie ustępowała. - Dostałeś wyróżnienie z tego przedmiotu.

- Jestem na tyle dobry, żeby dostać wyróżnienie, ale nie wystarczająco dobry.

Czwórkowy.

Podkreśliła: „Matematyka”.

- Co jeszcze? - zapytała.

- Nie podoba mi się to - odrzekł.

- Co. Jeszcze. - Dźgnęła go w pierś końcem długopisu z czerwonym wkładem.

- Nie mam pojęcia. Historia. Jestem dobry w historii.

„4. Historia”.

- Jesteś też dobry w fizyce - zauważyła. - I nauce o społeczeństwie. Widziałam twoje stopnie.

- Z tego, co mówisz, wynikałoby, że jestem dobry w sześciu różnych przedmiotach, a tak naprawdę sprowadza się to do jednego. - Wziął od niej długopis i narysował kreskę obok jej listy. Na marginesie napisał: „1. Szkoła”.

Odebrała mu długopis.

„2. Psucie całkiem dobrych list”.

Znowu sięgnął po długopis.

- Nie - sprzeciwiła się. - To już nie jest twoja lista. Tylko moja.

- Dobrze. - Wziął swoją książkę i objął Sam, przyciągając ją do siebie. Ona pisała dalej. A on czytał. Po godzinie odprowadził ją do samochodu. Po powrocie do pokoju znalazł na poduszce notes.

„W czym Lincoln jest dobry.

1. Szkoła.

2. Psucie całkiem dobrych list.

3. Unikanie trudnych tematów.

4. Nieprzejmowanie się sprawami, którymi **NAPRAWDĘ** powinien się przejmować.

5. Nieprzejmowanie się sprawami, którymi **naprawdę** nie powinien się przejmować.

6. Zachowywanie spokoju/Bycie spokojnym/Spokój.

7. Przewracanie kartki jedną ręką.

8. Czytanie.

9. I pisanie.

10. Generalnie wszystko, co ma związek ze **SŁOWAMI**.

11. I generalnie wszystko, co ma związek z **LICZBAMI**.

12. Zgadywanie, czego chcą nauczyciele.

13. Zgadywanie, czego ja chcę.

14. **DRUGA BAZA** (cha!).

15. Śmianie się z moich dowcipów.

16. Zapamiętywanie dowcipów.

17. Zapamiętywanie tekstów piosenek.

18. Śpiewanie.

19. Uruchomianie komputerów/Rozplątywanie naszyjników.

20. Wyjaśnianie skomplikowanych kwestii/Udzielanie zrozumiałych wskazówek, jak gdzieś dotrzeć.

21. Prowadzenie samochodu podczas złej pogody.

22. Osiąganie różnych rzeczy.

23. Pomaganie innym.

24. Bycie miłym.

25. Sprawianie, że ja też czuję się miła.

26. Sprawianie, że czuję się zachwycająca.

27. Zachwywanie.

28. Sprawianie, że czuję się ważna.

29. I kochana.

30. Słuchanie mnie, kiedy inni już dłużej nie mogą **WYTRZYMAĆ**.

31. Patrzenie na mnie, jakby wiedział coś, czego ja nie wiem.

32. Wiedza o czymś, czego ja nie wiem.

33. Bystrość.

34. Wrażliwość.

35. Dobroć.

36. Życzliwość”.

Następnego ranka, kiedy razem jechali jej samochodem do szkoły, Sam powiedziała Lincolnowi, że wybrała dla niego przedmiot kierunkowy.

- Amerykanistykę - wyjaśniła.

- Co to takiego?

- W pewnym sensie wszystko. Historia i teraźniejszość. Popkultura. Łączenie zjawisk i nadawanie im sensu.

- To brzmi ekscytująco - odparł.

- Nie bądź złośliwy - zganiła go.

- Nie jestem. To naprawdę brzmi ekscytująco. Idealnie.

Był luty i Sam miała na sobie różową puchówkę z białym szalikiem. Pociągnął za ten szalik, żeby ją pocałować.

- Dla mnie idealnie.

W sierpniu - kilka dni przed ich wyjazdem do Kalifornii - rodzina urządziła Sam przyjęcie pożegnalne. Rodzice kupili fajerwerki i wypożyczyli urządzenie do karaoke. Zabawa była jeszcze w pełnym toku, kiedy Lincoln około północy zasnął na fotelu ogrodowym. Nie bardzo wiedział, która jest godzina, kiedy Sam wcisnęła się na fotel obok niego. Pachniała jak piąty lipca, potem i odpalonymi fajerwerkami.

- Pożegnałaś gości? - zapytał.

Kiwnęła głową.

- Pożegnałam ich także w twoim imieniu. Całowałaś wszystkich w usta. To było trochę żenujące.

- Pokaż mi.

Pocałowała go szybko. Była jakaś dziwna, przejęta, rozdygotana. Na pewno nie senna.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Lincoln.

- Uhm... chyba tak, sama nie wiem. Boże, nie wiem, co się ze mną dzieje.

Wstała z fotela i ruszyła w stronę ganku, zbierając zużyte plastikowe kubki, a potem je rzucając.

- Czuję się... gotowa.

- Gotowa na co? - Lincoln usiadł prosto i próbował zrozumieć, co Sam ma na myśli. Księżyc zbliżał się do nowiu i nie widział jej twarzy wyraźnie.

- Jestem gotowa na zmiany - odparła. Przysiadła na stole piknikowym i zaczęła bawić się serpentynami. - Mam wrażenie, jakby już się zaczęły. Myślałam, że będzie mi trudno pożegnać się ze wszystkimi. Myślałam, że się popłaczę... a tak się

nie stało. W ogóle nie chciało mi się płakać. Miałam ochotę śpiewać. Boże, chciałam się z nimi wszystkimi pożegnać! Nie na zawsze, ale na jakiś czas.

Jestem gotowa poznać nowych ludzi - ciągnęła, wyrzucając serpentyny w powietrze. - Za dwa dni znajdę się w nowym miejscu, wśród nowych twarzy. Każda osoba będzie dla mnie nowa. Wszystko będzie nowe i obiecujące. Wyłącznie obiecujące. Nic o tych ludziach nie będę wiedziała. Nikt nie będzie grał mi na nerwach.

Podszedł do stołu piknikowego i usiadł przy niej.

- Przez pierwsze trzydzieści sześć godzin.

- Co to ma znaczyć?

- Tylko to, że łatwo grać ci nerwach.

Uniosła brodę.

- Może to także się zmieni. Stanę się całkiem inna. Może bardziej cierpliwa.

- Może. - Otoczył ją ramieniem. Była taka drobna, miał wrażenie, że mógłby całą ją schować do kieszeni.

- Nie czujesz tego, Lincoln? Że wszystko się zmieni?

Objął ją mocno.

- Nie wszystko.

Od czasu szkoły średniej Lincoln już kilkanaście razy wyjmował ten notes. Robił to za każdym razem, kiedy zmieniał przedmiot kierunkowy, za każdym razem, gdy zaczynał nowy program albo uzyskiwał kolejny stopień.

Wciąż miał nadzieję, że dostrzeże na tej liście coś, co do tej pory uchodziło jego uwagi, jakąś podstawową prawdę o sobie, wskazówkę, czym powinien się zająć. Albo czym nie. Jak to się stało, że utknął w życiu przy punkcie dziewiętnastym: uruchomienie komputerów? Bo nie można żyć z rozplątywania naszyjników? Dlaczego nie utknął przy punkcie dwudziestym dziewiątym? Czy choćby dwudziestym siódmym...

Zawsze, gdy spoglądał na tę listę, w końcu zaczynał myśleć nie tyle o drodze zawodowej, ile o Sam. Tego wieczoru nie doszedł do ogłoszeń o pracę, podręcznika ani swojego planu.

ROZDZIAŁ 9

Od: Jennifer Scribner-Snyder

Do: Beth Fremont

Wysłano: w środę, 01.09.1999, o godz. 13.14

Temat: Masz ochotę wieczorem wyskoczyć gdzieś razem?

Muszę odetchnąć od Mitcha. Wciąż się na mnie boczy za skuteczną antykoncepcję.

Beth do Jennifer:

Nie mogę. Muszę wreszcie pójść na *Oczy szeroko zamknięte*.

Jennifer do Beth:

Oj. Nie lubię Toma Cruise'a.

Beth do Jennifer:

Ja też. Ale zwykle lubię filmy, w których gra.

Jennifer do Beth:

Ja także... Hm, może jednak lubię Toma Cruise'a. Ale nie znoszę, kiedy mi wmawiają, że jest atrakcyjny. Nie znoszę.

Beth do Jennifer:

Jak wszyscy. To mit, który wciskają nam amerykańskie media. Tom Cruise i Julia Roberts.

Jennifer do Beth:

Facetom nie podoba się Julia Roberts?

Beth do Jennifer:

Nie. Przerazają ich jej zęby.

Jennifer do Beth:

Dobrze wiedzieć.

ROZDZIAŁ 10

Kiedy Lincoln w czwartek zszedł do kuchni, jego matka stała oparta o stół i zeskrobywała limonkowozieloną farbę z szuflady kredensu. Na blacie i podłodze leżały płatki farby. We włosach miała wióry, które znajdowały się także w maselniczce. Eve na taki widok dostawała migreny.

- Czy nie malowałaś niedawno kredensu? - zapytał Lincoln.

- Owszem... tak. - Spojrzała na mebel ze zmarszczonym czołem.

- To dlaczego teraz go oskrobujesz?

- Bo to miała być „łakowa ścieżka”. Tak było napisane na puszcze farby. A to nie jest żadna „łakowa ścieżka”. To limonka.

- A na próbce wyglądało jak „łakowa ścieżka”?

- Oczywiście, że tak. Ponieważ obok było napisane „łakowa ścieżka”, wyglądało łakowo. Ale popatrz tylko, to wyraźnie limonka.

- Mamo, mogę cię o coś spytać?

- Pewnie. W piecyku są bułeczki i szynka. Zaraz ci podam. Chcesz miodu? Mamy świeży miód z lokalnych uli, wiesz, że lepiej jeść taki?

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.... - odrzekł, starając się nie okazać zniecierpliwienia. - Mamo, czy Tom Cruise wydaje ci się atrakcyjny?

Matka odłożyła dłuto. Spojrzała na Lincolna, jakby nie mogła się zdecydować, czy ma do czynienia z „łakową ścieżką”, czy limonką.

- Kochanie, a tobie wydaje się atrakcyjny?

- Mamo. Nie. Dlaczego o to pytasz? Jezu.

- A dlaczego ty o to pytasz?

- Chcę wiedzieć, czy Tom Cruise wydaje ci się atrakcyjny. A nie czy masz mnie za geja. Myślisz, że jestem gejem?

- Tego nie powiedziałam - odrzekła. - Od czasu do czasu przychodzi mi do głowy, że możesz nim być, ale nie to chciałam powiedzieć. Po prostu próbuję ci pomóc.

- Pomóc? W czym?

- Pomóc ci wyznać prawdę, jeśli jesteś gejem. Ale nim nie jesteś. Powiedziałeś, że nie, prawda?

- Tak. To znaczy, nie. Mówisz poważnie?

- Cóż, Lincoln, musisz przyznać, że wiele by to wyjaśniało.

- Co? Co takiego by wyjaśniało?

- Dlaczego nie masz dziewczyny. Dlaczego, kochanie, nie masz od dawna. Od czasu Sam, prawda? I szczerze mówiąc, wyjaśniałoby twój związek z Sam.

- W jakim sensie?

- Hm, była mało kobieca, nie mam racji?

- Była bardzo kobieca.

Matka zmarszczyła nos i wzruszyła ramionami.

- Mnie wydawała się chłopięca. Nie miała piersi.

Lincoln przycisnął dłoń do jednego oka.

- Miała piersi.

- Naprawdę? - odparła matka bezbarwnym głosem. Zazwyczaj mówiła „naprawdę”, jakby to nie było wcale pytanie. A raczej prowokacja.

- Nie jestem gejem.

- Oczywiście, że nie.

- Chciałem tylko... chciałem tylko spytać, czy uważasz Toma Cruise'a za atrakcyjnego, bo ja nie uważam Julii Roberts za atrakcyjną i zastanawiałem, czy nie dlatego, że to wszystko to tylko mit rozpowszechniany przez media.

- Nie uważasz Julii Roberts za atrakcyjną? Hm. Naprawdę.

W piątek Lincoln wstał późno. Załapał się na drugą połowę Zagubionego w czasie, pomógł matce przesunąć kanapę i spotkał się z siostrą w centrum handlowym, żeby pomóc jej w wyborze nowego telefonu komórkowego. Później zjedli w części restauracyjnej hot dogi i Lincoln pokazał jej wypożyczony z biblioteki poradnik.

- Więc - spytała - jakiego koloru jest twój spadochron?

- Zielony - strzelił. Czemu by nie zielony?

Eve była tak zadowolona z postępów, jakie poczynił, że koniecznie chciała mu postawić sok. Potem jednak przypomniała sobie, że brat zarabia więcej od niej, i zażyczyła sobie, żeby to on postawił jej sok.

Wieczorem w pracy czuł się tak, jakby miał na sobie cudze spodnie. Mniejsze spodnie. Niepotrzebnie zjadł dwa hot dogi. Powinien poćwiczyć. Może udałoby mu się przemycić do biura sprzęt do ćwiczeń. Co zmieściłoby się do plecaka? Hantle? Urządzenie do kształtowania ud? Należąca do matki nadmuchiwana piłka do jogi?

Na kolację zjadł trzy pojemniczki jogurtu z automatu i przez cztery godziny grał na komputerze w Tetrisa. Może udałoby się przeszmyglować także konsolę do gier? Kiedy wreszcie zajrzał do WebSharka, wciąż miał przed oczami tetrisowe klocki.

ROZDZIAŁ 11

Od: Beth Fremont

Do: Jennifer Scribner-Snyder

Wysłano: w piątek, 03.09.1999, o godz. 13.14

Temat: Najbliższy weekend

Hej, wszystkie filmy z tego tygodnia weszły na ekrany w środę, więc wieczorem jestem wolna, a Chris ma koncert. Chcesz odetchnąć od swojego boczącego się męża? Masz ochotę spotkać się ze mną? Obejrzeć film albo zrobić co innego?

Jennifer do Beth:

Dlaczego miałabyś oglądać ze mną film, skoro masz wolny wieczór jako krytyk filmowy? Ja w wolne dni nie pisuję nagłówków. (Chociaż koryguję błędy gramatyczne. Co wkurza Mitcha).

Chętnie obejrzałabym jakiś film, ale dziś wieczorem North gra pierwszy mecz u siebie. Mitch na pewno już wyjął złoto-granatową bluzę, którą kupił mi na urodziny. Spędzę wieczór, siedząc na twardej, zimnej ławce i patrząc, jak mój mąż dyryguje orkiestrą grającą *Tequila* i *All Hail the Golden Vikings*. (Dziwnie z tego zadowolona).

A może wybrałabyś się z nami? Chodź z nami na mecz. Pozwolę ci nawet pożyczyć strój wikinga - co powiesz na futrzaną czapę z rogami?

Beth do Jennifer:

Czemu nie? Chyba jeszcze nie zwapniałam na tyle, żeby siedzieć sama w domu w piątkowy wieczór.

Sama nie wiem... Może być zabawnie. Nawiązałabym kontakt wzrokowy z jakimś atrakcyjnym małolatem ze szkoły średniej.

Jennifer do Beth:

Małolaty ze szkoły średniej wydają się atrakcyjni tylko dziewczynom ze szkoły średniej. To ma chyba coś wspólnego ze światłem fluorescencyjnym w klasach. Tak naprawdę są chudzi, pryszczaci i mają wielkie stopy. Dlaczego nie pójdziesz na koncert Chrisa?

Beth do Jennifer:

Już nie chodzę na jego koncerty. A ponieważ zaraz mnie zapytasz dlaczego, odpowiem od razu.

W college'u nie opuściłam ani jednego jego występu. Najpierw przez jedną godzinę malowałam sobie oczy, a przez drugą - jemu. Przyjeżdżałam wcześniej do klubu, pomagałam rozstawić sprzęt, słuchałam pierwszych dwóch zespołów, a potem przesiadałam się na przód, trochę po lewej stronie, żeby kiedy Chris podniesie głowę znad gitary, być w środku jego pola widzenia. Jak Courtney Cox na teledysku *Dancing in the Dark*. To była nirwana. (Nirwana przed Nirvaną).

A potem dostałam pracę w dziale rozrywki. Dowiedzieli się o tym wszyscy kumple Chrisa i zaczęli przychodzić do mnie podczas koncertów, żeby wciskać mi nagrania, udając, że mnie lubią.

A później Stef i Chris pobili się o to, że pracuję w redakcji gazety...

A ja i tak siedziałam w weekendowe wieczory w robocie, więc...

Więc lepiej, jeśli zostaję w domu, kiedy Chris ma koncert, i czekam tam na niego.

Jennifer do Beth:

Jak to się pobili? I czy Chrisowi nie brakuje twojej obecności na koncertach? (Nigdy nie wspominasz o college'u. Już widzę cię, jak omdlewasz w stylu grupie).

Beth do Jennifer:

Nie wspominam, jak było w college'u? No co ty. To był cudowny okres. Szkoda, że nie można cofnąć czasu.

Pobili się z głupiego powodu: Stef uważał, że gdybym nie pracowała w redakcji „Couriera”, koncert miałby lepszą prasę.

Jennifer do Beth:

Nie znoszę go. Chyba myśli, że będziesz drugą Yoko Ono.

I naprawdę nie wspominasz o college'u. Nawet nie wiem, jak poznałaś Chrisa.

Beth do Jennifer:

Święte słowa z tą Yoko Ono. Wydaje mu się, że jest Paulem McCartneyem. A tymczasem Paul McCartney to dobry człowiek. No i monogamista.

Jennifer do Beth:

I kawaler Orderu Imperium Brytyjskiego.

Beth do Jennifer:

I obrońca praw zwierząt! Stefa łączy z nim tylko to, że także pali trawkę. Wiesz, jak poznałam Chrisa. W związku studentów.

Jennifer do Beth:

Związek studentów to miejsce, gdzie się poznaliście. Chcę wiedzieć, jak do tego doszło. Czy była to miłość od pierwszego wejrzenia. Kto pierwszy zwrócił uwagę na kogo. I tak dalej.

Ale nie odpowiedziałaś na moje pytanie: czy nie brakuje mu twojej obecności na koncertach?

Beth do Jennifer:

Szczerze mówiąc, jest mu łatwiej, gdy nie przychodzę na koncerty. Pozostali faceci z zespołu to rozpasani single. A ja mało piję, w ogóle nie palę i nie mogę się powstrzymać od komentarzy na temat ich totalnie niedojrzałych i seksistowskich zachowań. Tylko im przeszkadzam.

Jennifer do Beth:

Można by pomyśleć, że zespół o nazwie Sacajawea^[3] wspiera niezależnie myślące kobiety.

Beth do Jennifer:

Wciąż to mówisz.

Jennifer do Beth:

Nieprawda, powiedziałam tylko raz, ale to takie trafne, że nie mogę się powstrzymać, aby tego nie powtórzyć. („Trafny” – tak nazwałabym swój zespół).

Beth do Jennifer:

Ja nazwałabym go „Trefny”.

Mniejsza o to. Dzięki za zaproszenie na mecz, ale chyba jednak wieczorem obejrzę film. (Tym więcej małolatów ze szkoły średniej dla ciebie). W kinie za dolara grają *Matrixa*. Właściwie lubię chodzić do kina w wolne wieczory. Nie muszę myśleć jak krytyk ani nawet śledzić akcji.

Może nawet pójdę po filmie obejrzeć Sacajawęę. Przez ciebie czuję się nie w porządku jako dziewczyna Chrisa.

Jennifer do Beth:

Powinnaś umalować mocno oczy, a potem omdlewać i skakać w pierwszym rzędzie.

Beth do Jennifer:

Czy ja wiem? Może i tak.

ROZDZIAŁ 12

W ten weekend Lincoln miał ochotę gdzieś się wybrać. Gdzieś dalej.

W sobotnie wieczory grywał w Dungeons & Dragons. Od czasów college'u grał z tymi samymi pięcioma czy sześcioma osobami. Zdaniem Eve była to kolejna przyczyna jego samotności.

- Można by pomyśleć, że nawet nie próbujesz poznać dziewczyn - mówiła.

- Tam są dziewczyny - oponował. W każdym razie jedna. Christine od zawsze była jedyną dziewczyną w ich grupie. Zaraz po college'u wyszła za Dave'a, potężnego gościa, który lubił być mistrzem, i gra na stałe przeniosła się do ich salonu.

- Czy ty i twoi przyjaciele od Dungeons & Dragons nie moglibyście czasami robić razem czegoś innego? - podsunęła Eve. - Na przykład wybrać się gdzieś, gdzie moglibyście wszyscy poznać dziewczyny?

Hm, wszyscy oprócz Troya. Nawet Lincoln zdążył się zorientować, że Troy nie był facetem, z którym można by się wybrać na podryw. Troy żywił przekonanie, że nikt - dosłownie nikt - nie ma ochoty rozmawiać o niczym innym, jak tylko o *Babilon 5*. Miał żółtą krzaczastą brodę i okulary w metalowych oprawkach, w stylu nauczyciela matmy, i z upodobaniem nosił skórzane kamizelki.

Może Eve miała rację. Może Lincolnowi potrzebna była odmiana.

W piątek zadzwonił do Troya i powiedział mu, że ktoś inny będzie musiał go podwieźć na partię D&D. (Troy nie widział sensu posiadania samochodu). A potem zadzwonił do Justina.

Justin wyglądał na takiego, z którym można by się wybrać na podryw.

Lincoln i Justin chodzili razem do szkoły średniej. Obaj należeli do szkolnej drużyny golfowej i tworzyli zespół na lekcjach chemii, a kiedy Lincoln na drugim roku studiów przeniósł się do Nebraski - czy też w roku, który miał być drugim rokiem - znaleźli się w tym samym akademiku.

Justin natychmiast wciągnął Lincolna do swojej paczki. Przesiadali wzajemnie w swoich pokojach: grali na konsoli Sega Genesis i zamawiali ohydne pizze. Czasami chodzili na pokazy gimnastyczek. A czasami ktoś organizował sześciopak piwa.

Kumple Justina nie należeli do facetów, których Lincoln sam wybrałby na

przyjaciół. Jednak przyjęli go do swojego grona bez żadnych zastrzeżeń i był im za to wdzięczny. Zaczął nosić bejsbolówkę i stał się mistrzem w Sonic the Hedgehog.

W następnym roku kumple wynajęli wspólnie mieszkanie poza kampusem. Lincoln został w akademiku, bo stypendium, które dostawał, pokrywało jego koszty. Później już nie widywał się z nimi tak często... Nie miał kontaktu z Justinem przez dwa lata i tyle samo czasu nie był w żadnym barze.

- Legendarny Lincoln! Chłopie! Co u ciebie, pieprzony geniuszu?

- No wiesz, po staremu. - Lincoln odwiedził Justina w szpitalu, gdzie ten pracował jako marketingowiec. Nie wiedział, po co szpitalowi dział marketingu; gdzie reklamowała się taka placówka, wśród chorych?

- Jesteś jeszcze na studiach? - zapytał Justin.

- Nie, uzyskałem dyplom... kolejny. Wróciłem do miasteczka, mieszkam z matką, no wiesz, na razie.

- Hej, facet, witaj w domu. Musimy się spotkać. Nadrobić zaległości. Będę z tobą szczerzy, przydałoby mi się towarzystwo. Ożeniłeś się?

- Nie. Daleko mi do tego.

- To dobrze. Wszyscy inni kumple już się ożenili i zostałem sam jak palec. Co mam robić, chodzić po barach bez towarzystwa? Jak jakiś zbok? Imprezuję z młodszym bratem, a to niedobrze. Pożycza ode mnie forszę i zawsze kogoś wyrywie. Ale nie stracił jeszcze włosów, gówniarz.

- Właśnie dlatego dzwonię - powiedział Lincoln, zadowolony, że Justin przejął inicjatywę. - Pracuję wieczorami i trudno mi się wyrwać, ale pomyślałem, że mogliśmy się spotkać...

- Pewnie, stary. Idziesz do roboty jutro wieczorem?

- Nie. Jutrzejszy wieczór mam wolny.

- To podjadę po ciebie o dziewiątej, może być? Twoja mama mieszka tam, gdzie dawniej?

- Uhm - odparł Lincoln, uśmiechając się do telefonu. - Nic się nie zmieniło. Do zobaczenia jutro o dziewiątej.

Justin przyjechał największym SUV-em, jakiego Lincoln kiedykolwiek widział. Jaskrawożółty. Z przyciemnianymi szybami. Wychyliwszy się z okna po stronie kierowcy, zawołał:

- Wskakuj, stary, jedziesz z przodu!

Na tylnym siedzeniu tłoczyło się trzech albo czterech facetów. Lincoln odniósł wrażenie, że rozpoznaje wśród nich młodszego brata Justina. Wyglądał jak Justin,

tyle że był trochę wyższy i trochę świeższy. Sam Justin niewiele zmienił się od czasów szkoły średniej. Niski gość ze zmarszczkami wokół oczu i włosami brudny blond. Czysta koszulka polo. Porządne dżinsy. Nieskazitelna bejsbolówka. Miał w akademiku ustrojstwo, dzięki któremu można było idealnie wygiąć daszek.

- Popatrzcie na niego! - rzucił Justin z uśmiechem. Potrafił uśmiechać się i mówić z papierosem w ustach. - Tylko popatrzcie!

- Fajnie cię widzieć - odparł Lincoln, zbyt cicho, żeby przekrzyczeć samochodowy zestaw stereo. Właśnie leciało *Welcome to the Jungle* Guns N' Roses. Wprawdzie nie widział głośników, ale miał wrażenie, że znajdują się pod nim.

- Co?! - wrzasnął Justin, wychylając się za okno, żeby wydmuchnąć dym. Był tak miły, że zawsze to robił. Jeśli siedziało się przy stole naprzeciwko niego, wydmuchiwał dym za siebie.

- Gdzie są głośniki?! - zapytał głośno Lincoln. - W siedzeniach?

- A żebyś wiedział. Odpał, co? To jakby mieć w tyłku Axla Rose'a.

- Chciałbyś! - ryknął ktoś z tyłu. Justin w odpowiedzi wystawił środkowy palec i mówił dalej.

- Nie zwracaj uwagi na tych dupków. Musiałem ich zabrać, dziś moja kolej na powożenie. Nie martw się, nie ustrzelą nam zwierzyny, zostaną w kącie dla dzieci.

- Nie ma sprawy - powiedział Lincoln.

- Co mówisz?!

- Nie ma sprawy! - Lincoln się nie martwił. Nie zamierzał ustrzelić żadnej zwierzyny.

Tymczasem wjechali na przedmieścia i po chwili zatrzymali się przy niewielkim centrum handlowym, przed barem o nazwie Stalowa Gitara.

- To nie jest bar z muzyką country? - zagadnął Lincoln.

- Kiedyś był, w czasach, kiedy chodziło się na tańce. Teraz organizują je tylko raz w tygodniu. Chyba w czwartki.

- A co robią przez resztę tygodnia?

- To, co inni. W każdym razie przychodzą tu dziewczyny, więc to miejsce dla nas.

W środku było już tłoczno. Na parkiecie tańczyło kilka osób; grano głośny hip-hop - ten najgorszy, z dudnieniem i skandowanym tekstem o luksusowych samochodach. Justin znalazł w pobliżu parkietu stolik barowy i przywołał gestem jedną z kelnerek; przy pasie na biodrach miała kieliszki i butelki z alkoholem. Wszystko to razem wyglądało na bardzo ciężkie.

- Dwa razy jägermeister, proszę pani - rzucił Justin. - Dziękuję.

Pchnął jeden kieliszek w stronę Lincolna i podniósł drugi.

- Twoje zdrowie, Lincoln. Panie magistrze!

Lincoln stuknął się z nim kieliszkiem i zdołał wypić alkohol na raz.

- Myślałem, że masz prowadzić - powiedział do Justina.

- Bo mam. - Ten zapalił następnego papierosa.

- Czy to nie znaczy, że nie powinieneś pić?

- Nie, to znaczy, że nie powinienem się upić. Albo mogę się upić, ale na tyle

wcześnie, żeby mi przeszło. - Justin zamawiał już następną kolejkę i rozglądał się po barze.

Lokal był wielki, wręcz przepastny i cały pomalowany na czarno. Gdzieś znajdował się mgiełnik i wszędzie błyskały czarne światła. Na ścianie nad parkietem wisiała metalowa gitara, która wyglądała na drogą.

To tam zebrały się wszystkie dziewczyny. Przeważnie tańczyły same albo z koleżankami. Był to najwyraźniej wieczór paniński. Muzyka nie nadawała się do tańca, mogły więc tylko podrygiwać i kiwać głowami. Wszystkie wyglądały, jakby słuchały tej samej smutnej historii. „Tak, tak, tak, to straszne. Tak, tak, tak”.

Kilka z nich wspięło się na czarne podwyższenia w głębi parkietu, pod szeregiem zielonych migających reflektorów. Tańczyły, stykając się biodrami, mechanicznie napierając wzajemnie na swoje uda i wyginając plecy. Był to nieprzyjemnie podniecający widok. Jak masturbowanie się w przenośnej toalecie.

Justin także im się przyglądał.

- Bezwstydnice - powiedział, kręcąc głową. - Kiedy dorastaliśmy, dziewczyny nie tańczyły w taki sposób nawet z chłopakami... Spójrz tam. - Wskazał stolik przy drzwiach. - To laski dla nas. Te są zbyt przyzwoite, że uprawiać froteryzm z kumpelkami, ale nie na tyle, żeby odmówić drinka.

Justin już zmierzał w ich stronę, więc Lincoln ruszył za nim. Zatrzymali się przy stoliku, przy którym siedziały dwie dziewczyny, kiwając głowami w rytm muzyki. Lincoln nie potrafił określić w tym świetle, w jakim mogą być wieku. Z trudem odróżniał je od siebie. Obie były młode i podobnie ubrane - w skąpe topy, z wystającymi kolorowymi ramiączkami staników. Miały jasne włosy do ramion i jasne usta pociągnięte beżową szminką.

- Cześć - rzucił Justin. - Możemy się przysiąść? Mój kupel Lincoln stawia.

Dziewczyny się uśmiechnęły i zabrały ze stołków czarne plecaczki. Lincoln zajął miejsce, które zostawił mu Justin, i wyszczerzył się do najbliższej panny. O dziwo, nie był zdenerwowany. Ona i całe to otoczenie byli tak odlegli od codziennego życia, że sprawiali wrażenie nierzeczywistych. Zdecydowanie mniej rzeczywistych niż kobiety, które, jak mu się zdawało, unikały go na chodnikach i w przejściach. Poza

tym był z Justinem, który objął przewodnictwo, przełamując lody i zamawiając drinki. Czy Justin zawsze pił jägermeistra? I ile kieliszków do tej pory wypił on sam? Dwa? Trzy? Co najmniej trzy.

- Jestem Lisa - powiedziała dziewczyna, wyciągając do niego małą wymanikiowaną dłoń.

- Lincoln - przedstawił się z uśmiechem. - Napijesz się czegoś?

- Twój kolega już dla nas zamówił.

- A tak, przepraszam, rzeczywiście...

- Ale możesz poczęstować mnie papierosem.

- Przykro mi - odparł. - Nie palę.

- W porządku. Ja też. To znaczy, palę, ale tylko w barze, na imprezach i tak dalej. Nienawidzę zapachu papierosów. Skoro jednak mam cuchnąć dymem, to co szkodzi samej zapalić.

- Kolega ma papierosy... - Zwrócił się w stronę Justina, który jednak prowadził już swoją towarzyszkę na parkiet. Lincoln nie miał ochoty na tańce.

- Nie przejmuj się - rzuciła Lisa.

- Chciałabyś zatańczyć? - spytał.

- Czemu nie? A ty?

- Tak naprawdę to nie. Nie przeszkadza ci to?

- Wcale - odrzekła. - Tam i tak nie dałoby się pogadać.

Teraz Lincoln się spiał. Z odejściem Justina stracił całą śmiałość, którą czuł jeszcze tak niedawno.

- Więc... - Spojrzał na dziewczynę. - Czym się zajmujesz?

- Pracuję jako higienistka u dentysty. A ty?

- Jestem komputerowcem.

Uśmiechnęła się i pokiwała głową.

- Komputery - powiedziała - to super.

Zaczęła rozglądać się po sali. Wypili drinki, więc Lincoln zamówił drugą kolejkę, żeby tylko nie siedzieć beczynn timer. Powinien był zjeść przed wyjściem kolację. Szkoda, że nie był to bar z muzyką country, w takich chyba zawsze podają orzeszki. A może tak to wyglądało tylko na filmach, żeby bohaterowie mieli czym zająć ręce...

Lisa tymczasem darła na kawałeczki podkładkę pod szklanę i cicho rapowała w rytm muzyki. Lincoln zastanawiał się, czy nie wstać i odejść, żeby dziewczyna miała okazję poznać kogoś innego. Na pewno by poznała. Była ładna... chyba. W tym zielonoczarnym świetle wyglądała niczym tygodniowy siniak. Podobnie jak

wszyscy inni.

- To okropne miejsce na poznawanie ludzi - zauważył.

- Co?! - Lisa pochyliła się do przodu.

- To okropne miejsce na poznawanie ludzi! - powtórzył głośniej.

Lisa sączyła drinka przez cienką słomkę. Przestała na chwilę, wciąż ze słomką w ustach, i spojrzała na niego, jakby nie mogła się zdecydować, czy już teraz odejść od stolika, czy poczekać na kumpelkę. To mogło jednak potrwać. Justin zszedł z jej koleżanką z parkietu i stanęli w kącie. Kiedy padło na nich światło reflektora, Lincoln zobaczył, że się całują. Justin wciąż palił papierosa i trzymał butelkę piwa.

- Przepraszam - odezwał się Lincoln. - Nie chciałem powiedzieć, że okropnie było cię poznać. Tylko że to okropne miejsce, żeby poznać kogokolwiek. - Lisa wciąż patrzyła na niego spod zmrużonych powiek. - Podoba ci się tutaj? - zapytał.

- Jest w porządku. - Wzruszyła ramionami. - Bar jak bar.

- Właśnie. Wszystkie są straszne.

- Ile musisz wypić? - zagadnęła. - Czy może upijasz się na smutno?

- Nie mam pojęcia, za rzadko się upijam. Ale jak w takim miejscu można upić się na wesoło?

- Mnie tam wcale nie jest smutno - odparła.

- Więc po prostu nie zwracasz uwagi na otoczenie! - darł się już, żeby przekrzyczeć hałas, ale przez to jego słowa brzmiały gniewnie. - Rozejrzyj się tylko. Posłuchaj tej muzyki.

- Nie lubisz rapu? W czwartki grają tu country.

- Nie. - Energicznie pokręcił głową. Był już zły. Ale nie na Lisę. Na całą tę sytuację. Czuł się jak Martin Luther, miał już wszystkiego dość. - Właściwie nie chodzi o muzykę - dodał. - Przyszłaś tutaj, żeby kogoś poznać, no nie? Poznać faceta?

- Zgadza się.

- Może tego jedyne, prawda?

Opuściła wzrok na swojego drinka.

- Uhm.

- Kiedy o nim myślisz, o tym facecie... którym, jak wiemy oboje, ja nie jestem... więc kiedy myślisz o tym, jak go poznasz, wyobrażasz sobie, że poznasz go w takim miejscu? Takim brzydkim? Takim głośnym? Chcesz, żeby zalaatywał jägermeisterem i papierosami? Żeby pierwszym utworem, do którego zatańczycie, była piosenka o striptizerkach?

Ponownie potoczyła wzrokiem po barze i kolejny raz wzruszyła ramionami.

- Może.

- Może? Nie, na pewno nie.

- Nie mów mi, co bym chciała, a czego nie - odparła Lisa, grzebiąc w torebce koleżanki, żeby znaleźć paczkę papierosów.

- Masz rację - zreflektował się Lincoln. - Przepraszam.

Znalazła papierosy i włożyła jednego z nich do ust. Trzymała go tak niezapalonego.

- A gdzie indziej mam poznać faceta? - zapytała, przyglądając się tańczącym. - W ogrodzie?

- W ogrodzie byłoby miło - odrzekł. - Chętnie zapłaciłbym za wstęp do ogrodu dla singli.

- To brzmi jak imprezy w kościele, do którego chodzi moja mama. - Znowu zaczęła czegoś szukać w torebce koleżanki. - Myślę, że jeśli już poznam faceta, no wiesz, tego jedyne, nie będzie mi przeszkadzało, gdzie to się stanie ani jak będzie pachniał. Będę po prostu szczęśliwa...

Posłuchaj - powiedziała, wstając. - Miło było cię poznać. Poszukam kogoś, kto mi przypali.

- Ee... tak, dobrze.... - Chciał wstać, ale uderzył głową o neon „Bud Light” i usiadł ponownie. - Mnie także było miło cię poznać - dokończył.

Miał ochotę ją przeprosić, ale tego nie zrobił.

I nie patrzył za nią, gdy odchodziła.

Lincoln wciąż siedział przy stoliku, kiedy godzinę później wrócił Justin.

- Stary, wyświadcz mi przysługę. Jestem zbyt zalany, żeby usiąść za kółkiem. Mógłbyś odprowadzić wóz do siebie?- Eee... nie jestem pewny...

- Proszę cię, Lincoln. - Justin położył na stole kluczyki. - Jadę z Deną do niej.

- A pozostali, twój brat i...

- Chyba już wyszli.

- Jak to?

- Jutro przyjadę po samochód. Zostaw kluczyki pod matą i zamknij drzwi.

- Chyba nie powinienem... - Lincoln wziął kluczyki i próbował je wcisnąć z powrotem Justinowi. Ale ten już odchodził.

Kiedy następnego popołudnia Lincoln przywłókł się do kuchni, przy stole siedziała Eve. Spędził noc na tylnym siedzeniu SUV-a i przyjechał do domu niedługo po wschodzie słońca. Wciąż bolała go szyja, jakby zgiął ją na pół, a w ustach miał smak lukrecji i surowego mięsa.

- Co ty tu robisz? - zapytał na widok siostry.

- Dzień dobry, słońce. Przywiozłam chłopców, żeby pobawili się z babcią.

Rozejrzał się po kuchni, po czym opadł ciężko na krzesło obok Eve.

- Są na tylnym podwórku, budują fort - wyjaśniła. - Na kuchence stoją nadziewane jajka. I smażony ryż. Jesteś głodny?

Lincoln kiwnął głową, ale nie ruszył się z miejsca. Myślał o tym wszystkim, co by zrobił, gdyby miał siły, żeby wstać. Jak pójdzie z powrotem do łóżka. To po pierwsze.

- O rany - rzuciła siostra, wstając, żeby nałożyć mu śniadanie na talerz. - Musiałeś mieć ciężką noc.

Stojąc przy kuchence i mieszając ryż, Eve wyglądała jak młodsza wersja matki - postarzała młodsza wersja. Mając trzydzieści sześć lat, przypominała matkę w wieku lat czterdziestu pięciu.

- Poczucie odpowiedzialności powoduje zmarszczki - mówiła, kiedy matki nie było w pobliżu.

- Czy Eve nie wydaje się zmęczona? - pytała z kolei matka, kiedy Eve nie było w pobliżu.

- Mama mówi, że wróciłeś do domu dopiero o siódmej - powiedziała siostra, podając mu talerz. - A przy okazji, jest wściekła.

- Dlaczego?

- Bo wcześniej nie zadzwoniłeś. Bo czekała na ciebie pół nocy.

Lincoln wziął do ust pierwszy kęs i sprawdził, czy żołądek już mu wybaczył.

- Z czym są te jajka? - zapytał.

- Chyba z kozim serem i łososiem.

- Naprawdę dobre.

- No - odrzekła. - Zjadłam cztery. A teraz powiedz, gdzie byłeś przez całą noc.

- Wyskoczyłem z Justinem do baru.

- Poznałeś kogoś?

- W sensie dosłownym? - zapytał z pełnymi ustami. - Tak.

- Spędziłeś noc z dziewczyną?

- Nie. Upiłem się i zasnąłem w wozie Justina, na tylnym siedzeniu. Czy na podjeździe stoi jeszcze żółty SUV?

- Nie. - Eve sprawiała wrażenie rozczarowanej.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz? - Lincoln poczuł się już lepiej. Pomyślał, że może nawet przed ponownym pójściem do łóżka weźmie prysznic. - Wolałabyś usłyszeć, że uprawiałem w nocy seks przedmałżeński z dziewczyną, którą dopiero co

poznałem w barze o nazwie Stalowa Gitara?

- Poszedłeś do baru country?

- Country grają tam tylko w czwartkowe wieczory.

- Ach tak. Cóż. - Eve wzięła jedno z faszerowanych jajek. - Mogłeś spędzić noc, rozmawiając z dziewczyną, którą poznałeś w barze. To byłaby dobra wiadomość.

- W porządku - odparł, wstając, żeby nałożyć sobie więcej. - Tak ci odpowiem następnym razem.

ROZDZIAŁ 13

Od: Jennifer Scribner-Snyder

Do: Beth Fremont

Wysłano: w poniedziałek, 06.09.1999, o godz. 10.14

Temat: Niech żyją GOLDEN VIKINGS!

Wiem, że wręcz pożerasz dodatek sportowy, więc pewnie już przeczytałaś, że w piątek wieczorem North High Vikings spuścili łomot Southeast Bunnies. W naszej relacji nie ma tylko mowy o tym, że obrona naszych zebrała się do kupy, kiedy orkiestra zagrała *Whoomp! (There it is)*. Straciłaś świetny występ.

Beth do Jennifer:

1. Dlaczego wszystkie szkoły w tym mieście noszą nazwy od miejsc, w których się znajdują? Co by szkodziło nadawać im imiona Johna F. Kennedy'ego, Abrahama Lincolna albo Butrusa-Butrusa Ghalego?
2. Mitch kazał im grać takie starocie? Czy on nie ma wstydu?

Jennifer do Beth:

Cóż, to był mecz futbolowy. Poza tym dzieciaki uwielbiają tę piosenkę. Jest świetna, część z „whoomp” wygrywają na tubach. A jak tobie minął weekend? Widziałaś się z Chrisem? Czy jego zespół grał jakieś covery z lat osiemdziesiątych?

Beth do Jennifer:

No, powinnaś usłyszeć jego gitarową solówkę w *Tootsee Roll*. Ja też przyjemnie spędziłam weekend. Wpadłam jednak na koncert Sacajawea w piątkowy wieczór i załapałam się na prawie cały występ. Zagrali kilka piosenek, których wcześniej nie słyszałam.

Jennifer do Beth:

Czy Chris się zdziwił, kiedy cię zobaczył?

Beth do Jennifer:

Uhm.

Jennifer do Beth:

Uhm. Coś ty taka wstydliva? Zastanawiałam się nad tym, dlaczego dotąd mi nie powiedziałaś, jak się poznaliście. Na pewno w jakichś gorszących okolicznościach. Może był żonaty? Albo jesteście spokrewnieni?

Beth do Jennifer:

Odpowiedź brzmi: tak i tak.

Jennifer do Beth:

No właśnie. Mówiłam, że jesteś wstydliva.

Beth do Jennifer:

Przepraszam. Tylko że...

Wiem, jaki masz stosunek do Chrisa. (Wiem, jaki wszyscy mają do niego stosunek.) I dlatego nie palę się, żeby opowiadać o nim romantyczne historie. Już wyczuwam twoją niechęć.

Jennifer do Beth:

Jaki mam do niego stosunek? I kim są wszyscy?

Beth do Jennifer:

Nie lubisz go.

A wszyscy to wszyscy. Moi rodzice. Rodzeństwo. Ty, czy wspomniałam o tobie?

Jennifer do Beth:

To niesprawiedliwe. Lubię Chrisa.

Beth do Jennifer:

Ale uważasz, że zasługuję na kogoś lepszego.

Jennifer do Beth:

To nie tak.

Kocham cię. I chcę, żebyś była szczęśliwa. A nie jesteś. Więc szukam przyczyny. I myślę, że bywasz nieszczęśliwa przez Chrisa.

Beth do Jennifer:

Ty też czasami bywasz nieszczęśliwa przez Mitcha.

Jennifer do Beth:

To fakt.

Beth do Jennifer:

Jednak myślisz: ale...

Jennifer do Beth:

Przepraszam. Nie chcę, abyś miała wrażenie, że nie możesz mi powiedzieć czegoś o Chrisie, romantycznego, sentymentalnego czy wręcz przeciwnie. Ja mówię ci wszystko i to wielka pociecha mieć kogoś, komu można się zwierzyć.

A może gdybyś powiedziała mi o Chrisie coś romantycznego, sentymentalnego, zrozumiałabym, dlaczego znosisz inne rzeczy, te, które sprawiają, że przewracam oczami.

Beth do Jennifer:

Może masz rację.

Jennifer do Beth:

Więc...

Beth do Jennifer:

Więc co?

Jennifer do Beth:

Więc powiedz mi o nim coś romantycznego, sentymentalnego. Jak się poznaliście.

Dawno, dawno temu, na spotkaniu rodzinnym, poznałam żonatego faceta...

Beth do Jennifer:

Nie musisz go lubić, żeby być moją przyjaciółką. Dopóki lubisz mnie, wszystko gra.

Jennifer do Beth:

Ale ja chcę go lubić.

Beth do Jennifer:

Nie powinnam była mówić, że czasami bywasz przez Mitcha nieszczęśliwa. Uwielbiam go. Przepraszam cię.

Jennifer do Beth:

Nie, nic się nie stało. Miałaś rację. Rzeczywiście czasami czuję się przez niego

nieszczęśliwa i ty nie masz mu tego za złe.

Dawno, dawno temu, na spotkaniu rodzinnym...

Beth do Jennifer:

Dobra. Niech będzie. Poznałam Chrisa w stowarzyszeniu studenckim.

Jennifer do Beth:

Nie gadaj.

Beth do Jennifer:

Oboje uczyliśmy się tam między zajęciami od 9.30 do 11.30.

Już wcześniej widywałam go na terenie kampusu. Zawsze nosił żółty dres i wielkie słuchawki. Słuchawki z rodzaju tych, które mówią: „Mogę nie traktować poważnie ciuchów. Mogę nie czesać ani nawet nie myć codziennie włosów. Ale muzyka jest dla mnie ważna. Jak dla innych Bóg”.

Przewracasz już oczami?

Jennifer do Beth:

Żartujesz? Uwielbiam historie miłosne. Opowiadaj dalej.

Beth do Jennifer:

Więc zwróciłam na niego uwagę już wcześniej. Miał włosy jak Eddie Vedder. Rudawe, potargane. Był za chudy (znacznie chudszy niż teraz) i stale miał podkrążone oczy. Jakby był zbytnim luzakiem, żeby jeść albo spać.

Wydawał mi się bardzo atrakcyjny.

Nazwałam go chłopakiem ze słuchawkami. Nie mogłam uwierzyć własnemu szczęściu, kiedy się zorientowałam, że uczymy się w siedzibie związku w tym samym czasie.

To znaczy, ja się uczyłam. On wyjmował z kieszeni książkę i czytał. To nigdy nie był podręcznik. Czasami tylko siedział z zamkniętymi oczami i słuchał muzyki, podrygując nogami. Budził we mnie zdożne myśli.

Jennifer do Beth:

Nie przerywaj w takim momencie! Nie możesz skończyć na „zdożnych myślach”.

Beth do Jennifer:

Muszę. Właśnie przyszła Pam. Zamykają jedno z tych starych kin. Indian Hills. Mieli tam jeden z ostatnich w kraju ekranów typu Cinerama. Nie mieści mi się

w głowie, że chcą zamknąć takie miejsce. (Obejrzałam w tym kinie wszystkie cztery części *Gwiezdnych wojen*. Muszę obejrzeć tam kolejne, do cholery). Pam życzy sobie, żebym napisała o tym artykuł na jutro. Więc powinnam brać się do roboty. Jak prawdziwy reporter. Nie mam czasu na historie miłosne.

Jennifer do Beth:

Dobra, masz usprawiedliwienie. Na razie. Ale masz mi dokończyć tę opowieść.

Beth do Jennifer:

Obiecuję.

ROZDZIAŁ 14

Lincoln nie zamierzał wysłać upomnienia Jennifer Scribner-Snyder i Beth Fremont.

Musiał się do tego przyznać sam przed sobą. Nie zamierzał wysłać im upomnienia, bo je lubił. Bo uważał, że są miłe, inteligentne i zabawne. Naprawdę zabawne – czasami, czytając ich uwagi, głośno śmiał się przy biurku. Podobało mu się to, jak się ze sobą przekomarzają i troszczą o siebie nawzajem. Żałował, że nie ma w pracy kolegi, z którym mógłby tak rozmawiać.

Dobra. Trudno. Jest, jak jest. Nie zamierzał wysłać im upomnienia.

Więc. Dlatego. W związku z tym... Z praktycznego i etycznego punktu widzenia nie miał powodu, żeby czytać ich e-maile.

Lincoln wmawiał sobie przez cały czas, że robota, którą wykonuje, jest w porządku (i może zawodowo szpiegować i węszyć), dopóki nie ma w tym nic z voyeuryzmu. Dopóki szpiegowanie i węszenie nie sprawia mu przyjemności.

Ale teraz zaczęło sprawiać przyjemność. Jak zauważył, wręcz liczył, że korespondencja Jennifer Scribner-Snyder i Beth Fremont zostanie zatrzymana przez filtr, i uśmiechał się za każdym razem, kiedy widział ich nazwiska w folderze WebSharka. Czasami, kiedy miał jeszcze mniej pracy niż zwykle, czytał ich e-maile po dwa razy.

Nieraz przychodziło mu do głowy, że gdyby chciał, mógłby otworzyć ich osobiste foldery i przeczytać wszystkie listy.

Tylko nie chciał. Nie zrobiłby tego. To byłoby już dziwaczne.

To było dziwaczne – myślał.

Powinien przestać czytać ich korespondencję. Jeśli nie zamierzał wysłać im upomnienia, musiał przestać.

Dobra – mówił sobie – przestaję.

ROZDZIAŁ 15

Od: Jennifer Scribner-Snyder

Do: Beth Fremont

Wysłano: we wtorek, 07.09.1999, o godz. 9.56

Temat: Dobry artykuł

I to na pierwszej stronie. Wciąż masz pazur.

Beth do Jennifer:

Ojej, dzięki. To było ekscytujące - znowu współpracować z redakcją informacyjną. Wszyscy tam są tacy pełni pasji. Czułam się jak Lois Lane.

Jennifer do Beth:

Bo normalnie czujesz się jak Roger Ebert^[4], no nie?

Hej, zgadnij, kto napisał nagłówek twojego reportażu.

Beth do Jennifer:

Skoro o tym wspomniałaś, był bardzo zgrabny. Trafny. Pewnie wymyślił go Chuck.

Jennifer do Beth:

Bardzo śmieszne.

Beth do Jennifer:

Stanowimy zgrany zespół, ty i ja. Powinniśmy połączyć siły i... założyć razem nową gazetę albo coś takiego.

Jennifer do Beth:

Mitch przeczytał rano przy śniadaniu twój reportaż i strasznie się wkurzył. Uwielbia to kino. Sześć razy oglądał tam *The Goonies*. (Dziewczyna, z którą chodził w siódmej klasie, podkochiwała się w Coreyu Feldmanie). Powiedział, że na ekranie Cinerama zyskuje każdy film.

Beth do Jennifer:

1. Mitch miał dziewczynę w siódmej klasie? Proszę dalej, dalej.
2. Mam nadzieję, że nie chodziło mu o to, że *The Goonies* to kiepski film.

Uwielbiam Marthę Plimpton, a Corey Feldman był tam świetny. Nie zasłużył, żeby pójść w odstawkę. Widziałaś *Stać przy mnie? Na przedmieściach? Lisę i psa?*

3. Cudownie wyobrazić was sobie czytających razem gazetę przy śniadaniu. To wizja domowego szczęścia.

Jennifer do Beth:

Nie dzisiaj.

Czytałam właśnie wiadomości krajowe, między innymi historię matki, którą związał syn, bo nie chciała mu kupić konsoli, więc powiedziałam:

- Rany, jeszcze jeden powód, żeby nie mieć dzieci.

A Mitch prychnął (dosłownie prychnął) i zapytał:

- Spisujesz gdzieś je wszystkie? Powody, żeby nie mieć dzieci?

Zwróciłam mu uwagę, żeby nie był wredny, a on na to:

- To ty nie bądź wredna. Wiem, że nie chcesz mieć dzieci. Nie musisz dorabiać do tego teorii.

- Jakich teorii? - zapytałam. - Odbiło ci?

Wtedy on na to, że jest zmęczony i żebym zapomniała, co powiedział.

- Kocham cię - dodał. - Idę do pracy.

Poprosiłam, żeby nie mówił tego tak. Jakby musiał to powiedzieć, żeby móc odejść od stołu. A on spytał, czy wolałabym, żeby odszedł, nie mówiąc: „Kocham cię”.

- Wolałabym, żebyś powiedział: „Kocham cię”, bo jesteś tak przepełniony miłością do mnie, że musisz dać temu wyraz - odparłam. - I żebyś nie wychodził z domu wściekły na mnie.

Wtedy wyjaśnił, że nie jest wściekły na mnie, tylko na całą sytuację. Z dzieckiem. Czy raczej brakiem dziecka.

Ale to ja jestem winna braku dziecka. I powiedziałam to.

- Jesteś więc wściekły na mnie - zakończyłam.

- Dobra - odrzekł - jesteś wściekły na siebie. Co nie znaczy, że cię nie kocham.

I muszę iść do roboty. Pa!

Przestraszyłam się wtedy, że jeśli po drodze do pracy zginie w wypadku samochodowym, do końca życia będę sobie wyrzucała, że nie odpowiedziałam: „Ja też cię kocham”.

Po śniadaniu specjalnie nie łyknęłam tabletki z kwasem foliowym - na złość nam obojgu.

Beth do Jennifer:

Od kiedy zażywasz kwas foliowy?

Jennifer do Beth:

Po tym, jak ostatnio się przeraziłam, że jestem w ciąży. Pomyślałam, że przynajmniej będę miała jedno zmartwienie mniej. Czy sądzisz, że powinnam zadzwonić do Mitcha z przeprosinami?

Beth do Jennifer:

Tak.

Jennifer do Beth:

Ale nie mam ochoty. To on zaczął.

Beth do Jennifer:

Może twój lęk przed ciążą zaczyna działać mu na nerwy.

Jennifer do Beth:

Chyba tak. Trudno go o to winić. Ale nie umiem przeproszać. Zawsze tylko pogarszam sprawę. Mówię: „Przepraszam” i jestem słodziutka, a kiedy już uzyskam przebaczenie, rzucam: „Ale tak naprawdę to nie ja zaczęłam”.

Beth do Jennifer:

To okropne, nie rób tak. To w stylu twojej matki.

Jennifer do Beth:

Właśnie. Setki razy zachowywała się tak wobec mnie.

Mam to po niej. Jestem genetycznie zaprogramowana, żeby być podłym człowiekiem.

A skoro mowa o mojej matce, w zeszły weekend podczas rozmowy telefonicznej wspomniałam jej niepotrzebnie, że Mitch i ja kłócimy się o dziecko. A ona westchnęła – słyszałaś kiedyś, jak wzdycha? jak umierający balon – i oświadczyła: „Tak to się właśnie zaczyna. Lepiej uważaj”.

Mówiąc „to”, oczywiście miała na myśli rozwód. Na który według niej jestem skazana jak na proste zęby czy skłonność do przewrotnych przeprosin, które po niej odziedziczyłam. Tylko na niego czeka. Nakłuwa moje małżeństwo wykałaczką. Już niedługo!

Wtedy ja na to:

– Naprawdę, mam? Zaczyna się od kłótni? A ja myślałam, że w twoim przypadku

zaczęło się od mojej wychowawczyni w trzeciej klasie.

(Bo to, oczywiście, była przyczyna rozvodu rodziców. Choć niektórzy twierdzą, że ich rozwód wziął swój początek od ślubu pod przymusem, a romans ojca z panią Grandy był raczej objawem niż przyczyną choroby).

Po tej mojej strasznej, złośliwej uwadze między mną a matką wybuchła awantura. Wtedy powiedziałam następne straszne rzeczy, a ona rzuciła na koniec: „Możesz mówić, co chcesz, Jennifer, ale obie wiemy, kto będzie ofiarą tego wszystkiego”.

Więc się rozłączyłam i Mitch – który akurat wszedł do pokoju, nie wiedząc, o co poszło – zwrócił mi uwagę: „Nie mów tak do niej. To twoja matka”.

I ja nie mogłam mu przecież wyjaśnić: „Ona uważa, że mnie rzucisz, i już wzięła twoją stronę”. Więc tylko spojrzałam na niego spod ściągniętych brwi.

W niedzielę matka zadzwoniła znowu i zachowywała się tak, jakbyśmy wcale się nie pokłóciły. Chciała zabrać mnie do centrum handlowego w swojej okolicy i uparła się, żeby mi kupić czerwony sweter w Sears, za który pewnie będę musiała zabulić, gdy się okaże, że nie ma na spłatę karty.

Beth do Jennifer:

To ten sweter, który masz dzisiaj na sobie? Kupiłaś go w Sears? Bardzo ładny.

Jennifer do Beth:

Nie rozpraszaaj mnie. (Ale dzięki. Niczego sobie, prawda?).

Beth do Jennifer:

Twoja matka ma nie po kolei w głowie. Twoje małżeństwo jest inne niż jej. Twoje życie jest inne niż jej. Mając tyle lat co ty, była już rozwódką z dziesięcioletnim dzieckiem.

Jennifer do Beth:

Wiem, ale wszystko potrafi przedstawić w czarnych barwach. Jej zdaniem jestem niepozbitrana, przez to zrujnuję sobie życie i ona nie chce na to spokojnie patrzeć.

Pamiętam, że kiedy kończyłam 18 lat, tyle ile ona, gdy mnie urodziła, myślałam: „O rany, udało się. Dożyję dziewiętnastki, nie będąc w ciąży”. Jakby w ogóle groziło mi zajście w ciążę. W wieku 19 lat jeszcze nawet nie całowałam się z chłopakiem.

Beth do Jennifer:

Naprawdę? To ile miałaś lat, kiedy zaliczyłaś pierwszy pocałunek?

Jennifer do Beth:

Dwadzieścia. Żalotne. Faceci nie lubią się całować z grubymi dziewczynami.

Beth do Jennifer:

Bzdury. A ci wszyscy faceci z programu Jerry'ego Springera, a prezydent Clinton...

Jennifer do Beth:

Poprawka: żaden z facetów, z którym ja chciałam się całować, nie miał na to ochoty.

Beth do Jennifer:

Może nie dałaś żadnemu z nich szansy. Mitch mówi, że wręcz opędzałaś się od niego kijem.

Jennifer do Beth:

Było mi go szkoda.

Beth do Jennifer:

Jak w końcu cię zdobył?

Jennifer do Beth:

Nie chciał zostawić mnie w spokoju. Siedział za mną na zajęciach z pisania poezji i wciąż pytał, czy mam jakieś plany na lunch.

Jakbym miała ochotę, żeby atrakcyjny, dobrze zbudowany blondyn patrzył, jak się obżeram.

Beth do Jennifer:

Potrafię to sobie wyobrazić. Barczysty chłopak z farmy w obcisłych dżinsach i jednej z tych czapek, które dają w spółdzielniach rolnych. Pamiętasz nalepki na zderzaki z czasów, gdy byliśmy w college'u: „Męski tyłek we wranglerach kręci laski jak cholera”?

Jennifer do Beth:

Pamiętam. I przez takie wspomnienia żałuję, że nie poszłam do college'u poza naszym stanem. Gdzieś w Filadelfii. Albo New Jersey.

Beth do Jennifer:

Gdybyś poszła do college'u w New Jersey, nie poznałabyś Mitcha. Nie

pracowałabyś tutaj. I nie poznałabyś mnie.

Jennifer do Beth:

Mitch twierdzi, że był mi przeznaczony. Mówi, że mogłabym cofnąć się w czasie i zmienić bieg swojego życia, a i tak w końcu bym za niego wyszła.

Beth do Jennifer:

No widzisz? Zupełnie nie przypomina twojego ojca. Jest wspaniały. Szkoda, że ty i ja nie znałyśmy się w czasach college'u. Dlaczego nie zaprzyjaźniłyśmy się już wtedy?

Jennifer do Beth:

Pewnie dlatego, że byłam gruba.

Beth do Jennifer:

Nie bądź głupia. Na pewno dlatego, że byłam zbyt zajęta uganianiem się za Chrisem, aby się z kimś zaprzyjaźnić.

Jennifer do Beth:

Na pewno dlatego, że byłam zbyt zajęta, pracując w „Daily”. Nie poznałam nikogo spoza dziennikarstwa, dopóki nie zaczęłam się zadawać z kolegami Mitcha z orkiestry.

Beth do Jennifer:

Ale ja chodziłam na zajęcia z dziennikarstwa. Tylko nie udzielałam się w uczelnianej gazecie, bo byłam zakochana.

Jennifer do Beth:

Możesz mi wierzyć, nic nie straciłaś. To była gniazdo żmij. Pijanych żmij.

Wiesz... skoro mowa o college'u, nie mam żadnych tekstów do zadiustowania, a ty nurzasz się w chwale błyskotliwej autorki tekstu z pierwszej strony...

Mogłabyś dokończyć historię pod tytułem „Uwiedzenie Beth”.

Beth do Jennifer:

To było raczej „Uwiedzenie Chrisa”.

Jennifer do Beth:

„Uwiedzenie chłopaka ze słuchawkami”.

Oto on, żółty dres, plecak. I ty, ze zdrożnymi myślami...

Beth do Jennifer:

Hm. No, dobra. Więc jesteśmy w związku studenckim. On zawsze siedział w kącie. A ja w rzędzie naprzeciwko niego, trzy miejsca dalej. Staralam się jak najwcześniej wychodzić z zajęć, które kończyły się o 9.30, żeby poprawić makijaż i zająć swoje zwykłe miejsce z obojętną miną, zanim się zjawi.

Nigdy na mnie nie patrzył – ani na nikogo innego, ku mojej uldze – i nie zdejmował słuchawek. Wyobrażałam sobie, jakich piosenek słucha... czy będzie to pierwszy utwór na naszym ślubie... i czy zrobimy sobie tradycyjne zdjęcie ślubne, czy czarno-białe... Pewnie czarno-białe, jak w czasopiśmie. Będzie dużo lekko poruszonych, niepozowanych fotek, na których obejmujemy się rozmarzonym, nieobecnym spojrzeniem.

Oczywiście, mój chłopak ze słuchawkami już miał nieobecny wyraz oczu, który moja koleżanka Lynn przypisywała śniadaniu z maryską.

Jennifer do Beth:

I wtedy...

Beth do Jennifer:

Wiem, co sobie myślisz. Nie możesz uwierzyć, że świadomie związałam się z kimś palącym trawę.

Jennifer do Beth:

Ja świadomie związałam się z facetem grającym na tubie. Opowiadaj dalej.

Beth do Jennifer:

Cóż, na początku byłam pewna, że wyczuje przyciągające nas kosmiczne siły. Tak bardzo go pragnęłam, że miałam wrażenie, jakby moje serce wyrywało się do niego z każdym uderzeniem. To przeznaczenie. On jest magnesem, a ja stalą!

To zaczęło się we wrześniu. Pewnego razu w październiku podszedł do niego kolega i zwrócił się do niego „Chris”. (Wreszcie poznałam jego imię. „Wypowiedz je głośno, a usłyszysz muzykę. Wypowiedz je cicho, a zabrzmie prawie jak modlitwa”^[5]). Któregoś czwartku w listopadzie zobaczyłam go w bibliotece. Spędziłam tam cztery następne czwartkowe wieczory, licząc, że znowu go spotkam. Nie udało się. Czasami pozwalałam sobie iść za nim na jego zajęcia o 11.30, w Andrews Hall, a potem musiałam biec przez cały kampus, żeby zdążyć na swój wykład w Temple Building.

Pod koniec semestru nie byłabym już w stanie zagadnąć go i wdać się z nim

w zwyczajną zdawkową rozmowę. Nie próbowałam już choćby nawiązać z nim kontaktu wzrokowego. Zaczęłam umawiać się z chłopakiem z bractwa studenckiego, którego poznałam na zajęciach z socjologii.

Nie mogłam jednak zrezygnować z przedpołudniowych randek z chłopakiem ze słuchawkami. Sądziłam, że po przerwie bożonarodzeniowej nasze plany zajęć się zmienią i na tym się skończy. Do tego czasu wstrzymywałam się z jakimkolwiek następnym ruchem.

Jennifer do Beth:

Podoba mi się, niemal zdołałaś mnie przekonać, że przepadła wszelka nadzieja. Sprytne.

Beth do Jennifer:

Bo jeśli chodzi o mnie, wszelka nadzieja przepadła.

I wtedy... Tydzień przed egzaminami semestralnymi przyszedłam do stowarzyszenia studentów o zwykłej porze i zobaczyłam Chrisa siedzącego na moim miejscu. Słuchawki miał na szyi i patrzył, jak idę w jego stronę. Tak przynajmniej mi się wydawało. Nigdy wcześniej na mnie nie spojrzał, nigdy, i na samą myśl o tym zrobiło mi się gorąco. I zanim zdecydowałam, gdzie usiąść, odezwał się do mnie.

Jennifer do Beth:

Czy powiedział: „Przestań za mną łązić, ty psychopatko”?

Beth do Jennifer:

Otóż nie. Powiedział:

- Cześć.

Więc ja na to:

- Cześć.

A on ciągnął:

- Posłuchaj... - Miał zielone oczy. Mówiąc, jakby je mrużył. - W następnym semestrze mam o 10.30 zajęcia, więc... chyba będziemy musieli spotykać się kiedy indziej.

Zatkało mnie.

Zapytałam:

- Kpisz sobie ze mnie?

- Nie - odparł. - Umawiam się z tobą.

- Dobra. Zgadza się.

- Świetnie... - odrzekł. - Moglibyśmy umawiać się na kolację. Siadałabyś naprzeciwko mnie. Jak w czwartkowe przedpołudnia. Tyle że z pałeczkami chlebowymi.

- Teraz już naprawdę sobie kpisz.

- Owszem. - Znowu się uśmiechnął. - Teraz tak.

I tyle. Spotkaliśmy się w następny weekend. I w następny. I w następny. To było szalenie romantyczne.

Jennifer do Beth:

O rany, ale numer. Od początku wiedział, że wpadł ci w oko?

Beth do Jennifer:

Chyba tak. Ale taki jest Chris. Nigdy się nie spieszy. Nie wyklada kart na stół. Rozłącza się pierwszy.

Jennifer do Beth:

Co to znaczy, że rozłącza się pierwszy?

Beth do Jennifer:

Kiedy zaczęliśmy do siebie dzwonić, to zawsze on pierwszy kończył rozmowę. Kiedy się całowaliśmy, on odrywał się pierwszy. Zawsze utrzymywał mnie na granicy szaleństwa. Żebym czuła, jak bardzo go pragnę, przez co pragnęłam go jeszcze bardziej.

Jennifer do Beth:

Co za męczarnia!

Beth do Jennifer:

Męczarnia i ekstaza jednocześnie. To wspaniałe uczucie tak bardzo czegoś... kogoś... pragnąć. Był dla mnie jak posiłek po półtoradniowej głodówce. Czymś, za co można by oddać duszę.

Jennifer do Beth:

Nigdy nie głodowałam przez półtora dnia.

Beth do Jennifer:

Nawet podczas grypy czy czegoś takiego?

Beth do Jennifer:

Może kiedyś. A co z chłopakiem z bractwa studenckiego?

Jennifer do Beth:

O rany. To było okropne. Zapomniałam z nim zerwać, przypomniałam sobie o tym dopiero w niedzielę po południu. Przez jakieś dziewięć godzin miałam dwóch chłopaków. Choć wtedy jeszcze nie nazywałam Chrisa swoim chłopakiem. Nie chciałam go spłoszyć. Ten pierwszy rok był dziwny. Czułam się tak, jakby usiadł na mnie motyl. Bałam się, że jeśli się poruszę albo głębiej odetchnę, odleci.

Jennifer do Beth:

Bo zawsze pierwszy się rozłączał?

Beth do Jennifer:

Tak. I nie tylko dlatego. Nigdy nie wiedziałam, kiedy się spotkamy ani kiedy do mnie zadzwoni. Mogliśmy nie rozmawiać i przez tydzień. Potem znajdowałam wsuniętą pod drzwi wiadomość. Albo liść. Albo tekst piosenki napisany na pudełku zapalek.

Albo samego Chrisa. W któreś na przykład wtorkowe popołudnie stawał oparty o drzwi mojego pokoju i czekał, aż wrócę z ekonomii. Czasem zostawał na piętnaście minut. Czasem wychodził w nocy, kiedy zasypiałam, albo mnie namawiał, żebym zerwała się z zajęć do końca tygodnia. A czasem nie wychodziliśmy z pokoju aż do sobotniego ranka, kiedy w końcu kończyły mi się zapasy salsy, lodów i dietetycznej coli.

Przez niego stałam się kłębkim nerwów. Ciągle wyglądałam przez okna, starając się go ściągnąć myślami. Wypożyczałam filmy o dziewczynach, które obgryzały paznokcie i miały wypieki na policzkach.

Nigdy w życiu nie byłam szczęśliwsza.

Jennifer do Beth:

Chyba już wiem, dlaczego nie zaprzyjaźniłyśmy się w college'u. Byłaś trochę przerażająca.

Beth do Jennifer:

Nie przerażająca. Zdeterminowana.

Jennifer do Beth:

Przerażająco zdeterminowana.

Beth do Jennifer:

Byłam skupiona. Wiedziałam, czego chcę w życiu. Chrisa. Nic mnie nie rozpraszało i to było cudowne. Żadnych wątków pobocznych.

Nie czułaś czegoś takiego w związku z Mitchem?

Jennifer do Beth:

Nie, nigdy.

To znaczy, zakochałam się po uszy. Ale jeśli już, to on był bardziej zaangażowany niż ja i pewnie dlatego wciąż jesteśmy razem. Potrzebowałam dowodów miłości. Byłam taka niepewna siebie, że chciałam, aby dobijał się do moich drzwi i zastawiał mój pokój kwiatami.

Beth do Jennifer:

Naprawdę zastawiał twój pokój kwiatami?

Jennifer do Beth:

Uhm. Goździkami, ale zawsze.

Beth do Jennifer:

Hm. W teorii to cudowne. Ale w praktyce pociągało mnie w Chrisie właśnie to, że nic takiego nie robił. Bo nigdy nie zrobiłby niczego romantycznego w tradycyjnym sensie. I nie dlatego, że chciał być inny, ale ponieważ reagował (reaguje) odmiennie niż pozostali faceci. To było jak chodzenie z człowiekiem, który spadł na ziemię.

Jennifer do Beth:

Cieszę się, że wreszcie mi o tym wszystkim opowiedziałaś. Przeszkadzało mi, że nie możemy rozmawiać o ważnej części twojego życia.

Teraz już nie musisz się obawiać, że ucieknę z Chrisem albo zacznę się do niego przystawiać po pijaku. Doprowadziłby mnie do szaleństwa.

Beth do Jennifer:

Ja też się cieszę, że ci o tym powiedziałam. Ale ja nie mogę obiecać, że nie zacznę się przystawiać po pijaku do Mitcha. Jest boski.

Jennifer do Beth:

Teraz to ja przewracam oczami.

ROZDZIAŁ 16

Muszą być w jego wieku. Jennifer, Beth i jej chłopak. Mają około dwudziestu ośmiu lat. Może wszyscy czworo chodzili do tego samego college'u. Przeniósłszy się na uczelnię stanową po tym, jak Sam z nim zerwał, studiował tam przez długi czas, kończąc różne kierunki. Bardzo możliwe, że widywał Beth na terenie kampusu.

To tyle, jeśli chodzi o postanowienie, żeby skończyć z czytaniem e-maili ich obu. Zrobić to, co z technicznego, etycznego punktu widzenia powinien był zrobić.

Miał zamiar usuwać wiadomości Beth i Jennifer, gdy tylko pojawią się w folderze WebSharka. Ale... ich nie usuwał. Otwierał je i kiedy zaczynał czytać, wciągało go to wciąż od nowa.

Wciąga mnie to - zauważył w duchu, kiedy skończył czytać, jak Beth poznała swojego chłopaka, gdy przeczytał to jeszcze raz i myślał o tym, o nich, przez kilka minut, wyobrażając sobie, jak wyglądają... Jak ona wygląda...

Wciąga mnie to - pomyślał. - To niedobrze... prawda?

Ale może nie tak do końca...

ROZDZIAŁ 17

Od: Jennifer Scribner-Snyder

Do: Beth Fremont

Wysłano: w piątek, 10.09.1999, o godz. 13.23

Temat: Cassoulet ze śledziem

Nie powinno się jadać ryb w pracy. Przysięgam, że kiedy Tony pracuje na mojej zmianie, wracam do domu, cuchnąc morzem. Wiem, że pochodzi z Rhode Island, a tam jedzą ryby od rana do wieczora, ale mógłby pomyśleć, że nie wszyscy lubią ich zapach.

Beth do Jennifer:

Widziałam, że kiedyś jadłaś paluszki rybne. I chipsy krewetkowe.

Jennifer do Beth:

Ale jedno i drugie jest obsmażane w panierce i ma warstwę zabezpieczającą. Mogę zjeść tak przetworzoną rybę, że jest nie do poznania, ale nigdy nie robię tego w pracy. Nie jadam tu nawet popcornu. Nie chcę narażać innych na zapach tego, co jem.

Beth do Jennifer:

Jesteś bardzo troskliwa.

Sto razy gorsze są ścinki paznokci Tima niż smród fileta z supermarketu.

Jennifer do Beth:

Myślałam, że podprowadziłaś mu obcinacz...

Beth do Jennifer:

Owszem. Ale ma nowy. Nie wiem już, co bardziej mnie drażni... nieustające pstrykanie obcinacza czy świadomość, że jego boks jest skażony maleńkimi ścinkami paznokci.

Jennifer do Beth:

Gdybyś kiedyś potrzebowała jego DNA, żeby zrobić mu test na ojcostwo albo

rzucić na niego czary, wiedziałybyśmy, gdzie szukać próbek.

Beth do Jennifer:

Gdybyśmy kiedykolwiek potrzebowały jego DNA, żeby zrobić mu test na ojcostwo, jedną z nas należałoby zepchnąć ze skały.

Hej, pamiętasz, że kiedyś musiałyśmy odchodzić od biurka, aby prowadzić takie rozmowy?

Jennifer do Beth:

Nie wydaje mi się, abyśmy kiedyś prowadziły takie rozmowy. Pamiętam, że nie ośmielałam się zapuścić na teren reporterów, jeśli nie miałam jakiejś naprawdę smakowitej plotki albo nie musiałam pogadać.

Beth do Jennifer:

Albo któreś z nich nie przyniosło ciastek.

Pamiętasz tamtą kobietę siedzącą w rogu, która zawsze przynosiła ciastka? Co się z nią stało?

Jennifer do Beth:

Tę, która pisała doniesienia z ratusza? Słyszałam, że ją wylali, kiedy wyszło na jaw, że nosi w torebce naładowany pistolet.

Beth do Jennifer:

To chyba niesprawiedliwe. Jeśli tylko nosiła go w torebce...

Jennifer do Beth:

Tak sądzisz? Nie dostałaś od niej trzydziestu srebrników, prawda? Tylko ciastka.

Beth do Jennifer:

Nie. (Tak. Ciastka z cynamonem).

ROZDZIAŁ 18

Tego popołudnia Greg przedstawił Lincolnowi studentów college'u, których zatrudnił w związku z pluskwą milenijną. Było ich trzech, pochodzili z Wietnamu, Bośni i z przedmieścia. Lincoln nie mógł się zorientować, ile mają lat. Byli od niego znacznie młodszy.

- Są jak międzynarodowy oddział uderzeniowy - zauważył Greg - a ty jesteś jego dowódcą.

- Ja? - zapytał. - Co to dokładnie znaczy?

- To znaczy, że masz pilnować, aby coś robili - odparł Greg. - Gdybym znał się na programowaniu, sam byłbym ich szefem. Myślisz, że nie chciałbym dowodzić?

Chłopcy od pluskwy milenijnej siedzieli przy stole w kącie. Pracowali głównie za dnia, między zajęciami, więc Lincoln starał się z nimi spotykać, gdy tylko przychodził. Nie miał dużo pracy jako szef. Studenci sami wiedzieli, co robić. Poza tym przeważnie się nie odzywali, ani do siebie nawzajem, ani do niego.

Po tygodniu Lincoln nabrał pewności, że pokonali zapory sieciowe i że korzystają z komunikatorów internetowych oraz Napstera. Powiedział o tym Gregowi, ale ten odparł, że ma to gdzieś, dopóki 1 stycznia będzie miał jeszcze robotę.

Żaden z oddziału uderzeniowego nie dostał wewnętrznej poczty elektronicznej, więc nie był monitorowany. Czasami Lincoln się zastanawiał, czy ktoś kontroluje jego e-maile. Może Greg - myślał - ale to tak naprawdę nie miało znaczenia, bo sam z nikim innym nie korespondował.

ROZDZIAŁ 19

Od: Beth Fremont

Do: Jennifer Scribner-Snyder

Wysłano: w środę, 22.09.1999, o godz. 14.38

Temat: E-o-e-o-e-o!

E-o-e-o-e-o!

Jennifer do Beth:

Co to ma znaczyć?

Beth do Jennifer:

To sygnał zapowiadający fajnego faceta.

Jennifer do Beth:

Brzmi jak świergot ptaka.

Beth do Jennifer:

Tu pracuje fajny facet.

Jennifer do Beth:

Niemożliwe.

Beth do Jennifer:

Wiem, początkowo też tak zareagowałam. Pomyślałam, że musiał przyjść z zewnątrz, że to jakiś konsultant albo fachowiec

od napraw. Dlatego wolałam się upewnić, zanim włączyłam sygnał.

Jennifer do Beth:

Wymyśliłaś ten sygnał z koleżankami w ósmej klasie? Czy muszę nosić szkolny mundurek, żeby zrozumieć, o co tu chodzi?

I co to znaczy „się upewnić”?

Beth do Jennifer:

No, sprawdzić osobiście. Potrafię rozpoznać fajnego faceta, kiedy na niego trafię.

Pamiętasz, jak ci mówiłam o tym fajnym kurierze? (A sygnał wymyśliłam przed chwilą. Z konieczności).

Jennifer do Beth:

O tak, tamten kurier był fajny.

Beth do Jennifer:

I dlatego nie przetrwał. W tym miejscu nie utrzyma się nic fajnego, nie wiem dlaczego. Jest przeklęte.

Jennifer do Beth:

Och, ty jesteś bardzo fajna.

Beth do Jennifer:

Może byłam. Zanim przyszedłam do tej fabryki odfajniania. Rozejrzyj się wokół. My, dziennikarze, jesteśmy brzydcy i nieatrakcyjni.

Jennifer do Beth:

Z wyjątkiem Matta Lauera.

Beth do Jennifer:

Kwestia gustu. (Nie wierzę, że przyszedł ci do głowy akurat Matt Lauer! Nie widziałaś Briana Williamsa?). Zresztą nieważne, dziennikarze telewizyjni się nie liczą; oni muszą być fajni, na tym polega ich fach. Natomiast dziennikarze prasowi nie muszą być atrakcyjni. Uroda nie ma dla ich czytelników znaczenia. Zwłaszcza moich. Za każdym razem, kiedy pokazuję się publicznie, siedzę w ciemności.

Jennifer do Beth:

Skoro o tym wspominasz, rzeczywiście, od trzech lat nie używam tu szminki.

Beth do Jennifer:

I tak jesteś zbyt atrakcyjna, żeby pracować w dziale redakcyjnym.

Jennifer do Beth:

Daruj sobie te wątpliwe komplementy.

Opowiedz coś więcej o tym fajnym facecie, którego sobie uroiłaś.

Beth do Jennifer:

Nie ma co opowiadać – poza tym, że jest superfajny.

Jennifer do Beth:

Super?

Beth do Jennifer:

Bardzo, bardzo wysoki. I wygląda na silnego. No wiesz, jak facet, który stoi obok ciebie, ale nie widzisz go dobrze, bo zasłania i tak przyćmione światło.

Jennifer do Beth:

W takich okolicznościach zobaczyłaś go pierwszy raz?

Beth do Jennifer:

Nie, pierwszy raz zauważyłam go, idąc korytarzem. A potem przy kranie z wodą pitną - i pomyślałam: „Adonis u źródła”. Ma bardzo ładne ciemne włosy i rysy bohatera filmów akcji.

Jennifer do Beth:

To znaczy?

Beth do Jennifer:

Takie męskie. Trochę kanciaste. W typie Harrisona Forda. Kojarzące się z facetem, który negocjuje warunki uwolnienia zakładników albo w ostatniej chwili uchodzi przed eksplozją.

Czy twoim zdaniem to gorszące, żeby ktoś taki jak ja, w udanym związku, przyglądał się facetom przy kranie z wodą pitną?

Jennifer do Beth:

Nie. Jak w takim miejscu nie zwrócić uwagi na przystojnego faceta? To jakbyś nie zauważyła gołębia wędrownego.

Beth do Jennifer:

Gołębia wędrownego ze zgrabnym tyłkiem.

Jennifer do Beth:

Dlaczego to napisałaś?

Beth do Jennifer:

Żeby cię wkurzyć. Nawet nie spojrzałam na jego tyłek. W każdym razie nie pamiętam, żebym to robiła.

Jennifer do Beth:

Wracam do pracy.

Beth do Jennifer:

Coś ty taka drażliwa? Wszystko w porządku?

Jennifer do Beth:

Tak. Daj mi spokój.

Beth do Jennifer:

Sama widzisz. Jesteś rozdrażniona.

Jennifer do Beth:

Niech ci będzie. Coś mnie gryzie. Ale wstyd mi o tym mówić.

Beth do Jennifer:

No to nie mów. Napisz.

Jennifer do Beth:

Tylko pod warunkiem, że nie będziesz rozpowiadać tego, co ci powiem. Bo wyjdę na rozchwianą emocjonalnie.

Beth do Jennifer:

Nikommu nie powiem. Przysięgam. Z ręką na sercu itd.

Jennifer do Beth:

Dobra. Ale to naprawdę głupie. Głupsze niż zwykle. Zeszłego wieczoru byłam w centrum handlowym, chodziłam sobie, starając się nie wydać za dużo pieniędzy i nie myśleć o pysznej babeczce cynamonowej... gdy nagle znalazłam się w dziecięcym dziale sieciówki Gap. Nigdy wcześniej tam nie byłam. Więc postanowiłam zapuścić się dalej. Pójść na zwiady.

Beth do Jennifer:

Rozumiem. Na zwiady. Wiem, o co chodzi. Więc...

Jennifer do Beth:

Więc... Zapuszczam się dalej do działu dziecięcego Gapa, widzę malutkie spodenki capri i sweterki, które kosztują więcej niż... no, nie wiem, więcej, niż powinny. I nagle rzuca mi się w oczy śmieszna futrzana kurteczka. Z tych, jakiej

mogłaby potrzebować dziewczynka, żeby pójść na lekcję baletu. W Moskwie. W 1918 roku. Pasująca do perełek.

Patrzę na tę absurdalną kurteczkę, a wtedy podchodzi do mnie sprzedawczyni i odzywa się w te słowa:

- Czy nie jest urocza? Ile lat ma pani córeczka?

Więc odpowiadam:

- O nie. Nie mam córki. Jeszcze.

Wtedy ona pyta:

- Kiedy ma się urodzić?

A ja odpowiadam:

- W lutym.

Beth do Jennifer:

O rany.

Jennifer do Beth:

No właśnie. Skłamałam. Udawałam, że jestem w ciąży. Gdybym naprawdę była w ciąży, nie poszłabym do działu dziecięcego Gapa, tylko siedziałabym w ciemnym pokoju i płakała.

Na to tamta sprzedawczyni mówi:

- W takim razie przyda się na następny sezon, w rozmiarze od sześciu do dwunastu miesięcy. Te kurteczki to okazja. Właśnie je przeceniliśmy.

A ja przyznałam, że sztuczne futerko za jedyne 32,99 to rzeczywiście okazja, której nie można przepuścić.

Beth do Jennifer:

Kupiłaś dziecięce ubranko? I co na to Mitch?

Jennifer do Beth:

Nic. Schowałam je na strychu. Jakbym ukrywała zwłoki.

Beth do Jennifer:

Cholera. Nie wiem, co powiedzieć. Czy to znaczy, że zmieniasz nastawienie do kwestii dziecka?

Jennifer do Beth:

Raczej że tracę zdrowe zmysły. Sądzę, że to poboczna dysfunkcja w mojej generalnej psychozie w związku z dziećmi. Wciąż strasznie się boję, że zajdę

w ciąży. A kupuję ubranka dla dziecka, którego nie chcę mieć, i wiesz co - to dziewczynka.

Beth do Jennifer:

Trudna sprawa.

Jennifer do Beth:

Wiem.

ROZDZIAŁ 20

Po północy Lincoln wybrał się do działu newsów. Było tam prawie pusto. Zostało tylko kilku redaktorów z nocnej zmiany, którzy ślęczeli nad porannym wydaniem gazety. Ktoś siedział w dziale miejskim, słuchając przez radio skrzeczącego pasma policyjnego i pracując nad krzyżówką, która miała się ukazać następnego dnia.

Lincoln przeszedł na drugą stronę długiego pomieszczenia, gdzie, jak sądził, za dnia urzędowali pracownicy rozrywki. W znajdujących się tam boksach można było zobaczyć plakaty filmowe, broszury informujące o koncertach, fotosy promocyjne i zabawki.

Zatrzymał się przy drukarce i zajrzał do niej - dla pozorów, że niby coś przy niej robi. Szukał pewnego biurka; które to mogło być? To z nalepkami R.E.M.? Raczej nie to z wypchanym zabawkowym Bartem Simpsonem i kilkunastoma postaciami z *Obcego*, które można wyginać... ale czemu nie? Czy Beth miałaby kalendarz dzienny z odrywanymi kartkami? Roślinę w doniczce? Przepustkę prasową z Marilynem Mansonem?

Plakat *Sandmana*.

Zerknął przez ramię w stronę działu newsów. Ledwie widział siedzących tam redaktorów, co oznaczało, że i oni ledwie go widzą. Zbliżył się do boksu Beth, w każdym razie do boksu, który mogła zajmować.

Plakat *Sandmana*. Plakat *Rushmore*. Ulotka informująca o występie Sacajawei w Sokol Hall sprzed trzech lat. Słownik. Słownik francuski. Trzy książki Leonarda Maltina. Nagroda dziennikarska z czasów szkoły średniej. Puste kubki do kawy. Papierki po cukierkach. Zdjęcia.

Usiadł za biurkiem i zaczął nieprzekonująco rozkładać na części myszkę do komputera.

Zdjęcia. Jedno z koncertu przedstawiające gitarzystę zespołu. Na pewno jej chłopaka, Chrisa. Na innym zdjęciu ten sam facet siedzący na ławce. Na jeszcze innym w garniturze. Nawet bez gitary wyglądał na gwiazdę rocka. Szczupły i zgarbiony. Nigdy z pełnym uśmiechem. Zawsze patrzący gdzieś poza obiektyw. Zarośnięty. Łobuzerski. Przystojny.

Znajdowały się tam także fotografie rodzinne ukazujące niewinne ciemnowłose dzieci i sympatycznie wyglądających, dobrze ubranych dorosłych - ale najwyraźniej

nie było wśród nich Beth. Żadna z kobiet albo nie odpowiadała jej wiekiem, albo stała z mężem czy dziećmi.

Lincoln ponownie spojrzał na jej chłopaka. Na jego pólusmiejch i wydatne kości policzkowe. Szczupłą sylwetkę. Facet wyglądał, jakby właśnie wyszedł z więzienia. Kobiety mają słabość do takich gości. Są wobec nich wyrozumiałe.

Odstawił myszkę na miejsce i wrócił do działu IT. Czy raczej się powłókł. Widział swoje mętne odbicie w przyciemnionych szybach biur wzdłuż korytarza. Było mu ciężko i czuł się nie w porządku. Prymitywny. Prostacki.

Nie powinien był tego robić. Tego, co właśnie zrobił. Oglądać jej biurka. Żle się z tym czuł, jakby przekroczył jakąś linię.

Beth była zabawna. Bystra. Interesująca. I zajmowała się czymś, co sprawiało, że wydawała się jeszcze ciekawsza. Wykonywała pracę typową dla bohaterek filmów, komedii romantycznych z Johnem Cusackiem.

Chciał wiedzieć, jak ona wygląda. Gdzie siedzi, pisząc to, co potem czytał.

Był jednak zadowolony, że nie znalazł jej zdjęcia. Wystarczyło mu, że zobaczył zdjęcia jej bliskich. I przekonał się, że do nich nie pasuje.

- Myślałem, że jeśli wrócę do domu, zacznę żyć - powiedział Lincoln do Eve następnego dnia, kiedy zadzwoniła.

- Jesteś debilem.

- Sądziłem, że przestałaś używać takich słów jak „debil” czy „gej”, żeby dzieci ich nie podłapały.

- Nie mogłam się powstrzymać. Bo mówisz jak ktoś niespełna rozumu. Skąd ci przyszła do głowy taka myśl? I dlaczego nazywasz to powrotem do domu? Nigdy się z niego nie wyprowadziłeś.

- Owszem, tak. Dziesięć lat temu wyjechałem do college'u.

- I przyjeżdżałeś co roku na lato.

- Wcale nie co roku. Czasami w wakacje zapisywałem się na kursy.

- Nieważne - skwitowała. - Jak mogłeś sądzić, że przeprowadzka z powrotem do matki pomoże ci rozpocząć nowe życie?

- Bo oznaczała, że wreszcie skończyłem studia. Wtedy, po dyplomie, wszyscy moi koledzy rozpoczęli nowe życie. Znaleźli pracę i założyli rodziny.

- Dobra...

- Chyba przegapiłem swoje okienko - oznajmił.

- Jakie znowu okienko?

- Okienko, kiedy zaczyna się życie. Powinienem być je zacząć gdzieś między dwudziestym drugim a dwudziestym szóstym rokiem życia, a teraz jest już na to za późno.

- Wcale nie jest za późno - odparła. - Układasz sobie życie. Masz pracę, mówisz o wyprowadzce... Poznajesz ludzi. Wybrałeś się do baru...

- To była klapa. Odkąd rzuciłem studia, nic mi się nie udaje.

- Nie rzuciłeś studiów - sprzeciwiła się. Już widział, jak siostra przewraca oczami. - Uzyskałeś dyplom. I drugi.

- Nic mi się nie udaje, odkąd uznałem, że moje życie jest do niczego.

- Bo było do niczego.

- Mnie się podobało.

- To dlaczego tak bardzo starasz się je zmienić?

W sobotni wieczór Lincoln po raz pierwszy od miesiąca przyłączył się do gry w Dungeons & Dragons.

Christine uśmiechnęła się szeroko, widząc go w proggu.

- Lincoln, cześć! - Była niska i okrągła, miała rozczochrane jasne włosy. Trzymała niemowlę w nosidełku i kiedy ścisnęła Lincolna, dziecko znalazło się między nimi, lekko przygniecione.

- Już myśleliśmy, że przepadłeś w wielkim mieście - zauważył Dave, który wyłonił się zza rogu.

- Tak było - odparł Lincoln. - Znalazłem grupę młodszych i atrakcyjniejszych graczy.

- Wszyscy wiedzieliśmy, że tak to się skończy - rzucił Dave, klepiąc Lincolna w plecy i prowadząc go w głąb domu. - Bez ciebie gra staje się bezładna i okrutna. Zeszłym razem chcieliśmy zabić twoją postać, żeby ukarać cię za to, że nas opuściłeś, ale Christine nam na to nie pozwoliła, dlatego zostawiliśmy cię w dole. Prawdopodobnie pełnym węży, więc będziesz musiał wydostać się stamtąd z pomocą Larry'ego, bo w tym tygodniu jest mistrzem podziemi.

- Właśnie zaczęliśmy grać - dodała Christine. - Trzeba było zadzwonić, zatelefonyśmy na ciebie.

- Właśnie, trzeba było zadzwonić! - zawołał Troy siedzący przy stole w jadalni. - Nie musiałbym pokonać na rowerze dwudziestu kilometrów, żeby się tu dostać.

- Troy, przecież powiedziałem, że po ciebie przyjadę - odrzekł Larry. Larry, nieco starszy od reszty, miał ponad trzydzieści lat, był kapitanem lotnictwa wojskowego i pracował przy jakimś tajemniczym projekcie związanym ze sztuczną inteligencją.

- W twoim samochodzie cuchnie pudełkami z sokiem - odciął się Troy.

- A masz pojęcie, czym ty cuchniesz? - spytał Larry.

- P a c h n ę drewnem sandałowym - odpowiedział tamten.

- Raczej sklepem wnętrzarskim i naturalnym zapachem ciała - włączył się Lincoln, zajmując swoje miejsce w kącie. Zatrzymali je dla niego. Dave podsunął mu kawałek pizzy.

- To woń mężczyzny - orzekł Troy.

- Nie powiedziałem, że mi się nie podoba - skomentował Lincoln. Rozśmieszył tym Ricka. Rick był blady, chudy i zawsze ubierał się na czarno. Nawet na nadgarstkach nosił paski czarnego materiału i skóry. Gdyby nie on, to Lincoln byłby w grupie Nieśmiałym.

Rozejrzał się wokół stołu, zastanawiając się, kim jest.

Jeśli Dave był Zasadniczym, a Christine Dziewczyną... Larry Poważnym (Przerażającym i Tym, Kto Najpewniej Wejdzie do Drużyny Czarnych Operacji)... Rick Nieśmiałym, Troy Dziwnym, a Teddy, lekarz odbywający staż na chirurgii, który przypominał ojca w *Powrocie do przyszłości*, Głupkowskim...

To kim był Lincoln?

Wszystkie przydomki, jakie przychodziły mu myśl (Zagubiony, Opóźniony w Rozwoju, Mieszkający z Mamusią), tylko go dobijały.

Tego wieczoru wystarczyło być jednym z nich. Znaleźć się tam, gdzie zawsze było dla niego miejsce przy stole, gdzie wszyscy wiedzieli, że nie lubi pizzy z oliwkami, i cieszyli się na jego widok.

Kiedy Lincoln zorientował się, że przerabia tekst piosenki przewodniej z *Cheers*, postanowił przestać myśleć i skupić się na grze^[6].

Grali siedem godzin. Wszyscy postanowili przede wszystkim uratować postać Lincolna - dobrego, praworządnego karła o imieniu Smov Dziewięciobójca. Pokonali nikczemną królową wiatru. Zamówili kolejną pizzę. Trzyletnia córka Dave'a i Christine zasnęła na podłodze, oglądając *Toy Story*.

Lincoln został do końca. Kiedy pozostali goście wyszli, Dave otworzył okno i wszyscy troje rozsiedli się na kanapie i fotelach, wdychając świeże chłodne powietrze i słuchając dzwonek wietrznych Christine.

- Wiesz, co powinniśmy teraz zrobić? - zagadnął Dave, pocierając całodniowy już zarost.

- Co takiego? - spytał Lincoln.

- Zagrać w Axis & Allies.

Christine rzuciła w niego poduszką.

- O Boże, nie.

Dave złapał poduszkę.

- Lincoln chce zagrać w Axis & Allies. Widzę to w jego oczach...

- Myślę, że Lincoln wolałby nam powiedzieć, co ostatnio porabia. - Christine uśmiechnęła się do niego ciepło. Wszystko w niej było ciepłe, miękkie i serdeczne.

Kiedyś się pocałowali, w college'u, zanim zaczęła chodzić z Dave'em. Lincoln zaproponował, że pomoże jej się przygotować do egzaminów końcowych z fizyki. Niepotrzebnie wybrała ten przedmiot; zamierzała zostać nauczycielką angielskiego. Ale powiedziała Lincolnowi, że nie chce żyć w świecie, którego nie rozumie, nie wiedzieć, co znaczy siła odśrodkowa czy grawitacja, a jedynie w nie wierzyć. Mówiąc to, kopnięciem zrzuciła z nóg sandały i usiadła po turecku na jego łóżku. Miała długie, wijące się pszeniczne włosy, które zawsze sprawiały wrażenie nieuczestnych.

Według niej tłumaczył wszystko znacznie lepiej niż jej profesor fizyki, surowy facet ze słowiańskim akcentem, który wyglądał na obrażonego za każdym razem, gdy zadawała jakieś głupie pytanie. Kiedy Lincoln odparł, że jej pytania nie są wcale głupie, uściskała go za to. Wtedy ją pocałował. Miał wrażenie, jakby znalazł się w ciepłej kąpieli.

- To było miłe - powiedziała, kiedy odsunęli się od siebie. Nie mógł się zorientować, czy chciałyby, żeby pocałował ją drugi raz. Uśmiechała się. Wyglądała na zadowoloną, ale czy to mogło coś znaczyć? Zawsze wyglądała na zadowoloną.

- Czujesz się przygotowana do testu? - zapytał.

- Moglibyśmy jeszcze powtórzyć moment obrotowy?

- Jasne - odparł. - Pewnie, że tak. - Uśmiechnęła się jeszcze bardziej. Wrócili do nauki i w efekcie Christine dostała B z fizyki.

Czasami Lincoln żałował, że nie pocałował jej tamtego wieczoru drugi raz. Łatwo by było kochać Christine, być w niej zakochanym. Człowiek nie musiałby nigdy podnosić głosu. A ona nigdy nie zachowywałaby się podle.

Nie był jednak zazdrosny, kiedy zaczęła umawiać się z Dave'em. Christine promieniała przy nim szczęściem. A Dave, który potrafił być czasami naprawdę trudny - należał do tych, którzy zbliżają się za bardzo, kiedy chcą czegoś dowieść, i mogą boczyć się na ciebie nawet przez dwa tygodnie za to, że twoja postać w D&D pokonała jego postać w walce na miecze - stawał się przy niej wyrozumiały i tolerancyjny. Lincoln lubił ich nieporządną, przytulny dom, nieporządne okrągłe

dzieciaki, salon ze zbyt wieloma lampami i poduszkami, to, jak łagodnieli, kiedy zwracali się do siebie.

- Myślę - odparł Lincoln - że gdybyśmy teraz zaczęli grać w Axis & Allies, zasnąłbym, jeszcze zanim Rosja skończyłaby kupować czołgi.

- Czy to znaczy tak? - zapytał Dave.

- To znaczy nie - odezwała się Christine. - Lepiej zostań na noc, Lincoln. Jesteś zbyt zmęczony, żeby siadać za kółkiem.

- Tak, zostań - rzekł Dave. - Na śniadanie usmażymy naleśniki z borówkami.

Lincoln został na noc. Spał na kanapie, a obudzony się, pomógł Christine smażyć naleśniki i zaczął spierać się z Dave'em o akcję powieści fantasy, którą obaj czytali. Po śniadaniu zmusili go, aby obiecał, że przyjdzie za tydzień.

- Wtedy nam opowiesz, co u ciebie - rzuciła Christine.

- Właśnie - dodał Dave. - Nic jeszcze nie mówiłeś o swojej pracy.

To był taki przyjemny weekend, że Lincoln czuł się zadowolony i wcale nie samotny, kiedy w poniedziałek przyszedł do roboty. Miał wręcz dobry humor, kiedy zadzwoniła siostra.

- Czytasz dalej poradnik dla szukających pracy? - zapytała.

- Nie. To zbyt deprymujące.

- Co takiego?

- Podręcznik - wyjaśnił. - Przyszłość.

- Więc skończyłeś z przyszłością?

- Zawężam pole widzenia.

- Do czego niby?

- Do najbliższej przyszłości - odpowiedział. - Z najbliższą przyszłością mogę sobie poradzić. Na przykład dziś wieczorem zamierzam poczytać sobie dla przyjemności. Jutro napiję się piwa do lunchu. W sobotę pogram w Dungeons & Dragons. A w niedzielę może pójde do kina. Taki mam plan.

- To nie jest żaden plan - orzekła.

- Jest. Mój plan. Bardzo mi odpowiada.

- Takie rzeczy nie wymagają planowania. Nikt nie planuje, że będzie czytać albo napiję się piwa do lunchu. Takie rzeczy się robi, kiedy ma się wolną chwilę. To drobiazgi.

- Nie dla mnie - odparł. - Ja takie rzeczy planuję.

- Cofasz się.

- A może robię postępy.

- Nie mogę dłużej z tobą rozmawiać - zakończyła Eve. - Zadzwoń do mnie w weekend.

- Wpisuję cię do mojego planu.

Z powodu pluskwy milenijnej Lincoln miał teraz w pracy więcej roboty - włączył się do pisania programu i starał się czuwać nad oddziałem uderzeniowym Grega - ale wciąż każdej nocy miał dużo wolnego czasu. W piątek wieczorem, kiedy próbował sobie wmówić, jakie to ma szczęście, że płacą mu za możliwość ponownego przeczytania *Fundacji* Isaaca Asimova, prawie w to uwierzył.

Pieniądze i czas; słyszał, że ludzie stale uskarżają się na ich brak, a on miał ich aż w nadmiarze.

Nie było niczego takiego, co by chciał, a nie mógłby sobie na to pozwolić. Więc czego tak naprawdę pragnął? Kupować nowe książki, kiedy ukażą się w twardych oprawkach. Nie myśleć o tym, ile ma pieniędzy w portfelu, kiedy zamawia obiad. Może sprawić sobie nowe trampki... I nie było niczego takiego, co miałby ochotę robić, a brakowałoby mu na to czasu. Czego jeszcze potrzebował?

Miłości, już słyszał odpowiedź Eve. Celu.

Miłość. Cel. Takich rzeczy się nie planuje. Takie rzeczy się po prostu nadarzają. A co, jeśli się nie nadarzą? Czy wtedy przez całe życie odczuwa się ich brak? Czeka się na szczęście?

Tej nocy Lincoln dostał od Dave'a e-mail z informacją, że sobotnie spotkanie jest odwołane. Jedno z dzieci złapało rotawirusa, o którym Lincoln pierwszy raz słyszał. Jednak brzmiało to okropnie. Wyobraził sobie coś z obrotowymi łopatkami i silnikiem. Dave pisał, że chłopiec rzygał i rzygał, musieli zabrać go na pogotowie i Christine strasznie się o niego bała.

„Będziemy musieli zrobić sobie przerwę na kilka tygodni” - dodał Dave.

„Nie ma sprawy - odpisał Lincoln. - Mam nadzieję, że mały dojdzie do siebie. Odpocznijcie”.

Biedny dzieciak. Biedna Christine.

To nic poważnego - powiedział sobie Lincoln. Miał elastyczny plan. Mógł pójść w sobotę do kina. Poczytać komiksy. Zadzwonić do Justina.

W folderze WebSharka znalazł dwadzieścia trzy podejrzane wiadomości. Niewykluczone, że trafi się taka, którą będzie musiał się zająć. Otworzył folder, mówiąc sobie, że może zapracować tego wieczoru na swoją pensję.

Otworzył go z nadzieją.

ROZDZIAŁ 21

Od: Beth Fremont

Do: Jennifer Scribner-Snyder

Wysłano: w czwartek, 30.09.1999, o godz. 15.42

Temat: Gdybyś była Supermanką...

...i mogłabyś wybrać swoje alter ego, to czy, do cholery, chciałabyś być takim Clarkiem Kentem w redakcji gazety - co już jest obciachowe, bo w tej roli trzeba nosić okulary i nie można latać?

Dlaczego nie być bogatym playboyem jak Batman? Albo przywódcą jakiegoś małego, ale ważnego królestwa, jak Czarna Pantera?

Dlaczego akurat spędzać całe dni w wiecznym niedoczasy, zarabiając gówniane pieniądze i handrycząc się z zasranymi redaktorami?

Jennifer do Beth:

Uzgodniłyśmy, że nie będziemy używać w e-mailach przekleństw.

Beth do Jennifer:

Uzgodniłyśmy, że byłoby dobrze, gdybyśmy przestały używać w e-mailach przekleństw.

Jennifer do Beth:

Wciąż myślisz o Lois Lane?

Beth do Jennifer:

W pewnym sensie. To znaczy, kapuję, dlaczego Lois Lane poszła na dziennikarstwo. Znam ten typ. Chce robić coś istotnego, odkrywać prawdę. Jest dociekliwa. A Clark Kent... dlaczego nie Clark Kent, seksowny prezenter pogody w TV? Albo Clark Kent, burmistrz Cincinnati?

Jennifer do Beth:

Chyba czegoś tu nie rozumiesz. Clark Kent nie chce być sławny. Nie chce zwracać na siebie uwagi. Bo gdyby ludzie zaczęli zwracać na niego uwagę, zorientowaliby się, że to Superman, tylko w okularach.

Poza tym musi być w takim miejscu jak redakcja, żeby mieć informacje z pierwszej ręki. Nie może sobie pozwolić, żeby czytać następnego dnia w gazecie: „Joker atakuje Księżyc”.

Beth do Jennifer:

Słusznie prawisz. Zwłaszcza jak na kogoś, kto nie wie, że Superman nigdy nie miał do czynienia z Jokerem.

Jennifer do Beth:

I jak na kogoś, kogo to zupełnie nie obchodzi. Może niesłusznie uważasz, że każdy, kto nosi okulary i nie umie latać, ma w życiu przerąbane. Mam taką nadzieję, bo to odnosiłoby się do wszystkich na tej sali.

Nad czym teraz pracujesz?

Beth do Jennifer:

Rzeczywiście, wszyscy tu nosimy okulary. Niesamowite.

Nad kolejnym artykułem o Indian Hills. Nie tyle pracuję, ile czekam na telefon.

Okazuje się, że szpital, który sąsiaduje z kinem, już kupił działkę. I to wiele miesięcy temu. Zamierzają tam zbudować parking. Czekam, żeby zadzwoniła do mnie rzeczniczka prasowa szpitala, która powie: „Bez komentarza”. Wtedy będę mogła napisać: „Kierownictwo szpitala nie chce komentować tej transakcji”. A potem pójść do domu.

Czy wiesz, jakie to otepiałające tak siedzieć i czekać, aż zadzwoni do ciebie ktoś, kto niczego nie zamierza ci powiedzieć? Nie sądzę, żeby Superman pisał się na coś takiego. Wyruszyłyby na poszukiwanie zaginionych skautów i zatykałby wulkany skałami.

Jennifer do Beth:

Superman pracuje w redakcji gazety, bo chce się zbliżyć do Lois Lane.

Beth do Jennifer:

Pewnie ma dwa razy większą wydajność.

ROZDZIAŁ 22

W piątkowy rano Lincoln wziął z miejskiego college'u program zajęć w semestrze wiosennym. Na wydziale antropologii była wykładowczyni, która specjalizowała się w Afganistanie. Dlaczego nie zapisać się na kilka wykładów? Miał w ciągu dnia mnóstwo czasu i mógł studiować w pracy. Uwielbiał studiować w pracy.

- Co to jest? - zapytała matka, kiedy zobaczyła program.

- Coś, co wziąłem do plecaka. - Odebrał jej broszurę. - Poważnie, mam, dlaczego przeglądasz moje rzeczy? Czy otwierasz też nad parą moje listy?

- Nie dostajesz żadnych listów. - Założyła ręce na piersi. Trudno ją było urazić czy wytrącić z równowagi, zawsze odwracała kota ogonem. - Szukałam w twoim plecaku brudnych pojemników - wyjaśniła. - Czy te broszury oznaczają, że wracasz na studia?

- Jeszcze nie. - Dopiero zaczął się semestr jesienny.

- To mi się chyba nie podoba, Lincoln. Wydaje mi się, że masz problem. Z tą nauką.

- Nigdy nie miałem problemu z nauką - odpowiedział, wiedząc, że kulawo to brzmi, i mając świadomość, że odmowa kontynuowania tej rozmowy to nie to samo co unikanie jej.

- Dobrze wiesz, co mam na myśli - ciągnęła. Pomachała przed twarzą brudną łyżką. - Prawdziwy problem. Jak te kobiety, które uzależniają się od operacji plastycznych. Wciąż robią sobie nowe, żeby dobrze wyglądać, aż lepiej nie można. A lepiej nie można, bo już nawet nie przypominają samych siebie. Ale chyba właśnie o to chodzi. Widziałam w czasopiśmie pewną kobietę, która wyglądała jak kot. Widziałeś ją? Ma mnóstwo pieniędzy. Chyba pochodzi z Austrii.

- Nie - odparł.

- Nie wydaje się szczęśliwa.

- Dobra - powiedział cicho, wkładając z powrotem do plecaka program zajęć.

- Dobra?

- Nie chcesz, żebym wrócił na studia ani zrobił sobie operację plastyczną i wyglądał jak kot. Więc dobra, zrozumiałem. Kapuję.

- I nie życzysz sobie też, żebym zaglądała do twojego plecaka...

- Nie, raczej nie.

- Dobrze - odrzekła, wracając do kuchni. - Kapuję.

W „Courierze” zaczęto organizować co tydzień zebrania w związku z pluską milenijną. Musieli na nie chodzić szefowie wszystkich działów, łącznie z Gregiem, który za każdym razem miał składać raport z przygotowań do przełomu tysiącleci. Zwykle wracał z tych zebrań czerwony i rozdrażniony.

- Nie wiem, czego oni ode mnie oczekują, Lincoln. Jestem tylko człowiekiem. Wydawca uważa, że powinienem był przewidzieć problemy informatyczne. W zeszłym tygodniu zwymyślał mnie za to, że wszystkie nasze elektryczne maszyny do pisania wysłałem kościołom w Salwadorze. Mimo że trzy lata temu zarząd dał mi za to dyplom. Wisi w moim pokoju... Ale myślę, że zdołałem ich namówić na kupno zapasowych generatorów.

Lincoln usiłował mu powiedzieć, że jego zdaniem w Nowy Rok nic złego się nie stanie. Nawet gdyby zawiodło oprogramowanie - dowodził - co było raczej mało prawdopodobne, komputerom nie grozi dezorientacja i samozniszczenie.

- To nie *Ucieczka Logana* - argumentował.

- Więc dlaczego czuję się za stary na to świństwo? - zapytał Greg.

To Lincolna rozbawiało. Gdyby pracował za dnia, razem z Gregiem, może nie myślałby o rzucaniu tej roboty.

ROZDZIAŁ 23

Od: Jennifer Scribner-Snyder

Do: Beth Fremont

Wysłano: w czwartek, 07.10.1999, o godz. 9.27

Temat: Kolejny dobry artykuł

Po tym, jak marudziłaś w zeszłym tygodniu, nie spodziewałam się zbyt wiele. A tu patrzcie państwo - pierwsza strona, na samej górze. Wielkie zdjęcie, ładne wprowadzenie, ładne zamknięcie. Szczególnie podobały mi się słowa jednego z protestujących: „Gdyby na rogu 84. i Dodge stał Tadź Mahal, też by go zburzyli, żeby zbudować parking”.

Beth do Jennifer:

1. Przestań, za bardzo mi kadzisz. Jak moja matka.
2. Ten protestujący był bardzo fajny. Piękne rude włosy. Ni mniej, ni więcej, student farmacji. (Teraz sama mówię jak moja matka). Odbiliśmy bardzo miłą rozmowę o kulcie parkingów w tym mieście. Powiedziałam, że w końcu wyburzymy wszystkie ciekawe budynki i wprowadzimy pociągi wahadłowe do Des Moines i Denver. Oprzemy gospodarkę na parkingach. Widziałam, że uznał to za bardzo dowcipne. A potem, kiedy poprosiłam go o numer telefonu na wypadek, gdybym miała jeszcze jakieś pytania, on poprosił o mój numer. (!!!!)

Jennifer do Beth:

Co?! To stało się wczoraj? I nic mi nie powiedziałaś? Gdyby jakiś fajny rudowłosy student farmacji powiedział mi tylko, która jest godzina, dowiedziałabyś się jako pierwsza. Choć nic takiego się nie zdarzy. Nie gwizdzą na mnie nawet budowlańcy.

Beth do Jennifer:

To dlatego, że zawczasu emitujesz zabójcze promieniowanie, które ostrzega: „Zostawcie mnie w spokoju”. Poza tym każdy, kto tylko zbliży się do ciebie na odległość trzech metrów, musi zauważyć ten wielki kamień na twoim palcu.

Jennifer do Beth:

I do tego jestem gruba. I co powiedziałaś temu chłopakowi, przeciwnemu

budowie parkingu?

Beth do Jennifer:

1. Jeśli nadal będziesz mówiła, że jesteś gruba, przestanę ci się zwierzać ze swoich nieszczęśliwych historii miłosnych. Będziesz musiała o nich czytać w „Penthouse Forum” jak wszyscy inni.

2. Zrobiłam coś dziwnego. Okłamałam go.

Jennifer do Beth:

Nie powiedziałaś mu, że masz chłopaka?

Beth do Jennifer:

Nie. Powiedziałam, że mam narzeczonego.

- Przykro mi - odparłam. - Nie mogę. Jestem zaręczona. - A wtedy on spojrzał na moją rękę i oblał się rumieńcem. (To było urocze, rudy w pasie). A ja zrobiłam minę, jakbym zostawiła pierścionek na umywalce.

Poczułam się tak jak ty w dziecięcym dziale Gapa, kiedy oglądałaś śpioszki. Jakbym podrasowywała swoje życie. (Moje zachowanie było jeszcze żałośniejsze niż twoje - bo ty nawet nie chcesz mieć dziecka. A ja chcę wyjść za mąż. I to desperacko, nie ma co ukrywać).

Zeszłego wieczoru, kiedy Chris po powrocie do domu kładł się spać, nie mogłam spojrzeć mu w oczy.

Dlatego, że w głębi duszy chciałam dać tamtemu chłopakowi numer mojego telefonu.

I dlatego, że skłamałam.

Jennifer do Beth:

Nie wyrzucaj sobie, że chciałaś dać mu swój numer. Jego prośba ci pochlebiła. Byłaś pod wrażeniem. To naturalne. Wiem, ponieważ czytam „Glamour” i oglądam „The View”, bo przecież nie z własnego doświadczenia.

Czy Chris zauważył, że nie patrzysz mu w oczy?

Beth do Jennifer:

Nie, nie miał okazji. Zasnął, zanim go zapytałam, jak poszła próba. Zgrzytanie zębami przez cały wieczór naprawdę wyczerpuje.

Jennifer do Beth:

Oj. Czy to eufemistyczne określenie masturbacji?

Beth do Jennifer:

Nie. To raczej eufemistyczne określenie gry na gitarze elektrycznej. Albo idiom. Nie wiem. Naprawdę sądzisz, że „masturbacja” to jedno z trefnych słów w systemie?

Jennifer do Beth:

Teraz to już bez znaczenia. Jeśli nas wywalą, bo z uporem maniaka drażnisz smoka, będziesz musiała wziąć mnie na utrzymanie - z moim kosztownym zwyczajem robienia zakupów w dziale dziecięcym Gapa.

Beth do Jennifer:

1. Drażnienie smoka. Czy to kolejna aluzja do masturbacji?
2. Dział dziecięcy Gapa. Wciąż?

Jennifer do Beth:

1. Cha, cha.
2. Wciąż. W zeszłym tygodniu namierzyłam zielony jak seler kombinezon z rękawiczkami do kompletu za jedyne 3.99!

Beth do Jennifer:

Zieleń to dobry wybór - odpowiedni kolor zarówno dla urojonej dziewczynki, jak i chłopca. A w przypadku urojonych dzieci pora roku nie ma znaczenia.

Jennifer do Beth:

No właśnie. Już nawet nie wchodzę do Gapa dla dorosłych. Jak się jest matką z urojenia, trudno znaleźć dla siebie czas.

Beth do Jennifer:

Wyobrażam sobie.

Jennifer do Beth:

Więc co jutro ukaże się na temat Indian Hills?

Beth do Jennifer:

Nic.

Beth do Jennifer:

Lepiej się postaraj. Masz w porannym wydaniu 40 centymetrów.

Beth do Jennifer:

O kurwa!

ROZDZIAŁ 24

Do tego więc sprowadzało się życie uczuciowe Lincolna. Do czytania wynurzeń dwóch kobiet na temat innych facetów, innych atrakcyjnych facetów. Gwiazdorów rocka, bohaterów filmów akcji i rudzielców.

Tamtej nocy, zniszczywszy korespondencję Beth i Jennifer i wyszedłszy z „Couriera”, Lincoln wjechał na autostradę. Biegła ona wokół miasta. Kiedy człowiek się na niej znalazł, mógł jechać, jak długo chciał, bez zatrzymywania się, zmierzając donikąd.

Tak właśnie robili z Sam w te wieczory, kiedy nie mieli ochoty przebywać z rodzicami ani siedzieć przy kolacji. Lincoln prowadził, a Sam odsuwała szybę i opierała głowę o drzwi, śpiewając do piosenek z radia.

Lubiła słuchać audycji pod tytułem „Rozmowy do poduszki” w stacji nadającej łagodnego rocka. Słuchacze dzwonili do radia i dedykowali bliskim różne utwory. Zwykle prosili o piosenki sprzed dziesięciu-piętnastu lat, śpiewane przez Air Supply, Eltona Johna i Bread. Sam z upodobaniem wyśmiewała dedykacje, ale rzadko zmieniała stację.

Ona podśpiewywała i rozmawiali. Kiedy prowadził, łatwo mu się mówiło, może dlatego, że nie musiał nawiązywać kontaktu wzrokowego i miał co robić z rękami. Dlatego że było ciemno i na autostradzie panował mały ruch. Dlatego że leciały piosenki o miłości. I szumiał wiatr.

- Lincoln - zapytała go Sam jednego z takich wieczorów, latem przed rozpoczęciem ostatniej klasy - myślisz, że kiedyś weźmiemy ślub?

- Mam taką nadzieję - wyszeptał. Rzadko myślał o małżeństwie. Wiedział tylko, że nigdy nie chciałby zostać bez niej. Że jest z nią szczęśliwy i pragnie, aby tak było do końca życia. Jeśli ślub miał mu to zagwarantować, to zdecydowanie był za tym.

- Czy to nie byłoby romantyczne - ciągnęła - wziąć ślub ze swoją pierwszą miłością? Kiedy ludzie by nas pytali, jak się poznaliśmy, odpowiadalibyśmy: „Poznaliśmy się w szkole. Zobaczyłam go i już wiedziałam”. A jeśli chcieliby wiedzieć: „Czy kiedykolwiek się zastanawialiście, jak by wam było z kimś innym”, mówilibyś... Lincoln, coś byś mówił?

- Mówiłbym: „Nie”.

- Niezbyt romantycznie.

- To nie ich sprawa.

- Więc powiedz mnie - poprosiła, odpinając pas bezpieczeństwa i obejmując go w pasie. - Powiedz, nie zastanawiasz się czasami, jak by ci było z kimś innym?

- Po pierwsze, zapnij pas - powiedział. Posłuchała. - Po drugie, nie zastanawiam się nad tym, bo wiem jak.

- A skąd to wiesz? - zapytała.

- Wiem i już.

- Więc jak by ci było?

- Byłoby ubożej - wyjaśnił.

- Ubożej?

Spojrzał na nią, tylko na chwilę, siedzącą z boku, na fotelu dla pasażera, i ścisnął kierownicę.

- Na pewno. Już tak bardzo cię Kocham. Już mam wrażenie, że kiedy cię widzę, zaraz coś wyskoczy mi z piersi. Nikogo nie mógłbym kochać bardziej, to by mnie zabiło. I nie mógłbym kochać mniej, bo zawsze czułbym niedostatek. Nawet gdybym pokochał jakąś inną dziewczynę, o niczym innym bym nie myślał, tylko o różnicy między miłością do niej i do ciebie.

Sam naciągnęła pas i położyła Lincolnowi głowę na ramieniu.

- Fajna odpowiedź.

- Prawdziwa.

- A jeśli - mówiła teraz łagodnie, po dziewczęcemu - pewnego dnia ktoś by cię zapytał, czy zastanawiałeś się kiedykolwiek, jak to j e s t ... z kimś innym?

- Kto miałby o to zapytać?

- To hipotetyczny scenariusz.

- Nie wiem nawet, jak to jest z tobą. - Lincoln powiedział to cicho i bez pretensji.

- Jeszcze nie.

- Jeszcze nie - powtórzył, skupiając się na drodze, pedale gazu i oddychaniu.

- A więc... nie patrzysz na inne dziewczyny i nie myślisz o tym, co tracisz?

- Nie - odrzekł.

- Nie?

- Wiem, że chcesz usłyszeć obszerniejszą odpowiedź. Muszę pomyśleć przez chwilę, bo nie chciałbym palnąć czegoś głupiego ani desperackiego.

- Czujesz się zdesperowany? - Całowała go w szyję, opierając się o niego ciężko.

- Czuję się... Uhm. Zdesperowany. Tak, że mógłbym zabić nas oboje. Nie potrafię... nie potrafię trzymać oczu otwartych, kiedy tak się zachowujesz, to jak kichanie. Zbliżamy się do kolejnego zjazdu. Jedźmy dalej, jeszcze przez kilka minut.

Proszę.

Wyprostowała się na fotelu.

- Dobrze, nie zjeżdżajmy jeszcze.

- Dlaczego?

- Chcę, żebyś mówił dalej. I odpowiedział na moje pytanie.

- Nie - podjął. - Nie, nigdy nie będę się zastanawiał, jak by to było uprawiać seks z kimś innym, z tego samego powodu, dla którego nie mam ochoty całować się z nikim innym. Nie dotknąłem nigdy innej dziewczyny. I czuję, że tak ma być. Kiedy cię dotykam, całe moje ciało... śpiewa. Dzwoni jak dzwon czy coś takiego. Mógłbym dotykać inne dziewczyny i może coś bym poczuł, no wiesz, usłyszał jakiś dźwięk. Ale to nie byłoby to samo co z tobą. A co by się stało, gdybym dotykał inne dziewczyny, a potem... potem próbował znowu dotknąć ciebie? Może już bym nas nie usłyszał. Może to brzmiałoby fałszywie.

- Kocham cię, Lincoln - oświadczyła Sam.

- Ja też cię kocham.

- Kocham cię.

- Ja też cię kocham - odparł. - Kocham cię.

- Zatrzymaj się, dobrze?

To nie stało się tamtej nocy - bycie z sobą. Ale stało się tamtego lata. I także w samochodzie. Było dziwnie, niewygodnie i cudownie.

- Tylko ty - obiecał. - Zawsze tylko ty.

Nie nadawano już „Rozmów do poduszki”. Nadawano inną audycję, program na żywo z udziałem słuchaczy, którzy dzwonili do radia i opowiadali swoje historie miłosne, a prezenterka o imieniu Alexis wybierała dla nich piosenki. Niezależnie od sytuacji, zawsze był to aktualny przebój. Coś z repertuaru Mariah Carey albo Céline Dion.

Po kilku minutach Lincoln wyłączył Alexis i odsunął szybę. Wystawił rękę na wiatr i z głową przy oknie jechał wokół miasta, aż z zimna zdrętwiały mu palce.

ROZDZIAŁ 25

Od: Beth Fremont

Do: Jennifer Scribner-Snyder

Wysłano: w czwartek, 14.10.1999, o godz. 11.09

Temat: Wreszcie październik!

Hura! Hurrra!

Jennifer do Beth:

Wreszcie? Już połowa października. A co takiego ma być w październiku?

Beth do Jennifer:

Nie „w październiku”, tylko „z październikiem”. Październik. To mój ulubiony miesiąc, który, tak przy okazji, dopiero się zaczął.

Niektórzy uważają, że to melancholijny miesiąc. Bono śpiewa: „Październik i drzewa stają się łyse...”.

Ja nie. W powietrzu czuje się chłód, który działa na mnie kojąco i sprawia, że jeżą mi się włoski na całym ciele. W październiku jestem gwiazdą własnego filmu – słyszę w głowie jego ścieżkę dźwiękową (w tej chwili suitę *Niebieskie oczy Judy*) – i wierzę w rozwój akcji.

Urodziłam się w lutym, ale ożywam w październiku.

Jennifer do Beth:

Jesteś czubkiem.

Beth do Jennifer:

Czubkiem drzewa. Olszyny.

Październiku, ochrzcij mnie liśćmi! Okryj mnie tweedem i pokrzep zupą grochową. Październiku, włóż mi do kieszeni czekoladowe batoniki i potnij mój uśmiech na półksiężycy dyń.

O jesieni! O czajniczku z herbatą! O pięknie!

Jennifer do Beth:

O tak, czekoladowe batoniki. Uwielbiam je.

Beth do Jennifer:

Szczęśliwego października!

Jennifer do Beth:

Dobra, szczęśliwego października! Dlaczego nie?

Są jeszcze jakieś inne przyczyny twojego dziwnie dobrego nastroju? Pozajesienne?

Beth do Jennifer:

Nie, raczej nie. Miałam wczoraj kiepski wieczór – poszłam z Chrisem na imprezę Sacajawei – ale to tylko podkreśliło mój dzisiejszy nastrój. Obudziłam się z myślą, że choćby było nie wiem jak źle, mamy październik.

Jennifer do Beth:

Kto urządza imprezę w środę wieczór?

Beth do Jennifer:

Muzycy.

Jennifer do Beth:

Czy oni nie mają normalnej, dziennej pracy?

Beth do Jennifer:

Ich normalna, dzienna praca to nocna praca. (Czasami popołudniowo-wieczorna). Tylko ich dziewczyny muszą rano wstać, a mówienie o konieczności wstawania – czyli że nie powinno się imprezować – jest z ich strony bluźnierstwem.

Jennifer do Beth:

Co dzieje się bluźnierczyniami?

Beth do Jennifer:

Jak tylko wychodzisz, ciągnąc za sobą swojego faceta albo nie, wszyscy inni panowie obejmują swoje panie i dziękują im, że nie są takimi sekutnicami. Te z kolei czują się wyjątkowe, kochane i następnego ranka idą do pracy wykończone, z bólem głowy i kostką gitarową na szyi jak albatros.

Jennifer do Beth:

Ty jesteś taką sekutnicą?

Beth do Jennifer:

Najgorszą. Niespotykaną sekutnicą. Przede wszystkim nie pozwalałam imprezować w moim mieszkaniu. I wychodzę z każdej imprezy zaraz po północy. Przestałam udawać, że zabawa do rana, palenie i picie nie odbija się na moim organizmie.

Ale nie byłoby lepiej, gdybym zostawała. Nie wolno grzecznie nie brać udziału w ich rozpasaniu. To byłoby wyrazem krytycyzmu.

Zeszła noc okazała się szczególnie zła. Stef skoczył mi do gardła. A jest wysoki... Chyba chciał zaimponować dziewczynie, którą poderwał na koncercie.

- Beth... - zaczął. - Dlaczego już się nie bawisz?

Zignorowałam go, a tego nie mógł znieść.

- Mówię poważnie, Beth, bardzo się zmieniłaś. Kiedyś byłaś cool.

- Wcale się nie zmieniłam. Nigdy nie byłam cool.

- Byłaś. Kiedy Chris zaczął z tobą chodzić, zazdrościliśmy mu. Miałaś włosy do pasa i nosiłaś obcisłe koszulki, rzygałaś z przepicia i przez całą noc przepisywałaś nasze chórki.

Zachował się podle z kilku powodów:

1. sugerując, że kiedyś mnie lubił,

2. przypominając mi o tym, jak gapił się na moje piersi,

3. prowokując mnie do odpowiedzi, która nie byłaby jednocześnie obraźliwa dla Chrisa. Nie mogłam się odciąć, mówiąc: „Zdażyłam dorosnąć” ani: „Nie ma czego przepisywać, gracie te same piosenki od sześciu lat...”. Więc powiedziałam tylko: - Daj spokój, Stef, jestem zmęczona. Wtedy stał się niby troskliwy i zasugerował, żebym poszła do domu i wyspała się porządnie przed pójściem rano do pracy. Odpowiedziałam, że autorzy recenzji filmowych nie chodzą do pracy przed dwunastą. Przepisy związkowe.

- Myślę, że przez to się zmieniłaś, Beth. Przez tę robotę. Krytyka filmowego. Krytycy to pasożyty. Żyją z twórczości innych. Sami nic nie wnoszą. Są jak bezpłodne kobiety, które porywają innym dzieci na parkingach przed supermarketami. Ci, którzy sami czegoś nie umieją, uczą, a ci, którzy nie umieją uczyć, pracują jako krytycy.

Kiedy się rozkręcił, jeden z pozostałych chłopaków postanowił się włączyć.

- Hej, Chris, nie staniesz w obronie swojej dziewczyny? - zapytał.

A Chris odparł:

- Beth nie potrzebuje mojej obrony. Możesz mi wierzyć. To walkiria.

Sprawilo mi to pewną przyjemność. Podobam mu się taka silna i niezależna - pomyślałam. Ale jednocześnie chciałam, żeby wystąpił w mojej obronie. Poza tym

czy walkirie nie kradną dusz poległym wojownikom? Czy może zabierają je do nieba, do Walhalli czy gdzieś indziej? Tak czy siak, nie są wojowniczkami. Może walkiria to jeszcze jeden pasożyt, żerujący na sławie duszy, którą zabiera? Nie wiem i wołałabym, żeby powiedział coś innego.

Wołałabym, żeby powiedział... „Odwal się, Stef”.

Albo: „Beth nie jest jak pąkla na mojej łodzi. Jest wiatrem pod moimi skrzydłami. I bez niej takie knoty jak *Armageddon* czy *Koszmar następnego lata* zawładnęłyby duszami niewinnych ofiar, naszych znajomych i sąsiadów. Wykonuje ważną, twórczą pracę”.

Albo: „To koniec, odchodzę z tego głupiego zespołu. Wracam na studia. Zawsze chciałem zostać dentystą”.

Jennifer do Beth:

Dentystą? Naprawdę dentystą?

Gdyby Chris wrócił na studia, żeby zostać dentystą, chyba bym go rzuciła.

Beth do Jennifer:

A ja nie!

Jennifer do Beth:

Nie mogę wyobrazić sobie ciebie jako żony dentysty, kogoś, kto nosi buty ortopedyczne i zalatuje fluorem.

Beth do Jennifer:

A ja mogę... Miałyby miły gabinet dentystyczny w sąsiedztwie, ze starymi numerami „Guitar World” w poczekalni. Czasem zachodziłabym tam po południu, a on ściągałby maskę, żeby pocałować mnie na powitanie. Dzieci walczyłyby ze sobą o wielką szczękę z zębami, a sympatyczna babciowata pomoc dentystyczna dawałaby każdemu z nich lizaka bez cukru...

Jennifer do Beth:

Zaraz, zaraz. Dzieci?

Beth do Jennifer:

A żebyś wiedziała. Chłopiec i dziewczynka. Może bliźnięta. Z jego kręconymi włosami i moją średnią ocen.

Jennifer do Beth:

A twoja praca?

Beth do Jennifer:

Chyba żartujesz? Byłabym żoną dentysty.

Jennifer do Beth:

W jakim czasie osadzone są te twoje fantazje, w roku 1973?

Beth do Jennifer:

Zawsze myślałam, że zostanę w domu, kiedy dzieci będą małe. Jeśli będę miała dzieci. I jeśli będzie mnie na to stać. Moja mama została z nami i wyszliśmy na ludzi. Myślę, że przez kilka lat mogłabym być niepracującą matką.

Jennifer do Beth:

Hmmm... Ja chyba wolałabym być niepracującą matką bez dzieci.

Beth do Jennifer:

To znaczy, że chciałabyś siedzieć w domu?

Jennifer do Beth:

I robić to, co robią niepracujące matki. Piec. Zajmować się rękodziełem.

Beth do Jennifer:

Jakim znowu rękodziełem?

Jennifer do Beth:

Mogłabym dziergać swetry na drutach albo prowadzić albumy z wycinkami. Albo sobie kupić jeden z tych pistoletów do kleju.

Beth do Jennifer:

Gdyby usłyszały nas nasze matki, pożałowałyby, że brały udział w rewolucji seksualnej.

Jennifer do Beth:

Moja matka nie brała udziału w rewolucji seksualnej. Nie wie nawet, że coś takiego miało miejsce. Ojciec odszedł 20 lat temu, a ona wciąż mówi, że głową domu jest mężczyzna.

Beth do Jennifer:

Więc wychowałaś się w domu bez głowy?

Jennifer do Beth:

Właśnie. Z matką, gospodynią domową pozbawioną męża.

Beth do Jennifer:

Twoja matka jest dobijająca. Lepiej wróć do swoich fantazji o dentyście.

Jennifer do Beth:

A ja do pracy.

Beth do Jennifer:

Sekutnica.

ROZDZIAŁ 26

Beth i Jennifer jakby zapomniały o wszystkich przepisach i ograniczeniach. Przestały się cenzurować. Beth zrobiła się tak niefrasobliwa, że do folderu WebSharka trafiły także jej e-maile do niektórych innych kolegów.

Beth.

Lincoln nie potrafił wytłumaczyć, nawet samemu sobie, dlaczego stała się dla niego taka ważna. Obie z Jennifer były dowcipne i serdeczne, ujmujące. Ale zawsze bardziej ujmowała go Beth.

Kiedy czytał ich korespondencję, miał wrażenie, że ją słyszy, że ją widzi, mimo że wciąż nie wiedział, jak wygląda. Wydawało mu się, że dochodzi go jej śmiech.

Podobał mu się ton, jaki przybierała, kiedy Jennifer pisała o swoim małżeństwie i Mitchu. Podobało mu się, jak mówiła o swoim rodzeństwie, szefostwie i sobie samej. Starał się nie ulegać urokowi tego, że potrafiła mówić cytatami z *Pogromców duchów*, że lubiła filmy kung-fu i umiała wymienić wszystkich oryginalnych X-manów – bo z tych powodów facet mógł się zakochać w dziewczynie tylko w którymś z filmów Kevina Smitha.

Zakochać... Czyżby się zakochiwał? Czy jedynie nudził?

Czasami, przed końcem pracy, ze dwa razy w tygodniu, przechodził przez dział newsów, obok biurka Beth, aby rzucić okiem na jej kubki do kawy i notatniki. Aby się przekonać, że ona istnieje. O pierwszej w nocy nie było nawet redaktorów i salę rozjaśniały tylko światła z ulicy. Jeśli miał poczucie winy, idąc tam, mówił sobie, że nie robi nic złego. Dopóki nie próbował zobaczyć samej Beth. Przekonywał samego siebie, że to tak, jakby zadurzył się w bohaterce opery mydlanej, radiowej opery mydlanej. To coś, czym może nie należy się szczycić, ale co nikomu nie szkodzi. Dzięki czemu czas szybciej płynie.

W niektóre noce, jak właśnie tej, pozwalał sobie zatrzymać się na chwilę przy jej biurku.

Kubek do kawy. Zjedzona do połowy czekolada. Stos wysypanych spinaczy. I coś nowego: broszura informująca o koncercie, przypięta nad monitorem. Jaskraworóżowa ze zdjęciem kartonowej gitary – Sacajawea w Ranch Bowl, w sobotę wieczór. Tę sobotę.

O rany.

Justin chętnie przystał na koncert. Justin zawsze chętnie przystawał na wszystko. zaproponował, że przyjedzie po Lincolna, ale ten odparł, że wolałby, aby spotkali się w barze.

- Kapuję, stary, chcesz być solo. Nie będę ci kulą u nogi.

Spotkali się w Ranch Bowl z pół godziny przed rozpoczęciem koncertu. Justin był wyraźnie rozczarowany. Miejsce wyglądało na zapuszczone i ciasne, brakowało stolików i specjalnych drinków, a do tego człowiek musiał przepychać się za scenę, żeby dostać się do baru. Przyszli głównie faceci, a zespół na scenie - Razorwine, sądząc z nazwy widniejącej na perkusji - brzmiał tak, jakby grał utwory Beastie Boys na pile stołowej. Lincoln i Justin przedarli się pod ścianę, żeby się o coś oprzeć, i Justin natychmiast zaczął mówić o zmianie lokalu. Był zbyt zniechęcony, żeby nawet pójść po drinka.

- Lincoln, daj spokój, to miejsce jest dobijające. Trupiarnia. Albo jeszcze gorzej. Cholerny cmentarz dla psów. Lincoln. Stary. Chodźmy stąd. Stawiam przez cały wieczór.

Stojący obok facet, potężny gość we flanelowej koszuli, powiedział mu w końcu, żeby się przymknął.

- Niektórzy z nas przyszli tu posłuchać muzyki.

- To twój problem, do cholery - wycedził Justin przez zaciśnięte zęby, wypuszczając dym z camela. Lincoln chwycił kolegę ze rękaw i pociągnął.

- Masz cykora? - zapytał Justin. - Taki kawał chłopaka jak ty? Mógłbyś załatwić tego dupka.

- Nie chcę go załatwić. Chcę posłuchać muzyki. Myślałem, że lubisz metal.

- To nie żaden metal - sprzeciwił się Justin. - To końskie łajno.

- Pół godziny - poprosił Lincoln. - Potem pójdziemy, dokąd zechcesz.

Zespół od piły stołowej zakończył występ i na scenie zaczęli rozstawiać sprzęt członkowie grupy Sacajawea. Nietrudno było go rozpoznać - chłopaka Beth. Prezentował się równie dobrze jak na zdjęciach. Był szczupły i miał długie włosy. Wszyscy faceci z zespołu mieli długie włosy jak kobiety. Byli w obcisłych spodniach i rozpiętych, powiewających koszulach.

- Co się dzieje, do cholery? - zapytał Justin.

Tłum wokół nich się rozstał. Przysadziści faceci skierowali się do baru, a z ciemności wyszły grupki dziewczyn. Dziewczyn w dżinsach biodrówkach. Z kolczykami w językach i tatuażami przedstawiającymi motyle.

- Skąd się biorą te wszystkie kółka w brzuchach? - chciał wiedzieć Justin.

Światła przygasły i Sacajawea rozpoczęła występ od ostrej solówki na gitarze.

Dziewczyny zaczęły przeć naprzód, w stronę sceny. Jak Lincoln, większość z nich patrzyła tylko na gitarzystę. Solista - pewnie Stef, pomyślał - musiał zabiegać o ich uwagę. Mruczał jak Robert Plant i wierzgał jak Mick Jagger. Pod koniec pierwszego utworu zaczął wciągać dziewczyny na scenę, żeby wiły się przy stojaku z mikrofonem. Ale nie Chris. Chris był skupiony na swojej gitarze. Co jakiś czas unosił głowę, spoglądał na dziewczyny wśród publiczności i uśmiechał się, jakby dopiero je zauważył. A one były tym zachwycone.

- Chodźmy - powiedział Lincoln, który stracił pewność, po co tu przyszedł. Dla czegoś takiego poświęcił wieczór gry w D&D?

- Teraz to się wal - odparł Justin. - Chłopaki dają czadu.

Rzeczywiście, dawali czadu, Lincoln musiał to przyznać. Jeśli ktoś lubił taką muzykę. Ostry, seksowny rock. Zostali do końca występu. Później Justin chciał pójść do Village Inn po drugiej stronie ulicy. Przez dwadzieścia minut przeżywali koncert, a przez następne dwie godziny gadali o dziewczynie, tej, z którą Justin wyszedł tamtego wieczoru, kiedy wybrali się razem pod Stalową Gitarę. Nazywała się Dena i była higienistką u dentysty. Od kiedy się poznali, wychodzili razem na miasto albo siedzieli u któregoś z nich. Dena chciała mieć go na wyłączność, co było głupie, mówił Justin, bo i tak nie miał czasu spotykać się z innymi dziewczynami.

Ale wyłączność w praktyce, dowodziła Dena, to coś innego niż wyłączność oficjalnie. Ta pierwsza oznacza, że Justin mógł uprawiać seks z inną, jeśli tylko miał piętnaście minut czasu i chętną partnerkę. I o to chodzi, twierdził Justin. Nie chciał mieć dziewczyny. Odstępiała go sama myśl, że miałby być z jedną osobą - prawie tak samo jak wizja dzielenia się Deną z innym facetem.

Lincoln, słuchając go, zjadł dwa kawałki francuskiego placka czekoladowego.

- Jeśli naprawdę chciałbyś być z inną dziewczyną - powiedział w końcu, męcząc się z trzecim kawałkiem - to byś był. Nie siedziałbyś tu ze mną i nie gadał o Denie.

Justin zastanawiał się przez chwilę.

- Ty cholery geniuszu - rzucił, klepiąc Lincolna w ramię i wyglądając zza przepierzenia, w którym siedzieli. - Dzięki, stary. Zadzwońię.

Lincoln został w restauracji, żeby dopić kawę i przemyśleć kwestię, czy świat nie zesłał Justinowi prawdziwej miłości pod Stalową Gitarę, aby ukarać jego, Lincolna, za mówienie, że Kupidyn nie przedostałby się tam za bramkę.

Village Inn osiągnęło nadir o trzeciej nad ranem i Lincoln wstał, żeby pojechać do domu. Restauracja była prawie pusta, z wyjątkiem faceta, który siedział w kącie; miał na głowie słuchawki i czytał gazetę. Nawet w nocnym świetle, w oparach tłuszczu, Chris wyglądał nieskazitelnie. Gapiła się na niego kelnerka napełniająca

butelki keczupem, ale on jakby tego nie widział.

ROZDZIAŁ 27

- Byłeś w dziale newsów? - zapytał Greg Lincolna, kiedy ten w poniedziałek po południu przyszedł do pracy.

- Nie. - Skąd Greg wiedział? I co wiedział? Nie, chwila, nic nie wiedział. Nie mógł wiedzieć. - Przepraszam, gdzie? - zapytał.

- Gdzie? W dziale newsów - powtórzył Greg. - Byłeś już tam, prawda?

- Uhm - potwierdził Lincoln.

- To dobrze. Więc wiesz, gdzie siedzą redaktorzy?

- Uhm, chyba wiem.

- Chciałbym, żebyś zainstalował nowe wieże w kilku stacjach. - Wskazał stos pudeł z częściami do komputerów i podał Lincolnowi kartkę.

- Teraz?

- No. Wiedzą, że masz przyjść. Przenieśli pracowników na inne stanowiska.

Lincoln załadował pudełka na wózek i pojechał windą do działu newsów. O czwartej po południu, w świetle dziennym, ledwie poznał to miejsce. Wszędzie byli ludzie; pisali na komputerach, rozmawiali albo gdzieś szli. Człowiek by nie pomyślał, że pisanie i redagowanie powoduje taki hałas. Dzwoniły telefony, brzęczały telewizory, płakały dzieci...

Dzieci? Przy końcu działu redakcyjnego zebrał się tłum skupiony wokół wózka. Na czymś biurku siedział mały chłopiec, który bawił się zszywaczem.

Lincoln zaczął rozłączać kable i rozplątywać przewody, starając się na nikogo nie patrzeć. Tu musiała siedzieć Jennifer z innymi redaktorami z dziennej zmiany. Może wciąż tu była. To nawet mogło być jej biurko. Nie, chyba że kibicowała by drużynie koszykarzy z Kansas. Co o niej wiedział? Czy będąc mężatką, wyglądałaby na mężatkę? Uważała, że jest gruba... To mogła być każda z nich. Niewykluczone, że była tu także Beth. Kręciła się w pobliżu. Rozmawiała z którymś z redaktorów. Gruchała nad dzieckiem.

Nie, nakazał sobie, nie rozglądaj się.

Zainstalowanie nowego sprzętu zajęło mu ze trzy godziny. W tym czasie dział newsów wrócił do znanemu Lincolnowi stanu z nocnej zmiany. Robiło się coraz ciszej i ciemniej. Ludzie w garniturach i kostiumach ustępowali miejsca innym, ubranym w bawełniane koszulki i szorty. Jedna z redaktorek z nocnej zmiany,

dziewczyna z cienkim blond kucykiem, o ładnych niebieskich oczach, poczęstowała go chlebkiem bananowym.

Podziękował jej, a potem, nie oglądając się, ruszył z powrotem do pustego działu IT.

ROZDZIAŁ 28

Od: Jennifer Scribner-Snyder

Do: Beth Fremont

Wysłano: w poniedziałek, 18.10.1999, o godz. 16.08

Temat: To nie przedszkole

To dział newsów w redakcji gazety.

Beth do Jennifer:

Do czego pijesz? Że nie powinnam przysypiać? Albo pić z kubka dla dzieci? Bo czasami zdarza mi się jedno i drugie.

Jennifer do Beth:

Piję do tego, że nie muszę słuchać gaworzenia i gruchania, kiedy usiłuję zadiustować „Drogą Abby”.

Beth do Jennifer:

Po co adiustujesz „Drogą Abby”? Czy nie przychodzi w pakiecie z agencji prasowej?

Jennifer do Beth:

Ktoś musi napisać nagłówek. Ktoś musi zrobić korektę, sprawdzić, czy nie brakuje jakichś słów czy całych akapitów. Tekst nie

ukazuje się w gazecie magicznym sposobem. Po to siedzi tu tylu redaktorów.

Beth do Jennifer:

Redaktorów, mówisz? Rany... masz rację. Są wszędzie. Gdzie ja jestem? W raju?

Jennifer do Beth:

Cha, cha.

Beth do Jennifer:

Powinnaś powiedzieć: „To Iowa”.

Jennifer do Beth:

Może następnym razem.

Po co ludzie przychodzą do pracy z dziećmi? To nie jest dla nich miejsce. Nie ma tu zabawek. Nie ma stanowisk do przewijania. Krany z pitną wodą są przystosowane dla dorosłych.

To miejsce pracy. Przychodzi się tu, żeby uciec od dzieci – od rozmów o dzieciach. Gdybyśmy chcieli pracować z bachorami, zatrudnilibyśmy się w podstawówkach albo teatrzykach kukielkowych. Nosilibyśmy w kieszeniach miętowe lizaki.

To dział newsów. Widzisz tu jakieś lizaki?

Beth do Jennifer:

Fajnie się wściekasz. To urocze.

Jennifer do Beth:

Jesteś dziś w dobrym nastroju, bardzo dobrym.

Beth do Jennifer:

Skoro mowa o kimś uroczym, w zeszłym tygodniu znowu widziałam tego swojego fajnego faceta.

Jennifer do Beth:

Jesteś pewna? Nie słyszałam sygnału ostrzegawczego. Poza tym od kiedy to „twój fajny facet”?

Beth do Jennifer:

Nikt poza mną go nie chciał. Pracuje w dziale reklamy, na pewno. Widziałam go tam.

Jennifer do Beth:

Co robiłaś w reklamie? To po drugiej stronie budynku.

Beth do Jennifer:

Wypatrywałam fajnych facetów. (W dziale ogłoszeń jest jedyny w budynku automat z piwem korzennym). Siedział za swoim fajnym biurkiem, pisząc na swoim fajnym komputerze. Wyglądał superfajnie.

Jennifer do Beth:

Dział reklamy, co? Jestem pewna, że pracują tam wydajniej niż my.

Beth do Jennifer:

Może tylko sprawiają takie wrażenie.

A on nie wygląda wcale, jakby sprzedawał miejsca reklamowe. To nie jest jeden z tych gości w garniturze, z uśmiechem rodem z *Glengarry Glen Ross*. Nie wydaje mi się, żeby wcierał coś we włosy.

Jennifer do Beth:

Chętnie bym go zobaczyła. Może powinniśmy zrobić sobie przerwę na piwo korzenne.

Beth do Jennifer:

Jak ktoś, kto nie znosi dzieci, może lubić piwo korzenne?

ROZDZIAŁ 29

Beth tam była. Siedziała przy swoim biurku. W tym samym pomieszczeniu, w tym samym czasie. Myśląc o kimś innym. O facecie z działu reklamy, a tak. Lincoln nie cierpiał facetów pracujących w reklamie. Za każdym razem, kiedy WebShark wyłapywał sprośny dowcip, pochodził on z poczty gościa z reklamy. Handlowcy. Lincoln nie lubił handlowców. Z wyjątkiem Justina. Ale, szczerze mówiąc, gdyby nie znał Justina, jego pewnie też by nie lubił.

Pewnego razu musiał wymienić stację twardego dysku w dziale reklamy, zajęło mu to kilka godzin, i kiedy następnego dnia włożył bluzę od dresu, pachniała Drakkar Noir. Nic dziwnego, że matka ma mnie za geja – pomyślał.

Zazdrość, doszedł do wniosku, przechodząc tamtego wieczoru obok biurka Beth – kubki do kawy, cukierek na Halloween, odtwarzacz cedeków – jestem zazdrosny. I to nawet nie o jej chłopaka. Miał takie przekonanie, że nie dorasta Chrisowi do pięt, więc nawet nie potrafił być o niego zazdrosny. Ale co innego jakiś facet, który pracuje w reklamie, stosuje techniki sprzedaży, uprawia telemarketing...

Lincoln wziął miniaturowego batona i odwinął go. Beth siedziała niedaleko, kiedy on pracował w jej boksie. Pewnie mógł ją zobaczyć, gdyby się rozejrzył.

ROZDZIAŁ 30

Od: Jennifer Scribner-Snyder

Do: Beth Fremont

Wysłano: we wtorek, 26.10.1999, o godz. 9.45

Temat: Chyba jestem w ciąży

Tym razem mówię poważnie.

Beth do Jennifer:

Uległaś napromieniowaniu? Zjadłaś za dużo tuńczyka? Naćpałaś się?

Jennifer do Beth:

Nie, naprawdę to nie mania prześladowcza. Chyba jestem w ciąży.

Beth do Jennifer:

Bo okres spóźnia się ci o trzy minuty. Bo w ciągu ostatniej godziny dwa razy chodziłaś się wysikać. Bo czujesz czyjąś obecność w macicy.

Jennifer do Beth:

Bo uprawiałam seks bez zabezpieczenia podczas owulacji.

Beth do Jennifer:

To ma być żart? Jestem w ukrytej kamerze? Kim jesteś i co zrobiłaś z moją przyjaciółką?

Ta Jennifer Scribner-Snyder, którą znam i lubię, nie przyznałaby się publicznie, że uprawiała seks, a już na pewno nie skalałaby sobie palców, pisząc o tym jak gdyby nigdy nic.

Nigdy też nie rozpoczęłaby zdania od „bo”. Gdzie moja urocza, pruderyjna przyjaciółka? Co się z nią stało?

Jennifer do Beth:

Nie mam czasu na zabawy.

Beth do Jennifer:

Dlaczego nie? Jak bardzo jesteś w ciąży?

Jennifer do Beth:

Już czwarty dzień.

Beth do Jennifer:

Jaka precyzja. (Wręcz przesadna). Skąd możesz już wiedzieć? I skąd wiesz, że miałaś owulację? Czyżbyś była jedną z tych kobiet, które czują ruch jajeczek?

Jennifer do Beth:

Wiem, że miałam owulację, bo kupiłam wskaźnik płodności.

Beth do Jennifer:

Uznaj, że moja odpowiedź na twoich dziesięć następnych wyznań brzmi: „Co takiego?”.

Jennifer do Beth:

Pomyślałam, że wiedząc, kiedy mam owulację, będę mogła unikać w tym czasie kontaktów intymnych (co, prawdę mówiąc, ostatnio nie stanowi problemu).

Więc cztery dni temu miałam owulację. Tamtego dnia prawie z Mitchem nie rozmawiałam. Wszedł do szkoły, kiedy jeszcze spałam. A gdy wróciłam z pracy, był na górze i ćwiczył grę na tubie. Mogłam pójść do niego i powiedzieć, że jestem w domu, ale tego nie zrobiłam. Mogłam zapytać głośno, czy chce grillowaną kanapkę z serem, ale tego nie zrobiłam.

Kiedy przyszedł do łóżka, już tam leżałam; oglądałam powtórkę Frasiera. Patrzyłam, jak przygotowuje się do snu, a on nic nie mówił. Nie był na mnie zły; traktował mnie jak kamień na drodze, który musi ominąć.

Pomyślałam sobie: „Małżeństwo jest najważniejszą rzeczą w moim życiu. Oddałabym wszystko, żeby było szczęśliwe – dobrą pracę, ładny dom, przeciwstawne kciuki, prawo wyborcze, wszystko. Jeśli brak dziecka ma je zniszczyć, będę miała dziecko. Będę miała 10 dzieci. Zrobię, co będzie konieczne”.

Beth do Jennifer:

A co na to Mitch?

Jennifer do Beth:

Nie mam pojęcia. Nie powiedziałam mu o owulacji. Zdziwił go brak zabezpieczenia. Nie mam pojęcia.

Beth do Jennifer:

Dobra, więc możesz być w ciąży. Ale nie musisz.

Jennifer do Beth:

Chcesz powiedzieć, że mogę być bezpłodna.

Beth do Jennifer:

Nie, chcę powiedzieć, że masz jeszcze co najmniej miesiąc, żeby się zastanowić, czy naprawdę chcesz zajść w ciążę. Większość par

próbuje więcej niż raz. Twój los nie musiał zostać wcale przypieczętowany cztery dni temu.

Jennifer do Beth:

Mam nadzieję, że tak się stało. Chcę to już mieć z głowy.

Beth do Jennifer:

Zapisz to, żebyś nie zapomniała wspomnieć o tym w albumie dziecięcym.

Kiedy będziesz wiedziała na pewno?

Jennifer do Beth:

Niedługo. Teraz robią superczułe testy ciążowe, które potrafią nawet wykazać, czy planujesz ciążę.

Beth do Jennifer:

Więc mam trzymać kciuki za pozytywny czy negatywny wynik?

Jennifer do Beth:

Trzymaj kciuki za mnie.

Beth do Jennifer:

To zawsze.

ROZDZIAŁ 31

- Ostatnio nie słyszę, żebyś narzekał na pracę - zauważyła Eve. - Lepiej się w niej czujesz?

Po kościele przywiozła chłopców na niedzielny brunch. Matka przyrządziła ziemniaczaną casserole z jajkami, indykiem, pomidorami, grzybami, mniszkiem lekarskim i trzema rodzajami sera.

- Praca jest w porządku - powiedziała Lincoln, podnosząc kęs do ust.

- Już się w niej nie nudzisz? - pytała dalej.

- Chyba się przyzwyczaiłem - odparł, zasłaniając usta.

- Wciąż szukasz nowej, w lepszych godzinach?

Wzruszył ramionami.

- Te godziny będą odpowiednie, jeśli zdecyduję się wrócić na studia.

Eve zmarszczyła brwi. Tego popołudnia była wyjątkowo rozdrażniona. Kiedy tylko weszła z synami do domu, matka zapytała ich, czy odbyli owocną rozmowę z siłą wyższą.

- Z Jezusem - poprawiła ją Eve. - Nazywamy tę siłę Jezusem.

- To jedno z imion, na które reaguje - odparła matka.

- A więc - powiedziała teraz Eve do Lincolna, nabijając na widelec grzyb - musisz mieć trochę oszczędności, żeby znaleźć mieszkanie bliżej kampusu.

- Mogę dojeżdżać stąd - odrzekł spokojnie.

Matka zaczęła nakładać każdemu po drugiej porcji casserole. Widział, że jest rozdarta. Z jednej strony nie była zadowolona, że Lincoln wraca na studia, a z drugiej nie mogła znieść, że Eve go krytykuje.

- Dlaczego to robią? - zapytała, wskazując wnuki. Chłopcy grzebali w casserole na talerzach.

- Co robią? - spytała Eve.

- Dlaczego nie jedzą casserole?

- Nie lubią, kiedy poszczególne rzeczy się łączą albo stykają - wyjaśniła Eve.

- Jakie rzeczy? - zapytała matka.

- No, jedzenie. Nie lubią, gdy poszczególne dania albo składniki się łączą albo mieszają.

- A jak w domu podajesz obiad, w tackach na kostki lodu?

- My jemy tylko dwie rzeczy, babciu - odezwał się starszy syn Eve, sześćoletni Jake junior.

- Jakie? - chciała wiedzieć.

- Na przykład hot dogi i makaron - odpowiedział Jake. - Albo hamburgery i kukurydzę.

- Nie lubię keczupu na hamburgerze - dodał czteroletni Ben.

- A ja lubię, gdy jest z boku - ciągnął Jake.

- Dobrze - oznajmiła matka Lincolna, biorąc ich talerze i zgarniając zawartość na swój. - Najedliście się, chłopcy? Mam owoce, banany. Lubicie je?

- Więc chcesz zostać tutaj? - Eve zwróciła się do Lincolna z narastającą złością. - Zamierzasz mieszkać tu dalej?

- Na razie tak - odrzekł.

- Lincoln jest tu zawsze mile widziany - włączyła się matka.

- Nie wątpię - skwitowała Eve. - Może tu wegetować do końca życia.

Lincoln odłożył widelec.

- Babciu - znowu odezwał się Ben - ten banan jest brudny.

- To nie brud - odcięła się.

- Jest brązowy.

- Taki kolor ma banan.

- Banany są żółte - sprzeciwił się Jake.

- Lincoln tu nie wegetuje - orzekła ich babcia.

- Ale nie żyje normalnie - skomentowała Eve.

- Nie mów mi, jak mam wychowywać syna.

- On ma dwadzieścia osiem lat - zauważyła Eve. - Nie masz już przy nim nic do roboty. Jest dorosły.

- Jak Jezus - rzucił Jake.

- Nie jak Jezus - sprzeciwiła się Eve.

Lincoln wstał od stołu.

- Czy ktoś ma ochotę na sok? Ben? Jake? - Siostrzeńcy go zignorowali.

- Dzieci nigdy nie przestaje się wychowywać - odparła matka. - Sama się przekonasz. Musisz to robić aż do śmierci.

- Jezus umarł, jak miał trzydzieści trzy lata - odezwał się Jake.

- Przestań mówić o Jezusie - nakazała mu Eve.

- Jezus! - wykrzyknął Ben.

- Wciąż jestem matką Lincolna. I wciąż jestem twoją matką. Czy to ci się podoba, czy nie, będę wychowywać was do końca życia.

- Mnie nawet nie zaczęłaś - odcięła się Eve.

- Ojej... - Lincoln się skrzywił.

- Możecie odejść od stołu, chłopcy - powiedziała jego siostra.

- Ja jeszcze się nie najadłem - oświadczył Ben.

- Możemy pójść do Wendy's? - zapytał Jake.

- Więc mi powiedz, jak być dobrą matką - podjęła starsza pani.

- Powiem ci jedno - odparła Eve. - Moi synowie będą żyli własnym życiem. Będą chodzić na randki, w swoim czasie znajdą sobie żony i wyprowadzą się z domu. Nie wpoję im poczucia, że nie mogą ode mnie odejść.

- Ja ci go nie wpołam.

- Przez pierwszy miesiąc chodziłaś ze mną do przedszkola.

- Prosiłaś mnie o to.

- Miałam pięć lat - zauważyła Eve. - Powinnaś mi była to wyperswadować.

- Bardzo się bałaś.

- Miałam pięć lat - powtórzyła Eve.

- Lincolną posłałam do przedszkola dopiero jako siedmiolatka i jestem bardzo z tego zadowolona. Był znacznie lepiej przygotowany.

Lincoln rzeczywiście był przygotowany, żeby pójść do przedszkola. Umiał już czytać, dodawać i odejmować. Skończyło się na tym, że mógł opuścić pierwszą klasę i pójść do drugiej.

- O mój Boże! - Eve rzuciła widelec na stół. - Czy ty nie słyszysz, co mówisz?

- Nie wzywaj imienia Pana Boga nadaremno, mamusiu - szeptem zwrócił jej uwagę Ben.

- Chodźcie, chłopcy - powiedział Lincoln. - Wyjdziemy na dwór. Pogramy w piłkę.

- Bardzo kiepsko grasz w piłkę, wujku - odparł Jake.

- Wiem - rzekł Lincoln. - Nauczycie mnie.

Okna kuchni były otwarte. Mimo że wyszedł z siostrzeńcami na zewnątrz, nadal słyszeli głośną rozmowę matki i córki.

- Stykające się jedzenie! - mówiła starsza pani. - Stykające się światy!

Po jakichś dwudziestu minutach Eve wychyliła się z tylnych drzwi i zawołała chłopców, żeby poszli pożegnać się z babcią. Wydawała się sfrustrowana i zła, chyba płakała.

- Idziemy do Wendy's - powiedziała do Lincoln. - Pójdiesz z nami?

- Nie, najadłem się.

- Nie żałuję niczego, co powiedziałam - oświadczyła. - To wszystko prawda. Ty tu wegetujesz.

- Może - odparł. - A może dojrzewam.

Eve zatrzasnęła za sobą tylne drzwi.

ROZDZIAŁ 32

Kiedy Lincoln w poniedziałek przyszedł do pracy, Greg wziął go na stronę, żeby porozmawiać o projekcie milenijnym.

- Wygląda na to, że chłopaki zasuwiają, no nie? - zagadnął, zerkając na specjalistów od pluskwy milenijnej. - To znaczy, nie odwalają tu dupogodzin.

Lincoln postanowił mu nie mówić, że międzynarodowy oddział uderzeniowy czasami siedzi do późna, grając w Doom. (I to pod nosem Lincolna. Mogliby chociaż zaproponować, żeby się do nich przyłączył).

- Są tacy cisi - zauważył Greg. - Czasami, kiedy na nich patrzę i widzę na ich monitorach te wszystkie kody, przypomina mi się, jak po wycięciu wyrostka obudziłem się na stole operacyjnym... Chodzi mi o to, że mogliby tu robić wszystko, co tylko zechcą.

- Myślę, że po prostu piszą program - odparł Lincoln.

- Pieprzony przełom tysiącleci - skomentował Greg.

ROZDZIAŁ 33

Od: Jennifer Scribner-Snyder

Do: Beth Fremont

Wysłano: w środę, 10.11.1999, o godz. 10.11

Temat: Pozytywny

No więc zeszłego wieczoru zrobiłam test ciążowy i od tej pory zbiera mi się na wymioty... Nie z powodu porannych nudności, bo chyba jeszcze na to za wcześnie.

Beth do Jennifer:

O mój Boże. GRATULACJE!

Gratulacje, gratulacje! O MÓJ BOŻE!!!

Jennifer do Beth:

Nie ma czego gratulować. Mówiłam przed chwilą, że zbiera mi się na wymioty. Chyba popełniłam wielki błąd. Gdy tylko zobaczyłam tę niebieską kreskę, przypomniało mi się, że nigdy nie chciałam mieć dzieci, ruchów płodowych i całej reszty...

Beth do Jennifer:

Mówimy o prawdziwych ruchach płodowych czy urojonych?

Jennifer do Beth:

Potencjalnych. Czy ja wyglądam na kogoś, kogo to może cieszyć?

Beth do Jennifer:

Nie bądź głupia. Poradzisz sobie. I to doskonale. Czy Mitch już wie?

Jennifer do Beth:

Powiedziałam mu wczoraj. Skakał z radości. Poważnie, był taki szczęśliwy, że niemal się popłakał. Ścisnął mnie i ścisnął. To było niesamowite.

Beth do Jennifer:

Wcale nie niesamowite. Tylko urocze.

Jennifer do Beth:

Powiedziała kobieta, która nie nosi w sobie pasożytniczego organizmu.

Beth do Jennifer:

Mówisz o tym jak o tasiemcu.

Jennifer do Beth:

Poczekaj, aż zacznie kopać.

Beth do Jennifer:

Powiedziałas już rodzicom?

Jennifer do Beth:

Mitch zadzwonił do swoich. Oni również niesamowicie się cieszą. Mojej matce nie powiem do końca.

Beth do Jennifer:

Sama może się domyślić, gdy już będzie widać.

Jennifer do Beth:

Będzie mi mówić, że znowu utylam.

Beth do Jennifer:

Tak się cieszę ze względu na ciebie. Cieszę się niesamowicie. Urządzę ci imprezę przed urodzeniem dziecka.

Jennifer do Beth:

To brzmi strasznie.

Beth do Jennifer:

Strasznie fajnie. Kiedy urodzisz, będę już specjalistką od takich imprez. Idę na trzy wieczory panieńskie wydawane dla mojej siostry w ciągu następnych sześciu tygodni i sama urządzam jeden.

Jennifer do Beth:

Trzy imprezy dla przyszłej panny młodej? Czy to nie przesada?

Beth do Jennifer:

Jedna z nich będzie z tych intymnych.

Jennifer do Beth:

Och, nie znoszę ich. Jeśli coś ma być „intymne”, to nie powinno odbywać się przy świadkach. Kto lubi otwierać prezenty z bielizną przy znajomych i krewnych?

Beth do Jennifer:

Bielizna to jeszcze nic. Moja kuzynka dostała na takiej imprezie sekszabawki. A druhny zmusiły ją, żeby włożyła nową skąpą bieliznę i urządziła pokaz mody. Moja ciotka powtarzała: „Seksy, ale seksy!”.

Jennifer do Beth:

Po co mi to mówisz? Teraz do końca dnia będę miała ciarki.

Beth do Jennifer:

Ja zamierzam wyprawić jej eleganckie spotkanie. Urządę popołudniową herbatkę. Zrobię tartinki.

Jennifer do Beth:

Uwielbiam tartinki.

Beth do Jennifer:

Kto ich nie lubi. Wiesz co... mogłabym ci urządzić herbatkę z tartinkami z okazji narodzin dziecka.

Jennifer do Beth:

Bez żadnych głupich zabaw?

Beth do Jennifer:

Och, muszą być jakieś zabawy. To do negocjacji. Ale bez żadnej bielizny, obiecuję.

Jennifer do Beth:

Zastanowię się.

Ale wystarczy już o mnie i moim tasiemcu. Co u ciebie?

Beth do Jennifer:

Oświadczasz, że jesteś w ciąży, i zaraz potem zmieniasz temat?

Jennifer do Beth:

Przez następne dziewięć miesięcy nie będę mówić o niczym innym. Nie będę mówić o niczym innym do końca życia. Proszę, możemy zmienić temat? Jak się

masz? I jak się ma Chris.

Beth do Jennifer:

Chris... jak to Chris. Chyba. Jest w fazie zamknięcia. Często wychodzi, a kiedy wraca, nastawia wieżę tak głośno, że nie można rozmawiać. Albo przesiaduje z gitarą w sypialni. Pytam go, czy chce gdzieś się wybrać, a on odpowiada, że nie ma ochoty. Ale kiedy przychodzę do domu, jego nie ma.

Jennifer do Beth:

To cię niepokoi?

Beth do Jennifer:

Właściwie nie.

Jennifer do Beth:

Nie sądzisz, że spotyka się z inną?

Beth do Jennifer:

Nie. Może powinnam wziąć to pod uwagę.

Ale on taki bywa. Jakby się odsuwał. Kojarzy mi się to zimą. To nie tak, że w zimie nie ma słońca (albo że zdradza cię ono z inną planetą). Wciąż widzisz je na niebie. Tylko że jest bardziej oddalone.

Jennifer do Beth:

To by mnie doprowadzało do szału. Wściekłabym się - albo zaszłabym w ciążę - żeby tylko coś zmienić.

Beth do Jennifer:

Wściekanie się nic nie pomoże. A zajście w ciążę - nie wyobrażam sobie, co by wtedy było. Pewnie by mnie zostawił.

Jennifer do Beth:

Nie mów tak. Nie zostawiłby.

Beth do Jennifer:

Chyba jednak tak. Albo chciałby, żebym usunęła ciążę.

Jennifer do Beth:

To okropne.

Beth do Jennifer:

Naprawdę tak sądzisz? Wiesz, jak to jest nie chcieć dzieci, pragnąć, żeby związek pozostał na pewnym etapie. Nie wydaje mi się, żeby Chris poczuwał się do odpowiedzialności, gdybym zaszła w ciążę. Uznałby, że to moja sprawa, moja decyzja. I tak by było, no nie?

Jennifer do Beth:

Zmieńmy temat na inny.

Beth do Jennifer:

Bardzo chętnie. Gratulacje!

ROZDZIAŁ 34

Lincoln widział chłopaka Beth już kilkanaście razy. Po tamtym pierwszym występie Justin nabrał upodobania do Sacajawi. Teraz umawiał się z Lincolnem za każdym razem, gdy zespół dawał koncert. Zabierał także Dene, swoją dziewczynę. Zwykle wszyscy później lądowali w Village Inn. Zamawiali na spólkę placek i słuchali, jak Justin rozprawia o koncercie.

- Dlaczego ci goście nie są jeszcze cholernymi gwiazdami rocka? - zawsze pytał.
- Dlaczego nie występują w MTV zamiast w tych wszystkich dziurach?

Lincoln tylko wzruszał ramionami.

- Popatrz - powiedziała kiedyś Dena, wskazując część restauracji dla palących - to znowu ten gitarzysta.

Chris siedział w boksie, jadł śniadanie i czytał.

- Dlaczego taki facet nie ma dziewczyny? - spytała Dena.
- Może ma - odpowiedział Lincoln.
- No coś ty - sprzeciwiła się. - Faceci, którzy mają dziewczyny, nie jadają sami w Village Inn.

- Powinien w tej chwili rwać fanki - zauważył Justin.

- Zawsze jest sam - dodała Dena.

- Gdybym wyglądał tak jak on - oświadczył Justin z kawałkiem bezy w ustach - co wieczór zaliczałbym inną panienkę.

- I tak robiłeś - rzuciła Dena, przewracając oczami - wyglądając, jak wyglądasz.

- Słusznie - odparł Justin. - Gdybym wyglądał tak jak on, co wieczór zaliczałbym dwie inne panienki.

- Może on ma dziewczynę - powtórzył Lincoln.

- Jeśli tak, żal mi jej - skwitowała Dena.

- A może ma chłopaka - zażartował Justin.

- To też mi go żal.

- Jutro znowu dają koncert - odezwał się Justin. - Powinniśmy przyjść.

- Jutro gram w D&D - oznajmił Lincoln.

- To właśnie robią faceci, którzy nie mają dziewczyn - skomentował Justin.

Wciąż bowiem zachęcał Lincolna, żeby częściej wychodził z domu. Spotykał się z kobietami. Podrywał je. Może dlatego, że znał Sam ze szkoły średniej. I pamiętał

czasy, kiedy Lincoln zawsze oprowadzał się ze śliczną dziewczyną. „Jak na mój gust ma trochę za duże usta – powiedział kiedyś podczas wspólnego treningu golfowego. – Ale to ostrzejsza laska niż koktajl z jalapeño”.

Po powrocie z Kalifornii, kiedy Lincoln pojawił się na uniwersytecie stanowym na niższym roku niż koledzy, Justin nie pytał go, co się stało z Sam. Lincoln któregoś wieczoru nawet próbował opowiedzieć o tym przy pizzy i sześciopaku piwa, ale Justin mu przerwał.

– Daj sobie spokój, stary. Co z oczu, to z myśli.

ROZDZIAŁ 35

Skończyło się na tym, że Lincoln nikomu nie powiedział o tym, co stało się z Sam w Kalifornii. (Mimo że matka wciąż go o to pytała i wreszcie sama zagadnęła matkę dziewczyny w sklepie spożywczym).

Nie mówił o tym, bo mówienie oznaczałoby pogodzenie się z porażką. Rezygnację. Zresztą gdyby o tym komuś opowiedział, nie zabrzmiałoby tak tragicznie. Było to w gruncie rzeczy zwyczajne zerwanie nastolatków. Najgorsze ze wszystkiego mogło wydawać się – przynajmniej postronnemu obserwatorowi – to, że stracił semestr studiów i stypendia. Nie rozmawiał o tym z matką – ani razu, nigdy – bo wiedział, jaka byłaby zadowolona, że od początku miała rację.

Kiedy wyjechał do college'u, dzwoniła do niego dwa razy w tygodniu.

- Nigdy nie byłam w Kalifornii – wyznała kiedyś.

- Mamo, wszystko w porządku. To miły kampus. Bezpieczny.

- Nie wiem, jak tam jest – ciągnęła. – Nie potrafię wyobrazić sobie tam siebie.

Myślę o tobie i staram się przesyłać ci pozytywną energię, ale nie wiem, w którą stronę ją kierować.

- Na zachód – odparł.

- Nie to mam na myśli, Lincoln. Jak mam sobie wyobrazić dobrze rzeczy, które miałyby ci się zdarzyć, jeśli nie jestem w stanie wyobrazić sobie siebie?

On też za nią tęsknił. Tęsknił za Środkowym Zachodem. Otoczenie, którego tak pragnęła Sam, wywoływało ból w jego sercu. Północna Kalifornia była wręcz nierealnie piękna. Wszędzie, gdzie okiem sięgnąć, drzewa i strumienie, wodospady, góry, ocean... Nie było gdzie spojrzeć, żeby tylko popatrzeć, pomyśleć. Spędzał więc dużo czasu w uczelnianej bibliotece, miejscu bez okien.

Sam natomiast spędzała dużo czasu w uczelnianym teatrze. Jeszcze nie chodziła na zajęcia teatralne, ale wybrała się na kilka przedstawień i dostała kilka małych ról. W szkole średniej, kiedy brała udział w próbach, Lincoln jej towarzyszył. Brał z sobą pracę domową i siadał na widowni w tylnym rzędzie. Potrafił się w tych warunkach uczyć. Nie przeszkadzały mu dialogi postaci scenicznych ani inne odgłosy. Słyszał tylko głos Sam, który od czasu do czasu przebijał się przez zagadnienia chemiczne.

Lincoln chętnie uczyłby się w uczelnianym teatrze podczas prób Sam, gdyby nie

miała ona wrażenia, że przez to robi jej obciach.

- Przypominasz im wszystkim, że jestem inna - powiedziała mu kiedyś. - Że jestem tu nowa, że nie pochodzę stąd. Chcę, żeby patrząc na mnie, widzieli postać, którą gram. Widzieli mój talent i nic więcej. A ty im przypominasz, że mam za sobą ckliwą historię gdzieś z prowincji.

- Jak to ckliwą? - zapytał.

- No, chodzenie z zakochanym wiejskim chłopakiem.

- Nie jestem wiejskim chłopakiem.

- Dla nich jesteś - odparła. - Dla nich oboje spadliśmy z ciężarówki z ziemniakami. Śmieszy ich, że pochodzimy z Nebraski. Chyba śmieszy ich samo słowo „Nebraska”. Dla nich brzmi jak „Timbuktu” albo „Hoboken”.

- I „Punxsutawney”? - zapytał.

- Aha. I uważają za zabawne, że chodziliśmy razem do college'u.

- Dlaczego?

- Bo to zbyt słodkie - wyjaśniła. - Tak właśnie jest z dwojgiem dzieciaków, które dopiero co spadły z ciężarówki z ziemniakami. Jeśli wciąż będziesz przychodził ze mną na próby, nigdy nie dostanę dobrej roli.

- Może wystawię *Anię z Zielonego Wzgórza*.

- Lincoln, proszę.

- Chcę z tobą być. Jeżeli przestanę przychodzić do teatru, już w ogóle nie będę się z tobą widywał.

- Będiesz - powiedziała.

Ale się nie mylił.

Spotykali się tylko na śniadanie w akademikowej kafeterii. I kiedy przychodziła do jego pokoju po próbach, żeby pomógł jej w pracy albo żeby się wypłakać z powodu przykrości w teatrze. Nie chciała zostawać na noc, bo miał współlokatora. Stale mu jej brakowało.

- Spędzaliśmy ze sobą więcej czasu, kiedy mieszkaliśmy z rodzicami - poskarżył się któregoś rzadkiego piątkowego popołudnia, gdy przyszła do jego pokoju i pozwoliła mu się przytulić.

- W szkole średniej mieliśmy ten czas - odpowiedziała.

- To dlaczego inni mają go tu tyle? - zapytał.

- Kto na przykład?

- Wszyscy inni - odparł. - Wszędzie, gdzie pójde, widzę pary. Przesiadują u siebie w pokojach. Siedzą w holu i w stowarzyszeniu studentów. Spacerują i rozmawiają. - Wyobrażał sobie, że tak właśnie będzie w college'u. Widział siebie leżącego obok

Sam na wąskim łóżku w akademiku, trzymającego ją za rękę w drodze na zajęcia, rozkładającego się razem z nią na ławkach i kanapach w kawiarniach. – Ja mam na to czas.

– Więc może powinieneś spędzać go ze wszystkimi innymi – oznajmiła. Odsunęła się od niego i zaczęła zapinać czarny sweterek, ściągając włosy w kucyk.

– Ale ja chcę go spędzać z tobą.

– Właśnie spędzasz – zauważyła.

– I jest cudownie. Dlaczego nie może tak być częściej? Chociaż raz w tygodniu?

– Bo nie, Lincoln.

– Ale dlaczego? – Miał do siebie pretensję, że mówi jak dziecko.

– Nie po to przyjechałam tu na studia, żeby spędzać cały czas z chłopakiem ze szkoły średniej. Przyjechałam tu, żeby rozpocząć karierę.

– Nie jestem twoim chłopakiem ze szkoły średniej. Jestem twoim chłopakiem.

– Na tym piętrze znalazłoby się pewnie z półtuzina dziewczyn, które chętnie przez kilka następnych godzin poobściskowałyby się z tobą. Jeśli tego chcesz.

– Chcę ciebie.

– Więc ciesz się, kiedy jestem z tobą.

Sam nie chciała przyjechać do domu na ferie. Wolała zostać na uczelni i wziąć udział w miejscowej inscenizacji *Opowieści wigilijnej*. (Sądziła, że może dostać rolę Tiny'ego Tima). Jednak jej ojciec wylatał liniami lotniczymi tyle mil, że przysłał jej bilet do domu w pierwszej klasie.

– Nigdy wcześniej nie leciałam pierwszą klasą – powiedziała do Lincolna z podnieceniem. – Włożę na siebie coś w stylu Betty Grable, z krótkimi rękawiczkami, i zamówię dżin z tonikiem. – On zamierzał pojechać autokarem, co według Sam miało być fascynującym przeżyciem. – To takie amerykańskie. Zrobię ci kanapki na drogę.

Ale nie zrobiła. Oświadczyła, że nie może odprowadzić go na dworzec autobusowy, bo ma tego popołudnia zebranie grupy teatralnej. Odparł, że to nic, że i tak nie chciał, żeby go odprowadzała. Dziewczyna, która może zagrać Tiny'ego Tima, nie powinna wracać sama z dworca.

Jednak Lincoln był nieszczęśliwy, mieli się nie widzieć przez cały tydzień, od wyjazdu do Bożego Narodzenia. Ale przynajmniej oboje będą w domu – myślał. I spędzą razem tydzień po świętach, no i sylwestra. Może to im dobrze zrobi, jeśli zobaczą się ponownie we własnym środowisku. Postanowił przed wyjazdem zostawić Sam liścik, w którym chciał jej powiedzieć, że będzie za nią tęsknił. Kupił

niedrogi bukiet kwiatów w sklepie ogólnospożywczym naprzeciwko akademika i napisał na kartce w linie:

„Sam,
Choć jadę przez Dolinę Śmierci,
moje serce leci pierwszą klasą.
Kocham się, Lincoln”.

To brzmi romantycznie - myślał, idąc do budynku, w którym mieszkała. I geograficznie. I trochę biblijnie. Zatrzymał się na jej piętrze, w korytarzu przy windach, żeby dodać postscriptum: „Kocham cię, kocham cię, kocham się”. Kiedy skończył pisać ostatnie „cię”, drzwi jednej z wind się otworzyły.

Na widok Sam niemal się uśmiechnął. Niemal. Stała bowiem na palcach, z zadartą głową, triumfalnie obejmując za szyję innego faceta. Całowali się... zbyt entuzjastycznie, aby zauważyć, że winda się zatrzymała. Mężczyzna trzymał w dłoniach czarne loki Sam i jej krótką spódniczkę. Że coś tu nie gra, dotarło do Lincoln dopiero, kiedy drzwi windy zaczęły się zamykać. „To musi być dalszy ciąg próby” - pomyślał jeszcze. Czy nie znał tego gościa z teatru?

Wyciągnął rękę i wcisnął guzik, jakby chciał zjechać na dół. Drzwi windy otworzyły się ponownie.

Jasne, że go znał. To był Marlon. Niski, o ciemnej karnacji, nie stąd. Z Brazylii. A może z Wenezueli. Należał do tych, którzy zawsze gromadzą wokół siebie tłumy na bankietach z okazji zakończenia zdjęć do filmu, którzy zawsze stają na stole, żeby wznieść toast. Marlon. On i Sam grali już razem we wrześniu, w *Słomie*.

Sam podczas pocałunku zaczerpnęła powietrza. Lincoln dostrzegł jej język.

- Marlon? - powiedział głośno.

Wtedy gwałtownie się odwróciła. Mina jej zrzedła i zaraz potem drzwi windy się zamknęły.

Lincoln ze złością zaczął wciskać guzik. Winda otworzyła się znowu, ale nie zwracał na to uwagi. Chciał ściągnąć drugą. Nagle z rozpaczą zapragnął znaleźć się gdzie indziej, daleko stąd.

- Lincoln - usłyszał głos Sam.

Zignorował ją. Wciąż wciskał guzik.

- Pozwól, że ci wytłumaczę... - zaczęła.

Wcisk, wcisk, wcisk. Na dół, na dół, na dół.

- Tamta winda nie przyjedzie, dopóki ta jest tutaj - zauważyła Sam. Wciąż stała w windzie. Marlon powstrzymywał drzwi przed zamknięciem.

- Więc odjedźcie - rzucił Lincoln.

- Możesz zjechać tą windą - odezwał się Marlon swoim seksownym głosem południowca, Ricky'ego Ricardo.

Wcisk, wcisk, wcisk.

- Lincoln, przestań, coś sobie zrobisz w rękę - powiedziała Sam.

- Ach, oczywiście - znowu włączył się Marlon - to Lincoln. - Podniósł rękę. Jakby dopiero teraz go rozpoznał. Zaraz mnie uściska - pomyślał Lincoln. - Nie, wzniesie za mnie toast. „Panie i panowie, za Lincolna!”. Drzwi windy znowu zaczęły się zamykać. Tym razem stanęła w nich ona.

- Wsiądźcie z windy - zażądał Lincoln - i pozwólcie mi zjechać.

- Nie - sprzeciwiła się Sam. - Nikt nigdzie nie pojedzie. Lincoln, przerażasz mnie.

Mocno wcisnął guzik. Kolejny raz. Zgasło światło.

- Uspokójmy się - odezwał się Marlon. - Wszyscy jesteśmy dorośli.

Nie - pomyślał Lincoln - ty jesteś dorosły. Ja mam dopiero dziewiętnaście lat. I zrujnowałeś mi życie. Całując się z nią. Zniszczyłeś tymi swoimi ekspresyjnymi rączkami.

- To nie tak, jak myślisz - powiedziała Sam surowo.

- Nie? - zapytał.

- Cóż... - odparł dyplomatycznie Marlon.

- Nie - potwierdziła Sam. - Wszystko ci wyjaśnię.

Lincoln może by na to pozwolił, ale zebrało mu się na płacz. Nie chciał, żeby Marlon był tego świadkiem.

- Pozwólcie mi odjechać - powtórzył.

- Możesz zejść schodami - podsunął Marlon.

- No tak - odparł. - Rzeczywiście.

Odszedł, starając się nie biec. Już płacz był dostatecznym powodem do wstydu. Płacz przez osiem pięter żeńskiego akademika. Płacz w drodze na dworzec. Płacz podczas jazdy przez Nevadę, Utah i Wyoming. Płacz w rękaw kraciastej flanelowej koszuli, w stylu najżałośniejszego drwala na świecie. Próbując przypomnieć sobie wszystkie sytuacje, w których obiecywał Sam, że nigdy nie pokocha żadnej innej. Czy to się teraz zmieniło? Czy teraz oboje stali się kłamcami? Jeśli wierzył w prawdziwą miłość, czy to wszystko przekreślało? Wymazywało Marlona? Lincoln zamierzał pozwolić jej się wytłumaczyć. Po powrocie do domu. Nie, nawet o to nie poprosi.

Gdzieś w Kolorado zaczął pisać do niej list. „Nie wierzę, że mnie zdradziłaś - napisał. - A jeśli nawet, to nie ma znaczenia. Kocham cię ponad wszystko”.

Eve przyjechała po niego na dworzec.

- Wyglądasz okropnie - zauważyła. - Podróżowałeś w towarzystwie włóczęgów?
- Możemy w drodze do domu przejechać obok domu Sam?
- Jasne.

Kiedy się zbliżali, Lincoln poprosił Eve, żeby nie zajeżdżała na podjazd. Pokój Sam znajdował się nad garażem. Paliło się w nim światło. Lincoln myślał o tym, żeby zadzwonić do drzwi, ale skończyło się na tym, że tylko wrzucił list do skrzynki. Miał nadzieję, że podczas dalszej jazdy Eve nie będzie go o nic pytała.

ROZDZIAŁ 36

Lincoln zadzwonił do Sam następnego ranka i następnego. Jej matka za każdym razem jednak mówiła, że córki nie ma w domu. Sam oddzwoniła do niego dopiero w sylwestra.

- Dostałam twój list - powiedziała. - Możemy spotkać się w parku?

- Teraz? - zapytał.

- Teraz.

Lincoln pożyczył od siostry samochód i przyjechał na mały plac zabaw niedaleko domu Sam. To tam właśnie chadzali, kiedy nie mieli pieniędzy ani benzyny. Kiedy dojechał na miejsce, było tam pusto, więc usiadł na karuzeli i czekał. W Boże Narodzenie nie padał śnieg - ziemia była brązowa i łysa - ale panował chłód. Lincoln wprowadził w ruch karuzelę i kręcił się na niej, dopóki w odległości przecznicy nie ujrzał idącej w jego stronę Sam. Miała różową szminkę na ustach i kwiecistą minispódniczkę, pod którą musiała włożyć ciepłą bieliznę. Nie wzięła płaszcza.

Miał nadzieję, że usiądzie obok niego. I tak zrobiła. Pachniała gardeniami. Chciał jej dotknąć, rzucić się na nią. Nakryć ją sobą, jakby w ochronie przed wybuchem granatu.

Sam westchnęła głośno.

- Uznałam, że powinniśmy porozmawiać - zaczęła rzeczowo. - Że powinnam ci wyjaśnić...

- Nie musisz - odparł Lincoln, kręcąc głową.

Podwinęła spódniczkę pod nogi.

- Zimno ci? - zapytał.

- Chcę ci powiedzieć, że bardzo mi przykro - podjęła.

- Może dać ci kurtkę?

- Lincoln, posłuchaj. - Zwróciła ku niemu twarz. Lincoln nakazał sobie nie odwracać wzroku. - Przykro mi - powtórzyła. - Myślę jednak, że to, co się zdarzyło, nie zdarzyło się bez powodu. Ukazało stan rzeczy.

- Jaki stan rzeczy?

- Stan rzeczy między nami - wyjaśniła z rosnącym zniecierpliwieniem. - Prawdę o naszym związku.

- Pisałem ci, że nie musimy do tego wracać.

- Ależ tak, musimy. Widziałeś mnie z innym facetem. Nie sądzisz, że należy o tym porozmawiać?

Jezu. Inny facet. Dlaczego musiała tak to ująć?

- Lincoln... - powiedziała.

Znowu pokręcił głową i odpychając się od ziemi, rozruszał karuzelę.

- Nie chciałam, żeby tak się stało - zaczęła po dwóch czy trzech okrążeniach. -

Poznałam Marlona podczas prób do Słomy. Spędzaliśmy ze sobą dużo czasu i nasza znajomość zamieniła się w coś głębszego.

- Ale graliście tę sztukę we wrześniu - zauważył. Z nową rozpaczą.

- Tak.

- To było zaraz po naszym przyjeździe do Kalifornii.

- Powinnam była powiedzieć ci wcześniej.

- Nie - odrzekł Lincoln. - Powinnaś była... tego nie robić.

Oboje przez chwilę milczeli. Lincoln wciąż odpychał się od ziemi, tak że karuzela kręciła się coraz szybciej, aż w końcu Sam chwyciła go za ramię.

- Przestań - poprosiła. - Mam zawroty głowy.

Wbił więc pięty w zimną, twardą ziemię i ścisnął metalowy uchwyt.

- A myślałeś, że jak skończy się nasz związek? - zapytała Sam, kiedy wreszcie się zatrzymali. Sprawiała już wrażenie zagniewanej. - Tylko nie mów, że nie spodziewałeś się jego końca. Nie możesz być aż tak naiwny.

Ale był.

- Takie rzeczy się kończą - oznajmiła. - Zawsze. Nikt nie bierze ślubu ze swoją pierwszą miłością. Na tym właśnie polega pierwsza miłość. Jest pierwsza. A to znaczy, że następuje po niej druga i trzecia.

- Nie sądziłem, że wystąpisz przeciwko *Romeo i Julii* - powiedział.

- Zerwaliby ze sobą, gdyby dożyli do części drugiej.

- Kocham cię - rzucił. Zabrzmiało to błagalnie. - Powiedz, że ty mnie nie kochasz.

- Nie powiem tego. - Miała chłodny wyraz twarzy.

- Więc powiedz, że mnie kochasz.

- Zawsze będę cię kochać - odparła rzeczowo. Nie patrzyła na niego.

- Zawsze - powtórzył. - Ale nie teraz. Nie wystarczająco, żeby...

- Gdybym miała być z tobą - kontynuowała Sam - nie zakochałabym się w Marlonie.

Kiedyś, gdy grał z siostrą w krykieta, niechcący uderzyła go młotkiem w skroń. Upadając na ziemię, pomyślał: „Mogę umrzeć. Niewykluczone, że to koniec”. I tak samo się poczuł, kiedy Sam powiedziała mu, że zakochała się w Marlonie.

- Mówisz tak, jakby to ci się przydarzyło - zauważył. - Jakby stało się bez twojego udziału. Jakby zdrada była dziurą w chodniku. Przecież miałaś wybór.

- Zdrada? - Przewróciła oczami. - Dobrze. W takim razie zdecydowałam, że cię zdradzę. Czy wiedząc to, wciąż chcesz być ze mną?

- Tak.

Z niesmakiem cofnęła głowę.

Lincoln przysunął się do niej. Między nimi była zimna stalowa barierka (z tych, których nie należy lizać).

- To dlaczego chciałaś, żebym pojechał z tobą do Kalifornii? - spytał. - Jeśli wiedziałaś, że tak to się skończy?

- Nie planowałam tego - odparła. Już z mniejszym gniewem i może lekkim zawstydzeniem. - Nie wiedziałam, kiedy się skończy.

- Ja nie wiedziałem, że kiedykolwiek się skończy - odrzekł. - Gdybyś mnie uprzedziła, że tak będzie, nie jechałabym za tobą na drugi koniec kraju... - Urwał i spojrzał na nią. Nawet w ciemności, w styczniu, łamiąc mu serce, była różowa i promienna. Przypominała różany krzew, który kwitnie na okrągło. - Boże... - dodał. - Chociaż wiesz co? Pewnie i tak bym pojechał.

Znowu przez chwilę milczeli. Lincoln bał się odezwać. Wszystko, co miał do powiedzenia, brzmiało nie tak. Wszystko, co miał do powiedzenia, umniejszało w jej oczach jego atrakcyjność.

- Chciałam, żebyś pojechał ze mną - powiedziała w końcu Sam - bo bałam się jechać sama. I mówiłam sobie, że postępuję słusznie, godząc się na to... bo tego chciałaś. I nie miałaś innych planów. I... jeszcze wtedy nie byłam gotowa się z tobą rozstać.

Przez dłuższy czas siedzieli w milczeniu.

- To nie tak, że przestałam cię kochać - podjęła Sam. - Tylko nie jestem już tą osobą, która się w tobie zakochała.

Cisza.

- Ludzie się zmieniają - dodała.

- Przestań tak do mnie mówić - poprosił.

- Jak?

- Jak do lorda Greystoke'a, któremu trzeba tłumaczyć, jak to jest w świecie człowieka. Wiem, że ludzie się zmieniają. Tylko myślałem, że my będziemy zmieniać się razem. Że to właśnie oznacza miłość.

- Przykro mi.

Znowu cisza. Sam patrzyła, jak jej oddech zamarza. Wsparła się na łokciach

i przywołała na twarz nieobecny minę. Potem przejętą. Potem zbolełą. Aż wreszcie ściągniętą z bólu. Lincoln tyle razy widywał, jak to robiła, ćwicząc różne środki wyrazu, że nie uczyniło to na nim wrażenia.

- Jak to było? - zapytał. - Mówiłaś, że tego nie planowałaś. A potem zaczęłaś planować?

- Nie - odpowiedziała. - Miałam nadzieję, że kiedy przyjdzie czas, oboje po prostu zrozumiemy... Że to była jedna z ostatnich chwil. Jak w filmach, zagranicznych filmach, kiedy dzieje się coś drobnego, coś niemal nieuchwytnego, i wszystko się zmienia. Na przykład kobieta i mężczyzna jedzą śniadanie... on sięga po dżem, a ona mówi: „Myślałam, że nie lubisz dżemu”, a wtedy on odpowiada: „Nie lubiłem. Kiedyś”.

A może nawet i to nie jest takie oczywiste. Może on sięga po dżem, a ona tylko patrzy na niego, jakby go już nie znała. Jakby w chwili, gdy sięgnął po słoik, nie poznawała go.

Po śniadaniu mężczyzna idzie na spacer, a kobieta udaje się do ich wspólnej sypialni i pakuje małą brązową walizkę. Przystaje na chodniku i namyśla się, czy się pożegnać, zostawić list. Ale tego nie robi. Po prostu wsiada do taksówki i odjeżdża.

On, skręciwszy na podjazd, już wie, że ona odeszła. Jednak nie zawraca. Nie żałuje ani jednego dnia, który spędzili razem, łącznie z tym ostatnim. Może jeszcze znajdzie na schodach jedną z jej wstążek...

Sam położyła się na karuzeli. Przyznała sobie rolę pokrzywdzonej. Lincoln położył się obok niej, tak że ich głowy niemal się stykały.

- Kto gra mnie w twoim filmie? - zapytał łagodnie.

- Daniel Day-Lewis - odparła. Uśmiechnęła się. Lincoln pewnie mógłby ją teraz pocałować, gdyby chciał. Zamiast tego jednak pochylił się do jej ucha.

- Nigdy nie było takiej chwili, żebym cię nie poznawał - powiedział ledwie słyszalnie.

Sam otarła oczy. Rozmazał jej się tusz do rzęs. Lincoln znowu wprawił karuzelę w ruch. Mógłby teraz Sam pocałować. Gdyby chciał.

- Rozpoznałbym cię w ciemności - powiedział. - Z odległości tysiąca kilometrów. Nie mogłabyś zmienić się w nikogo, kogo bym już nie kochał.

Mógł ją pocałować.

- Znam cię - dodał.

Nawet kiedy się do niego odwróciła, nawet gdy zbliżyła dłoń do jego policzka, wiedział, że to nic nie znaczy. Nie zmieniła zdania. Mówiła „tak” chwili, nie jemu. Próbował sobie wmówić, że to wystarczy, ale nie potrafił. Bo nie mogło wystarczyć.

Teraz, kiedy była w jego ramionach, chciał, aby mu powiedziała, że wszystko będzie dobrze.

- Powiedz, że mnie kochasz - poprosił między jednym a drugim pocałunkiem.
- Kocham cię.
- Powiedz: „Zawsze będę cię kochała”. - Zabrzmiało to jak polecenie.
- Zawsze będę cię kochała.
- „Tylko ciebie”.

Pocałowała go.

- Powiedz: „Tylko ciebie” - zażądał.
- Proszę... - powiedziała.
- Sam...
- Nie mogę.

Usiadł prosto. Zeskoczył z karuzeli.

- Lincoln! - zawołała. - Poczekaj.

Pokręcił głową. Znowu zebrało mu się na płacz, ale nie chciał przy niej płakać.

Znowu. Ruszył do samochodu.

- Nie chcę, żebyś odjechał - powiedziała Sam. Była zasmucona. - Nie chcę, żeby tak to się skończyło.
- Nie masz na to wpływu - odparł Lincoln. - To się dzieje i już.

ROZDZIAŁ 37

Rzuciła go. I już. Nie było tak źle. Nie powinno być. Przecież nie byli małżeństwem. Nie zostawiła go przed ołtarzem ani nie uciekła z jego najlepszym przyjacielem i oszczędnościami na emeryturę.

Ludzie cały czas są przez kogoś rzucańi. Zwłaszcza w college'u. Nie od razu odchodzą z uczelni. Nie wypadają z życia. Nie boją się nad tym przez następne dziesięć lat, kiedy tylko mają okazję.

Gdyby coś takiego było tematem któregoś z odcinków *Zagubionego w czasie*, Scott Bakula po świętach wsiadłby do autokaru, dokończyłby rok studiów jak mężczyzna i zacząłby wydzwaniać do działu pomocy finansowej uniwersytetu w Nebrasce. A może w ogóle nie myślałby o przeniesieniu na inną uczelnię. Scott Bakula pewnie zostałby w Kalifornii i zagadnąłby ładną dziewczynę z lektoratu łacińskiego, czy nie poszłaby z nim na film z Susan Sarandon.

- Lubisz basety?

Lincoln siedział w pokoju socjalnym „Couriera” i jadł domową zupę pomidorową, wciąż myśląc o Scotcie Bakuli i o Sam, kiedy do rzeczywistości przywołała go Doris. Właśnie ładowała puszki z dietetyczną pepsi do automatu za jego plecami.

Nie bardzo wiedział, co konkretnie należy do jej obowiązków. Zawsze, kiedy ją widział, uzupełniała automaty do napojów, ale nie wyglądało to na pracę, która zajmuje osiem godzin. Doris była po sześćdziesiątce, miała krótkie, kręcone siwe włosy i nosiła duże okulary oraz czerwoną kamizelkę, która stanowiła jakby jej mundurek.

- Słucham? - zapytał, mając nadzieję, że zabrzmiało to grzecznie, a nie nerwowo.

- Basety - powtórzyła, wskazując rozłożoną gazetę, którą miał przed sobą. Widniało tam zdjęcie psa siedzącego kobiecie na kolanach.

- Nie sprawiłabym sobie baseta, gdybym mieszkała tak blisko oceanu - orzekła. Lincoln przyjrzał się zdjęciu. Nie widział na nim oceanu. Doris musiała przeczytać artykuł.

- No wiesz, one nie umieją pływać - wyjaśniła. - To jedyne psy, którego tego nie umieją. Są za grube i mają za krótkie łapy.

- Jak pingwiny - skomentował bez sensu.

- Pingwiny chyba umieją pływać - odparła Doris. - Natomiast baset utonąłby nawet w wannie. Mieliśmy jednego. Ładną suczkę, wabiła się Jolene. Kiedy ją straciliśmy, przepłakałam całą noc.

- Czy utonęła? - zapytał Lincoln.

- Nie. Miała białaczkę.

- Ojej - odrzekł. - Przykro mi.

- Skremowaliśmy ją. A potem włożyliśmy prochy do miedzianej urny. Takiej małej - dodała Doris, unosząc puszkę pepsi wild cherry. - Uwierzysz w to? Dorosły pies, jak Jolene, w takiej malutkiej urnie? Niewiele z nas wszystkich zostaje, kiedy pozbędziemy się wody. Jak myślisz, ile zostaje z człowieka? - Czekwała na odpowiedź.

- Pewnie mniej niż dwa litry - odpowiedział Lincoln, wciąż z poczuciem, że powinien zachowywać się grzecznie, jakby to była całkiem zwyczajna rozmowa.

- Pewnie masz rację - odparła ze smutkiem Doris.

- Kiedy zdechła?

- Jeszcze za życia Paula, poczekaj, z szesnaście lat temu. Po niej mieliśmy jeszcze dwa basety, ale nie były takie urocze... Kochanie, chcesz drobne, bo zamykam automat?

- Nie. Dziękuję - odrzekł.

Doris zamknęła automat z pepsi. Rozmawiali jeszcze przez chwilę o Jolene i nieżyjącym mężu Doris, Paulu, za którym tęskniła, ale nie z takim dławieniem w gardle jak za Jolene. Paul palił, pił i nie lubił warzyw. Nie chciał ich jeść. Nawet kukurydzy.

Kiedy Doris doszła do Dolly, swojego pierwszego psa rasy baset, i Ala, pierwszego męża, Lincoln zdążył zapomnieć, że rozmawia z nią z uprzejmości.

Następnego dnia nie poszedł do pracy. Zamiast tego pojechał do siostry i pomógł jej znieść z poddasza dekoracje na Święto Dziękczynienia.

- Dlaczego nie jesteś w pracy? - zapytała go, rozplątując łańcuch plastikowej żurawiny. - Miałeś ochotę zrobić sobie przerwę?

Wzruszył ramionami i wziął następne pudło.

- Uhm. Przerwę od przerwy.

- Co się stało? - zagadnęła.

Przyjechał do niej, bo wiedział, że go o to zapyta. I miał nadzieję, że kiedy to nastąpi, będzie potrafił odpowiedzieć. W obecności Eve widział wszystko jaśniej.

- Nie wiem - odparł. - Mam tylko poczucie, że coś powinienem zrobić.

- Co takiego?

- Nie mam pojęcia. Wydaje mi się, że w tym właśnie coś jest nie tak. Przynajmniej częściowo. Mam wrażenie, jakbym lunatykował.

- Wyglądasz, jakbyś lunatykował - zauważyła.

- Nie umiem się obudzić.

- Więc zrób coś - poradziła.

- Co takiego?

- Zmień coś.

- Przecież zmieniam - odrzekł. - Wróciłem do domu. Znalazłem sobie pracę.

- Więc pewnie nie zmieniłeś jeszcze tego, co trzeba.

- Gdybym był bohaterem filmu - powiedział - zgłosiłbym się do pomocy dzieciom specjalnej troski albo starszym ludziom. Zatrudniłbym się w cieplarni... albo wyjechał do Japonii, żeby tam uczyć angielskiego.

- Tak? I zamierzasz coś z tego spróbować?

- Nie. Sam nie wiem. Może.

Eve spojrzała na niego chłodno.

- Może powinieneś zapisać się na siłownię - rzuciła.

ROZDZIAŁ 38

Od: Beth Fremont

Do: Jennifer Scribner-Snyder

Wysłano: we wtorek, 16.11.1999, o godz. 14.16

Temat: Mój fajny facet

Przestajemy go nazywać moim fajnym facetem.

Jennifer do Beth:

Ja chyba nigdy go tak nie nazywałam.

Beth do Jennifer:

Teraz będziemy go nazywać moim bardzo fajnym facetem. A może moim bardzo fajnym, dobrym i współczującym - a także trochę zabawnym - facetem.

Jennifer do Beth:

Mało chwytliwe. Czy to ma znaczyć, że wiesz o nim coś więcej?

Beth do Jennifer:

Uhm. Tak. Pracowałam wczoraj do późna. Kiedy około dziewiątej zrobiłam sobie przerwę i poszłam do pokoju socjalnego na paczkę pysznych krakersików, zgadnij, kto tam był? Mój fajny facet. Jadł kolację i rozmawiał z Doris.

Jennifer do Beth:

Doris, tą od automatów?

Beth do Jennifer:

Tą samą. Opowiadała mi o swoim psie, który zdechł, jak się domyśliłam. To znaczy, istnieje możliwość, że chodziło o zmarłe dziecko, ale to raczej wątpliwie. Tak czy owak, Doris opowiadała o psie, a mój fajny facet słuchał z uwagą i zadawał sensowne pytania, kiwając głową. Nie mógł być miłszy.

Jennifer do Beth:

Może lubi rozmawiać o zdechłych psach.

Beth do Jennifer:

Ani bardziej uroczy. Nie mógł być bardziej uroczy.

Jennifer do Beth:

A zabawny? Dlaczego wydał ci się zabawny?

Beth do Jennifer:

Trudno wyjaśnić. Doris zapytała go, czy prochy zmarłego człowieka zmieściłyby się do puszki po pepsi, a on odpowiedział, że raczej do dwulitrowej butelki.

Jennifer do Beth:

To brzmi makabrycznie. Czy ktoś widział dziś Doris?

Beth do Jennifer:

W tamtym kontekście to nie było wcale makabryczne. Chyba opowiadała o kremacji psa. Tylko podsłuchiwałam, nie robiłam notatek. Najważniejsze, że był miły - naprawdę, naprawdę miły.

Jennifer do Beth:

I naprawdę, naprawdę uroczy.

Beth do Jennifer:

O mój Boże, tak. Musisz zobaczyć tego faceta. Pamiętasz, jak mówiłam, że przypomina Harrisona Forda? Teraz miałam okazję mu się przyjrzeć. Wygląda niczym połączenie Harrisona Forda i gościa z reklamy papierowych ręczników. Jest świetnie zbudowany.

Jennifer do Beth:

Mister Universe?

Beth do Jennifer:

Nie... raczej jak aktor, którego obsadzono by w roli Hulka, gdyby kręcono o nim film w latach czterdziestych czy pięćdziesiątych, kiedy „dobrze zbudowany” nie oznaczało „napakowany”. Jak John Wayne bez koszuli: facet niemający kaloryfera na brzuchu, ale taki, którego chciałabyś mieć podczas bójki po swojej stronie. Jakby uprawiał podnoszenie ciężarów. Albo ćwiczył w garażu ze sztangą czy coś takiego. Ale nie tykał koktajli z proteinami.

Wiesz co? Mogłybyśmy go nazywać moim przystojniakiem. Jest nie tylko fajny.

Jennifer do Beth:

Dobra, już go widzę. Harrison Ford plus John Wayne plus Hulk - plus facet z reklamy ręczników.

Beth do Jennifer:

Plus Jason Bateman.

Jennifer do Beth:

Kto to jest Jason Bateman?

I co tu robiłaś wczoraj o dziewiątej wieczorem?

Beth do Jennifer:

1. Jason Bateman grał najlepszego przyjaciela w Silver Spoons.

2. Wiesz, że lubię pracować wieczorami.

Jennifer do Beth:

1. Grał też w *Bajerze z Bel-Air*?

2. Nie rozumiem, dlaczego nie wolisz pójść do domu.

Beth do Jennifer:

1. Nie, to ten drugi kumpel. Biały. Ze zmarszczkami wokół oczu i ładnym nosem.

Jego siostra grała w *Family Ties*.

2. Wolę pracować wieczorami niż rano - a kiedyś muszę.

Gdybym przychodziła tu z samego rana, miałabym poczucie, że powinnam prasować ciuchy. Po drugiej po południu nikt się tu już czymś takim nie przejmuje. A po siódmej nikogo nie ma. (Z wyjątkiem redaktorów, a oni prawie się nie liczą). Poza tym fajnie jest być tu wieczorem. To tak, jakby znaleźć się w galerii handlowej po zamknięciu sklepów. Albo w szkole w sobotę. Poza tym czasami naprawdę muszę popracować. Kiedy mam do napisania recenzję na premierę filmu czy coś takiego.

Jennifer do Beth:

Ja chyba nie chciałabym siedzieć tutaj do późna. Nigdy nie czułam się bardziej samotna niż tamtego roku, kiedy pracowałam na nocnej zmianie.

I chyba wiem, jak wygląda Jason Bateman. Tyle że nigdy nie wydawał mi się przystojny.

Beth do Jennifer:

Cóż, zastanów się jeszcze. A mój przystojniak jest od niego jeszcze przystojniejszy.

ROZDZIAŁ 39

Nie, nie, nie – pomyślał Lincoln.

ROZDZIAŁ 40

Nie.

To niemożliwe.

Beth nie może mieć na myśli...

Wstał zza biurka i obszedł pusty dział IT. Znowu usiadł. Jeszcze raz przeczytał e-mail. Uroczy – pisała. Dobrze zbudowany. O mój Boże – pisała.

Przystojny.

Nie. To musi być pomyłka, przecież nie mogła... Nie.

Wstał ponownie. Usiadł. Wstał. Ruszył do męskiej toalety. Czy było tam lustro? A co takiego chciał zobaczyć? Sprawdzić, czy wciąż przypomina siebie? Lustro było. Duże. Spojrzał na swoje odbicie. Dobrze zbudowany? – zadał sobie pytanie. Naprawdę? Dobrze zbudowany?

Niewątpliwie wysoki. Trenerzy footballu w szkole średniej zawsze próbowali zwerbować go do drużyny, ale matka się nie zgadzała. „Nie, nie wstąpisz do drużyny połamańców. Ciągłe tam doznają urazów głowy” – mawiała. Położył sobie rękę na brzuchu. Można by go nazwać brzuszkiem piwnym, gdyby Lincoln pijał więcej niż jedno piwo miesięcznie. Dobrze zbudowany.

A do tego uroczy, pisała. Przystojny. Ze zmarszczkami wokół oczu.

Oparł czoło o lustro i przymknął powieki. Widok własnej uśmiechniętej twarzy zażenował go.

ROZDZIAŁ 41

Następnego ranka Lincoln wybrał się do siłowni. Facet na ruchomej bieżni tuż obok oglądał na jednym z wielkich monitorów *Zagubionego w czasie*. Lincoln potraktował to jako znak.

W drodze powrotnej do domu zatrzymał się przy banku, w którym pracowała Eve. Zajmowała w holu jeden z gabinetów z przeszklonymi ścianami.

- Hej - powiedziała na jego widok - chcesz otworzyć rachunek oszczędnościowy? O rany. Dlaczego jesteś taki spocony?

- Byłem w siłowni.

- Naprawdę? Świetnie. Czy to ma znaczyć, że poszedłeś za moją radą? Szkoda, że ci nie poradziłam, abys znalazł sobie mieszkanie. Znajdź sobie mieszkanie!

- Czy mogę ci zadać dziwne pytanie?

- Tylko szybko - odparła. - Wszyscy ludzie, którzy siedzą tam na kanapach, chcą otworzyć rachunek oszczędnościowy.

- Czy wyglądam jak Jason Bateman?

- A kto to jest Jason Bateman?

- Aktor. Grał w *Silver Spoons* i *The Hogan Family*.

- I w *Nastoletnim wilkołaku*?

- Tam grał Michael J. Fox - sprostował. - Nieważne. To nie miał być temat na całą rozmowę.

- Ten, który grał nastoletniego wilkołaka w *Nastoletnim wilkołaku* dwa?

- Zgadza się - odrzekł Lincoln. - To on.

Eve zmrużyła oczy.

- Uhm - odpowiedziała. - Rzeczywiście. Tak, teraz, kiedy o tym wspomniałeś...

Lincoln się uśmiechnął. Właściwie od jakiegoś czasu nie przestawał się uśmiechać.

- To dobrze? - zapytała Eve. - To dobrze, że jesteś podobny do Jasona Batemana?

- Ani dobrze, ani źle. Chciałem tylko upewnić się co do czegoś.

- Jesteś o wiele wyższy od niego.

- Idę - rzucił Lincoln, wychodząc.

- Dziękuję, że wybrał pan Second National! - zawołała za nim.

Tego wieczoru zespół IT zbierał się do wyjścia całą wieczność. Wszyscy świrowali na punkcie pluskwy milenijnej. Kristi, z którą Lincoln dzielił biurko, chciała przeprowadzić symulację Nowego Roku, żeby sprawdzić, czy program zadziała. Greg jednak orzekł, że jeśli chcą zamknąć gazetę i być może spowodować awarię prądu w promieniu sześciu kwartałów, to równie dobrze mogą poczekać do prawdziwego Nowego Roku, bo wtedy to będzie mniejsza kompromitacja. Członkowie międzynarodowego oddziału uderzeniowego nie włączali się do dyskusji. Siedzieli w kącie i pisali program, a tak naprawdę być może włamywali się do Dowództwa Obrony Północnoamerykańskiej Przestrzeni Powietrznej i Kosmicznej.

Lincoln wciąż starał się monitorować ich postępy i pomagać im, ale oni go unikali. Pewnie wiedzieli, że nie jest jednym z nich, że nie zaliczył nawet kursu komputerowego, a miał lepsze od nich wyniki na maturze. Wszyscy nosili niemarkowe koszulki polo, trampki i mieli taki sam zadowolony wyraz twarzy. Lincoln nie chciał prosić ich o pomoc przy kolorowej drukarce cyfrowej na górze, mimo że zachodził w głowę, co jest z nią nie tak. Co kilka dni zaczynała wariować i wypluwała kartkę za kartką w kolorze jaskrawej magenty.

- Jak mamy się przygotować na najgorszy scenariusz - argumentowała Kristi - jeśli nawet nie wiemy, jaki może być najgorszy?

Lincoln nie mógł się doczekać, kiedy otworzy folder WebSharka. Wprost umierał z niecierpliwości.

Greg odparł, że nie musi wjeżdżać swoim nissanem do rzeki, aby wiedzieć, że skończy się to cholerną katastrofą.

- To żadne porównanie - orzekła Kristi i poprosiła go, żeby nie przeklinał. W tamtej chwili Lincoln pragnął tylko, żeby system naprawdę padł 1 stycznia minutę po dwunastej. I żeby padł spektakularnie. I żeby go zwolnili, a na jego miejsce przyjęli kogoś z oddziału uderzeniowego, najlepiej tego z Bośni. Najpierw jednak chciał zajrzeć do folderu WebSharka. Natychmiast.

Może nie musiał czekać, aż wszyscy wyjdą... Nie było tajemnicą, że kontrolował zawartość tego folderu. To nic takiego - mówił sobie - kontrolowanie WebSharka należy do moich obowiązków. Ale była to tak słaba argumentacja, że postanowił nie zaglądać do folderu, nawet kiedy już wszyscy pójdą do domu.

Kiedy wreszcie do niego zajrzał, trochę po północy, właściwie nie spodziewał się, że znajdzie w nim takie rewelacje jak zeszłej nocy. Jakie było prawdopodobieństwo, że Beth znowu o nim napisze? Jakie było prawdopodobieństwo, że znowu go widziała? Ale gdyby nawet widziała, to czy zauważyłaby, że miał na sobie fajną

koszulkę i cesał się przez dwadzieścia minut?

ROZDZIAŁ 42

Od: Beth Fremont

Do: Jennifer Scribner-Snyder

Wysłano: we wtorek, 16.11.1999, o godz. 10.16

Temat: Ty

Hej, jak się masz?

Jennifer do Beth:

Dobrze. Normalnie. Tak jak zwykle.

Beth do Jennifer:

Naprawdę?

Jennifer do Beth:

Naprawdę? Nie.

Czuję się trochę jak zamachowiec samobójca. Chodzę wśród ludzi, jak gdyby nigdy nic, a mam świadomość, że noszę coś, co zmieni - może zniszczy - znany mi świat.

Beth do Jennifer:

„Zniszczy” to dość mocne słowo.

Jennifer do Beth:

Każdy mi mówi, że kiedy dziecko się urodzi, wszystko się zmieni, całe moje życie stanie się inne. To chyba znaczy, że moje obecne życie się skończy. Legnie w gruzach.

Beth do Jennifer:

Kiedy zakochałaś się w Mitchu, to też zmieniło cały twój świat, no nie? Ale go nie zniszczyło.

Jennifer do Beth:

Jasne, że tak, ale to mi nie przeszkadzało. Moje życie przed Mitchem było do niczego.

Beth do Jennifer:

Takie smutne. Historią życia przebiłabyś sierotkę Annie z musicalu, który w ogóle by nie powstał.

Jennifer do Beth:

I czy komuś by go brakowało?

ROZDZIAŁ 43

Dobra, nie wspomniała o nim więcej. Ale przynajmniej nie napisała: „Przyjrzałam się lepiej temu facetowi i jednak nie jest taki fajny, jak myślałam. Ani w połowie”.

Lincoln miał jednak wrażenie, że i tak uśmiecha się przez całą noc. Do końca zmiany grał on-line w scrabble'a i zasnął, gdy tylko przyłożył głowę do poduszki.

- Wcześniej wstałeś - powiedziała matka, kiedy następnego ranka zjawił się w kuchni o dziewiątej.

- Tak, chyba pójdę poćwiczyć.

- Naprawdę.

- A tak.

- Gdzie zamierzasz to robić? - spytała podejrzliwie, jakby odpowiedź mogła brzmieć: „w kasynie” albo „salonie masażu”.

- W siłowni.

- Której siłowni?

- Better Bodies.

- Better Bodies? - powtórzyła.

- Dalej przy ulicy.

- Wiem. Widziałam. Chcesz bajgla?

- Pewnie. - Uśmiechnął się. Bo ostatnio stale się uśmiechał. I przestał prosić, żeby nie wciskała mu jedzenia, zwłaszcza po konfrontacji z Eve. Z matką zawsze łączyło go jedzenie. W sposób niewidoczny, bez sznurków. - Dzięki.

Zaczęła przygotowywać dla niego bajgla z topionym serem, wędzonym łososiem i czerwoną cebulą.

- Better Bodies - powtórzyła jeszcze raz. - Czy to nie jedno z tych miejsc, do których przychodzi się na podryw?

- Nie wiem - odparł. - Byłem tam tylko raz i widziałem głównie starszych ludzi. Może podryw zaczyna się po popołudniu, kiedy inni wychodzą z pracy.

- Hmm - mruknęła matka, wyraźnie zamyślona. Lincoln udawał, że tego nie widzi.

- Tylko ta nazwa... - zaczęła. - Zwraca uwagę na ciało. Jakby koniecznie trzeba było ćwiczyć, żeby mieć dobre ciało. Nawet nie tyle dobre, ile lepsze. Jakby należało patrzeć na innych i myśleć: „Moje ciało jest znacznie lepsze niż wasze”.

- Uwielbiam cię, mam - powiedziała. Mówił serio. - Dzięki za śniadanie. Idę do siłowni.

- Bierzesz tam prysznic? Lepiej tego nie rób. Wyobraź sobie, jaki tam musi być grzyb, Lincoln.

- Dobrze.

Nietrudno było chodzić do siłowni, dopóki szedł tam zaraz po obudzeniu się, zanim zdążył zmienić zdanie. Pod wpływem porannych ćwiczeń miał wrażenie, że zaczyna dzień jak we flipperze, z wielką energią. To uczucie czasami utrzymywało się do szóstej albo siódmej wieczorem (kiedy zazwyczaj ustępowało wrażeniu, że bezwolnie przeskakuje z jednej sytuacji w następną bez celu ani kierunku).

Lincoln lubił wszystkie przyrządy w siłowni. Lubiał sztangi, bloki i instrukcje ich obsługi. Łatwo było spędzić tam dwie godziny, przechodząc od jednego urządzenia do drugiego. Myślał o tym, żeby poćwiczyć ze sztangą, zgodnie z wyobrażeniem Beth. Musiałby jednak poprosić kogoś o pomoc, a nie miał ochoty rozmawiać tam z nikim. Zwłaszcza z trenerami osobistymi, którzy plotkowali przy recepcji, kiedy brał ręcznik.

Lubił uczucie czystości, kiedy stamtąd wychodził. Rozgrzania rąk i nóg. Zimnego powietrza w wilgotnych włosach. Zaczął poruszać się energiczniej, nawet gdy nie musiał, przebiegał przez ulicę, choć nie nadjeżdżał żaden samochód, przyspieszał kroku tak po prostu.

W weekend, podczas gry w Dungeons & Dragons, Lincoln tak rozśmieszył Ricka, że tamten prychnął przez nos wodą mineralną. Opowiedział pokrętny dowcip o orku, ale Christine chichotała przez cały wieczór i nawet Larry się śmiał.

Może Lincoln był Dowcipnisiem.

ROZDZIAŁ 44

Od: Beth Fremont

Do: Jennifer Scribner-Snyder

Wysłano: w poniedziałek, 29.11.1999, o godz. 13.44

Temat: Następnym razem, kiedy moja siostra będzie wychodziła za mąż...

Przypomnij mi, że nie cierpię ślubów. I siostry.

Jennifer do Beth:

Przypadkiem wiem, że uwielbiasz śluby – i dajesz filmom dodatkową gwiazdkę, jeśli zawierają scenę ślubu. Czy nie dlatego przyznałaś *Czterem weselom i pogrzebowi* cztery gwiazdki, mimo że twoim zdaniem Andie MacDowell, choć wyglądała świetnie, była tam beznadziejna?

Beth do Jennifer:

Masz rację. Uwielbiam śluby. Ale nie cierpię siostry.

Jennifer do Beth:

Dlaczego?

Beth do Jennifer:

Głównie dlatego... że wychodzi za mąż przede mną. Jestem tak małostkowa jak starsza siostra w dramacie historycznym. „Ach, ojciec, ona nie może wyjść za mąż wcześniej niż ja. Jestem najstarsza z rodzeństwa”.

Jennifer do Beth:

Och, uwielbiam dramaty historyczne, szczególnie jeśli gra w nich Colin Firth. Jestem jak Bridget Jones, jeśli naprawdę była gruba.

Beth do Jennifer:

Och... Colin Firth. Powinien grać wyłącznie w dramatach historycznych. W dramatach historycznych powinni obsadzać wyłącznie jego. (Dodatkowa gwiazdka za Colina Firtha. Dwie gwiazdki za Colina Firtha w kamizelce).

Jennifer do Beth:

Powtarzaj jego nazwisko, nawet ono jest zniewalające.

Beth do Jennifer:

Chyba znalazłyśmy wreszcie faceta, o którego pobiłybyśmy się w barze na lotnisku.

Jennifer do Beth:

Zapomniałaś o Benie Afflecku.

Zapomniałaś także, że miałaś się wyżalić z powodu ślubu siostry.

Beth do Jennifer:

Ben Affleck! Jesteś pewna, że nie przekonasz się do Matta Damona? Mogłybyśmy umówić się na podwójną randkę...

Nie zapomniałam. Myślałam tylko, że próbujesz zmienić temat, bo jestem żałosna. Nie mam co się żalić. Przeszkadza mi tylko jedno: zawsze myślałam, że do czasu ślubu siostry będę już mężatką.

Jennifer do Beth:

To wcale nie takie żałosne.

Beth do Jennifer:

Nie, rzeczywiście nie. Kończąc szkołę średnią, miałam cały plan:

Pójdę do college'u, będę umawiać się z facetami, a potem, pod koniec pierwszego roku, no, może na początku drugiego, poznam tego jedyne. Na ostatnim roku się zaręczymy, a rok później pobierzemy. A po okresie podróżowania sprawimy sobie dzieci. Czwooro, co trzy lata. Chciałam z tym skończyć przed trzydziestym piątym rokiem życia.

Jennifer do Beth:

Czwooro dzieci? Czy to nie lekka przesada?

Beth do Jennifer:

Nieważne. To już niemożliwe z arytmetycznego punktu widzenia.

Nie wyszłam za mąż. Nie jestem nawet tego bliska. Nawet gdybym miała jutro zerwać z Chrisem i poznać kogoś już następnego dnia, mój plan także byłby nierealny. Minąłby rok albo dwa, zanim byśmy się zorientowali, czy do siebie pasujemy, potem co najmniej sześciomiesięczne zaręczyny... Czyli zanim mogłabym zajść w ciążę, miałabym co najmniej 31 lat.

A to i tak optymistyczna wersja. Gdybym jutro zerwała z Chrisem, przez rok byłabym nie do życia (30 lat). Poznanie kogoś innego mogłoby zająć kolejny rok (31). Albo nawet sześć lat (36). Jak można coś planować przy takich zmiennych?

Jennifer do Beth:

Pogubiłam się. Myślałam, że masz 28 lat.

Beth do Jennifer:

Mój plan od początku był do niczego. Może doszłabym do tego wcześniej, gdybym na lekcjach trygonometrii nie pisała liścików do mojego chłopaka z dziesiątej klasy.

W tym cała rzecz – mały drobiazg: nie mogę pozbyć się wrażenia, że miało być inaczej. Nigdy się nie martwiłam, że nie znajdę sobie faceta.

Jako szóstoklasistka chodziłam z najfajniejszym chłopakiem w klasie. Przez pół roku ze dwa razy rozmawialiśmy przez telefon i trzymaliśmy się za ręce podczas popołudniowego seansu *Supermana III*. Zawsze miałam partnera na tańce, i to odpowiedniego partnera. Po raz pierwszy zakochałam się w dziesiątej klasie, w chłopaku, w którym powinnam się zakochać. Zerwałam z nim po roku i tak też miało być.

Byłam pewna, że nigdy nie będę musiała się martwić znalezieniem właściwego faceta. Sądziłam, że po prostu go poznam, jak to było w przypadku moich rodziców czy dziadków, którzy osiągnęli odpowiedni wiek, trafili na swoją drugą połówkę, pobrali się, mieli dzieci.

Jennifer do Beth:

Chyba cię znienawidzę.

Beth do Jennifer:

Za to, że byłam dziewczyną, która zawsze miała chłopaka?

Jennifer do Beth:

Tak, ja nigdy nie miałam partnera na żadne tańce. Nigdy nie uważałam za pewnik, że ktoś się we mnie zakocha. Nie mówiąc już o właściwym facecie.

Beth do Jennifer:

Rzeczywiście, masz powody, żeby mnie nienawidzić. Ale ja też mam, żeby nienawidzić ciebie. Poznałaś właściwego faceta we właściwym czasie. Wyszłaś za mąż za najfajniejszego chłopaka w klasie. A teraz jesteś w ciąży.

Jennifer do Beth:

Ale ty też poznałaś właściwego faceta, no nie?

Beth do Jennifer:

Chyba już w to nie wierzę. W drugą połówkę. Idealnego mężczyznę. Tego jednego.

Jennifer do Beth:

Więc chcesz żyć bez wiary w wymarzoną przyszłość?

Beth do Jennifer:

I prawdziwej miłości.

ROZDZIAŁ 45

Lincoln co wieczór jadł kolację w pokoju socjalnym o tej samej porze, bo uważał, że to może zwiększyć jego szanse na spotkanie z Beth. Doris doceniała jego towarzystwo. Z upodobaniem robiła sobie przerwę punkt dziewiąta. Zawsze przynosiła kanapkę z białego chleba z indykiem i kupowała z automatu dietetyczny napój pomarańczowy.

- Czy to twoja dziewczyna robi ci te wymyślne rzeczy na kolację? - zapytała pewnego wieczoru, kiedy podgrzewał pizzę ze szpinakiem i ziemniakami.

- Moja mama - odpowiedział.

- Nic dziwnego, że tak wyrosłeś - odparła Doris.

Wyjął talerz z mikrofalówki i mu się przyjrzał. Rzeczywiście, pizza była duża. Niektórzy mówili, że kiedy się ćwiczy, ma się mniejszy apetyt, ale on był teraz bardziej głodny niż kiedykolwiek wcześniej. Zabierał na siłownię banany, żeby coś zjeść w samochodzie po wyjściu.

- Musi być dobrą kucharką ta twoja matka. Kiedy tu przychodzisz, zawsze czuję zapachy jak z najlepszej restauracji.

- O tak. Świetnie gotuje.

- Ja tam nigdy nie byłem dobra w kuchni. Umiem przyrządzić klops i casserole z zielonej fasoli, ale Paul, jeśli miał ochotę na coś wymyślnego, sam musiał to sobie ugotować. Co to jest? Wygląda jak gigantyczna kanapka.

- To pizza - wyjaśnił Lincoln. - Z podwójnym serem, szpinakiem i ziemniakami. Włoska specjalność. Chcesz spróbować?

- Skoro proponujesz... - odrzekła skwapliwie Doris. Lincoln odkroił dla niej kawałek pizzy. I tak zostało jej dużo na talerzu.

- O, jakie dobre - oznajmiła, zjadłszy kęs. - A nie przepadam za szpinakiem. Jesteście włoskiego pochodzenia?

- Nie - odpowiedział. - Raczej niemieckiego z niewielką domieszką krwi irlandzkiej. Mama po prostu lubi gotować.

- Szczęściarzem z ciebie - skwitowała, biorąc drugi kęs.

- Masz dzieci? - zagadnął Lincoln.

- Nie. Paul i ja robiliśmy to samo co inni i nic. W tamtych czasach, jeśli nie miało się dzieci, to się nie miało i już. Nie chodziło się po lekarzach, żeby sprawdzić, czyja

to wina. Moja siostra zaszła w ciążę dopiero piętnaście lat po ślubie. Myślałam, że z nami też tak będzie, ale nie... Trudno.

Oboje jedli w milczeniu. Lincoln nie był za dobry w towarzyskich rozmowach. Nie chciał zadawać tak osobistego pytania.

- Mama upiekła rano ciasto marchewkowe - powiedział - i dała mi go o wiele za dużo. Zjesz ze mną na spólkę?

- Skoro pytasz...

Właśnie kończyli ciasto, kiedy do pokoju weszła młoda kobieta. Lincoln od razu się wyprostował, ale po chwili rozpoznał w niej jedną z redaktorek, drobną dziewczynę, która kiedyś poczęstowała go chlebkiem bananowym. Teraz uśmiechnęła się do niego nerwowo.

- Jesteś z działu IT, prawda? - zapytała.

Skinął głową.

- Przepraszam, że przeszkadzam ci w kolacji. Dzwoniliśmy do ciebie, ale nie było cię w biurze. Nasza dwójka nie może wejść na serwer. A mamy termin. Przepraszam. - Dziewczyna spojrzała na Doris. - Wiem, że zrobiliście sobie przerwę.

- Nie musisz mnie przeproszać - odparła Doris. - To nie pierwszy raz, kiedy mężczyzna zostawia mnie dla młodszej.

Lincoln już wstawał.

- W porządku, zobaczę, co da się zrobić.

- Naprawdę mi przykro - powtórzyła dziewczyna, kiedy szli do działu newsów.

- Nic się nie stało - odrzekł. - To moja praca.

- Przykro mi, że nazwałam cię facetem z IT. Nie wiedziałam... nikt z redakcji nie wie, jak się nazywasz.

- Jestem facetem z IT i reaguję, gdy ktoś tak do mnie mówi, więc się nie przejmuj.

Skinęła głową ze skrepowaniem.

- A nazywam się Lincoln - powiedział, wyciągając do niej rękę.

- Miło mi cię poznać - odparła z ulgą, ściskając jego dłoń. - Jestem Emilie.

Byli już przy jej komputerze.

- Możesz mi pokazać, co się dzieje? - poprosił. Dziewczyna usiadła i próbowała zalogować się na serwerze. Na monitorze pojawił się jednak komunikat o błędzie.

- Tak jest za każdym razem - wyjaśniła.

- To betka - zauważył, pochylając się, żeby ująć jej myszkę. Ale Emilie wciąż trzymała na niej rękę. Ich dłonie się zetknęły i odskoczyły. Lincoln poczuł, że się rumieni. Jeśli tak reagował wobec dziewczyny, która nie robiła na nim wielkiego

wrażenia, to jak by się zachował, gdyby musiał zrobić coś przy komputerze Beth? Jeszcze by ją obrzygał.

- Może lepiej usiądę - powiedział.

Emilie wstała i zajął jej miejsce. Siedzisko było ustawione tak wysoko, że chyba nie dotykała stopami ziemi. Teraz, kiedy stała obok, można było odnieść wrażenie, że są tego samego wzrostu. Mimowolnie Lincoln pomyślał o Sam. Tak niskiej, że mógł ją podnieść jedną ręką. Skulonej przy nim na podjeździe. Tańczącej powoli z policzkiem na wysokości trzeciego guzika jego koszuli.

- Załatwione - powiedział do Emilie - jesteś zalogowana. Nie powinnaś już mieć z tym kłopotu. Ale zadzwoń do mnie, gdyby tak się stało. Albo... wiesz, gdzie mnie znaleźć. Powiedziałaś, że jeszcze ktoś miał podobny problem?

Lincoln pomógł dwóm innym redaktorkom podłączyć się do Internetu. Kiedy odchodził, Emilie stała przy drukarce. Była ładna, miała jasną, subtelną urodę.

- Lincoln... - powiedziała.

Zatrzymał się.

- Zwykle jadamy tutaj - ciągnęła - przy biurkach. W piątki zamawiamy pizzę. Przyjdź i posiedź z nami. To znaczy, jeśli nie wolisz jeść z Doris. Jest naprawdę miła.

- Jasne - odparł. Wyobraził sobie, jak je na gorze, a potem nerwowo zerknął w głąb działu newsów. - Dzięki.

ROZDZIAŁ 46

Od: Beth Fremont

Do: Jennifer Scribner-Snyder

Wysłano: w piątek, 03.12.1999, o godz. 13.35

Temat: Niscy nie mają prawa żyć

Dlaczego wysokim facetom zawsze podobają się niskie kobiety? Nie tylko niskie... Wręcz malutkie. Drobniutkie. Ci najwyżsi zawsze, zawsze, zawsze wybierają te najniższe. Zawsze.

Jakby byli tak urzeczeni swoim wzrostem, że chcą być z kimś, przy kim wydają się jeszcze wyżsi. Z kimś, nad kim mogą górować. Z laleczką, przy której czują się jeszcze więksi i silniejsi.

Za każdym razem, kiedy widzę wysokiego faceta z niską dziewczyną, mam ochotę wziąć go na stronę i spytać: „Ale zdajesz sobie sprawę, że twoi synowie nie będą grali w koszykówkę, co?”.

Nie byłoby źle, gdyby z kolei niskim facetom podobały się wysokie kobiety. Ale to tak nie działa. Ci omijają nas z daleka.

Jennifer do Beth:

Chodzi o Chrisa? Zdradza cię z Holly Hunter?

Beth do Jennifer:

Holly Hunter?

Jennifer do Beth:

To najniższa kobieta, jaka przychodzi mi do głowy. A może z Rheą Perlman?

Beth do Jennifer:

Zdradza? Dlaczego zdradza?

Jennifer do Beth:

Nie wściekaj się na mnie. To nie ja romansuję na boku z Crystal Gayle.

Beth do Jennifer:

Crystal Gayle nie jest taka niska.

Jennifer do Beth:

To nie dlatego jej włosy wydają się takie długie?

Beth do Jennifer:

Nie chodzi mi o Chrisa. Chris nikim się nie interesuje, łącznie ze mną. Mam na myśli swojego fajnego faceta.

Jennifer do Beth:

Tego od papierowych ręczników? Zdradza cię z Mary Lou Retton?

Beth do Jennifer:

Gorzej. Widziałam, jak podczas nocnej zmiany rozmawiał z Emilie.

Jennifer do Beth:

Tą niziutką blondynką?

Beth do Jennifer:

Zgadza się.

Jennifer do Beth:

Ona nie jest tylko niska. Wygląda jak osoba normalnych rozmiarów, którą zminiaturyzowano, tak że ma idealne proporcje. Można by ją wstawić do domku dla lalek, jest taka drobniutka, a jednak z krwi i kości.

Zwróciłaś kiedyś uwagę na jej talię? Jest wąziutka.

Beth do Jennifer:

Mogłabym objąć ją obiema dłońmi. Jeśli ja, stojąc przy niej, czuję się silna i męska, to mój fajny facet musi się czuć jak bóg.

Jennifer do Beth:

To liliputka.

Beth do Jennifer:

W Disneylandzie nie pozwoliliby jej zjechać do wody ze zjeżdżalni.

Jennifer do Beth:

Wiesz, czego w niej nie lubię? Tego, że piszę swoje imię z „-ie” na końcu. Wszyscy

wiedzą, że „Emily” pisze się „Emily”. Po co pisać je z „-ie”? To nie czyni jej wyjątkową. Nie wyróżnia z tłumu wszystkich innych dziewczyn o tym imieniu. Tylko wprowadza zamęt.

Beth do Jennifer:

Pewnie jej rodzice uznali, że tak będzie oryginalniej. To nie jej wina.

Jennifer do Beth:

Słusznie, nie jej wina. Zupełnie inaczej mają się sprawy z jej drobniutką, idealną figurą.

Kiedy widziałaś ich razem?

Beth do Jennifer:

Zeszłego wieczoru. Skończyłam pisać recenzję i poszłam do redaktorów, żeby rzucili na nią okiem. I zobaczyłam tych dwoje. Rozmawiali. Przed Bogiem i ludźmi.

Jennifer do Beth:

Może rozmawiali o pracy.

Beth do Jennifer:

Jakiej pracy? On nie pracuje w redakcji. Co, do licha, robi? Nie sędzę, żeby pracował w reklamie – nosi bojówki. Kto musi siedzieć tu w nocy? Może jest z ochrony. Albo to dozorca.

Jennifer do Beth:

Może pracuje przy prasach. Drukarze są tu do rana.

Beth do Jennifer:

Nie jest drukarzem. Oni noszą granatowe kombinezony i wszyscy mają wąsy. Poza tym naprawdę nie rozmawiał z Emilie o robocie. Ona się śmiała. I kręciła na palcu ten swój pszeniczny koński ogon jak dzierlatka.

Jennifer do Beth:

A on się śmiał?

Beth do Jennifer:

Nie, właściwie nie. Głównie stał nad nią. Z uśmiechem.

Och, niech cię diabli, miniaturowa Emilie, ty mała uwodzicielko.

Jennifer do Beth:

Czy to znaczy, że teraz musimy go nazywać fajnym facetem Emilie?

Beth do Jennifer:

Niedoczekanie!

Jennifer do Beth:

Szczęściarło, w twoim życiu jest już bardzo wysoki facet, który nie ma syndromu Calineczki.

Beth do Jennifer:

Próbujesz wzbudzić we mnie poczucie winy? Nawet nie lubisz Chrisa.

Jennifer do Beth:

Przepraszam. Mam to po matce. Po prostu nie mogę sobie darować, żeby nie wzbudzić w kimś poczucia winy, jeśli nadarzy się okazja. A z drugiej strony nie da się zaprzeczyć, że Chris jest twoim chłopakiem.

Beth do Jennifer:

Przestań. Przecież go nie zdradzam.

Jennifer do Beth:

Chyba poczułabym się zraniona, gdybym się dowiedziała, że Mitch myśli o jakieś lasce z pracy per „moja fajna dziewczyna”.

Beth do Jennifer:

To co innego. Mitch pracuje w szkole średniej. Z prawdziwymi dziewczynami.

Jennifer do Beth:

Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

ROZDZIAŁ 47

- Co się tak szczerzysz? - zapytała Doris, pochłaniając manicotti. Nie posiadała się z radości, kiedy Lincoln jej powiedział, że przyniósł ich wystarczająco dużo dla nich obojga.

- Wcale się nie szczerzę - odpowiedział. - Tylko uśmiecham. Jak normalny człowiek.

- Myślę, że ma to związek z dziewczyną.

Lincoln się wyszczerzył i wziął kęs manicotti do ust.

- Nie dziwię ci się - zauważyła. - Ta Emilie to atrakcyjna babeczka. I widać, że cię lubi.

- Nie chodzi o Emilie - odparł Lincoln z pełnymi ustami.

- Nie? - zdziwiła się Doris. - To o kogo?

- Nie wiem - odrzekł Lincoln zgodnie z prawdą.

- Hm, mógłbyś trafić gorzej. Emilie to bystra dziewczyna. I zdrowa. Je dużo marchewki.

- Nie jest w moim typie - wyjaśnił, czując, że rozpiera go radość. Głupia radość. Bo jakie to miało znaczenie, że Beth go widziała i że jest zazdrosna.

Znaczyło, że dziewczyna, o której dużo myślał i która bardzo mu się podobała, także myśli o nim.

- Czyżby? - zapytała Doris.

- Jest trochę za niska. - Lincoln się zaśmiał.

- Jesteśmy wybredni. Powiedz, jakim serem twoja mama nadziała te rurki?

- Romano - odpowiedział.

- Hm. Cuchnie okropnie, ale jest przepyszny.

Następnego dnia była sobota i Lincoln miał dla siebie całą siłownię. Mógł wybierać wśród przyrządów do ćwiczeń i czasopism o tematyce fitness dla mężczyzn. Nie to, żeby był w stanie czytać, bo nie mógł na niczym się skupić. Wciąż myślał o Beth i tym, co napisała.

Beth.

Podobał się jej.

Nie znała go, ale jej się podobał. Myślała o nim w sensie fizycznym. O tym, ile

miejsca zajmuje w przestrzeni.

I była zazdrosna. Kiedy jakaś dziewczyna była o niego zazdrosna? Nie Sam, stwierdził, kręcąc głową i starając się odsunąć od siebie myśl o niej.

Beth go jednak nie знаła. To nie była prawdziwa zazdrość. To w ogóle nic nie było.

Ale mogło być. Bardzo mu się podobała, a on podobał się jej. Podobał jej się z wyglądu, a to dobry początek. Musiał istnieć jakiś sposób, żeby się do niej zbliżyć, zwrócić jej uwagę, spotkać się z nią.

Wyprzedzał ruchomą bieżnię. Zwiększył prędkość, żeby się nie potykać.

Beth miała chłopaka, na tym polegał problem. Ale najwyraźniej nie była to zdrowa relacja. (Justin i on spędzali z nim w weekendy więcej wieczorów niż ona). Mógłby przejść obok jej biurka, gdyby wiedział, że przy nim siedzi...

A gdyby się udało? Gdyby go polubiła? Naprawdę polubiła?

Nie mógłby jej powiedzieć o e-mailach. Musiałby to zachować w sekrecie. Nawet gdyby się pobrali i mieli dzieci. Czy ludzie nie mają przed sobą sekretów przez całe życie? Jeden z jego stryjów nie wiedział, że jego żona była wcześniej mężatką, dopóki na jej pogrzebie nie zjawili się jej wszyscy byli mężowie...

On jednak musiałby powiedzieć Beth.

Ale nie mógł tego zrobić. To by wszystko zepsuło. Był głupi.

Mimo to... przecież o nim myślała. Była zazdrosna.

Po ćwiczeniu na bieżni przepelniała go taka energia, że poszedł do sali ze sztangami. Nikogo poza nim tam nie było, a trenerka czytała czasopismo.

- Przepraszam - powiedział do niej. - Czy muszę się umówić na naukę podnoszenia ciężarów?

Odłożyła czasopismo.

- Zwykle tak - odparła, rozglądając się po pustej sali. - Ale dziś nie.

Miała na imię Becca i specjalizowała się w zdrowym żywieniu. Lincoln nie miał pojęcia, że można się w tym specjalizować. Była trochę zbyt umięśniona i opalona. Ale wykazywała wielką cierpliwość. I wciąż go uspokajała, że nie robi z siebie idioty.

Pomogła mu ułożyć program ćwiczeń ze sztangą i spisała wszystko w specjalnym folderze.

- Kiedy już to podłapiesz, powinieneś popracować trochę nad masą - orzekła. - Możesz stać się naprawdę potężny. Widać to po twoich łokciach.

- Po łokciach?

- Nie ma na nich tłuszczu - wyjaśniła - więc da się ocenić budowę kostną

i rozmiary, jakie możesz osiągnąć. Ja mam małe łokcie, no średnie, więc wiele nie zdziałam. Nigdy więc nie będę wyczynowcem. – Lincoln podziękował jej szczerze po zakończeniu treningu, a ona powiedziała mu, żeby do niej przyszedł, kiedy znudzi mu się program ćwiczeń.

Idąc do samochodu, czuł, że wszystko go boli. Usiłował przyjrzeć się swoim łokciom, ale bez lustra było to niemożliwe.

Wieczorem, kiedy przyjechał do Christine i Dave'a, drzwi otworzyła mu Christine. Z salonu dochodziły ożywione głosy.

– Zaczęliście już grać?

– Nie, czekamy, aż Teddy przyjedzie z pracy. Dave i Larry grają w karcianą wersję *Gwiezdných wojen*. Znasz to?

– Nie. Fajne?

– Taaa, jeśli chcesz, żeby twoje dzieciaki w przyszłości wydawały kieszonkowe na gry hazardowe.

– Nasze dzieci będą dostawały stypendia! – zawołał z salonu Dave. – Lincoln, chodź, popatrz! Dławię rebelię.

– Nie idź – poprosiła Christine z uśmiechem. – Dotrzymaj mi towarzystwa. Robię pizzę.

– Jasne – odparł Lincoln, idąc za nią do kuchni.

– Możesz pokroić cebulę – powiedziała. – Nienawidzę tego robić. Od razu zaczynam płakać, a kiedy płaczę, przychodzą mi do głowy smutne myśli, od których nie mogę się wyzwolić. Powieszę ci kurtkę.

W kuchni pachniało już czosnkiem. Christine wyłożyła na blat potrzebne składniki – i wszystko inne. Podała mu ostry nóż i cebulę.

– Tylko zrób sobie miejsce.

Odsunął dwa worki ziemniaków, dzbanek czerwonego wina i urządzenie do robienia jogurtu. Oto dziewczyna, która spodobałaby się mojej matce – pomyślał, myjąc ręce. – To znaczy, spodobałaby się, gdyby matka chciała, żebym miał dziewczynę. Dziewczyna jak ta, która robi w domu jogurt i karmi piersią, opowiadając ci o czymś, co przeczytała w poradniku zielarskim.

Przyglądał się, jak Christine przygotowuje dla młodszego dziecka talerz z rodzynkami i plasterkami banana. Co w niej mogłoby nie podobać się jego matce? – zaczął się zastanawiać. Coś by musiało. Eve powiedziałaby, że Christine za dużo się uśmiecha i powinna nosić bardziej masywny stanik.

Posiekał cebulę na równe kawałki i zaczął kroić pomidory. Od ćwiczeń ze sztangą wciąż bolały go ramiona, a od nieustającego uśmiechania się ciągnęła twarz.

- Jesteś jakiś inny, Lincoln - zauważyła Christine, robiąc więcej miejsca na blacie, żeby rozwałkować ciasto. Popatrzyła na niego tak, jakby rozwiązywała w głowie problem matematyczny. - O co chodzi?

Zaśmiał się.

- Nie wiem. A co?

- Jesteś inny - powtórzyła. - Chyba schudłeś. Schudłeś?

- Być może - odparł. - Trochę ćwiczę.

- Hmm. - Przyjrzała mu się, ugniatając ciasto. - Ale to nie to... Masz pogodniejszy wzrok. Prostujesz plecy. Jesteś cały w skowronkach.

- Czy tak się nie mówi o szesnastolatce?

- A to ma coś wspólnego z szesnastolatką?

- Oczywiście, że nie. - Zaśmiał się znowu. - Gdzie miałbym ją poznać?

- Ale chodzi o dziewczynę - upewniła się radośnie Christine. - To dziewczyna!

- Co za dziewczyna? - zapytał Dave, wchodząc do kuchni. Otworzył lodówkę i wyjął z niej dwa piwa. - Czy Lincoln zrobił jakiejś dziecko?

Patrząc na Christine, Lincoln pokręcił głową, co jeszcze bardziej - widział to - podsyciło jej ciekawość.

- Zdławiłeś już rebelię do szczytu? - zapytała.

Dave ściągnął brwi.

- Nie - odparł potulnie, wracając do salonu - ale zaraz to zrobię.

- Więc to dziewczyna - szepnęła Christine, gdy tylko Dave wyszedł. - Nasze modlitwy zostały wysłuchane! Opowiedz mi o niej.

- Naprawdę się o mnie modliliście? - zapytał Lincoln.

- Pewnie, że tak - odpowiedziała. - Modłę się o każdego, na kim mi zależy. Poza tym lubię modlić się o coś, co jest realne. Modłę się o tyle rzeczy, które są niemożliwe nawet dla Boga. To takie satysfakcjonujące prosić o coś, co może się stać. To daje mi siłę. Czasami, żeby dobrze spać, modłę się o rekordowe zbiory cukinii.

- Więc według ciebie to możliwe, że znajdę sobie dziewczynę? - Czuł prawdziwą wdzięczność na myśl, że Christine się za niego modli. Gdyby był Bogiem, wysłuchałby jej.

- Tę jedyną? - Christine się uśmiechnęła. - To więcej niż możliwe. Nawet prawdopodobne. Opowiedz mi o niej.

Chciał opowiedzieć. Chciał komuś opowiedzieć. Dlaczego nie Christine? Nie przychodził mu do głowy nikt mniej krytyczny.

- A obiecasz, że nikomu nie powtórzysz? - zapytał. - Nawet Dave'owi?

Zrzedła jej mina.

- Dlaczego nie mogę? Masz kłopoty? To coś wstydliviego? O mój Boże, wdałeś się w romans. Tylko mi nie mów, że masz romans. Albo łamiesz prawo.

- Nie łamię prawa... - odparł. - Ale być może postępuję nieetycznie.

- Teraz już musisz mi powiedzieć - zniecierpliwiała się. - Bo inaczej zwariuję.

Więc opowiedział jej wszystko po kolei, starając się nie eksponować wątków, które stawiały go w złym świetle, ale też ich nie pomijając. Pod koniec jego relacji ciasto na pizzę, które nerwowo wałkowała Christine, było cienkie jak papier.

- Nie wiem, co powiedzieć - oznajmiła, znowu zbijając ciasto w kulę. Lincoln nie umiał nic wyczytać z jej twarzy.

- Uważasz, że jestem okropny? - zapytał, pewny, że odpowiedź brzmi „tak”.

- Nie - odpowiedziała. - Nie, oczywiście, że nie. Nie wiem, jak miałbyś czytać cudze e-maile bez czytania ich, jeśli taką masz pracę.

- Nie powinienem czytać jej e-maili - zauważył. - Nie da się zaprzeczyć.

- Nie. - Christine zmarszczyła czoło. Nawet wtedy wyglądała, jakby zaraz miała się uśmiechnąć. - To wszystko komplikuje. Nigdy nie widziałeś tej dziewczyny? Nie wiesz nawet, jak wygląda?

- Nie.

- To naprawdę romantyczne. Każda kobieta pragnie, żeby mężczyzna zakochał się nie tylko w jej ciele, ale i duszy. Ale jeśli ty jej nie poznałeś i nawet nie wiesz, czy jest atrakcyjna?

- Nie obchodzi mnie, jak wygląda - odrzekł Lincoln. Nie to, żeby się nad tym nie zastanawiał. Wyobrażanie sobie, jak może wyglądać Beth, było nawet w pewien sposób ekscytujące.

- Och, to naprawdę romantyczne - stwierdziła Christine.

- Cóż - odezwał się Lincoln z poczuciem, że zbyt łatwo ustąpił. - Wiem, że jest atrakcyjna. Jej chłopak to facet, który nie chodzi z brzydkimi dziewczynami. Wiem też, że miała innych...

- To romantyczne mimo wszystko - orzekła Christine. - Zakochać się w kimś dlatego, że jest, jaki jest, mówi, co mówi, i ma takie, a nie inne poglądy. To bardziej romantyczne niż jej zainteresowanie tobą, które sprowadza się do wyglądu. Mógłbyś okazać się zupełnie inny, niż się spodziewa.

Lincoln nigdy nie brał tego pod uwagę.

- Och, na pewno by się nie rozczarowała - pospiesznie zapewniła go Christine. - To niemożliwe.

- Do tej pory wystarczało mi, że uważa mnie za przystojnego - odparł.

- Lincoln - zauważyła cicho. - Uroda nigdy nie była twoim problemem.

Nie wiedział, co na to powiedzieć. Christine się uśmiechnęła i wręczyła mu dwie zielone papryki.

- Twój problem - podjęła - przynajmniej teraz polega na tym, że wciąż czytasz e-maile tej dziewczyny, a powinieneś z tym skończyć.

- Gdybym skończył, to czy według ciebie mógłbym ją poznać?

- Nie mam pojęcia. - Christine ponownie zabrała się do wałkowania ciasta. -

Wtedy i tak musiałbyś powiedzieć jej prawdę i nie wiadomo, czyby ci wybaczyła.

- A ty byś wybaczyła coś takiego?

- Nie wiem... dziwnie bym się czuła. Pewnego lata Dave ukradł mi kości do gry... jeszcze zanim zaczęliśmy ze sobą chodzić... żeby mieć przy sobie coś mojego. Nosił je w kieszeni. To wydawało mi się romantyczne i trochę dziwne, ale twoja historia jest o wiele dziwniejsza. Musiałbyś jej powiedzieć, że chodziłeś na koncerty jej chłopaka, mijales jej biurko. Nie mam pojęcia... - Zaczęła palcami rozprawiać po cieście sos pomidorowy.

- Masz rację - odparł Lincoln. Nie miało już znaczenia, że Christine nie jest tak krytyczna jak Eve, jego matka czy ktoś inny, komu mógł opowiedzieć o Beth. Rzecz w tym, że nie było takiej osoby - nikogo, kogo by szanował - kto powiedziałby mu, że to dobrze się skończy.

- Chyba zepsułem wszystko w chwili, gdy postanowiłem dalej czytać jej korespondencję. Choć właściwie niczego takiego nie postanawiałem. To nie była świadoma decyzja.

- Pomyśl tylko - zauważyła Christine, wkładając pierwszą pizzę do piekarnika - ona zadurzyłaby się w tobie nawet, gdybyś nie czytał jej e-maili. I plotkowałaby o tobie z przyjaciółką. To powinno poprawić ci nastrój.

Ale nie poprawiło.

Tamtego wieczoru Lincoln grał z takim roztargnieniem, że jego bohater, biedny karzeł, stracił trzy palce u nóg i został ukarany ślepotą. Objadł się pizzą, wypił dwa duże kubki nawarzonego przez Dave'a piwa i przespał się na kanapie.

Następnego ranka Christine przyrządziła mu owsiankę i poradziła, żeby wykorzystał energię życiową, kierując ją w zdrowszym kierunku.

- Pamiętaj - powiedziała - nie każdy błędzi, kto wędruje.

Podziękował jej za śniadanie i wszystko inne, po czym szybko się pożegnał, mając nadzieję, że nie zauważy, jaki jest poirytowany. Ta jej ostatnia uwaga była niepotrzebna, zupełnie od czapy. Nawet jeśli był to jego ulubiony cytat z *Władcy*

pierścieni^[7].

ROZDZIAŁ 48

Od: Jennifer Scribner-Snyder

Do: Beth Fremont

Wysłano: w poniedziałek, 06.12.1999, o godz. 9.28

Temat: Założę się, że jesteś jedną z tych dziewczyn, które zawczasu wybierają imiona dla dzieci

Mam rację? I jakie wybrałaś?

Beth do Jennifer:

Licysz, że ci powiem? Ciężarówce?

Jennifer do Beth:

Przecież ci ich nie ukradnę.

Beth do Jennifer:

Tak się mówi. A ty - zaczynasz wybierać imiona?

Jennifer do Beth:

Ja nie. Ale Mitch tak. Właściwie już wybrał: Cody.

Beth do Jennifer:

Dla chłopca czy dziewczynki?

Jennifer do Beth:

Wszystko jedno.

Beth do Jennifer:

Hmmm.

Jennifer do Beth:

No powiedz to. Wiem, że jest okropne.

Beth do Jennifer:

Rzeczywiście. I dla chłopca, i dla dziewczynki.

Jennifer do Beth:

Wiem.

Beth do Jennifer:

To imię sprawia, że człowieka przechodzą ciarki.

Jennifer do Beth:

Wiem.

Beth do Jennifer:

Że opadają mu skrzydła.

Jennifer do Beth:

Wiem.

Beth do Jennifer:

I domaga się drugiego imienia: „Dawn”.

Jennifer do Beth:

Wiem, wiem, wiem.

Beth do Jennifer:

Więc powiedziałaś: „Moje dziecko nie będzie miało na imię Cody, po moim trupie, po moim trupie w setnym wcieleniu”.

Jennifer do Beth:

Powiedziałam: „Zaczekajmy z imieniem, dopóki nie poznamy płci dziecka”.

A on na to: „Ale Cody to takie piękne imię. Pasuje każdemu”.

Beth do Jennifer:

Wiem, że to podłe śmiać się z kogoś, kto będzie musiał nadać swojemu pierworodnemu dziecku imię Cody, ale nic na to nie poradzę. „Pasuje każdemu”.

A jakie imiona podobają się tobie?

Jennifer do Beth:

Sama nie wiem. Nawet nie potrafię myśleć o dziecku w taki sposób, jak o kimś, kto ma imię.

Wydaje mi się, że Mitch powinien zdecydować, bo jest bardziej zaangażowany w całą tę historię. To tak jak wtedy, kiedy wybierasz się na kolację; wszystko ci

jedno, gdzie pójdziesz, ale twój partner chce iść na chiński bufet. Może nie przepadasz za chińskim bufetem, ale nie wypada ci się kłócić, skoro nie masz zdania.

Beth do Jennifer:

Hm. Myślę, że jesteś bardzo zaangażowana w historię z dzieckiem. To ty je nosisz.

Jennifer do Beth:

Tak, ale Mitch jest z nim bardziej związany.

Beth do Jennifer:

Twoja pępowina na pewno ma inne zdanie.

Jennifer do Beth:

Myślisz, że mam już pępowinę? To dopiero szósty tydzień.

Beth do Jennifer:

Czy to przez nią organizm odżywia dziecko?

Jennifer do Beth:

Owszem, ale przecież nie pojawia się nagle znikąd. To nie tak, że masz ją w macicy, gdzie tylko czeka, żeby się do czegoś podłączyć.

Beth do Jennifer:

Sądzę, że formuje się wraz z dzieckiem. Nie piszą o tym w podręczniku *W oczekiwaniu na dziecko*?

Jennifer do Beth:

A skąd mam wiedzieć. Nie znoszę takich książek. Dlaczego każda ciężarna kobieta ma czytać ten sam podręcznik? Czy w ogóle jakikolwiek podręcznik. Bycie w ciąży nie jest takie skomplikowane. *W oczekiwaniu na dziecko* nie powinno być w ogóle książką. Wystarczy karteczka samoprzylepna: „Łykaj witaminy. Nie pij wódki. Przyzwyczajaj się do ciuchów z wysokim stanem”.

Beth do Jennifer:

Chyba będę musiała sprawdzić, czy istnieje podręcznik *W oczekiwaniu, kiedy twoja najlepsza przyjaciółka oczekuje dziecka*. Chcę wiedzieć, jak to jest z tą pępowiną.

Jennifer do Beth:

Miło usłyszeć, że jestem twoją najlepszą przyjaciółką.

Beth do Jennifer:

Bo jesteś moją najlepszą przyjaciółką, kretynko.

Jennifer do Beth:

Naprawdę? A ty moją. Zawsze mi się wydawało, że kto inny jest twoją najlepszą przyjaciółką, ale nie przeszkadzało mi to. Nie musisz mówić, że jestem twoją najlepszą przyjaciółką, tylko po to, żeby sprawić mi przyjemność.

Beth do Jennifer:

Jesteś nienormalna.

Jennifer do Beth:

Dlatego pomyślałam, że kto inny jest twoją najlepszą przyjaciółką.

ROZDZIAŁ 49

Tamtego wieczoru, zmieniając toner w drukarce w pobliżu redakcji, Lincoln usłyszał, jak jeden z redaktorów się skarży, że niektóre wyliczenia w artykule mogą być błędne.

- Gdyby studenci dziennikarstwa musieli zdawać egzamin z matmy, miałbym pewność. - Z frustracją zrzucił kalkulator z biurka.

Lincoln podniósł go i zaproponował, że sprawdzi te liczby. Redaktor, o imieniu Chuck, był tak wdzięczny, że mu zaproponował, aby po pracy poszedł z nim i jego kolegami z redakcji do knajpy. Chodzili do baru po drugiej stronie rzeki. Bary w Iowa były otwarte do drugiej w nocy.

No, no - pomyślał Lincoln. - Gdzieś wychodzę. Ze znajomymi. Nowymi znajomymi.

Z kilkorgiem z nich umówił się nawet na następny dzień na golfa. Chuck powiedział mu, że redaktorzy wszystko robią razem, bo „te cholerne godziny pracy nie pozwalają normalnie spotykać się z ludźmi”. A także, jak dodał inny redaktor, zorientować się, że twoja żona sypia z facetem, którego poznała w kościele.

Redaktorzy pili tanie piwo i sprawiali wrażenie trochę zgorzkniałych. Pod każdym względem. Ale Lincoln dobrze się czuł w ich gronie. Wszyscy za dużo czytali, za dużo oglądali telewizję i spierali się na temat filmów, jakby to, co się w nich działo, było rzeczywiste.

Obok Lincolna siedziała ta niska blondynka, Emilie; próbowała go wciągnąć w rozmowę o *Gwiezdnym wojnach*. Skutecznie. Zwłaszcza kiedy postawiła mu heinekena i powiedziała, że nie widzi żadnych różnic między oryginalną wersją filmu a specjalną edycją.

Wszystko w tej dziewczynie - guzikowaty nos, drobne ramiona, koński ogon - przypominało Lincolnowi to, co pisała o niej Beth. Dlatego śmiał się i rumienił bardziej, niżby chciał.

Tydzień później, podczas gry w D&D, Christine odciągnęła go na bok i zapytała o sytuację w pracy.

- Przestałeś czytać e-maile tej dziewczyny? - chciała wiedzieć.

- Nie - odparł - ale w tym tygodniu nie przeszedłem obok jej biurka.

Christine przygryzła wargę i nerwowo zakołysała dziecko.

- Nie wiem, czy można to uznać za postęp.

ROZDZIAŁ 50

Od: Jennifer Scribner-Snyder

Do: Beth Fremont

Wysłano: w poniedziałek, 13.12.1999, o godz. 9.54

Temat: Jak wypadła imprezka?

W ten weekend odbyła się twoja herbatka dla Kiley, prawda?

Beth do Jennifer:

Uhm. Owszem. Nawet nie pytaj, jak było.

Jennifer do Beth:

Musisz mi opowiedzieć. Masz mnie przekonać, że umiesz organizować takie imprezy.

Beth do Jennifer:

W tej chwili nie chcę myśleć o żadnych przyszłych babskich spotkaniach.

Jennifer do Beth:

Co się takiego stało? Wylałaś komuś herbatę na kolana?

Beth do Jennifer:

No nie. Musiałabym mieć okazję. A członkinie stowarzyszeń siostrzanych najwyraźniej nie piją herbaty. Piją dietetyczną colę - w ostateczności dietetyczną pepsi - ale gorącą herbatę? Co to, to nie.

Zorganizowałam pięć rodzajów herbaty, zastawę po babci, autentyczne kostki cukru i prawdziwą śmietankę. Nie przyszło mi jednak do głowy, żeby kupić na przyjęcie dietetyczną colę.

Musiałam wysłać Chrisa na stację benzynową.

Jennifer do Beth:

Chris przyszedł na przyjęcie?

Beth do Jennifer:

Nie tyle przyszedł, co nie wyszedł. To było okropne, bo nie przypuszczałam, że

kanapeczki koktajlowe robi się osiem razy dłużej niż normalne. Chris kroił ogórki, blanszował szparagi i ze trzy godziny obcinał skórki od pieczywa.

Ale, oczywiście, nikt tego nie docenił. Wiesz, czego oprócz herbaty jeszcze nie lubią członkinie stowarzyszeń siostrzanych? Chleba. Jedna z drухen Kiley oświadczyła: „Nie jadam chleba w weekendy, żeby móc przyswajać węglowodany na imprezach”.

Jennifer do Beth:

Na jakie imprezy ona chodzi, na kinderbale?

Beth do Jennifer:

Chyba miała na myśli piwo.

Jennifer do Beth:

A tak, racja. Więc co w tej sytuacji zrobiłaś?

Beth do Jennifer:

A co miałam zrobić? Chris poszedł kupić dietetyczną colę. Przy okazji wszystkie się w nim zakochały. Nie chciały mojej herbaty i wzgardziły moimi kanapkami, a bezwstydnie flirtowały z moim chłopakiem.

Jennifer do Beth:

A on flirtował z nimi?

Beth do Jennifer:

Właściwie nie. Był bardzo zaangażowany. Latał do kuchni po lód, szklanki, butelkę rumu i wszystkie zapasowe warzywa. I co jakiś czas, dolewając im do szklanek, przeczesywał palcami włosy, a wtedy wręcz omdlewały. Gdyby się nie wymknął, gdy Kiley otwierała prezenty, pewnie nigdy by nie wyszły.

Jennifer do Beth:

To miło z jego strony, że ci pomagał. Przykro mi tylko, że przyjęcie się nie udało.

Beth do Jennifer:

Rzeczywiście, miło się zachował. Był miły przez cały dzień. Wrócił do domu z godzinę po zakończeniu imprezy. Ja siedziałam wciąż na kanapie, użalałam się nad sobą i myślałam o tym, że każda z tych kretynek wyjdzie za mąż przede mną i że dietetyczna cola z rumem to najbardziej kretyński drink wszech czasów. Powinien

się nazywać Kretynka, żeby dziewczyny, które go zamawiają, przedstawiły się tak przy barze.

Chris wszedł, usiadł obok mnie i zaczął mnie pocieszać w stylu: „nie przejmuj się”, „perły przed wieprze” i „chyba ci nie zależy, że robić wrażenie na takich idiotkach”. Wtedy zwróciłam mu uwagę, że bardzo im się spodobał.

- O czym to ma świadczyć? - zapytał. - Że podobam się kobietom, które piją dietetyczną colę z rumem?

- A nie jest to najgłupszy drink wszech czasów? - odpowiedziałam. - Wszystkie się rozpromieniły, kiedy im go zaproponowałam.

- Wyczuwam na kilometr wielbicieli chudego pirata.

A ja na to:

- Więc istnieje już na to nazwa.

Wtedy mi przypomniał, że w kuchni zostało mnóstwo tartinek, głównie z serkiem topionym. Więc wypiliśmy herbatę i pożarliśmy tyle kanapek, że najadłaby się nimi cała korporacja studentek.

Jennifer do Beth:

Czasami naprawdę Chrisa lubię.

Beth do Jennifer:

Ja też. Gdyby zawsze był taki jak w sobotę, miałabym życie niczym z bajki.

Jennifer do Beth:

A jaki jest zazwyczaj?

Beth do Jennifer:

Nie taki, zupełnie inny. Zwykle bywa nijaki.

To okropnie brzmi. Nie powinnam tak mówić.

Jennifer do Beth:

Masz wrażenie, że nie zwraca na ciebie uwagi?

Beth do Jennifer:

Nie. Mam wrażenie, że mnie nie widzi. Coś w tym stylu. To tak, jakbym mieszkała z duchem, ale duch cię nawiedza, prawda? A Chris przeważnie aż tak się nie angażuje.

Jennifer do Beth:

Myślisz, że zachowuje się tak wobec wszystkich?

Beth do Jennifer:

Nie. Myślę, że wobec obcych bardziej się wysiła. Podczas występów w pewnym sensie udaje, że nawiązuje kontakt z publicznością... Sądzę, że to go męczy. Pewnie z ulgą wraca do domu, do kogoś, kto nie oczekuje od niego udawania. Kto nie oczekuje niczego.

Nieważne. Co u ciebie? Jak spędziłaś weekend?

Jennifer do Beth:

Mam wiadomości. Powiedziałam Mitchowi, co myślę o imieniu Cody.

Beth do Jennifer:

Myślałam, że zamierzasz milczeć, licząc, że sam zmieni zdanie.

Jennifer do Beth:

Taki miałam zamiar, ale zaczął zwracać się do mojego brzucha per „Cody, maleństwo”. Nie mogłam tego wytrzymać, musiałam mu powiedzieć, żeby przestał. Musiałam mu powiedzieć, że żadna część mojego ciała – ani nic, co z niego wyjdzie – nie będzie „Codym, maleństwem”.

- A co sądzisz o imieniu Dakota? – zapytał wtedy.

- Nie ma mowy. Przykro mi.

- Hm, wcale nie musi być Cody... – odparł. – To jakie imiona wolisz?

Odpowiedziałam, że nie wiem, ale podobają mi się imiona klasyczne, dystyngowane, na przykład Elizabeth dla dziewczynki. Albo Sarah, z „h” na końcu. A dla chłopca John, Andrew czy nawet Mitchell. Powiedziałam, że uwielbiam imię Mitchell.

Nie był wcale rozczarowany, widziałam to. Doszedł do wniosku, że i jemu podobają się te imiona. Poczułam prawdziwą ulgę. Wiedząc, że dziecko nie będzie miało na imię Cody, od razu bardziej je lubię.

Mitch jest taki szczęśliwy z powodu tego wszystkiego, że chyba pozwoli mi wybrać imię. Był taki uroczy, że niemal się zgodziłam, żeby dziecko dostało Dakota na drugie.

Potem jednak uznałam, że muszę myśleć jak matka i je chronić.

Beth do Jennifer:

Wiedziałam, że w końcu odezwie się w tobie instynkt macierzyński.

ROZDZIAŁ 51

Lincoln przeczytał tę korespondencję wielokrotnie. Więcej razy, niż powinien. I za każdym razem coraz bardziej ścisnęło go w żołądku.

Wciąż nie widział tej dziewczyny. Kobiety. Ale potrafił dobrze wyobrazić sobie Chrisa i po raz pierwszy od... odkąd to wszystko się zaczęło... wpadł w złość.

Odpychała go myśl, że Chris jest taki dobry dla Beth. Że robi jej herbatę, pociesza ją. Okazuje jej względy. Ale tak samo odpychała go myśl, że Chris ją zaniedbuje, jest wobec niej obojętny. Wolał nie myśleć, że spędzili razem osiem lat. Wolał nie myśleć, że gdyby nawet mógł porozmawiać z Beth, gdyby istniała na to szansa, gdyby sam nie zapędził się w kozi róg, wciąż kochałaby innego.

Był przy kolacji tak wzburzony, że odstąpił Doris swoją część ciasta dyniowego.

- Ten cytrynowy lukier jest pyszny - zauważyła - taki kwaskowaty. Kto by wpadł na to, żeby ozdobić ciasto dyniowe cytrynowym lukrem? Twoja matka powinna otworzyć restaurację. Czym ona się zajmuje?

- Mama nie pracuje - odparł. Z tego, co pamiętał, nigdy nie pracowała. Miała trochę pieniędzy po ojcu Eve, z którym się rozwiódła, zanim urodziła Lincolna. I była dyplomowaną fizykoterapeutką masażystką. To przez jakiś czas przynosiło jej całkiem spory dochód. Latem wykonywała na pchlim targu masaże przy użyciu fotela. Wyglądało na to, że nie odczuwała braku pieniędzy. Ale powinien dokładać się do czynszu - pomyślał - albo przynajmniej dawać jej pieniądze na zakupy... zwłaszcza teraz, gdy żywiła także Doris.

- A twój ojciec? Czym on się zajmuje?

- Nie wiem - odpowiedział. - Nie poznałem go.

Doris zadławiła się ciastkiem. Położyła Lincolnowi dłoń na ramieniu. Miał nadzieję, że Beth nie wejdzie akurat w tym momencie.

- Biedne dziecko - rzuciła Doris.

- To nic takiego - odrzekł.

- Nic takiego? To straszne wychowywać się bez ojca.

- Wcale nie - zaprotestował Lincoln, ale może Doris miała rację. Skąd miał wiedzieć. - Nie było tak źle.

Doris poklepała go jeszcze kilka razy.

- Nic dziwnego, że matka gotuje ci takie pyszności.

Po kolacji Lincoln wrócił za biurko i pomyślał o ojcu. (Którego nigdy nie poznał. Który mógł nawet nie wiedzieć o jego istnieniu). Ale w końcu zaczął myśleć o Sam, bo kiedyś mówiła, że powinien „przepracować” brak ojca.

- To takie romantyczne - powiedziała wtedy. Byli w parku. Siedzieli na drabinkach. - W stylu Jamesa Deana w *Na wschód od Edenu*.

- James Dean w *Na wschód od Edenu* nie miał matki. - Lincoln nie widział filmu, ale czytał powieść. Czytał wszystko, co napisał Steinbeck.

- A w *Buntowniku bez powodu*?

- Tam chyba miał oboje rodziców.

- To nieistotne - skwitowała Sam. - James Dean był typem chłopaka, który wychował się bez ojca.

- I to ma być romantyczne? - zapytał Lincoln.

- Ktoś taki wydaje się nieprzewidywalny - orzekła - jakby w każdej chwili mógł ujawnić się w nim dawny smutek.

Zaśmiali się wtedy, ale teraz nie wydało mu się to takie zabawne. Może to mu właśnie dolegało. Smutek.

- Mama mówi, że dziwnie się ostatnio zachowujesz - powiedziała Eve następnego dnia, kiedy spotkali się na lunch w Kentucky Fried Chicken. (Wybór Eve).

- Jak to dziwnie?

- Podobno jesteś cały czas pobudzony i tracisz na wadze. Mama podejrzewa, że bierzesz jakieś pigułki na odchudzanie. Sądzi, że masz problemy psychiczne, jak Patty Duke.

- Tracę na wadze, bo chodzę do siłowni - wyjaśnił, odkładając plastikowy widelec z łyżką. - Już ci o tym mówiłem. Chodzę tam przed pracą.

- Właściwie to widać - skwitowała. - Dobrze wyglądasz. Masz wyprostowane plecy. I zmałał ci brzuszeczek piwny.

- Prawie nie piję piwa.

- To takie określenie - odparła. - Wyglądasz dobrze.

- Dzięki.

- Więc o co chodzi z tym dziwnym zachowaniem?

Chciał zaoponować, ale uznał, że to byłoby bezcelowe i trochę nieszczerze.

- Nie wiem - odpowiedział więc. - Czasami jestem naprawdę szczęśliwy. Dawno nie czułem się lepiej, pod względem fizycznym. I psychicznym także. Chyba nawiązuję kontakt z ludźmi. Rozmawiam z nieznajomymi i to wcale nie wydaje mi się takie trudne jak kiedyś.

Mówił prawdę, choć jego nowi znajomi nie należeli do ludzi, których wybrałaby dla niego Eve...

Doris.

Justin i Dena, którzy nie byli właściwie nowymi znajomymi.

I redaktorzy, którzy stanowili dość przerażającą gromadę – jak znajomi od D&D, niegrający jednak w D&D. Tych można było uznać za nowych. I znalazłoby się wśród nich sporo dziewczyn – wprawdzie nie takich, którymi Lincoln byłby zainteresowany, ale zawsze.

Beth i Jennifer też zaliczały się do nowych znajomych. Choć nie w sposób oczywisty.

– Mam wrażenie, że w końcu wychodzę na prostą – dodał. – To głupio brzmi, no nie?

Siostra uważnie mu się przyjrzała.

– Nie – zaprzeczyła – to wszystko brzmi bardzo dobrze.

Pokiwał głową.

– Ale czasami wciąż czuję się beznadziejny. Nie lubię swojej pracy. I przestałem myśleć o szukaniu innej. I chociaż rzadko już wspominał Sam, wciąż wydaje mi się niemożliwe, że kogoś znajdę. To znaczy, bliską osobę.

Gdyby przyznał się do czegoś takiego matce, wybuchnęłaby płaczem. Ale Eve tylko popatrzyła na niego tak, jak on patrzył na ludzi, kiedy tłumaczyli mu swoje problemy z komputerem. Poczuł się częściowo odpowiedzialny za zmarszczkę, która pojawiła się między jej brwiami.

– W porządku – odparła. – Myślę, że nie jest źle.

– Nie jest źle?

– Powiedziałeś o pozytywnych zmianach w twoim życiu – wyjaśniła. – To duży postęp w stosunku do tego, co było pół roku temu.

– Uhm.

– Więc może po prostu zamiast zastanawiać się nad tym, co zrobić z życiem, powoli wprowadzać do niego pozytywne zmiany. Po jednej. Pozwolić, żeby pojawiały się dobre rzeczy.

– To doradztwo inwestycyjne, no nie? Wciskasz mi osobistą bankowość.

– Tylko dobrze ci radzę.

Milczał przez chwilę.

– Eve, czy twoim zdaniem to, że wychowałem się bez ojca, odbiło się na mnie?

– Być może – odpowiedziała, podprowadzając mu ciastko. – Dręczy cię to?

– Po prostu staram się dociec, co jest ze mną nie tak.

- Przestań - odrzekła. - Mówię ci, myśl o tym, co jest z tobą tak.

Zanim się pożegnali, namówiła go jeszcze, żeby w najbliższy weekend zabrał jej najstarszego syna na film o Pokemonie.

- Ja nie mogę z nim pójść - wytłumaczyła. - Mam alergię na Pikachu. - Po czym dodała: - Słyszysz? Pikachu? Pikachu. To brzmi jak kichnięcie.

Kiedy wyszli z KFC, Lincoln zatrzymał się na chodniku i uściskał Eve, która na chwilę pozwoliła mu się objąć. A potem ze skrepowaniem poklepała go po plecach.

- Dobra, wystarczy już - powiedziała. - Zachowaj to dla mamy.

Wieczorem Lincoln spotkał się z Justinem i Deną w Ranch Bowl. Miał na sobie nową dżinsową kurtkę. Musiał w tym tygodniu kupić nowe dżinsy, szczuplejsze, a kurtkę dorzucił do nich pod wpływem impulsu. Poprzednią znosił w szkole średniej i wtedy ostatni raz czuł się jak twardziel. Zapomniał odciąć metkę, więc Justin przez cały wieczór nazywał go „pieprzoną Minnie Pearl”, „kowbojem Marlboro” i „XXLT”. Zabalowali do późna, dlatego Lincoln rano zasnął i nie zdążył wejść pod prysznic, bo po południu musiał jechać po siostrzeńca.

- Pachniesz dymem papierosowym - zauważył Jake junior, wsiadając do samochodu. - Ty palisz?

- Nie. Wczoraj wieczorem byłem na koncercie.

- Z paleniem? - zapytał sześciolatek. - I piciem?

- Niektórzy palili i pili - odparł Lincoln - ale ja nie.

Jake ze smutkiem pokręcił głową.

- Jedno i drugie zabija.

- Fakt - potwierdził Lincoln.

- Mam nadzieję, że nie przejdę dymem od ciebie. Jutro muszę iść do szkoły.

Film o Pokemonie był jeszcze gorszy, niż Lincoln się obawiał. Z ulgą wychodził z sali za każdym razem, kiedy Jake chciał do toalety.

- Mama mówi, że nie mogę chodzić tam sam - wyjaśnił szeptem mały. - Mówi, że jestem taki ładny, że ktoś mógłby mnie poderwać.

- Moja mama mówiła mi to samo - odparł Lincoln.

ROZDZIAŁ 52

Od: Beth Fremont

Do: Jennifer Scribner-Snyder

Wysłano: w poniedziałek, 20.12.1999, o godz. 13.45

Temat: Mój fajny facet ma dziecko

Możesz w to uwierzyć? Dziecko! I żonę pewnie też. Jak mógł mi to zrobić?

Jennifer do Beth:

???

Beth do Jennifer:

To samo sobie pomyślałam.

Jennifer do Beth:

To miało znaczyć: powiedz mi wszystko, co ci wiadomo, a mnie nie - bo chyba zwariowałam.

Beth do Jennifer:

Widziałam go (ich) wczoraj w Cinema Center. Wybrałam się jeszcze raz na *Podziemny krąg* i kiedy kupowałam bilet, zobaczyłam mojego fajnego w kolejce po popcorn. Więc - wstrzymaj się od oceny - stanęłam za nim (nimi) i przez trzy i pół minuty napawałam się jego obecnością.

Jennifer do Beth:

Wciąż nie rozumiem. Widziałaś go z żoną i dzieckiem? A potem napawałaś się jego obecnością? Jak to?

Beth do Jennifer:

1. Tylko z dzieckiem. Mały może mieć od 5 do 10 lat.

2. A „napawanie się obecnością” zawiera w sobie:

Stanie. Ekstazę. Wdychanie jego zapachu. Powstrzymywanie się od ugryzienia go w ramię.

Uświadomienie sobie, że moje usta znajdują się dokładnie na wysokości jego

ramienia.

Zapamiętywanie, co ma na sobie: spodnie bojówki, buty turystyczne, dżinsową kurtę marki Levi's. (Jak z 1985 roku. Trudno wytłumaczyć jaką, ale bardzo, bardzo fajną).

Spostrzeżenie, że ma najszerze ramiona, jakie w życiu widziałam u kogoś, kto nie jest drwalem. Zdumienie, że należę do dziewczyn, które śmiesznie pociągają mocny kark. (Czy każdy mocny kark? Czy tylko jego? Nie mam pojęcia).

Wyobrażanie sobie, że gdybym stała tak blisko kogokolwiek innego, na przykład w sklepie spożywczym albo restauracji, ludzie mogliby pomyśleć, że jesteśmy razem.

Refleksja, że jego włosy są o trzy tony jaśniejsze od moich. W kolorze czekolady Cadbury.

Myślenie, że mogłabym na niego wpaść i udawać, że to przypadek.

Zastanawianie się, jak ma na imię. I czy jest taki miły, jak się wydaje. I czy lubi piña coladę, niespodziewany deszcz, który łapie cię w drodze...

Jennifer do Beth:

Hmmm. Chyba nie mogę wstrzymać się od oceny. Nic na to nie poradzę.

Beth do Jennifer:

Ale w końcu nic nie zrobiłam. Tylko stałam. I on stał. Okazało się, że oboje lubimy popcorn...

Jennifer do Beth:

Nie musiałaś się od razu napawać.

Beth do Jennifer:

Au contraire, mon frère. Nie mogłam robić nic innego.

Jennifer do Beth:

Skąd wiesz, że to było jego dziecko? Może młodszy brat? Albo braciszek.

Beth do Jennifer:

Nie, zachowywali się jak ojciec i syn. Miałam 75 minut na ocenę sytuacji. Skończyło się na tym – pamiętaj, nie oceniaj – że poszłam za nimi, na *Pokémona: Film pierwszy*, i usiadłam sześć rzędów dalej, z tyłu oczywiście. Mój fajny przez cały czas trzymał rękę na fotelu małego. Trzy razy nawet wychodził z nim do kibla. A po filmie bardzo starannie otulił dzieciaka szalikiem.

Jennifer do Beth:

Więc wysiedziałaś do końca filmu? Nie poszłaś na *Podziemny krąg*? (Znowu oceniam).

Beth do Jennifer:

Miałam zrezygnować z okazji, żeby posiedzieć z moim fajnym facetem w ciemności przez półtorej godziny? Wiem już, kto to jest Tyler Durden. (I załapałam się jeszcze na ostatni seans *Podziemnego kręgu* po tym, jak pojechałam za moim fajnym do domu).

Jennifer do Beth:

Zaraz, zaraz. Chyba go nie śledziłaś?

Beth do Jennifer:

Próbowałam. Ale zgubiłam go na autostradzie.

Jennifer do Beth:

Tak zachowują się różni niebezpieczni szaleńcy.

Beth do Jennifer:

Tak? To raczej przejaw wścibstwa niż niebezpiecznego szaleństwa.

Jennifer do Beth:

Jak to go zgubiłaś? Może to on cię zgubił?

Beth do Jennifer:

Nie. Śledziłaś kiedyś kogoś samochodem? To naprawdę trudne, mimo że facet jeździ dość charakterystycznym samochodem, toyotą corollą. (Starą toyotą corollą, z tych, którymi jeździło się w czasach, kiedy japońskie samochody to był obciach). Mam nadzieję, że jest rozwiedziony i po prostu nie stać go na porządny wóz. Ale chyba jestem niegodziwa; przecież chodzi o dziecko. Chciałabym wiedzieć, czy facet nosi obrączkę...

Jennifer do Beth:

Emilie raczej by mu się nie narzucała, gdyby nosił obrączkę.

Beth do Jennifer:

Słuszna uwaga. Mimo to... Po prostu nie mam pewności, czy jestem gotowa zostać macochą.

Jennifer do Beth:

Jest o czym myśleć.

Beth do Jennifer:

No.

Jennifer do Beth:

Chyba nie zamierzasz go znowu śledzić? Teraz, gdy już wiesz, jakim jeździ samochodem?

Beth do Jennifer:

Hmmm. Raczej nie. Ale zamierzam chadzać do pokoju socjalnego, licząc, że tam na niego wpadnę.

Jennifer do Beth:

To w porządku. Raczej cię za to nie aresztują. A co zrobisz, kiedy już na niego wpadniesz?

Beth do Jennifer:

Dosłownie wpadnę? Jeszcze nie wiem. Ale niewykluczone, że w efekcie nigdy nie upiorę swetra.

Jennifer do Beth:

Wdasz się z facetem w rozmowę? Spróbujesz go poderwać?

Beth do Jennifer:

Żartujesz? Masz mnie za jakąś zdzirę? Mam chłopaka. Więcej niż chłopaka. Żyję w grzechu.

Jennifer do Beth:

Jesteś skomplikowaną kobietą.

Beth do Jennifer:

Skąd. Bez żartów.

ROZDZIAŁ 53

Lincoln tego wieczoru nie przeszedł obok biurka Beth. Następnym razem, gdy zobaczy się Christine, chciałby jej powiedzieć, że tego nie zrobił. Ale pod koniec pracy, przed wyjściem, wydrukował fragment korespondencji e-mailowej, w którym Beth o nim pisała. Pomyślał, że przekracza następną granicę. (Ile ich może być?). Było to jednak coś w rodzaju listu miłosnego – chociaż go nie dostał, tylko sobie wziął – i chciał mieć możliwość ponownego przeczytania go. Wsadził kartkę do portfela.

Następnego dnia Lincoln zaparkował swoją corollę przed frontowym wejściem „Couriera”. Jestem – pomyślał. – Znajdź mnie, Beth. Jedź za mną. Niech to się stanie.

ROZDZIAŁ 54

Od: Beth Fremont

Do: Jennifer Scribner-Snyder

Wysłano: we wtorek, 21.12.1999, o godz. 11.46

Temat: W marcu wyburzają Indian Hills

Właśnie dostałam wiadomość od poprzedniego właściciela. Przed demontażem foteli organizują pożegnalny weekend. Liczą, że przyjdą ludzie z miasta. Kinomani.

Jennifer do Beth:

To zła wiadomość. Za każdym razem, kiedy przejeżdżam obok i widzę, że budynek wciąż stoi, mam nadzieję, że zmieniono decyzję.

Beth do Jennifer:

Ja też.

Przynajmniej na koniec urządzają porządną imprezę. To miłe. Zyski zostaną przekazane jakiejś organizacji dobroczynnej zajmującej się ratowaniem filmów. Właśnie piszę o tym artykuł.

Jennifer do Beth:

Skończysz do lunchu?

Beth do Jennifer:

Pewnie tak, a co?

Jennifer do Beth:

Chciałam zapytać, czy mnie podwieziesz. Umówiłam się z Mitchem u położnej. To nasza pierwsza wizyta w związku z ciążą. Podobno będziemy mogli usłyszeć, jak bije serca dziecka.

Beth do Jennifer:

Jasne, że cię podwiozę. To takie ekscytujące! I dzieje się naprawdę. Nie jesteś podekscytowana? Ani trochę?

Jennifer do Beth:

Chyba powinnam być. Wreszcie powiedziałam matce, że jestem w ciąży. A to mógł zrobić tylko ktoś podekscytowany (albo głupi).

Beth do Jennifer:

Ucieszyła się? Na pewno się ucieszyła.

Jennifer do Beth:

Owszem. Podrzuciłam ją do gazowni, żeby mogła opłacić rachunek za gaz, a potem pojechałyśmy na obiad do Herdee's. Tam jej powiedziałam, prosto z mostu, tak że omal nie udławiła się frytką. Bardzo się przejęła: „Dziecko? Będziemy mieli dziecko? Och, dziecko. Nasze własne dziecko”. Miałam wrażenie, że potraktowała to trochę zbyt osobiście, ale niewątpliwa była w tym radość. Nawet próbowała mnie uściskać.

Potem powiedziała: „Och, mam nadzieję, że to będzie dziewczynka, dziewczynki są takie słodkie”. Pomyślałam, że zaraz doda: „I łatwe do skrzywienia”.

Minęły całe trzy kwadransy, zanim powiedziała coś podłego: „Postaraj się nie wrócić do dawnej wagi. Mitch nigdy cię takiej nie widział”. Co nie jest prawdą. Kiedy zaczęłam spotykać się z Mitchem, nosiłam 18 rozmiar. Schudłam znacznie później. Powiedziałam jej to, a ona zapytała: „Nosilaś osiemnastkę? Przy twoim wzroście? Nie wiedziałam, że było aż tak źle”.

Beth do Jennifer:

Czasami naprawdę żal mi twojej matki... a czasami jej nie znoszę.

Jennifer do Beth:

Ja miałam tak przez dwadzieścia lat. Chyba jej się wydaje, że wyświadczyła mi przysługę, wychowując mnie w przekonaniu, że cały świat jest nieprzyjazny, i starając się, żebym nie miała wielkich nadziei.

Kiedy wróciłam do domu, Mitch naprawiał światło w zapasowym pokoju. (Wiem, że urządza w nim pokój dla dziecka, ale jeszcze nie jestem gotowa o tym rozmawiać). Spotkanie z matką i powrót do Mitcha zawsze robią na mnie dziwne wrażenie. Wydaje mi się nieprawdopodobne, że zdołałam przejść od tamtego dawnego życia do obecnego, jakby to były dwa miejsca, między którymi nie ma żadnej drogi.

W każdym razie wróciłam i Mitch – który oczywiście nie wiedział, przez co właśnie przeszłam – powiedział mi coś miłego. I wtedy sobie odpuściłam.

Beth do Jennifer:

Co takiego powiedział?

Jennifer do Beth:

Coś osobistego.

Beth do Jennifer:

Na pewno coś bardzo osobistego. Ale nie możesz tak po prostu wspomnieć: „I wtedy Mitch powiedział coś tak cudownego, że

przeszła mi złość na tę cholere, moją matkę”, nie zdradzając mi, co to było.

Jennifer do Beth:

To nie było nic takiego. Powiedział tylko, zamiast „cześć”, że wyglądam pięknie – i że kiedy się pobieraliśmy, nie spodziewał się, że z każdym rokiem będę wydawała mu się piękniejsza. I nie chodzi o to, że teraz promienieję. „Chociaż promieniejesz” – dodał. Mówił to, stojąc na drabinie, i wszystko brzmiało niemal po szekspirowsku.

Beth do Jennifer:

Jeśli zginiesz w jakimś nieprawdopodobnym wypadku, wyjdę za Mitcha i będę żyła z nim szczęśliwa do końca życia. (Będę szczęśliwa, bo Mitch to ideał męża. On jednak do końca życia będzie tęsknił za jedyną miłością swojego życia. Czyli tobą).

Jennifer do Beth:

Mam wizytę o 12.30.

Beth do Jennifer:

O 12 będę gotowa.

ROZDZIAŁ 55

Chuck, redaktor, zaproponował Lincolnowi, żeby wstąpił do klubu śniadaniowego nocnej zmiany. Kilku redaktorów merytorycznych i technicznych spotykało się w środy o dwunastej w pewnej knajpce w centrum. Wyjaśnił przy tym, że redaktorzy techniczni to krzyżówka redaktorów merytorycznych i grafików, tyle że z ostrymi nożami. Któregoś wieczoru zabrał Lincolna do działu technicznego, żeby mógł zobaczyć ich przy pracy.

„Courier” nie przeszedł jeszcze na łamanie komputerowe, dlatego wszystkie materiały były drukowane w długich kolumnach, a potem cięte i przyklejane woskiem na odpowiednich stronach danego wydania gazety. Lincoln przyglądał się, jak taki redaktor techniczny zmienia makietę pierwszej strony, tnąc i pociągając woskiem kolumny, a następnie dopasowując je do siebie jak puzzle.

I oni, i redaktorzy merytoryczni byli pewni, że dzięki nim „Courier” ukaże się w noworoczny ranek, nawet gdyby nawaliły komputery.

- Bo komputery zawsze nawalają, no nie? - rzucił podczas śniadania Chuck z kanapką w ustach. - Bez obrazy, Lincoln.

- Spoko - odparł.

- Teraz też nawalą? - zapytała jedna z redaktorek technicznych, zlizując keczup z kciuka. Zabrzmiało to tak, jakby chciała, żeby potwierdził. Lincoln nie pamiętał jej imienia, ale miała bujne włosy i duże brązowe oczy. Wolał nie wyobrażać jej sobie ze skalpelem.

- Nie sądzę - odpowiedział. - To dość prosty program, no i mamy międzynarodową ekipę specjalistów, którzy nad nim pracują. - Chciał, żeby zabrzmiało to sarkastycznie, ale wyszło całkiem poważnie.

- Masz na myśli tego młodego Bośniaka, który naprawił kolorową drukarkę? - zapytał Chuck.

- Ktoś ją naprawił? - zagadnął Lincoln.

- Wiem tylko, że to nie ja oberwę, jeśli wydawca nie będzie mógł przeczytać swojej gazety, jedząc w noworoczny poranek jajko na twardo - wrócił do tematu Chuck. - Do tego czasu przyznają mi alimenty.

Nawet Doris niepokoiła się pluskwą milenijną.

W tym tygodniu zapytała Lincolna, czy powinna przyjść do pracy w Nowy Rok.

Jeśli padną komputery, czy to wpłynie na automaty z napojami? Lincoln odpowiedział, że nie sądzi, aby padło cokolwiek. I poczęstował ją kawałkiem placka z patatów.

- Chyba zostanę w domu - oznajmiła. - Lepiej zrobię zapasy. - Wyobraził sobie jej lodówkę załadowaną kanapkami z indyka i szafy pełne napojów Pepsi.

- Nie jadłam placka z patatów, odkąd byłam małą dziewczynką - zauważyła Doris. - Muszę napisać do twojej matki liścik z podziękowaniem.

Matka Lincoln nie mogła się zdecydować, czy pluskwa milenijna to coś dobrego, czy złego. Była pewna, że nastąpi chaos, ale może, jak mówiła, krok do tyłu w rozwoju technologii wszystkim wyjdzie na dobre.

- Ja tam nie potrzebuję globalnej sieci - orzekła. - Nie potrzebuję sprowadzać pocztą lotniczą produktów z innych kontynentów. W piwnicy mamy starą pralkę, ręczną. Poradzimy sobie jakoś. - Lincoln nie próbował się z nią kłócić. Pomyślał, że pewnie spodobałby jej się steampunk.

Tymczasem jego siostra na wszelki wypadek wypełniła piwnicę konserwami.

- Nie zaszkodzi, a może pomóc - wyjaśniła Eve. - Jeśli nic się nie stanie, przez rok będę miała zakupy z głowy. A jeśli coś się stanie, mama będzie musiała przychodzić do mnie i żywić się makaronem z puszki... a do tego jeszcze go polubić.

Lincoln zamierzał pracować w sylwestra razem z resztą działu IT. Jednak Justin i Dena namawiali go, żeby poszedł z nimi na wielką imprezę sylwestrową w Ranch Bowl. Gwoździem programu miał być koncert Sacajawei, a w cenie szampan. Justin nazywał to „milenijną rozpustą”.

A Christine zaprosiła go na przyjęcie z okazji odrodzenia.

- Tak to nazywasz?

- Nie śmiej się ze mnie, Lincoln. Nowy Rok to moje ulubione święto. A to będzie najhuczniejszy Nowy Rok w naszym życiu.

- To nie jest żadne święto, Christine. Tylko wyzerowanie licznika.

- Ludzie uwielbiają patrzeć, jak zeruje się licznik.

- To tylko liczba.

- Wcale nie - odparła. - To okazja, żeby się odrodzić.

ROZDZIAŁ 56

Od: Beth Fremont

Do: Jennifer Scribner-Snyder

Wysłano: w środę, 22.12.1999, o godz. 11.36

Temat: Więc...?

Jak wizyta?

Jennifer do Beth:

A tam. Już przybyło mi na wadze dwa razy więcej, niż powinno, mimo tego całego rzygania. Dziecko znajdowało się w nieodpowiedniej pozycji, żeby dało się usłyszeć bicie jego serca, a Mitch zasypywał położną pytaniami. Chciał wiedzieć wszystko o znieczuleniu zewnątrzoponowym, nacięciu krocza i czymś, co nazywał „dojrzwaniem szyjki macicy”. Czy to nie brzmi złowieszczo? Ta kobieta pomyśli, że oboje zwariowaliśmy.

Beth do Jennifer:

1. Dlaczego położna miałaby pomyśleć, że ty zwariowałaś?
2. Skąd wiadomo, kiedy ma się dojrzałą szyjkę macicy? Trzeba nią potrząsnąć?

Jennifer do Beth:

1. W jej gabinecie ujawniają się wszystkie moje szajby. Związane z seksem. Rodzicielstwem. Rozbieraniem się przy innych.
2. Nie mam pojęcia. Staralam się nie słuchać. Nie ulega jednak wątpliwości, że Mitch za moimi plecami czyta o ciąży, co się da, i najwyraźniej stał się fanem naturalnego porodu, który mnie wydaje się absurdalny. Nie miałabym nic przeciwko znieczuleniu ogólnemu.

Beth do Jennifer:

Szkoda, że to Mitch nie jest w ciąży.

Jennifer do Beth:

O rany, byłby wniebowzięty.

ROZDZIAŁ 57

Ponieważ wszyscy rozmawiali tylko o Nowym Roku, prawie nie myślało się o Bożym Narodzeniu.

Lincoln miał dyżur także w Wigilię.

- Ktoś musi pracować - oznajmił Greg - i to nie będę ja. Już wypożyczyłem kostium świętego Mikołaja.

To jednak nie miało tak naprawdę znaczenia. Eve spędzała Gwiazdkę z rodziną Jake'a w Kolorado, a matka nie przepadała za Bożym Narodzeniem ani za żadnym „judeochrześcijańskim świętem”.

Lincoln przyszedł w Wigilię do pracy, a potem wybrał się na kolację z kilkoma redaktorami. Po drugiej stronie rzeki znajdowało się kasyno z całodobowym bufetem.

- Narodziny Chrystusa uczczę nogami kraba - oznajmił Chuck.

Przyszła też miniaturowa Emilie. Lincoln widział, że dziewczyna mu się przygląda, ale starał się jej nie zachęcać. Nie chciał zdradzić Beth. Nie wpuściliby cię na zjeżdżalnię w Disneylandzie - pomyślał.

Samo Boże Narodzenie spędził z mamą, jedząc świeżo upieczone pierniczki i oglądając w publicznej telewizji filmy z Jimmym Durante.

Kiedy następnego ranka pojawił się na dole, matka rozmawiała przez telefon o maśle.

- Oj - mówiła - to produkt naturalny. Produkty naturalne nam nie szkodzą. Zabija nas wszystko inne. Barwniki. Pestycydy. Konserwanty. Margaryna. - Żywiła szczególną niechęć do margaryny. Odkrycie, że jakaś rodzina trzyma w maselnicy margarynę, było dla niej równie szokujące jak to, że ich zwierzęta nie są nauczone czystości. Jeśli margaryna to taki cudowny wynalazek - pytała - to dlaczego nie zesłał go nam Bóg? Dlaczego nie obiecał Izraelitom, że zawiedzie ich do ziemi mlekiem, miodem i margaryną płynącej? Japończycy nie jedzą margaryny - dowodziła. Skandynawowie także. - Moi rodzice zawsze mieli końskie zdrowie - mówiła teraz do słuchawki - a pili śmietanę prosto z kubła.

Lincoln wziął ostatniego pierniczka i poszedł do salonu. Eve na Gwiazdkę podarowała matce odtwarzacz DVD i obiecał, że go zainstaluje. Uznał, że chyba mu się to udało - nie mieli żadnych płyt DVD, żeby to sprawdzić - kiedy do pokoju

weszła matka.

- Hmmm - mruknęła, powoli siadając na kanapie.

- Co się stało? - zapytał. Czuł, że na to liczyła.

- Więc... - zaczęła. - Właśnie rozmawiałam z niejaką Doris.

Lincoln szybko podniósł wzrok. Matka patrzyła na niego, jakby konfrontowała go z obciążającym dowodem zbrodni. Jakby wyszło na jaw, że dopuścił się morderstwa w oranżerii, przy użyciu świecznika, i właśnie zdobyła to narzędzie.

- Zachowywała się tak, jakbym powinna ją znać - podjęła matka. - I wylewnie mi dziękowała.

Lincoln poczuł, że tężeje mu twarz. Po co Doris do niego dzwoniła?

- Wyjaśnię ci - powiedział.

- Doris już to zrobiła - odparła. Nie mógł się zorientować, czy jest zła, czy nie. - Powiedziała, że prawie co wieczór dzielisz się z nią kolacją.

- No cóż - rzekł ostrożnie - to prawda.

- Nie mam co do tego wątpliwości. Ta kobieta wie, co wychodziło z mojej kuchni przez ostatni miesiąc. Prosiła o przepis na paszteciki łososiowe twojej babci.

- Przepraszam - powiedział Lincoln. - Musiałem to zrobić. Gdybyś widziała, co przynosi sobie na kolację... za każdym razem kanapki z indykiem z chleba tostowego... a ty zawsze dajesz mi taką wałówkę. Jedząc ją przy niej, miałem poczucie winy.

- Nie mam ci za złe, że się z nią dzieliłeś - odrzekła matka. - Nie rozumiem tylko, dlaczego nic mi o tym nie powiedziałeś... że częstujesz moimi potrawami... obcą osobę.

Spojrzała na niego spod zmrużonych powiek.

- Zastanawiałam się, jak to możliwe, że tyle jesz i wciąż chudniesz. Myślałam, że bierzesz sterydy.

- Nie biorę sterydów, mam. - To go rozśmieszyło.

I ją także.

- Więc to wszystko? - zapytała. Jednak wciąż w jej głosie brzmiało coś dziwnego. Niepokój.

- Co masz na myśli?

- Robisz to tylko ze współczucia?

- Cóż - zaczął Lincoln. Nie mógł powiedzieć matce, że jada z Doris kolacje, aby zwiększyć szanse na spotkanie z dziewczyną, której właściwie nie zna. - Chyba się z nią zaprzyjaźniłem. Doris jest właściwie zabawna. Nie zawsze świadomie, ale...

Matka wzięła głęboki oddech, jakby usiłowała się uspokoić. Lincoln więc nie

dokończył.

- Och, mammo, nie. To nie to. Zupełnie nie to. Mammo. O Boże.

Przyłożyła dłoń do czoła i wciągnęła powietrze.

- Dlaczego zawsze się obawiasz, że powiem coś strasznego? - zapytał.

- A czego mam się spodziewać, gdy słyszę, że co wieczór jadałeś kolację ze starszą kobietą? Zresztą nie byłoby to wcale takie dziwne. Wiele moich koleżanek lubi towarzystwo młodszych mężczyzn.

- Mammo.

- Czy jesteś pewien, że ta Doris nie myli się co do twoich intencji?

- Tak. - Teraz on złapał się za czoło.

- Zawsze byłeś zbyt szczodry - powiedziała, kładąc mu rękę na głowie. - Pamiętasz, jak oddałeś swoje zabawki na akcję dobroczynną? - Pamiętał. Oddał Snaggletootha, Luke'a Skywalkera i pilota X-Winga. Pod wpływem impulsu. Skończyło się na tym, że kiedy zrozumiał skutki swojego czynu, popłakał się przed snem.

Odgarnęła mu włosy z czoła i przytrzymała je chwilę.

- Masz ochotę na wafle? - zagadnęła nagle, wstając. - Zrobiłam już ciasto. A, i zostaw tę resztę jagnięciny. Obiecałam Doris, że przyniesiesz jej kotlecika...

- Dlatego dzwoniła? - spytał. - Żeby ci podziękować?

- Och, nie - odparła matka. Mówiła głośniej, bo wyszła z kuchni. - Dzwoniła do ciebie. Przeprowadza się... Wiedziałeś o tym? Powiedziała, że właśnie przyszli ludzie z firmy przeprowadzkowej i że bardzo brutalnie obchodzą się z meblami. Nie chciała, żeby zniszczyli etażerkę po babci, więc nie pozwoliła im jej tknąć. Wcale się nie dziwię. Zaproponowałam, że przyjedziesz... jesteś młody, silny... ale odparła, że można z tym poczekać jeszcze kilka dni. Co wolisz do wafli: bitą śmietaną czy syrop klonowy? A może i to, i to? Mamy jedno i drugie.

- I to, i to - odpowiedział. Uśmiechnięty, ale zdezorientowany ruszył za matką do kuchni. Miał wrażenie, że jak zwykle nie nadąża za jej tokiem myślenia.

ROZDZIAŁ 58

W tym tygodniu wszyscy z działu IT siedzieli w pracy do późna, nawet ci, który nie brali bezpośredniego udziału w przygotowaniach do przełomu tysiąclecia. Greg szalał z niepokoju. Był pewny, że chłopaki z oddziału uderzeniowego robią go w konia. Powiedział Lincolnowi, że lekarz przepisał mu lek na uspokojenie. Lincoln obserwował ich więc, wypatrując oznak strachu czy nieszczerości. Ale wszyscy oni siedzieli w kącie i patrzyli na monitory z szeregami cyfr, spokojnie przebierając palcami po klawiaturach i popijając fantę.

Przy tylu obowiązkach, w obecności tylu ludzi, Lincoln nie miał czasu ani okazji, żeby myśleć o folderze WebSharka ani łączyć do działu newsów. Dopiero w czwartek mógł zrobić sobie przerwę na kolację. (Końcowe odliczanie). Doris bardzo się ucieszyła na jego widok, a jeszcze bardziej - kiedy zobaczyła, że przyniósł ciasto czekoladowe.

- Chłopcze, twoja matka to jest ktoś - powiedziała, gdy odwinął deser. - Nie tylko świetna kucharka, ale też osoba z charakterem. Założę się, że jest też ładna. Dlaczego nie wyszła ponownie za mąż?

- Nie wiem - odparł.

Nie wyobrażał sobie matki zamężnej, choć wiedział, że przez krótki czas była mężatką; z tego związku urodziła się Eve. Widział jej zdjęcie ślubne; była w koronkowej minisukience i miała natapi rowane blond włosy. Nie wyobrażał jej sobie nawet idącej na randkę. Eve mówiła, że zanim się urodził, było inaczej. Pamiętała różnych mężczyzn, imprezy, nieznajomych na śniadaniu...

- W pierwszych latach po śmierci mojego Paula nie myślałam nawet o randkach - wyznała Doris. - Ale potem zdałam sobie sprawę, że mogę jeszcze żyć kolejnych czterdzieści lat. Dłużej, niż byłam z Paulem. On na pewno nie chciałby, żebym nieszczęśliwa snuła się z kąta w kąt przez czterdzieści lat, wiem, że by nie chciał.

- I zaczęłaś chodzić na randki?

- Jasne - odrzekła Doris. - Spotykam się dwoma panami. To nic poważnego, ale nigdy nie wiadomo.

Lincoln zaczął się zastanawiać, czy jada z Doris kolację, żeby być miły, czy to ona chce być dla niego miła.

- Mama mówi, że nie musisz się martwić o ciśnienie krwi - powiedział, podając jej

plastikowy widelec. - Zrobiła to na oliwie z oliwek.

- Ciasto na oliwie? - zapytała Doris. - Takiej zielonej?

- Dobrze, spróbuj - poradził Lincoln. - Ja zjadłem już trzy kawałki.

Doris ugryzła duży kęs.

- O rany - powiedziała z pełnymi ustami - pyszne. Takie wilgotne. A polewa...

Sądysz, że do niej też użyła oliwy?

- Myślę, że polewa jest na maśle - odparł.

- Och, to dobrze.

Do spokoju socjalnego wkroczyła kobieta i podeszła do automatu z przekąskami. Była młoda, w wieku Lincolna, i wysoka. Ciemne włosy nosiła upięte w gruby kok i miała piegi na twarzy. Ładna...

- Cześć, Doris - powiedziała.

- Hej, kochanie - odparła starsza pani. - Pracujesz po godzinach?

Kobieta, a właściwie dziewczyna uśmiechnęła się i kiwnęła głową, a potem spojrzała z uśmiechem na Lincolna. Była szeroka w ramionach i miała duży biust. Lincoln poczuł, że ściska go w gardle. Odpowiedział tym samym. Nigdy wcześniej jej nie widział, tak mu się zdawało. Pochyliła się, żeby wyjąć coś z automatu. A z jej koka wysunęło się kilka loków, które opadły na kark. Potem energicznie ruszyła z powrotem do drzwi. Była ubrana w dopasowaną białą bluzkę i różowe sztruksowe spodnie. Miała wąską talię i szersze biodra. A także okrągłą pupę. Była bardzo ładna.

- Szkoda, że ma chłopaka - zauważyła Doris, kiedy za nieznajomą zamknęły się drzwi. - To miła dziewczyna... i odpowiadałaby ci wzrostem. Nie musiałbyś łamać sobie kręgosłupa, żeby pocałować ją na dobranoc.

Lincoln poczuł, że jego policzki i szyja oblewają się czerwienią. Doris zachichotała.

- Muszę wracać do pracy - oznajmił, wstając.

- Dziękuję za ciasto, chłopcze.

W drodze powrotnej specjalnie przeszedł przez dział newsów.

Może to była ona. Beth. Może. Może to był ten wieczór, jego wieczór. Okazja, żeby z nią porozmawiać. W wigilię sylwestra nowego tysiąclecia. Uśmiechnęła się do niego. Cóż, pewnie uśmiechnęła się do Doris, ale spojrzała na niego, jeszcze się uśmiechając.

Może to była ona. Jego dziewczyna.

I może siedziała teraz przy swoim biurku i będzie miał okazję się zatrzymać, aby powiedzieć jej „cześć” - jak mężczyźni na całym świecie zatrzymują się i mówią

kobietom „cześć”. Obudzić się jako ktoś inny – powiedział sobie stanowczo, czując coraz większe ściskanie w brzuchu.

Nie dotarł do przedziału Beth.

Dziewczyna z pokoju socjalnego siedziała w dziale wiadomości miejskich, przy radiu policyjnym, i rozmawiała przez telefon. Pewnie była to ta nowa dziennikarka od kontaktów z policją, Megan jakaś tam, widział jej nazwisko w gazecie. Nie Beth. Wciąż nie ona.

Popatrzył przez chwilę na dziewczynę, chociaż to nie była ta. Ładna. Więcej niż ładna. Wyobraził sobie, jak rozpuszcza włosy. I jak się uśmiecha.

ROZDZIAŁ 59

Od: Beth Fremont

Do: Jennifer Scribner-Snyder

Wysłano: w piątek, 31.12.1999, o godz. 16.05

Temat: Plus dwa milenijna

To moja propozycja w konkursie na nagłówek na pierwszą stronę. Co o niej sądzisz?

Jennifer do Beth:

Choler@. Znacznie lepsza od mojej - „przełom tysiąc-złeci”.

Beth do Jennifer:

Chyba żartujesz. „Przełom tysiąc-złeci” jest świetne. Derek wymyślił: „Nowe tysiąclecie? Stare kapcie”, a to gorsze niż brak nagłówka.

Jestem rozczarowana, że jeszcze nic strasznego się nie zdarzyło. Czy wstyd się do tego przyznać?

Jennifer do Beth:

Nie, rozumiem cię doskonale! To taki zawód. Mam poczucie, że wszystkie kraje przed nami psują zabawę.

Beth do Jennifer:

CNN powinien wprowadzić „spoiler alert”.

Jennifer do Beth:

To jeszcze mniej ekscytujące niż zwykły sylwester. Nie zamierzam nawet czekać do północy.

Beth do Jennifer:

Ja zbędę czekać, muszę pracować. Nie odwołano żadnego ze specjalnych milenijnych dyżurów... Poza tym liczę, że uda mi się spędzić większość nocy w pokoju socjalnym.

Jennifer do Beth:

Pokój socjalny – czy to ma coś wspólnego z twoim fajnym facetem?

Beth do Jennifer:

Eee... Ehe.

Pamiętasz, jak mówiłam, że nawet jeśli się na niego natknę, nie odezwę się słowem? Bo wyszłabym na zdzirę czy coś takiego?

Jennifer do Beth:

Dobrze pamiętam.

Beth do Jennifer:

No właśnie... nie miałam racji. Jeśli kiedykolwiek na niego wpadnę, na pewno się odezwę. I będę się uśmiechać tak zachęcająco, jak tylko umiem, licząc, że nie zauważy, jak wciągam brzuch.

Jennifer do Beth:

Zdzira. Znowu go śledziłaś?

Beth do Jennifer:

Tylko do pokoju socjalnego.

Zobaczyłam, że wyszedł z biura na parterze z dodatkowym czytnikiem kart. Musi jednak pracować w ochronie. Co wyjaśnia, dlaczego pracuje w nocy. I dlaczego widziałam go w różnych działach. No i tłumaczy jego wzrost. (No może nie tyle tłumaczy jego wzrost, ile jego wzrost tłumaczy, dlaczego facet dostał robotę w ochronie. Widząc go w tym samym pomieszczeniu, od razu poczułam się bezpieczniej). Ciekawa jestem, dlaczego nie chodzi w mundurze jak strażnicy w recepcji. Może to tajniak? Detektyw? Jak Serpico?

Jennifer do Beth:

Czy Serpico nie był dilerem narkotyków?

Beth do Jennifer:

Chyba masz na myśli człowieka z blizną.

Nieważne. Poszłam za nim do pokoju socjalnego, a potem przespacerowałam się pod drzwiami z kilkanaście razy, zastanawiając się, czy wejść do środka, i co zrobić, jak już wejść. I w końcu postanowiłam: chrzanić ostrożność.

Jennifer do Beth:

Chrzanić ostrożność i wierność. Zdzira.

Beth do Jennifer:

Weszłam, jak gdyby nigdy nic, w stylu: nie zwracajcie na mnie uwagi, przyszedłam tylko po przekąskę z automatu. I on tam był, siedział z Doris. Jedli ciasto czekoladowe. Rzuciłam: „Cześć, Doris”, uśmiechnęłam się do nich obojga, nawiązując z jednym i drugim kontakt wzrokowy i zachowując się najbardziej zachęcająco, jak umiem, a potem kupiłam suszoną wołowinę.

Jennifer do Beth:

Suszoną wołowinę?

Beth do Jennifer:

Na tym etapie wciskałam guziki na chybił trafił. Cały czas wciągając brzuch, jak już wspomniałam.

Jennifer do Beth:

Czy pojawiły się fajerwerki, kiedy spojrzeliście sobie w oczy?

Beth do Jennifer:

Jeśli o mnie chodzi? Bajeczne. Wręcz ognie rzymskie. A jeśli chodzi o niego? Cóż, spojrzał na mnie życzliwie, jakby chciał powiedzieć: „Przyjaciele Doris są moimi przyjaciółmi”.

Jennifer do Beth:

Jedli razem ciasto czekoladowe? Jednym widelcem?

Beth do Jennifer:

Nie bądź głupia.

Jennifer do Beth:

Dobra, jestem głupia. W porządku. Myślałam, że przestałaś na niego polować, bo uświadomiłaś sobie, że byłoby dziwnie, gdyby to zauważył i zagadał do ciebie.

Beth do Jennifer:

Nie przestanę na niego polować. Czym miałabym wtedy żyć?

Jennifer do Beth:

Nie będę z tobą więcej o tym rozmawiać. To tylko cię zachęca.

Właśnie zadzwonił Mitch, żeby się pochwalić. Zeszłego wieczoru próbowałam go namówić, żeby pojechał do supermarketu i zrobił zapasy na nowe milenium, ale nie chciał. Powiedział, że od zakupów w supermarkecie woli już armagedon.

A czy ty zrobiłaś jakieś zapasy?

Beth do Jennifer:

O rany, nie. Jeśli o północy ma upaść cywilizacja, to wolałabym nie utknąć w swoim mieszkaniu, żyjąc o butelkowanej wodzie i konserwach.

ROZDZIAŁ 60

Kiedy Lincoln wkroczył do działu newsów - bo tam musiał pójść, gdy tylko przeczytał słowa „Bajeczne. Wręcz ognie rzymskie” i „Nie dam sobie z nim spokoju” - w pomieszczeniu panował ruch i hałas. Większość dziennikarzy musiała z powodu pluskwy milenijnej przyjść na dyżur. Stali teraz w grupach, śmiali się i gadali. Lincoln odetchnął głęboko i wciągając powietrze do płuc, poczuł się, jakby wypił szampana.

Była tam. Dziewczyna z pokoju socjalnego. Beth. Była tam, siedziała przy swoim biurku. Miała rozpuszczone włosy i odsunięte na czoło okulary; rozmawiała przez telefon, zawijając kabel na palcu. Byłam tam. Lincoln zamierzał podejść do niej i powiedzieć „cześć”.

Nie, zamierzał poczekać, aż dziewczyna skończy rozmowę. I wtedy powiedzieć „cześć”.

Nie, i wtedy ją pocałować.

Nie, zamierzał od razu ją pocałować. Nie chciał czekać. Wiedział, że ona odpowie pocałunkiem. Pocałuje go.

A potem jej powie, że ją kocha.

I przedstawi się jej.

A później, później... co później?

- A później, jeśli o północy wszystko się schrzani, przyłączysz się do naszej dzikiej bandy szabrowników.

- Słucham? - Lincoln się odwrócił. Stał za nim Chuck. Trzymał w ustach niebieski marker i patrzył na kartkę z wykresem kołowym.

- Czy te procenty coś znaczą? - zapytał, wyciągając wykres.

- Nie wiem - odpowiedział Lincoln.

- Możesz je sprawdzić?

- Mówiłeś coś o szabrownictwie?

- Uhm - odparł Chuck. - To miało być zaproszenie. Jeśli zrobi się tu jak w *Mad Maksie*, chcę cię mieć w swojej drużynie. Nie pytaj, co na tym zyskasz, bo jeszcze nie wiem.

- Nie mogę teraz się tym zająć - odrzekł Lincoln, odsuwając wykres.

- Dlaczego?

- Muszę... muszę lecieć.

- Wszystko w porządku?

- Nie. - Lincoln znowu spojrzał na Beth i odsunął się od Chucka. W stronę drzwi.

- Muszę iść.

- Wiesz o zasilaniu coś, czego my nie wiemy?! - zawołał za nim Chuck. - Co ci mówią te wszystkie urządzenia?

- Muszę jechać do domu - oznajmił Lincoln po powrocie do działu IT.

- Wyglądasz okropnie - zauważył Greg. - Ale nie możesz pojechać do domu.

Stoimy u progu nowej epoki.

- Czuję się okropnie. Muszę wyjść.

- Jeśli wyjdiesz, to kto przeprowadzi oddział uderzeniowy przez godzinę zero?

Lincoln spojrzał na monitor telewizora, który Greg miał na biurku. W Londynie świętowano Nowy Rok. Północ w Paryżu, Moskwie i Pekinie minęła w atmosferze zawodu. Nawet Wolf Bli tzer wyglądał na znudzonego. Członkowie oddziału uderzeniowego bezwstydnie grali w Doom.

- No, dobra... - Greg zmarszczył czoło. - Ale dużo stracisz. Zamawiamy pizzę.

Lincoln czym prędzej wyłączył komputer, szybko wyszedł z budynku i wsiadł do samochodu. Pas zapiął dopiero na autostradzie. Nie wiedział nawet, dokąd jedzie, dopóki nie znalazł się na miejscu. Pod drzwiami Justina. Kilka razy odwoził go do domu, ale nigdy nie wchodził do środka. Miał nadzieję, że jeszcze go zastanie. Może zdąży załapać się na milenijną rozpustę.

Otworzyła mu Dena. Była wciąż w stroju do pracy, różowym fartuchu z nadrukowanym małym białym zębem. Całym, z korzeniami i tak dalej. To miało być urocze, ale ząb bez dziąsła trochę wywoływał w nim niepokój.

- Cześć, Lincoln.

- Cześć. Jest Justin?

- Jeszcze nie wrócił. Siedział do późna w robocie. Dobrze się czujesz?

- Tak, nic mi nie jest. Pomyślałem, że jednak wybiorę się z wami na koncert. Jeśli to wam nie przeszkadza. I jeżeli propozycja jest nadal aktualna.

- Jasne, że tak - odpowiedziała. - Justin zaraz będzie. Usiądź. - Tak zrobił. Zajmując jedyny fotel w salonie Justina, wielki, skórzany, z odchylanym oparciem. - Napijesz się czegoś? Piwa?

- Byłoby super.

Podawała mu mickeya. Normalne piwo czy wysokoprocentowe, co za różnica.

- Na pewno dobrze się czujesz? - ponownie zapytała Dena.

- Jak najbardziej.

- Właśnie zamierzałam przygotować się do wyjścia.

- Jasne. Nie przeszkadzaj sobie. Mną się nie przejmuj, pooglądam sobie MTV.

- Dobra - odparła Dena. Wahala się przez chwilę, ale zostawiła go samego.

Lincoln miał prawie pewność, że przyjazd tutaj to złe posunięcie. Nie mógł jednak zostać w pracy. Wiedząc, że jest tam Beth, że być może o nim myśli. Że nie może z nią rozmawiać. Że brakuje mu jaj, czy nie tak? A może mając świadomość, że to byłoby niewłaściwe, że już sama rozmowa z nią byłaby jak ujawnienie poufnych informacji?

A może po prostu bał się zrobić coś naprawdę?

Teraz, kiedy wiedział, jak Beth wygląda, było gorzej. Jeszcze gorzej. Obiekt jego myśli i ciepłych uczuć zyskał bowiem twarz. Piegowatą. I swojskie truskawkowe sztruksy. Nie był w stanie myśleć, że ta twarz rozgląda się za nim na korytarzach. Rozjaśnia się na jego widok. Przygląda mu się.

Może wciąż tam była. Siedziała przy biurku. I mógł jeszcze wrócić, pocałować ją i powiedzieć jej... co jej powiedzieć?

Kiedy wreszcie przyszedł Justin, Lincoln nie potrafił powiedzieć, czy czeka w salonie od kilku minut, czy od godziny. Pewnie od godziny. Wypił trzy mickeye. Trzy mickeye na pusty żołądek. Nie był pijany, ale lekko zawiany.

- Co tu robisz? - zapytał radośnie Justin. - Myślałem, że musisz być w pracy.

- Byłem. I zabrałem się stamtąd.

- Czy coś się stało?

Pomyślał o Beth, jej długich ciemnych włosach i kablu telefonicznym owiniętym wokół palców. I zobaczył samego siebie, stojącego pod ścianą jak krety.

- Nie - odpowiedział - nigdy nic się nie dzieje. Musiałem się stamtąd zmyć.

- Dobra, w porządku. Przebiorę się w coś, czego nie byłoby mi szkoda, gdyby obrzygała mnie Dena, i możemy ruszać w tango.

Lincoln podniósł pustą butelkę.

- Na zdrowie! - wznosił toast.

Kiedy Justin poszedł się przebrać, wróciła Dena. W wyjściowych ciuchach. Miała na sobie czarne obcisłe dzinsy i botki na obcasach. Zrobiła makijaż, który wyglądałby dobrze w barze, natomiast w jasnym górnym świetle wydawał się zbyt mocny.

- Najpierw mamy się spotkać we Friday's z kilkoma moimi koleżankami - oznajmiła. - Jesteś głodny?

- Pewnie - odparł. - Chętnie coś zjem.

- Wszystkie są singielkami - dodała.

- Singielki w Nowym Jorku! - zawołał z sypialni Justin. - Dwukrotne przebicie.

- Będzie też moja przyjaciółka Lisa - ciągnęła Dena. - Pamiętasz? Ta spod Stalowej Gitary.

Nie zapomniał. Pamiętał smak lukrecji. Justin w drodze do wyjścia podał mu jeszcze jednego mickeya i Lincoln nie odmówił.

Z T.G.I. Friday's zapamiętał niewiele. Zabawiał tam koleżanki Deny i zamawiał to, co one: drinki z bitą śmietaną, wisienkami i połyskującymi kolorowymi kostkami lodu. Nawet stek, który jadł, miał w sobie whiskey. Kiedy dotarli do Ranch Bowl, był już bardziej niż zawiany. Czy faceci bywali zawiani - zastanawiał się - czy tylko w różnym stopniu pijani? W jakim stopniu on był pijany? I co by się stało, gdyby teraz przestał pić? Poczuli się lepiej czy gorzej?

Przyjechali w samą porę. Sacajawea właśnie wychodzili na scenę. Justin posłużył się Lincolnem jak taranem, żeby zdobyć miejsce w barze.

- Nic ci nie jest, drągalu? Lincoln? Hej! - mówiła do niego Dena.

Pokiwał głową. Nic mu nie było.

Pierwszy utwór zaczął się od solówki na gitarze. Wszystkie utwory Sacajawei zaczynały się od gitarowych solówek. Justin wydał okrzyk podniecenia, a otaczające ich dziewczyny zapiszczały.

- O mój Boże, spójrz tylko na niego - powiedziała któraś obok Lincoln. - Ale z niego ciacho.

Lincoln popatrzył na Chrisa. Sunącego na brzegu sceny. Wzbudzającego szal. To nie był dobry pomysł. Przyjście tutaj. Właśnie, spójrz na tego faceta - pomyślał Lincoln. - No, spójrz. Ona należy do niego. Ta piękna dziewczyna. Dziewczyna, o której myślę, kiedy nie jestem zajęty myśleniem o czymś innym. O której muszę myśleć, bo nie mogę o niczym innym. Popatrz na niego. Ta cudowna dziewczyna. To światło. Jego. Dziewczyny na sali, wokół Lincoln, kiwały się do akompaniamentu gitary Chrisa, wyciągając do niego ręce. Wszystkie te dziewczyny nie były nią. Tą jedyną, która się liczyła. Lincoln wyobraził sobie, że przepycha się wśród nich, aby dostać się do Chrisa. Wyobraził sobie, jak jego pięść ląduje na przystojnej twarzy gitarzysty.

- Ta piosenka nie jest gorsza od *Stairway* - emocjonował się Justin. Stał z Deną tuż przed Lincolnem, tak blisko, że miał wrażenie, jakby pozował z nimi do klasowego zdjęcia. Dena nie patrzyła na Chrisa. Patrzyła na Justina. Lincoln zauważył, że kumpel trzyma rękę na plecach dziewczyny, wsuwając palce pod jej

bluzkę tuż nad pupą.

A potem przestał zauważać cokolwiek. Urwał mu się film.

Pomagali mu wejść po schodach.

- Powinniśmy byli zostawić go w samochodzie - powiedział Justin.

- Na dworze jest lodowato - zauważyła Dena.

- Nawet by się nie obudził. O rany, jakbyśmy wlekli konia.

- Jeszcze tylko jedno piętro.

- Mogę iść sam - odezwał się Lincoln, odzyskując mowę. Próbował samodzielnie stanąć na nogach, ale poleciał do przodu.

- Zostawmy go tutaj - zaproponował Justin.

- Jeszcze tylko kilka kroków, Lincoln - poprosiła Dena.

Pomogli mu wtoczyć się za drzwi mieszkania Justina. Uderzył głową we framugę.

- To kara za to, że straciłem bis - skomentował Justin - ty cholerny wielkoludzie.

- Pójdę sam - powiedział znowu Lincoln. Ale nie mógł iść. Posadzili go na fotelu.

Właściwie na niego rzucili. Dena próbowała wcisnąć mu do ręki szklanekę wody.

- Czy ja umrę? - zapytał.

- Mam taką nadzieję - odparł Justin.

Lincoln obudził się ponownie przed świtem i powlókł przez sypialnię do łazienki. Potem padł na fotel twarzą w dół i prawie całkiem go rozłożył. Wciąż jednak wystawały mu z niego nogi. Oparcie zalały żelazem do włosów i papierosami. Wszystko zalały papierosami. Otworzył oczy. Słońce stało na niebie. Justin siedział na oparciu fotela i palił papierosa, korzystając z wbudowanej w podłokietnik popielniczki.

- Obudził się! - zawołał do kuchni.

Lincoln jęknął.

- Dena martwiła się o ciebie - ciągnął kumpel, włączając telewizor. - Śpisz, jakbyś nie żył.

- Co takiego?

- Nie oddychasz - wyjaśnił Justin.

- Oddycham.

- Niezauważalnie - włączyła się Dena, podając mu jakiś czerwony napój.

- Co to jest?

- Wódka z sokiem warzywnym - wyjaśniła. - I sosem do steków.

- Sosem worcestershire - poprawił ją Justin.

- Wobec tego nie, dziękuję - odparł Lincoln.

- Powinieneś coś wypić - sprzeciwił się kumpel. - Jesteś odwodniony.

- Czy zeszłej nocy straciłem przytomność?

- Coś w tym rodzaju - odrzekła Dena. - W jednej chwili jeszcze stałeś.

A w następnej leżałeś na barze. Jakbyś chciał oprzeć głowę. Od czasów college'u nie widziałam, żeby ktoś tak się schlał.

- Ja w college'u w ogóle nie piłem.

- Dlatego jesteś cienias - skwitował Justin. - A tak. Facet twojej postury. Żenada.

- Przepraszam - powiedział Lincoln do Deny.

- Nic się nie stało - odparła. - Masz ochotę na jajecznicę czy coś innego?

- Poproszę tylko trochę wody. - Zwlókł się z fotela i Justin natychmiast zajął swoje miejsce. Świat się nie skończył. Nawet w centralnej strefie czasowej. W telewizji leciał kanał sportowy. Dena poszła za Lincolnem do kuchni. Miała na sobie bawełnianą koszulkę w jakieś wzorki. Kolejne zęby. Podała mu szklanekę kranówki.

- Odeгнаłeś to? - zapytała.

- Co?

- To, przez co się tak upiłeś.

Zamknął oczy. Beth.

- Nie - odparł - ale będę próbował dalej.

Przed wyjściem od Justina Lincoln wypił ze cztery litry wody. Zanim wrócił do domu, wstąpił do siłowni, licząc, że po ćwiczeniach czuje się lepiej. Better Bodies działało także w dni świąteczne - przez kilka godzin nawet w Boże Narodzenie - i było tam mnóstwo ludzi, którzy przystąpili do wypełniania noworocznych postanowień. Lincoln musiał czekać w kolejce, żeby skorzystać z bieżni. Mdłości już mu przeszły. Czuł się natomiast osłabiony i miał kiepski humor. Nie mógł przestać myśleć o Beth, ale wywoływało to u niego tylko frustrację. Jak wtedy, kiedy pod koniec układania puzzli człowiek uświadamia sobie, że na samym początku popełnił błąd i musi zacząć od nowa. Z czystą kartą.

Teraz, kiedy wiedział, jak Beth wygląda, nie mógł sobie przypomnieć, jak to jest tego nie wiedzieć. Nie mógł usunąć sprzed oczu jej obrazu. Pod względem fizycznym zupełnie nie przypominała Sam. A Sam była jego jedynym punktem odniesienia. Jak to by było z dziewczyną, kobietą, która z trudem wsunęłaby głowę pod jego brodę? „Twojego rozmiaru” - czy nie tak ujęła to Doris? Bardzo mu się podobało, że Sam była niska i drobna. Ptaszyna. Drobinka. Mógł ją sobą nakryć, połknąć. Kiedy się tulili, musiał uważać, żeby jej nie zmiażdżyć.

Jak to by było obejmować inną dziewczynę? Dziewczynę, której biodra i ramiona były prawie na tym samej wysokości co jego, która nie zniknęłaby pod nim, którą można było pocałować, tak bardzo się nie pochylając.

W efekcie ćwiczył zbyt długo albo zbyt intensywnie jak na kaca. Pod prysznicem zrobiło mu się słabo i dostał zawrotów głowy, więc skończyło się na tym, że kupił w recepcji trzy z tych ohydnych batonów z proteinami. Zatrudniona tam dziewczyna namówiła go też, żeby napił się czegoś z elektrolitami, co miało smakować jak melon, a smakowało jak ulepek z syropem kukurydzianym i solą.

Lincoln był zawstydzony, że uległ, choć na chwilę, całemu temu szaleństwu z przełomem tysiącleci. Uwierzył w kosmiczne siły, które mogą przyjść mu z pomocą. I bezpowrotnie stracił nadarzącą się okazję. Dlatego postanowił ostatecznie dać za wygraną.

ROZDZIAŁ 61

Od: Beth Fremont

Do: Jennifer Scribner-Snyder

Wysłano: we wtorek, 04.01.2000, o godz. 13.26

Temat: Czy tylko ja mam wrażenie, że świat nie jest już taki fajny jak dawniej?

Opuściło mnie szczęście. Od pięciu dni nie widziałam mojego fajnego faceta. Wczoraj widziałam natomiast Doris i od razu żołądek podszedł mi do gardła. Wolałabym się tak nie ekscytować za każdym razem, gdy ją zobaczę.

Jennifer do Beth:

A u mnie za to bardzo dobrze. Mitch i ja pojechaliśmy wczoraj kupić łódeczko dziecięce. To znaczy, na razie nie planowaliśmy jego kupna - zamierzaliśmy obejrzeć zmywarki - ale przechodziliśmy obok łódeczek, no i zobaczyliśmy jedno takie. W kremowym kolorze, z rzeźbionym konikiem na biegunach u szczytu. Teraz nie mamy forsy na zmywarkę.

Beth do Jennifer:

Łódeczko? Już? Chciałam pomóc je wybrać. A mogę pomóc wybrać materacyk? Nie możesz wykluczyć mnie z tych wszystkich przygotowań. Przechodzę ciężę razem z tobą.

Jennifer do Beth:

Przepraszam. To było niezaplanowane. W weekend pewnie będę wybierała farbę do pokoju dziecięcego, chcesz pojechać ze mną?

Beth do Jennifer:

Wiesz, że tak. I że nie mogę. W ten weekend jest weselisko.

Jennifer do Beth:

A rzeczywiście. Nie możesz się go doczekać?

Beth do Jennifer:

Nie mogę się doczekać, kiedy już będzie po wszystkim.

Jennifer do Beth:

Czy Kiley wie, jaką ma fałszywą druhnę?

Beth do Jennifer:

Jest obrzydliwie szczęśliwa, za bardzo, żeby to zauważyć.

W niedzielę wybrałam sukienkę. Jest obrzydliwa, zwłaszcza na mnie, a wciąż nie uzyskałam zgody Kiley, żeby zakryć ramiona.

Jennifer do Beth:

Twoja ramiona są całkiem w porządku.

Czy motywem przewodnim wesela nie miał być przełom tysiącleci? To aktualne?

Beth do Jennifer:

Rzeczywiście, miał. Kiley chciała rozsypać na przyjęciu 2000 papierowych żurawi, ale w końcu zgodziła się na 380. Teraz motywem przewodnim będzie cudowny świat zimy. (Chyba stąd sukienki z odkrytymi ramionami).

A przy okazji, sądzisz, że moje ramiona są całkiem w porządku, tylko dlatego, że je zakrywam. Że opanowałam sztukę kamuflażu. Wszystkie moje ciuchy mają na celu odwrócenie uwagi od ramion.

Jennifer do Beth:

Teraz, gdy się nad tym zastanawiam, rzeczywiście dochodzę do wniosku, że nigdy nie widziałam cię w kostiumie kąpielowym. Ani w tankini. A znamy się sześć lat.

Beth do Jennifer:

To nie przypadek, przyjaciółko moja. Mam ramiona sycylijskiej babci. Nadające się do zrywania oliwek i mieszania gęstych sosów pomidorowych. I do noszenia wiader wody ze strumienia.

Jennifer do Beth:

A czy Chris widział twoje ramiona?

Beth do Jennifer:

Widział. Ale nie zobaczył.

Jennifer do Beth:

Rozumiem, ale nie do końca.

Beth do Jennifer:

Żadnych negliży bez rękawów. Żadnego bezpośredniego słońca. Czasami, kiedy wychodzę spod prysznica, krzyczę: „O zobacz, ryś!”.

Jennifer do Beth:

Dam głowę, że nabiera się za każdym razem.

Beth do Jennifer:

Cały Chris. Narkotyki też czasami są nie od rzeczy.

W każdym razie kupiłam elegancki sweterek, żeby go zarzucić na swoją paradną sukienkę, ale Kiley orzekła, że jest obciachowy i w nieodpowiednim odcieniu szaławii. A potem dodała: „O rany, Beth, przecież nikt nie będzie patrzył na twoje ramiona”.

A moja matka skomentowała: „Ona ma rację, Beth, oczy wszystkich będą zwrócone na pannę młodą”.

Co tylko mnie wkurzyło. Dlaczego to mnie wkurzyło? Bo obie mają rację. Ale przyszło mi do głowy, że skoro i tak nikt nie będzie na mnie patrzył, to dlaczego nie miałabym włożyć tego cholernego sweterka? Byłyśmy akurat w sklepie z bielizną. Wspomniałam o tym? Moja siostra była niezadowolona ze stanika bez ramiączek, więc wszystkie musiałyśmy pójść do sklepu razem z nią. Ja też jestem niezadowolona ze stanika bez ramiączek. Bo jestem niezadowolona z sukni bez ramiączek.

Gdy Kiley przymierzała staniki, matka poklepała mnie po ramieniu i odezwała się w te słowa: „Kochanie, to dzień Kiley. Po prostu go przeżyj”. Czy wspomniałam, że żadna z pozostałych druzhen nie ma potężnych ramion? Odziedziczyłam je po babci ze strony ojca, Włoszce, która wprawdzie już nie żyje, ale za życia miała dość rozsądku, żeby nie nosić sukien bez ramiączek.

Jennifer do Beth:

Nie mogę się już doczekać naszych wspólnych zakupów w przyszłym tygodniu.

Beth do Jennifer:

Zrobisz to dla mnie?

Jennifer do Beth:

Pewnie, że tak. Pozwolę ci nawet włożyć ten brzydki zielony sweterek.

Czy Chris jedzie z tobą na ślub?

Beth do Jennifer:

I na próbę przyjęcia weselnego. I na niedzielny brunch. Orzekł, że nie powinnam sama brać udziału w żadnych imprezach związanych ze ślubem i weselem. Powiedział: „Rozklejasz się za każdym razem, kiedy o tym mówisz”. I oczywiście od razu się rozkleiłam. A kiedy się rozklejam, Chris od razu mięknie. O dziwo, wcale nie wytrąca go to z równowagi.

Jennifer do Beth:

Dobrze się spisałeś, Chris.

Beth do Jennifer:

No. Pięć gwiazdek. Pozwolił nawet, żebym kupiła mu nową kurtkę i skórzane spodnie. Portki. Nie wolno mi ich tak nazywać. To słowo budzi w nim lęk. Zazwyczaj nie mogę mu kupować żadnych ciuchów.

Jennifer do Beth:

Miło mi słyszeć, że to nie ty wybierasz dla niego te wszystkie obcisłe dzinsy, które nosi. Co zrobi z włosami? Zwiąże je w kucyk?

Beth do Jennifer:

Z takimi włosami nic nie da się zrobić. Trzeba sobie odpuścić i zdać się na Boga.

Hej, wiesz co? Całe to gadanie o moim fajnym chłopaku sprawiło, że moje fajne żądze zmalowały.

Jennifer do Beth:

No i dobrze.

ROZDZIAŁ 62

Beth za nim tęskniła.

Lincoln uznał, że w Nowy Rok sięgnął dna, i ta myśl przyniosła mu ulgę. Czy sięgnięcie dna nie pozwala nabrać rozsądku? I się odbić?

ROZDZIAŁ 63

Od: Jennifer Scribner-Snyder

Do: Beth Fremont

Wysłano: w piątek, 08.01.2000, o godz. 14.44

Temat: Jesteś?

Zajmij mnie czymś.

Beth do Jennifer:

Zająć cię czymś? Z chęcią. Chrzanić wydajność pracy.

Co robisz?

Jennifer do Beth:

Sama nie wiem. Chyba piszę nagłówki. Czytam w kółko te same materiały, żeby sprawdzić, czy jakiś durny reporter nie napisał „za wyjątkiem” zamiast „z wyjątkiem”. Zamieniam „poddawać w wątpliwość” na „podawać w wątpliwość”. Kłóć się z kimś o następstwo czasów.

Beth do Jennifer:

Co to jest, u licha, następstwo czasów?

Jennifer do Beth:

Nie mogę powiedzieć. Tajemnica zawodowa redaktora.

Beth do Jennifer:

Nie wiedziałam, że w ogóle coś takiego istnieje.

Jennifer do Beth:

Chyba żartujesz. Wszystko w pracy redaktora jest objęte tajemnicą – przez zaniechanie – bo nikt nie przywiązuje do niej wagi.

Beth do Jennifer:

Mogę spytać, dlaczego trzeba cię czymś zająć? Znowu każą ci redagować artykuły do działu sportowego?

Jennifer do Beth:

Nie, nie chodzi o pracę.

Od kilku dni mam dziwne bóle. To nawet nie bóle – raczej skurcze. Zadzwoiłam w tej sprawie do położnej, ale powiedziała, że to nic poważnego. Podobno to naturalne, pod koniec pierwszego trymestru macica dostosowuje się do płodu. „To pani pierwsza ciąża – skwitowała. – I będzie się pani dziwnie czuła”. Poradziła mi też, żeby mówiła do dziecka, to podobno pomaga.

Beth do Jennifer:

Co masz do niego mówić? Masz mówić głośno? Czy dotrzeć do niego na płaszczyźnie astralnej?

Jennifer do Beth:

Mam mówić głośno. „Niech się pani odpręży – powiedziała położna. – Włączy jakąś spokojną muzykę. Zapali świece. Dostroi się do życia, które pani nosi”. Mam mówić dziecku, że jest chciane, upragnione i że nie powinno o nic się martwić, tylko rosnąć i przybierać na wadze.

Próbowałam kilka razy, kiedy siedziałam sama w samochodzie. Ale nie wyszłam poza zdawkową pogawędkę. Mam wrażenie, że naruszam przestrzeń dziecka, że ono się dziwi, dlatego po dwóch miesiącach milczenia nagle postanowiłam nawiązać z nim kontakt.

Poza tym nie chcę dać po sobie poznać, że coś może być nie tak. Więc staram się zachowywać lekki ton. „Mam nadzieję, że jest ci wygodnie. Mam nadzieję, że dostarczam ci odpowiednią ilość żelaza. Przepraszam, że przestałam zażywać drogie witaminy, ale zbierało mi się od nich na mdłości”. Zwykle kończy się tym, że zaczynam płakać, ale mam nadzieję, że dziecko nie zwraca na mnie uwagi.

Beth do Jennifer:

Właściwie podoba mi się, że do niego mówisz. Nawet jeśli ono cię nie rozumie. Rzeczywiście, coś w tobie żyje. Warto dbać o dobrosąsiedzkie stosunki.

Może ja zacznę mówić do swoich jajeczek. Przemawiać do nich. Jak William Wallace przemawiał do swoich ludzi w *Braveheart*.

Jennifer do Beth:

Chyba mówienie do niego wydaje mi się mniej niedorzeczne teraz, kiedy ma uszka.

Beth do Jennifer:

A kiedy zaczyna mieć uszka?

Jennifer do Beth:

Nie wiem. Musiałabym zapytać Mitcha, ale wolałabym, żeby o tym wszystkim nie wiedział.

Od początku jednak mam wrażenie, że na pewnym etapie ciąży musi zdarzyć się coś złego. Jak dotąd za dobrze idzie.

Beth do Jennifer:

Nie zdarzy się nic złego. Wcale nie musi i kropka. Teraz nawet są większe szanse, że wszystko dobrze się skończy.

Jennifer do Beth:

Łatwo ci mówić. Tak samo jak położnej. Łatwo wszystkim mówić: „Nie martw się. Będzie dobrze”. Bo dlaczego tego nie powiedzieć? To nic nie kosztuje. I nic nie znaczy. Nikt nie pociągnie cię do odpowiedzialności, jeśli się pomylisz.

Beth do Jennifer:

Położna mówi, że wszystko będzie dobrze, bo przez całe życie ma do czynienia z ciężarnymi kobietami. Wie z doświadczenia.

A ja tak mówię, bo mam do niej zaufanie i uważam, że martwienie się na zapas nie przyniesie ci nic dobrego.

Jennifer do Beth:

Nie zgadzam się z tobą. Uważam, że martwienie się na zapas przygotowuje człowieka na to, co może się zdarzyć. Jeśli się martwisz, zła wiadomość nie będzie dla ciebie takim ciosem. Przyjmiesz na klatę.

Beth do Jennifer:

Boli cię? Może powinnaś iść do domu.

Jennifer do Beth:

Nie, nie boli. To raczej skurcze mięśni. Poza tym jeśli pójdę do domu, nie będę myślała o niczym innym. To chyba zły pomysł.

Lepiej zajmij mnie czymś. Opowiedz mi o swoim fajnym ochroniarzu. Ponarzekaj na wesele siostry. Pospieraj się ze mną o rozpoczęcie zdania od „bo”.

Beth do Jennifer:

Dobra. Mam coś. Dwa razy w tym tygodniu byłam w solarium. Bratowa powiedziała, że moje ramiona będą wyglądały na szczuplejsze. Moim zdaniem będą wyglądały na bardziej opalone – ale

lepsze opalone potężne ramiona od białych potężnych ramion i dlatego tam chodzę.

Jennifer do Beth:

Nie chcę tego mówić, bo to rada, której ja sama nie chciałabym słuchać i pewnie zachowałabym się tak jak ty. Ale może najlepiej by było, gdybyś w ogóle odpuściła sobie kwestię ramion. Owszem, ktoś może zauważyć, że twoje ramiona są nieproporcjonalnie duże w stosunku do całej sylwetki, ale powiedzmy sobie szczerze, że prawie nikt nie wygląda dobrze w sukience bez ramiączek.

Beth do Jennifer:

To dlaczego stała się ona najpopularniejszą sukienką naszych czasów? Czy wiesz, że nie szyje się już sukien ślubnych z rękawami? Każda kobieta musi taką nosić – niezależnie od wagi, rozmiaru biustu, stanu skóry na plecach, rozstępów, wystających obojczyków, garbu. Dlaczego? Strój ma maskować wady. (Księga Rodzaju 3, 7).

Jennifer do Beth:

Naprawdę zagłębiałaś w tej sprawie do Biblii?

Beth do Jennifer:

Derek ma ją na biurku, więc nie wymagało to wielkiego trudu.

Hej, muszę już kończyć. Wychodzę dziś wcześniej, żeby przygotować się na próbę przyjęcia. Zadzwoń w weekend, jeśli poczujesz potrzebę, żeby ktoś cię czymś zajął, dobra?

Jennifer do Beth:

Będziesz zaabsorbowana sprawami związanymi z weselem.

Beth do Jennifer:

I na pewno chętnie się od nich oderwę.

Jennifer do Beth:

Dam głowę, że będziesz się świetnie bawić i pożałujesz, że przez tyle czasu zamartwiałaś się tą sprawą.

Beth do Jennifer:

To możliwe. Ma być otwarty bar.

ROZDZIAŁ 64

Tego wieczoru Lincoln nie miał ochoty wracać po pracy do domu. Wciąż myślał o Beth w sukience bez ramiączek. O jej kremowobiałych ramionach. Piegach. Może powinien umówić się z jedną z tych dziewczyn, które podsuwał mu Justin. Albo z którąś luteranką od siostry. Albo z Beccą, tą z siłowni. Ostatnio podeszła do niego, gdy ćwiczył ze sztangą, i dotykała jego ramion więcej razy, niż wymagała konieczność. Może wciąż była pod wrażeniem jego łokci.

Skończył w Village Inn – sam. Kiedy przyszła kelnerka, zamówił dwa kawałki placka francuskiego. Przyniosła je na dwóch talerzach, co nie wiadomo dlaczego wydało mu się żenujące.

Wziął ze sobą wydanie gazety, które miało ukazać się nazajutrz – jeden z przywilejów pracy w redakcji „Couriera” – ale był tak pobudzony, że nie mógł czytać.

I w efekcie dopóki nie zabrał się do jedzenia drugiego kawałka placka, nie zauważył, że w sąsiednim boksie siedzi Chris. Chłopak Beth. Był do niego zwrócony twarzą – obaj przyszli sami.

Lincoln przypomniał sobie, kiedy ostatnio go widział – w sylwestra – i zastanawiał się, czyby nie podejść do niego i nie dać mu w twarz. Ale przeszła mu chęć odwetu.

Chris wyglądał inaczej niż zwykle. Schludniej. Był w marynarce i koszuli, oczywiście stylowo rozpiętej u góry. Włosy miał błyszczące i uczesane. Wygląda jak z reklamy szamponu – pomyślał Lincoln. – Odstawiony na próbę przyjęcia weselnego. I wtedy zaczął się śmiać. Cicho. I raczej w duchu.

Bo nie powinien tego wiedzieć, a wiedział. I powinien nienawidzić tego faceta, a nie nienawidził. Nie miał ochoty go zabić. Chciał tylko zamienić się z nim miejscami. Nie, nie chciał nawet tego. Gdyby to on, Lincoln, miał być tego dnia partnerem Beth na próbie przyjęcia, w tej chwili byłby z nią w domu. Gdyby miał towarzyszyć jej następnego dnia na ślubie i weselu, odliczałby godziny do czasu, kiedy włoży tę sukienkę. A potem ją zdejmie.

Znowu się zaśmiał. Ale tym razem głośno.

Chris podniósł głowę, spojrzał na Lincolna i jakby go rozpoznał.

– Hej – powiedział.

Lincoln przestał się śmiać. Aż do tej chwili wydawało mu się, że jest dla Chrisa

niewidzialny. Tak jak był niewidziany dla Beth. (Z tym wyjątkiem, że nie był).

- Hej - odparł.

- Masz może papierosa? - zapytał Chris.

Lincoln pokręcił głową.

- Przykro mi, nie.

Chris się uśmiechnął.

- Jestem dziś wieczorem nieprzygotowany. Nie mam papierosów. Ani nic do czytania. - Sprawiał wrażenie pobudzonego jak Lincoln, ale lepiej to maskował.

- Mogę ci dać część gazety - zaproponował Lincoln.

- Dzięki. - Chris wstał i podszedł do jego stolika, oparł się o boks i wziął strony, na których znajdował się dział kulturalny.

- Przeoczyłem dzisiejsze recenzje filmowe - zauważył.

- Interesujesz się filmem? - zagadnął Lincoln jak gdyby nigdy nic.

- Interesuję się recenzjami filmowymi - odpowiedział Chris. - Moja dziewczyna jest krytykiem filmowym... O, to jutrzejsze wydanie gazety.

- Praktycznie rzecz biorąc, dzisiejsze... - odrzekł Lincoln. - Pracuję w „Courierze”.

- Więc może ją znasz.

- Znam tam niewielu ludzi. - Lincoln czuł się tak sztywno, że miał wrażenie, jakby nie mógł poruszać ustami. Wydawało mu się, że jeśli wypowie niewłaściwie słowo, zamieni się w kamień. Gdyby to było możliwe. - Pracuję na nocną zmianę.

- Gdybyś ją znał, na pewno byś wiedział, że to ona. - Chris pokiwał głową, patrząc za okno, znowu podenerwowany. - To indywidualność, której nie można przeoczyć. Zjawisko, rozumiesz?

- Jak tornado? - zapytał Lincoln.

Chris się zaśmiał.

- W pewnym sensie - odparł. - Miałem raczej na myśli... sam nie wiem, ale owszem. To osoba... - Nerwowo poklepał się po kieszeni, a potem przesunął palcami we włosach. - Jesteś singlem, prawda? Nigdy nie widziałem cię z żadną dziewczyną na koncercie.

- Tak - przyznał Lincoln. Nie tylko nie jestem niewidzialny - pomyślał. - Jestem widzialny jako singiel.

Chris zaśmiał się ponownie. Ostro. Sarkastycznie. To odebrało mu nieco uroku.

- Nawet nie pamiętam, jak to jest... - Pokręcił głową z przygnębieniem i znowu musnął włosy. - To przez tę marynarkę - zmienił temat. - Musiałem wyjąć papierosy, bo wystawały z kieszeni. Elegancja Francja, no nie? Nie przypominam

sobie, żebym tak długo obywatel się bez... Paliłeś kiedyś?

- Nie - odpowiedział Lincoln, wciąż sztywny. - Nigdy.

- Żadnych papierosów, żadnych dziewczyn, jesteś wolnym człowiekiem, przyjacielu.

- Można tak na to spojrzeć - odparł Lincoln. Patrząc ciężkim wzrokiem na stojącego przed nim mężczyznę, zapragnął, żeby zdarzył jakiś cud, jak w *Zakręconym piątku*.

- Aha. - Chris się speszył. Był na tyle atrakcyjny, że mógł sobie na to pozwolić. - Cóż, nie chciałem... - Opuścił wzrok i machnął stronami z gazety. - Dzięki. Za to. Nie będę ci przeszkadzał... W normalnych okolicznościach nie zawracałbym ci głowy... ale to przez ten strój. Nie jestem sobą.

Lincoln zdobył się na uśmiech.

Chris się wyprostował.

- Do zobaczenia. - Ruszył do swojego stolika i rzucił na blat kilka dolarów. - Gramy w przyszłym tygodniu. Zajrzyj za kulisy, jeśli przyjdiesz.

Lincoln odprowadził go wzrokiem, mając nadzieję, że - całkiem szczerze, z całego serca - on pojedzie do domu, do niej.

ROZDZIAŁ 65

W dziale IT było jeszcze mniej pracy niż wcześniej. Międzynarodowy oddział uderzeniowy dawno odszedł. Nie pozostało po nim nic oprócz stosu czystych płyt CD i kilku przypalonych papierosami miejsc na stole.

- Kiedy to się stało, do cholery? - zapytał Greg. Lincoln wzruszył ramionami. Szef polecił mu zmienić wszystkie hasła dostępu i wzmocnić system ochrony antywirusowej; wydawał nawet pracownikom całego działu nowe plakietki.

- Tamci goście zawsze napawali mnie lękiem - wyznał. - Zwłaszcza ten chłopak po polibudzie... Na komputerach można znać się za dobrze.

Lincoln miał wrażenie, że jego samotne nocne zmiany minęły bezpowrotnie.

W poniedziałkowy wieczór nie znalazł w folderze WebSharka żadnych wiadomości od Beth. Nic o weselu. Zupełnie nic. We wtorek podobnie. W środę tak samo.

Wypatrywał jej na korytarzach i robił coraz dłuższe przerwy na kolację. Widział jej nazwisko w gazecie, wiedział więc, że przychodziła do pracy. Każdego wieczoru zaglądał do folderu WebSharka, i to co parę godzin.

W czwartek był pusty. W piątek pusty. W poniedziałek pusty.

W poniedziałkowy wieczór Lincoln przeszedł obok biurka Beth - najpierw o szóstej, a potem o ósmej. Na kolację miał placek z kurczakiem i porem; podzielił się nim z Doris i siedział z nią w pokoju socjalnym przez dwie godziny. Rozmawiając. Czekaając. Doris obiecała, że nauczy go grać w pinochle. Opowiadała, że grali w to z Pauliem i mieli niezłą zabawę.

- Zawsze chciałem się tego nauczyć - powiedział Lincoln.

We wtorek, ponieważ Beth i Jennifer wciąż nie dawały znaku życia, zajrzał do folderu systemu bezpieczeństwa, żeby sprawdzić, czy ktoś inny z informatyków nie wysłał im upomnienia. Przyszło mu do głowy, że mógł to zrobić jeden z chłopaków od pluskwy milenijnej. Ale nic takiego nie znalazł. Na biurku Beth stały kubki po kawie - a więc nie zniknęła całkowicie.

W środę, choć folder WebSharka nadal był pusty, Lincoln poczuł dziwną ulgę. Może tak to się skończy - pomyślał. Bez upokarzającej, bolesnej konfrontacji. Bez narzucania sobie samokontroli i dyscypliny. I zmuszania się, żeby przestać czytać jej e-maile. Bo może to stanie się samo.

ROZDZIAŁ 66

Czy umysł może odrzucać pewne informacje? Tak jak organizm odrzuca obcy narząd? Doris próbowała nauczyć Lincolna gry w pinochle, ale zasady gry jakoś nie wchodziły mu do głowy. Na szczęście - czy może nieszczęście - to jej wcale nie zniechęcało. Lincoln brał pod uwagę jedzenie przy biurku, zwłaszcza że nie starał się już natknąć na Beth. Ale to nie byłoby w porządku wobec Doris, szczególnie teraz, kiedy matka przesyłała jej przez niego różne pyszności. A Doris w rewanżu częstowała go ciastem.

- Niektórzy ludzie z trudem uczą się gier - orzekła. - Tym razem ja rozdaję. - Potrafiła robić różne sztuczki z tasowaniem kart. - Powiedz, masz jakieś plany na weekend?

- Nie - odpowiedział. Myślał o tym, żeby zagrać ze stałym towarzystwem w D&D. Albo umówić się na golfa z Chuckiem. Jeden z redaktorów urządzał imprezę „ponoworoczną”, na którą go zaprosił. („Zawsze obchodzimy Nowy Rok kilka tygodni później - wyjaśnił Chuck. - Ci dranie z dziennej zmiany nie chcą w święta na spółkę z nami brać dyżurów”).

- Bo wciąż jeszcze mam w mieszkaniu tę etażerkę... - podjęła Doris. - A obiecałam właścicielowi mieszkania, że do końca miesiąca wszystko wyniosę.

- W porządku - odparł Lincoln. - Przepraszam, zapomniałem. Mogę przyjść w sobotę po południu, jeśli chcesz.

- A co byś powiedział na niedzielę? W sobotę już się umówiłam. No jasne, dlaczego miałyby się nie umówić? - Dobrze - zgodził się. - A więc w niedzielę.

Gdy grali w golfa, Chuck usiłował namówić Lincolna, żeby przyszedł na przyjęcie ponoworoczne.

- Nie przepadam za takimi imprezami - odpowiedział Lincoln.

- Nie będzie nic wielkiego. Redaktorzy urządzą okropne przyjęcia.

- Tym bardziej...

- Będzie Emilie...

- Zdawało mi się, że ma chłopaka.

- Zerwali z sobą. Nie podoba ci się Emilie? Jest świetna.

- Uhm - potwierdził Lincoln. - Bardzo fajna.

- Świetna - powtórzył Chuck - i umie wyrecytować wszystkie przyimki po kolei.

Poza tym przyniesie chlebek dyniowy i gry elektroniczne.

- Wygląda na to, że tobie się podoba.

- Mnie? Nie. Staram się pogodzić z żoną. A ty jaką masz wymówkę?

- Ja... wychodzę z nieudanego związku.

- A kiedy się skończy?

- Niedługo przed tym, jak się zaczął - wyjaśnił Lincoln.

Chuck parsknął śmiechem, wypuszczając w zimne styczniowe powietrze obłoczki pary.

- Czy nie jest zbyt chłodno na grę w golfa? - zagadnął Lincoln.

- Od słońca boli mnie głowa - odpowiedział Chuck.

Lincoln nie dał się przekonać. Nie miał ochoty na imprezy. Gry. Ani spotkania z ludźmi.

Trzy tygodnie. Tyle czasu minęło, odkąd korespondencja Beth i Jennifer po raz ostatni pojawiła się w folderze WebSharka. I dobrze - powiedział sobie. - Nawet jeśli to dziwne, że zamilkły. Nawet jeśli do nich niepodobne. Tym lepiej dla ciebie. Będzie ci łatwiej.

Postanowił wypożyczyć film, *Harolda i Maude*. Nie oglądał go od czasów szkoły średniej i chciał ponownie zobaczyć scenę końcową, w której Harold, jadąc jaguarem, spada w przepaść, a potem gra na bandžo. Miał nadzieję, że wypożyczając ten film, nie natknie się w wypożyczalni na nikogo z reakcji. (Chuck powiedział Lincolnowi, że zanim dowiedzieli się, jak ma na imię, wszyscy nazywali go „chłopakiem Doris”). Niemal więc schował za siebie pudełko, kiedy ktoś dotknął jego ramienia.

- Lincoln. Lincoln? To ty?

Odwrócił się.

Najdziwniejsze w spotkaniu z kimś po dziewięciu latach jest to, że wygląda on zupełnie inaczej, ale tylko przez moment, ułamek sekundy, bo potem wygląda tak jak dawniej, jakby nie minął ten cały czas.

Sam wyglądała identycznie jak Sam. Drobna. Orzechowe kręcone włosy - trochę dłuższe, już nieostrzyżone na boba, który był taki modny w college'u. Duże, błyszczące oczy, tak ciemne, że trudno było dostrzec źrenice. Czarny strój, jakby z ochronki. Srebrne pierścionki na palcach. Różowy krawat zawiązany w talii jako pasek.

Nie przestała go dotykać. Wzięła go za obie ręce.

- Lincoln! - powtórzyła.

Nie poruszył się ani nie odezwał, ale czuł się jak Keanu Reeves w scenie z *Matrixa*, w której tak zwalnia bieg czasu, że może uchylić się przed kulami.

- Nie mogę uwierzyć, że to ty. - Uścisnęła mu dłonie i chwyciła poły jego kurtki, kładąc mu ręce na piersi. - O mój Boże. Nic się nie zmieniłeś.

Przyciągnęła go do siebie. Nie poddał się temu.

- Nawet pachniesz tak samo jak kiedyś - zauważyła. - Brzoskwiniami! Nie do wiary, że to ty. Co u ciebie? - Znowu próbowała przyciągnąć go do siebie. - Co u ciebie?!

- Dobrze - odpowiedział. - W porządku.

- To przeznaczenie, że na ciebie wpadłam - orzekła. - Wróciłam miesiąc temu i od tej pory codziennie o tobie myślę. Wszystkie moje wspomnienia o tym mieście wiążą się z tobą. Za każdym razem, gdy odwiedzam rodziców albo jadę autostradą, w głowie mi dzwoni: „Lincoln, Lincoln”. O rany, jak dobrze cię widzieć. Jak się masz? Naprawdę dobrze? Bo ostatnio, cóż... - Skrzywiła się ze smutkiem. Musnęła jego rękę, ramiona, brodę. - Ale to było lata temu... Co u ciebie? Co słysząc? Opowiedz mi wszystko

- No wiesz - zaczął. - Mieszkam tu. Mam pracę. To znaczy, pracuję. Z komputerami. Nie tutaj, nie w tym miejscu. Niedaleko. - Co jeszcze miał powiedzieć? Że wciąż mieszka z matką? Że właśnie wypożyczył film, który pewnie pierwszy raz oglądał z nią? Że to ona jest tym jaguarem, którym musiał wyjechać poza krawędź klifu?

Tyle że nim nie była. No nie?

Nagle poczuł, że odzyskuje siły. Odłożył ukradkiem *Harolda i Maude* i wziął coś innego, *Lakier do włosów*.

- A ty? - zapytał. - Co cię tu sprowadziło?

- O rany. - Przewróciła oczami, jakby trzeba było trzech godzin i greckiego chóru, żeby o tym opowiedzieć. - Praca. Rodzina. Wróciłam, bo chciałam, żeby moi synowie poznali dziadków. Czy uwierzysz, że mam dzieci? Boże! I dostałam pracę w Playhouse. W rozwoju, zbiórce funduszy, no wiesz, żeby bogaci czuli się ważni. Za sceną, ale nie za kulisami. Sama nie wiem, to wielka zmiana. Wielkie ryzyko. Liam został w Dublinie jeszcze na pół roku, w razie gdyby okazało się, że to nie było dobre posunięcie. Wiedziałaś, że mieszkałam w Irlandii?

- W Dublinie - powtórzył. - Z Liamem. Twoim mężem?

- Coś w tym stylu - odparła Sam, wykonując kolejny gest, który miał znaczyć: „To strasznie długa historia”. - Zarzekałam się, że nie wyjdę znowu za faceta

z zagranicznym paszportem. Kto raz się sparzył i tak dalej. – Wypowiedziała to, wyraźnie rozdzielając sylaby: „i-tak-dalej”. Gdy mówiła, jej dłonie, małe, z wymanikiurowanymi różowymi paznokciami, wykonywały zamaszyste gesty, wciąż lądując na piersi i ramionach Lincolna.

– Kiedyś opowiem ci całą tę historię – powiedziała – w najbliższym czasie. Musimy się spotkać i nadrobić zaległości. Zawsze miałam poczucie, że dwoje ludzi, którzy tyle razem przeszli, jak my, i przeżyli razem takie ważne lata, nie powinni tracić ze sobą kontaktu. – Zniżyła głos do intymnego szeptu, jakby przeszła ze sceny na ekran. – Tak być nie powinno. Mam pomysł – podjęła, obiema rękami ujmując go znowu za kurtkę i stając na placach, żeby się do niego zbliżyć. On tymczasem zeszytniał. – Co teraz robisz?

– W tej chwili? – zapytał.

– Pójdziemy do Fenwick's na lody bananowe. I tam wszystko mi opowiesz.

– Wszystko – powtórzył, próbując sobie wyobrazić, którą część wszystkiego chciałby jej opowiedzieć.

– Wszystko! – Wyciągnęła się w górę, ku niemu. Pachniała gardeniami. I czymś piżmowym, gardeniami z nutą seksu.

– Fenwick's zamknięto kilka lat temu – odparł.

– Więc po prostu wsiądziemy do samochodu i pojedziemy przed siebie, aż znajdziemy gdzieś lody bananowe. W którą stronę? – zapytała ze śmiechem. – Na Austin? Czy Fargo?

– Nie mogę – odrzekł. – Nie mogę. Nie dziś. Mam... sprawy.

– Sprawy? – zapytała, opadając na pięty.

– Imprezę – sprecyzował.

– Aha. – Sięgnęła po coś do czarnej, aksamitnej torebki z rączką w kolorze kości słoniowej. – Proszę. – Wcisnęła mu to do ręki. – Moja wizytówka. Zadzwoń do mnie jeszcze dziś, Lincoln, mówię poważnie.

I zrobiła poważną minę. Kiwnął głową, zaciskając palce na kartoniku.

– Lincoln – powtórzyła, uśmiechając się znacząco i trzepocząc rzęsami. Oparła dłonie na jego ramionach i szybko cmoknęła go w oba policzki. – Przeznaczenie!

I odeszła. Jej szpilki miały różowe podeszwy. Nawet nie wypożyczyła filmu.

A Lincoln... Lincoln wciąż stał w miejscu.

ROZDZIAŁ 67

Nie wypożyczył ani *Lakieru do włosów*, ani *Harolda i Maude*. Po kilku minutach osłupienia Lincoln doszedł do wniosku, że nie ma już ochoty wracać do domu. Nie miał ochoty siedzieć na kanapie w milczeniu. Wszedł z wypożyczalni z pustymi rękami i zatrzymał się na dworze tylko po to, żeby wyrzucić wizytówkę Sam do śmieci. Nie był to żaden symboliczny gest; wiedział, gdzie Sam pracuje, i wciąż pamiętał numer telefonu jej rodziców. Potem wyjął portfel, a z niego wydruk e-maila Beth, tego, w którym pisała, że chętnie by go ugryzła. Przeczytał go jeszcze raz. I jeszcze. I jeszcze. Wreszcie zmiął kartkę i wyrzucił.

A później... pojechał na przyjęcie. Przyjęcie ponoworoczne. Chuck dał mu zaproszenie i Lincoln był pewny, że wciąż ma je w samochodzie. Szukając go na tylnym siedzeniu, zauważył, że drżą mu ręce. W porządku - pomyślał. - Jakoś się trzymam. Kiedy parkował przed domem Chucka, zauważył w tylnym lusterku, że się uśmiecha.

Gdy wszedł do środka, impreza była w pełnym toku.

Zauważył filigranową Emilię z chlebkiem dyniowym i postanowił do niej podejść. Miał ochotę. Była bardzo sympatyczna i zaśmiewała się z jego dowcipów - co sprawiało, że opowiadał jeszcze śmieszniejsze, bo chciał mieć pewność, że inni też będą się śmiać. Poza tym czuł przy niej, że ma ponad dwa metry wzrostu. Co było bardzo przyjemne, bez dwóch zdań.

Wygrał w Electronic Catch Phrase.

Wypił shirley temple.

Podczas zabawy w zgadywanki w dwie minuty, bardzo sugestywnie, przedstawił *Szósty zmysł*.

- Kiedy pokazywałeś, jak pierścień pada na ziemię - zauważył z uznaniem Chuck - zapomniałem, że nie żyjesz i ja o tym wiem.

A kiedy na zegarze wybiła północ - był to zegar w magnetowidzie, więc nie tyle bił, ile mrugał - Lincoln pocałował Emilię w policzek. Natychmiast poczuł, że to był błąd, więc czym prędzej objął jedną z redaktorek technicznych i ją też pocałował. Uznał, że to jeszcze większy błąd. Dlatego szybko pocałował wszystkie inne dziewczyny, które stały w pobliżu, w tym Danielle, szefową redakcji, dwie kobiety, których nie znał, żonę Chucka i jego samego.

Potem wszyscy zaintonowali *Auld Lang Syne*^[8]. Lincoln jako jedyny znał dalsze słowa pieśni i refren. Zaśpiewał czystym głosem:

We dwóch zrywaliśmy ze wzgórz

Stokrotki w pełni kras.

Za stromą górą został już

Ten dawny czas.^[9]

ROZDZIAŁ 68

Kiedy Lincoln się obudził, padał śnieg. Umówił się z Doris w jej mieszkaniu o dziesiątej, ale dotarł tam kwadrans później. Musiał zaparkować samochód kilka przecznic dalej, przed piekarnią. Żałował, że nie ma czasu, aby do niej wstąpić.

W mieście niewiele było takich miejsc, gdzie drogie, stare i wielkie kamienice z czerwonej cegły sąsiadowały z modnymi sklepami i restauracjami. Kamienica, w której mieszkała Doris, była zbudowana z żółtej cegły - trzypiętrowa, miała podwórko i małą fontannę.

Lincoln wbiegł po schodach od frontu, strząsnął śnieg z włosów i wcisnął guzik domofonu przy jej nazwisku.

Rozległ się brzęczyk.

- Trzecie piętro! - zawołała Doris. - Zapraszam na górę.

Na klatce schodowej unosił się przyjemny zapach. Kurzu. Starości. Lincoln był ciekaw, czy Doris ze swoim chorym kolaniem codziennie musiała pokonywać te wszystkie schody.

Czekała na niego w drzwiach mieszkania.

- Cieszę się, że przyszedłeś - powiedziała. - Już wyłączyli ogrzewanie i zamrzam. Etażerka stoi tam.

W mieszkaniu nie pozostało nic oprócz owiniętej w folię bąbelkową szafki. Lincoln potoczył wzrokiem po salonie, wysokim blaszonym suficie i gołych kremowych ścianach. Drewniana podłoga była ciemna i porysowana, a instalacja świetlna przywodziła na myśl budynki dawnych oper.

- Długo tu mieszkałaś? - zapytał.

- Od ślubu - odpowiedziała. - Może półminutowe zwiedzanie z przewodnikiem?

- Jasne.

- To jest salon, jak widzisz. Tam znajduje się sypialnia. - Lincoln wszedł przez drzwi do słonecznego pokoju. Za kolejnymi drzwiami mieściła się maleńka łazienka z wolno stojącą wanną i staroświecką umywalką (małą, z oddzielnymi kurkami na ciepłą i zimną wodę).

- A tam jest kuchnia - mówiła Doris. - Stara jak świat. Blaty pochodzą jeszcze z czasów drugiej wojny światowej. Powinieneś zobaczyć moją nową kuchnię - wszędzie corian, od ściany do ściany. - Lincoln zajrzał do kuchni. Lodówka była

nowa, ale reszta rzeczywiście pamiętała jeszcze początki telewizji. Na ścianie wisiał telefon z tarczą obrotową. Lincoln dotknął bakelitowej słuchawki.

- Nie będziesz tęskniła za tym mieszkaniem? - zagadnął.

- Och, jeszcze czego - odparła Doris. - Na pewno nie. - Zaczęła otwierać szuflady kuchenne, żeby sprawdzić, czy nic w nich nie zostało. - Nie będzie mi brakowało kaloryferów. Ani przeciągów. Ani tych przeklętych schodów.

Wyjrzał przez okno nad zlewem i popatrzył na podwórko.

- Trudno się tu dostać?

- Wejście jest zamykane na klucz.

- Chodzi mi o wynajem.

- A co? Szukasz mieszkania?

- Ja... eee... - A szukał?

Nie.

Gdyby jednak szukał... chciałby zamieszkać właśnie w takim miejscu.

- Kiedy będziemy wychodzić, możemy porozmawiać z Nate'em, administratorem, jeśli chcesz. To porządny człowiek. Jeden z tych alkoholików, którzy nie piją. Jeśli zapomni naprawić toaletę, obniża czynsz.

- Uhm - odrzekł Lincoln - dlaczego nie, porozmawiajmy z nim.

Ujął etażerkę, rozrywając kilka bąbelków.

- Podnieś ją kolaniem - poradziła Doris.

Nate powiedział, że mieszkaniem interesowało się już kilka osób, ale żeby je wynająć, trzeba wpłacić zadatek. Lincoln nie miał książeczki czekowej, ale Doris miała.

- Wiem, że na to zasługujesz - powiedziała.

Nate wziął od niej klucz i wręczył go Lincolnowi.

- I po sprawie - rzucił.

Lincoln pojechał z Doris do nowego mieszkania. Zaniósł mebel na górę, poznał jej siostrę i obejrzał kuchnię z corianowymi blatami. Doris poczęstowała go ciastem z supermarketu i pokazała mu stare zdjęcia jej i Paula z kolejnymi basetami.

- O rany, jakie to podniecające - powiedziała, podwożąc go do samochodu. - Mam wrażenie, że stare mieszkanie pozostanie w rodzinie. Będę musiała poznać cię ze wszystkimi sąsiadami.

Kiedy odjechała, Lincoln wrócił do kamienicy, wszedł na trzecie piętro i otworzył drzwi do mieszkania. Swojego mieszkania.

Przeszedł się po pokojach, starając się obejrzeć wszystko dokładnie. Zaglądając

w każdy kąt. W sypialni w oknie wykuszowym zauważył ławeczkę, na którą wcześniej nie zwrócił uwagi, i kinkiety na ścianach w kształcie kalii. W salonie znajdowały się wysokie okna w dębowych ramach, a na płytkach podłogowych za drzwiami wejściowymi widniało powitanie po niemiecku: „Willkommen”.

Musiał kupić kanapę. I stół. I ręczniki.

I powiedzieć mamie.

ROZDZIAŁ 69

Od: Beth Fremont

Do: Jennifer Scribner-Snyder

Wysłano: w poniedziałek, 24.01.2000, o godz. 11.26

Temat: Widziałaś Amandę?

Poważnie, widziałaś ją dzisiaj?

Jennifer do Beth:

Czy ją widziałam? Chyba będę musiała postawić jej obiad.

Beth do Jennifer:

Jak ona może chodzić po redakcji i patrzeć ludziom w oczy, będąc praktycznie naga do pasa?

Jennifer do Beth:

Ja w takiej bluzce nie mogłabym przeprowadzić nawet wywiadu przez telefon.

Beth do Jennifer:

Przyzwyczaiałam się już, że nosi bluzki z głębokim dekoltem (albo nie zapina tych bez dekoltu), ale rzeczywiście chyba nigdy nie widziałam takiego obszaru cudzych piersi. Może w szkole, w szatni...

Jennifer do Beth:

Gdyby zobaczyła ją moja matka, zaproponowałaby jej pożyczenie swetra. A gdyby ta odmówiła, matka opowiedziałaby jej, jaki los spotkał królową Izebel.

Beth do Jennifer:

A jaki los ją spotkał?

Jennifer do Beth:

Słudzy boży wyrzucili ją przez okno. Za rozwiązłość. (I wiarę w pogańskich bogów). Kilka tygodni temu Amanda chciała ze mną porozmawiać - miała na sobie kardigan i nic pod spodem. Nie podobał jej się nagłówek, który napisałam. Musiałam zdjąć okulary, bez których nie widzę nawet własnych piersi.

Beth do Jennifer:

Nie wiem, co chce powiedzieć, ukazując rowek między cyckami.

Jennifer do Beth:

Chyba: „Patrzcie na mój biust”.

Beth do Jennifer:

Tak, ale po co?

Jennifer do Beth:

Bo jeśli ludzie patrzą na jej biust, nie czytają nudnych leadów, które pisze?

Beth do Jennifer:

Hłe, hłe.

Jennifer do Beth:

Co to znaczy „hłe, hłe”?

Beth do Jennifer:

Coś jak „cha, cha”, ale z lekką wyższością.

Wracam do pracy.

Jennifer do Beth:

Jeszcze jedno: jestem wdzięczna, że nie spytałaś, jak się czuję.

Beth do Jennifer:

W związku z czym?

Jennifer do Beth:

Dzięki.

ROZDZIAŁ 70

Cha.

Były tam. Na swoich miejscach.

Wieczorem Lincoln zamiast do domu pojechał do swojego nowego mieszkania.

Pomyślał, że matka nie będzie się niepokoić, nie będzie na niego czekała w poniedziałkową noc. Zawsze zresztą mógł jej powiedzieć, że nocował u Justina. Gdyby musiał coś mówić.

Ułożył się w śpiworze, który woził w bagażniku samochodowym (i który zalatywał ciuchami z siłowni oraz spalinami), i próbował zasnąć na podłodze swojego nowego salonu. Chociaż była późna pora, słyszał ludzi kręcących się po mieszkaniu na górze. Gdzieś grało radio. W mieszkaniu na dole, a może naprzeciwko. Im bardziej wsłuchiwał się w muzykę, tym wydawała się bliższa, aż w końcu potrafił rozpoznać wszystkie piosenki - senne standardy z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, wolne kawałki i utwory ze szkolnych balów.

Come Go With Me.

Some Kind of Wonderful.

In the Still of the Night.

Starał się ich nie słuchać. Starał się nie myśleć.

Co mogło znaczyć, że Beth i Jennifer wznowiły korespondencję?

Pewnie nic - uznał. - Pewnie ich ostatnia kilkutygodniowa przerwa nie wynikała z niczego szczególnego. Nie była znakiem od Boga, że powinien coś zrobić ze swoim życiem. Głupio z jego strony, że tak myślał. Głupio i arogancko.

Lincoln słuchał radia zjawy jeszcze długo po tym, jak sąsiedzi z góry poszli spać. *Only You. Sincerely.* Przyszło mu do głowy, żeby następnego dnia wieczorem samemu poszukać tej stacji. Zastanawiał się, kiedy nauczył się na pamięć tekstu *You Send Me* i czy to ma być smutna piosenka. A potem zasnął.

ROZDZIAŁ 71

Od: Jennifer Scribner-Snyder

Do: Beth Fremont

Wysłano: we wtorek, 08.02.2000, o godz. 12.16

Temat: Chciałabyś...

Pracować w redakcji.

Beth do Jennifer:

Eee... Nie, nie chciałabym.

Jennifer do Beth:

Dziś byś chciała. Derek pisał artykuł o sztucznym zapładnianiu tygrysów w zoo i Danielle nie pozwoliła mu używać słowa „p*nis”. Jej zdaniem nie przechodzi ono testu śniadaniowego. Kazała więc zamiast niego pisać „męski narząd rozrodczy”.

Beth do Jennifer:

Co to takiego „test śniadaniowy”?

Jennifer do Beth:

Na pewno chodziłaś do szkoły dziennikarskiej? Chodzi o to, że nie powinno się zamieszczać w gazecie niczego, co czytającemu ją przy śniadaniu człowiekowi obrzydziłoby owsiankę.

Beth do Jennifer:

Mnie owsiankę obrzydziłoby raczej podwójne zabójstwo na pierwszej stronie niż niepłodne tygrysy.

Jennifer do Beth:

Tak właśnie odpowiedział Derek. I dodał, że tylko ktoś o takich zahamowaniach seksu@lnych jak Danielle mógłby uznać sztuczne zapładnianie tygrysów za coś zbyt podniecającego dla czytelników.

Beth do Jennifer:

U ciebie to brzmi jak zapładnianie sztucznych tygrysów. To już byłaby perwersja.

Jennifer do Beth:

Derek jeszcze zapytał Danielle, czy zamazuje wszystkie nieprzyzwoite wyrazy w harlekinach, które czyta.

Beth do Jennifer:

Wyleci za to z roboty.

ROZDZIAŁ 72

Ostatnio wszystkie e-maile były mniej więcej tej treści, e-maile Beth i Jennifer.

Znowu do siebie pisały, ale coś się między nimi zmieniło. Żartowały sobie i narzekały na pracę, meldowały się – ale nie pisały o niczym istotnym.

Dlaczego wprawiało go to we frustrację? Dlaczego budziło w nim niepokój?

Na dworze było brzydko, zimno i szaro, padał deszcz, który udawał śnieg. Lincoln nie mógł jednak wysiedzieć przez dalsze sześć godzin w dusznym dziale IT. Postanowił wyskoczyć do McDonalda po coś tłustego i gorącego.

Na ulicach było gorzej, niż przypuszczał. Niemal uderzył w niego SUV, który nie zdążył wyhamować na czerwonym świetle. Ta wyprawa wypełniła mu większość przerwy na kolację i kiedy zajechał z powrotem pod redakcję, jego miejsce parkingowe było zajęte. Musiał zostawić wóz na parkingu rezerwowym kilka przecznic dalej.

Kiedy usłyszał płacz, pomyślał, że to miauczenia kota. Straszny dźwięk. Żałobny. Rozejrzał się w poszukiwaniu jego źródła i zauważył kobietę przy jednym z ostatnich samochodów, które zostały jeszcze na parkingu. Opierała się o niego, stojąc w wielkiej kałuży błota.

Zbliżywszy się, zobaczył, że z opony uszło powietrze. W błocie obok kobiety leżał podnośnik.

- Czy wszystko w porządku? - zapytał.

- Tak. - W jej głosie brzmiał raczej lęk niż przekonanie. Była niska, dość korpulentna i miała jasne włosy. Widywał ją czasami na dziennej zmianie. Przemoknięta, płakała. Nie patrzyła na niego. Stał przy niej skrzepowany; nie chciał wprawiać nieznanym w zażenowanie, ale nie mógł zostawić jej samej.

Próbowała się opanować.

- Czy masz może komórkę, z której mogłabym skorzystać?

- Nie - odpowiedział. - Przykro mi. Ale mogę ci pomóc w zmianie koła.

Wytarła nos, co wydawało się bezcelowe, biorąc pod uwagę, że cała była mokra.

- Będę wdzięczna - odparła.

Rozejrzał się za miejscem, gdzie mógłby odstawić swoją kolację, ale ponieważ żadnego nie zauważył, wręczył kobiecie torbę z McDonalda i wziął klucz do kół. Zdążyła już odkręcić kilka śrub, więc ocenił, że szybko będzie po sprawie.

- Pracujesz w „Courierze”? - zapytała. Była tak wytrącona z równowagi, że wolałaby, aby w ogóle nie siliła się na rozmowę.

- Uhm.

- Ja też, w redakcji. Mam na imię Jennifer. Czym się zajmujesz?

Jennifer. Jennifer?

- Ochroną - odpowiedział ku swemu zaskoczeniu. - Ochroną systemów.

Uniósł samochód i rozejrzał się za kołem zapasowym.

- Jest w bagażniku - podpowiedziała.

Oczywiście. Lincoln nie śmiał na nią patrzeć; co by było, gdyby go rozpoznała? Ale może to nie była ona. Tylko ile kobiet o imieniu Jennifer pracowało w redakcji? Opuścił samochód, otworzył klapę bagażnika, wyjął koło zapasowe i podniósł wóz. Był pewny, że nowa znajoma znów płacze, ale nie wiedział, jak ją pocieszyć.

- W torbie są frytki, jeśli masz ochotę... - powiedział, uświadamiając sobie, że brzmi to co najmniej dziwnie. Ale przynajmniej dziewczyna już się go nie bała. Zerknąwszy na nią, zobaczył, że częstuje się frytkami.

Wymiana koła zajęła mu z piętnaście minut. Jennifer (ta Jennifer?) nie miała prawdziwego koła, tylko jedno z tych tymczasowych, w które wyposażają nowe samochody. Podziękowała mu i oddała resztki kolacji.

- To tylko zapasówka - wyjaśnił, wskazując koło. - Powinnaś jak najszybciej oddać tamto koło do wulkanizacji.

- Dobrze - odparła. - Tak zrobię. - Wydawała się roztargniona. Miał wrażenie, jakby chciała, żeby już odszedł. I sam chciał odejść. Czekał, żeby wsiadła do samochodu i włączyła silnik. Ale kiedy się odwrócił, zobaczył, że dziewczyna nie odjeżdża. Zatrzymał się więc.

Zastanawiał się, dlaczego Jennifer - jeśli to była ta Jennifer - płacze, co się takiego stało. Może pokłóciła się z Mitchem. Może zaczęła się z nim kłócić. Ale nie wspominała o tym w e-mailach. A może...

Och.

Ojej.

Kiedy ostatni raz wspominała o...? Dlaczego nie zwrócił na to uwagi? Powinien był się domyślić, kiedy korespondencja ustała, po tym, co pisały i czego nie pisały.

Dziecko. Mógł sam do tego dojść.

Był takim egoistą. Obchodziło go tylko to, czy jest obecny w ich świadomości, czy nie. Choć to niczego by nie zmieniło, gdyby się zorientował. Nie mógł przecież powiedzieć, że jest mu przykro, ani wysłać kartki.

Zawrócił i zastukał w okno samochodu. Było zaparowane. Jennifer przetarła je,

zobaczyła, że to on, i odkręciła szybę.

- Na pewno dobrze się czujesz? - zapytał.

- Nic mi nie jest.

- Mam wrażenie, że powinienem zadzwonić do twojego męża.

- Nie ma go w domu - odparła.

- To do przyjaciółki, mamy czy kogoś takiego.

- Naprawdę nic mi nie jest.

Nie mógł jednak zostawić jej samej. Zwłaszcza teraz, kiedy wiedział albo się domyślał, co się stało.

- Gdyby ktoś, na kim mi zależy, płakał w nocy na parkingu - zaczął, pragnąc jej powiedzieć, że dla niego kimś takim jest właśnie ona - chciałbym, żeby mnie o tym zawiadomiono.

- Masz rację. Nie czuję się dobrze, ale to przejdzie. Już odjeżdżam. Obiecuję.

Chciał jej powiedzieć, że w ogóle nie powinna prowadzić. Na ulicach panowało szaleństwo, a ona była w rozsypce... Ale nie mógł jej przecież mówić, co ma robić. I nie miał do powiedzenia nic na pocieszenie.

Podał Jennifer torbę z McDonalda.

- Dobrze. Ale proszę, jedź do domu.

Wreszcie odjechała. Lincoln patrzył, jak dziewczyna opuszcza parking i skręca w stronę autostrady. Kiedy zniknęła z pola widzenia, wbiegł do budynku „Couriera”. Był tak przemoczony i zmarznięty, że zdjął przy biurku buty i usiłował się zorientować, który z przewodów wentylacyjnych na suficie dostarcza najwięcej ciepła, żeby usadowić się pod nim. W końcu na kolację zjadł przekąski z automatu. (Musiał powiedzieć Doris, że kanapki tracą świeżość kilka dni przed terminem przydatności do spożycia). Zastanawiał się, czy Jennifer bezpiecznie dotarła do domu i czy rzeczywiście stało się to, co przypuszczał. Może chodziło o coś innego, nie tak straszego. Albo to w ogóle nie była ta Jennifer.

Lincoln znowu przenocował w swoim mieszkaniu. Miał tam bliżej niż do domu, a na dworze nadal panował lodowaty chłód. Myślał o tym, żeby zadzwonić do matki i powiedzieć jej, że jest cały i zdrowy, nie miał wypadku na drodze. Na razie nic nie mówiła o tym, że ostatnio nie zawsze wracał na noc do domu. Czyżby nie chciała się wtrącać? Może nie musiał się od niej wyprowadzać? Gdyby tylko potrafił trochę wyluzować...

ROZDZIAŁ 73

Od: Jennifer Scribner-Snyder

Do: Beth Fremont

Wysłano: w środę, 09.02.2000, o godz. 10.08

Temat: Wydaje mi się, że poznałam twojego fajnego faceta

Chyba że po okolicy grasują dwaj ciemnowłosi przystojni giganci.

Beth do Jennifer:

Poznałaś? Naprawdę go poznałaś?

Jennifer do Beth:

Tak. Zeszłego wieczoru. Po wyjściu z pracy.

Beth do Jennifer:

Wymyśliłaś tę historię dla zabawy?

Jennifer do Beth:

Nawet nie wiem, czy chcę ci o niej opowiedzieć. Jeszcze zaczniesz się o mnie martwić, a tego bym nie chciała.

Beth do Jennifer:

Za późno. Już się o ciebie martwię. Opowiadaj – ze wszystkimi szczegółami.

Jennifer do Beth:

Dobrze...

Pracowałam wczoraj na popołudniowej zmianie, co oznaczało, że musiałam zaparkować na parkingu pod autostradą, i wyszłam stąd dopiero o dziewiątej. Na dworze było zimno, mokro i obrzydliwie, i kiedy wreszcie wsiadłam do samochodu, okazało się, że złapałam gumę. (Już przypomina to początek któregoś odcinka *Prawa i porządku*, no nie?).

Więc... od razu wyjęłam komórkę, żeby zadzwonić do Mitcha, ale okazało się, że padła. Powinnam była wrócić wtedy do budynku i zadzwonić po pomoc drogową czy coś takiego. Ale zamiast tego postanowiłam sama zmienić koło. Robiłam to już

kiedyś, nie jestem kompletną ofiarą. I wyjmując lewarek, pomyślałam odruchowo: „Może nie powinnam się tym zajmować w moim stanie”.

Wówczas uświadomiłam sobie, że nie jestem już w żadnym „stanie”.

Odkręcenie dwóch pierwszych śrub zajęło mi ze dwadzieścia minut. Trzecia ani drgnęła. Próbowałam nawet stanąć na kluczu do kół. Ale poszybował w powietrze i uderzył mnie w goleń. Byłam już cała zabłocona i przemoknięta, więc zaczęłam płakać. Trochę histerycznie.

Wtedy zobaczyłam cień faceta, wielkiego faceta, który szedł w moją stronę. Pomyślałam tylko: „Mam nadzieję, że mnie nie zgwałci, bo muszę odczekać sześć tygodniu, zanim podejmę współżycie”.

Wielki facet zapytał:

- Czy wszystko w porządku?

- Tak - odpowiedziałam, licząc, że sobie pójdzie. Ale on się zbliżył i zobaczyłam, że jest bardzo przystojny - w taki szczególny, nienachalny sposób, można by powiedzieć „szorstki” - i że ma na sobie niemodną džinsową kurtkę. Od razu przyszło mi do głowy: „To ten fajny facet Beth” i przestałam się go bać, co w sumie jest dość zabawne, kiedy się nad tym zastanowić, bo mimo twojej fascynacji jego osobą nic o nim nie wiemy. A w ogóle to nie musiał być on.

Tak czy siak, zmienił mi koło.

Zajął mu to góra osiem minut. A ja stałam obok, trzymając jego kolację (z McDonalda) i tylko patrzyłam. Popłakując. Musiałam wyglądać żałośnie, bo powiedział: „Są tam frytki, jeśli masz ochotę”. Pomyślałam, że to dość dziwaczna propozycja, ale prawdę mówiąc, należę do osób, które znajdują pociechę we frytkach, więc nie odmówiłam.

Niedługo potem - poważnie, parę minut później - facet skończył (też ubłocony od góry do dołu, bo cały parking był jedną wielką kałużą błota). Poradził mi, żebym oddała stare koło do wulkanizacji, i odszedł.

Więc wsiadłam do samochodu, włączyłam ogrzewanie... i znowu zaczęłam płakać, jeszcze bardziej niż poprzednio. Bardziej niż kiedykolwiek od czasu, kiedy to się zdarzyło. Nie wiem, czy w ogóle kiedyś tak bardzo płakałam. (Może po odejściu ojca). Trzęsłam się cała i wydawałam te okropne, płytkie słoniowe dźwięki. Myślałam o słowie „rozpacz” i o tym, że nigdy wcześniej nie rozumiałam w pełni jego znaczenia.

Rozryczałam się na dobre, kiedy usłyszałam pukanie w szybę. Twój fajny facet wrócił. Stał przy samochodzie. Sprawiał wrażenie skrępowanego tą sytuacją i wyraźnie cierpiał, mając ze mną do czynienia. Powiedział: „Mam wrażenie, że

powiniennem zadzwonić do twojego męża” – stanowczo i zdecydowanie. (Poczułam się trochę urażona, że wziął mnie za mężatkę. To tak, jakby ktoś zwrócił się do ciebie „madame”, gdy wciąż uważasz się za „mademoiselle”).

Powtórzyłam, że nic mi nie jest, a on na to: „Gdyby ktoś, na kim mi zależy, płakał w nocy na parkingu, chciałbym, żeby mnie o tym zawiadomiono”.

Tak powiedział. Czy nie ładnie?

Zgodziłam się z nim, przyznałam, że nie czuję się dobrze, ale zaraz dojdę do siebie, i obiecałam, że pojedę prosto do domu. Przez chwilę miałam wrażenie, że nie pozwoli mi odjechać, jakby zamierzał tam stać z ręką na oknie samochodu. Co nie było takie bez sensu – miałam zapuchnięte oczy i pewnie wyglądałam, jakbym zaraz miała zjechać w przepaść.

Ale on tylko pokiwał głową, dał mi torbę z McDonalda i odszedł.

I wtedy już odjechałam. Po powrocie do domu zjadłam dwa jego cheeseburgery (z dodatkową porcją pikli) i czekałam na Mitcha, który – muszę zauważyć – z ulgą przyjął mój płacz. Chyba zaczynał sądzić, że jestem albo nieludzko zimna, albo nieludzko cierpię w milczeniu.

Przepłakałam prawie całą noc. Przyszłam dziś rano do pracy z tak zapuchniętą twarzą, że musiałam to wytłumaczyć alergią na owoce morza.

Beth do Jennifer:

Powinnaś była zostać w domu.

Jennifer do Beth:

Nie chcę, żeby ktoś zaczął się zastanawiać, dlaczego tak często się zwalniam.

Beth do Jennifer:

Gdyby ktoś wiedział, chętnie dałby ci wolne.

Jennifer do Beth:

I nie chcę, żeby ktokolwiek się nade mną użalał. Właściwie to nieprawda – chciałabym, żeby wszyscy się nade mną użalali. Jestem nieszczęśliwa i godna współczucia. Ale nie życzę sobie, żeby ktoś się nade mną użalał, gdyby to oznaczało, że myśli o mojej macicy.

Beth do Jennifer:

A jak się dziś czujesz? Ulżyło ci, kiedy się wypłakałaś?

Jennifer do Beth:

Sama nie wiem. Wciąż nie mam ochoty o tym rozmawiać.

Beth do Jennifer:

Ale możemy rozmawiać o moim fajnym facecie, no nie?

Jennifer do Beth:

Do urzygu.

Beth do Jennifer:

Nie mieści mi się w głowie, że go znasz. Chodzę za facetem od miesięcy i nie nawiązałam z nim nawet przelotnego kontaktu wzrokowego, a ty już go poznałaś. I to w jakich romantycznych okolicznościach. Czy to będzie nieładnie z mojej strony, jeśli stanę się o ciebie zazdrosna?

Jennifer do Beth:

Jak to „w romantycznych okolicznościach”?

Beth do Jennifer:

W filmach jest taki moment, w którym bohaterowie się poznają. Nie poznają się zwyczajnie. To nigdy nie wygląda tak: „Harry, poznaj Sally, Sally, to Harry”. Za każdym razem poznają się w stylu: „Hej, dodałaś czekolady do mojego masła orzechowego!”/ „O czym ty mówisz? To ty dodałeś czekolady do mojego masła orzechowego!”.

To, że (kiedy płakałaś w deszczu na parkingu) na pomoc przyszedł ci nieznajomy przystojniak, który zmienił ci koło i podzielił się z frytkami, jest bardzo romantyczne.

Do licha, to ja miałam poznać go w romantycznych okolicznościach.

Jennifer do Beth:

Twoje romantyczne okoliczności wyglądałyby tak: „Hej, dodałaś czekolady do mojego masła orzechowego!”/ „Przykro mi, mam już chłopaka”.

Poza tym powinnam zaznaczyć, że padał lodowaty deszcz. W lodowatym deszczu nie ma ani krztyny romantyzmu.

Beth do Jennifer:

Ale widziałaś go z mokrymi włosami...

Dobra, powiedz wreszcie, jakie ostatecznie zrobił na tobie wrażenie? Nie wydał

ci się trochę dziwny?

Jennifer do Beth:

Nie powiedziałabym, że dziwny. Raczej niezręczny, jakby nieśmiały. Sprawiał wrażenie skrępowanego - jakby tylko zwykła przyzwoitość i szarmanckość nie pozwalały mu odejść.

Beth do Jennifer:

A więc niezręczny, szarmancki, przyzwoity...

Jennifer do Beth:

I bardzo sympatyczny. To było miłe, że się zatrzymał i został, dopóki się nie pozbierałam. Wielu facetów po prostu przeszłoby obok albo - w najlepszym razie - zadzwoniło pod 911.

Beth do Jennifer:

Niezręczny, szarmancki, przyzwoity, sympatyczny...

Jennifer do Beth:

I naprawdę, naprawdę przystojny. Nie przesadziłaś. Nie jak model z reklamy. Raczej przystojniak w dawnym stylu. I im bardziej mu się przyglądałam, tym stawał się przystojniejszy. Jest zbudowany jak heros. Niemal się spodziewałam, że podniesie mój samochód gołymi rękami, bez pomocy lewarka.

Beth do Jennifer:

Zbudowany jak heros, ubrany jakby właśnie wygrał konkurs naukowy. Czy taki facet może być atrakcyjny?

Jennifer do Beth:

Bardzo atrakcyjny.

Beth do Jennifer:

No to teraz zacznę parkować pod autostradą. Jesteś tego świadoma, prawda?

Jennifer do Beth:

Lepiej nie. Ten parking jest niebezpieczny. Lepiej trzymaj się pokoju socjalnego.

ROZDZIAŁ 74

A więc wciąż jestem jej fajnym facetem – pomyślał Lincoln, jadąc do domu.

Następnego dnia poszedł do siłowni i biegał na bieżni, aż zaczęły się pod nim ugiąć kolana.

Wciąż jestem jej.

- Lincoln! Stary! Żyjesz!

- Cześć, Justin.

- Przepraszam, że dzwonię do ciebie do pracy, ale tyle razy dzwoniłem do domu, że twoja matka pewnie podejrzewa mnie o jakieś nieczne zamiary wobec niej. Mam wrażenie, jakbyśmy się nie widzieli od szóstej klasy.

- Uhm – odparł Lincoln. – Byłem... – Nie unikał Justina. Unikał Sacajawei.

- Pamiętasz, jakim w szóstej klasie byłeś drągalem? Wyglądałeś jak mój cholerny ochroniarz. Posłuchaj, może spotkałbyś się z nami dziś wieczorem? Ze mną i Dena.

- Pracuję do późna.

- Zaczekamy na ciebie. Nie zamieniamy się o północy w dynie. Nie muszę iść jutro do pracy, Dena wprawdzie musi, ale nie potrzeba jej ośmiu godzin snu... Tak jak tobie. Nie potrzeba ośmiu godzin snu, żeby usuwać ludziom ślinę z ust... No wiesz, ślinociągiem... To co, Lincoln, widzimy się w Village, tak? Postaram się załatwić ten sam stolik co zwykle.

- No dobrze. Będę około pierwszej.

- To do pierwszej.

Justin i Dena właśnie składali zamówienie, kiedy Lincoln do nich dołączył. Wzięli dla niego francuski placek czekoladowy.

- Ja stawiam – oświadczył Justin – ten kawałek i następny. Dzisiaj świętujemy.

- Co takiego? – zapytał Lincoln.

- Pokaż mu, kotku – zwrócił się Justin do Deny.

Dena wyciągnęła dłoń z pierścionkiem wielkości knykcia. W marketingu szpitalnym musieli dobrze płacić.

- Jest piękny – skomentował Lincoln. – Gratulacje. – Nachylił się, żeby klepnąć Justina w ramię. – Gratulacje.

- Jestem szczęśliwy jak świnia w błocie – odparł kumpel. – Częściowo to twoja

zashuga.

- Nie.

- Tak, tak. Najpierw poszedłeś ze mną na podryw, a potem przemówiłeś mi do rozsądku, kiedy omal nie straciłem tej pięknej kobiety. Nie pamiętasz? Wybiłeś mi z głowy te wszystkie bzdury, kiedy mówiłem, że nie chcę się ustatkować i tak dalej.

- Sam byś do tego doszedł - zauważył Lincoln. - Byłeś zakochany.

- Może - odparł Justin - ale jestem ci wdzięczny... i oboje z Deną chcielibyśmy cię zaprosić na ślub.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Będiesz moim drużbą?

- Jasne - odpowiedział Lincoln zaskoczony. I wzruszony. - Jasne, z przyjemnością.

- No to dobrze. - Justin podniósł do ust purée ziemniaczane. - Dobrze! Nie powiedziałem ci jeszcze najlepszego. Zgadnij, kto zagra na weselu? - Nie czekał na odpowiedź Lincolna. - Sacajawea!

- To ma być najlepsze? - włączyła się Dena.

- To najlepsze po samym ślubie - zreflektował się Justin.

- Sacajawea... - powtórzył Lincoln.

- Właśnie. Skontaktowałem się z nimi za pośrednictwem menedżera Ranch Bowl i pogadałem z solistą. Powiedział, że zagrają nawet na cholernym bar micwie, jeśli się im zapłaci.

- To będzie kosztowało więcej niż otwarty bar - dodała Dena.

- Ma być odłotowo - oznajmił Justin.

Opowiedzieli mu jeszcze o weselu. Planowali wielkie przyjęcie. Dena miała mnóstwo koleżanek z korporacji studentek. Lincoln przewidywał, że Justin niełatwo znajdzie odpowiednią liczbę drużbów.

- Kiedy ten wielki dzień? - zapytał.

- Siódmego października.

- Szukamy teraz domu - podjął Justin.

- I barbecue.

- Grilla - wyjaśnił Justin. - I nie rozumiem, dlaczego to takie wielkie halo. Musimy tylko wiedzieć, jak wygląda grill, zanim znajdziemy dom, żebym mógł wyobrazić go sobie na tarasie. Nie chcę wprowadzić się do chałupy i pół roku później się przekonać, że na tarasie nie zmieści się grill. Dlaczego zaczynać życie od jakichś cholernych kompromisów?

Dena przewróciła oczami i gestem poprosiła kelnerkę o kolejną dietetyczną colę.

- Zaprosimy cię na steki - dorzuciła Dena.

- Zadzwoń do ciebie, kiedy będziemy się przeprowadzać. Dena ma wielką skórzaną kanapę; trzeba będzie ze trzech dorosłych facetów i nosorożca, żeby ją przenieść.

Lincoln domyślił się, że ma być nosorożcem.

- Nie jest taka duża.

- Chętnie pomogę - zaoferował się. - Naprawdę. Gratuluję. Wam obojgu.

Następne trzy noce spędził w swoim mieszkaniu. Kupił już materac i lampę. A także kubek do mycia zębów, podstawkę na mydło i samo mydło o zapachu wetiwerii. Stał przez dwadzieścia minut w dziale sypialnianym Targetu, usiłując wybrać męską pościel, po czym zdecydował się na taką w bratki, bo lubił te kwiaty, a poza tym - kto miał kiedykolwiek oglądać pościel w jego domu?

ROZDZIAŁ 75

Od: Jennifer Scribner-Snyder

Do: Beth Fremont

Wysłano: w poniedziałek, 14.02.2000, o godz. 10.00

Temat: Pozdrowienia od najbardziej egocentrycznej osoby na świecie

Zeszłej nocy, kiedy bezsennie leżałam w łóżku i mówiłam sobie, że jestem podłym człowiekiem, doszłam do wniosku, że naprawdę jestem podłym człowiekiem. A już na pewno okropną przyjaciółką. Przez te wszystkie tygodnie ani na chwilę nie zapomniałam o sobie i nie zapytałam cię, jak było na ślubie i weselu Kiley. Bardzo przepraszam.

Więc proszę, opowiedz mi. Jak było?

Beth do Jennifer:

Dlaczego leżysz bezsennie, myśląc źle o sobie?

Jennifer do Beth:

Żeby się czymś zająć, kiedy nie mogę spać. Niektórzy liczą barany. Ja pastwię się nad sobą.

Beth do Jennifer:

Rozumiem, dlaczego masz problemy z zasypianiem, ale nie rozumiem, dlaczego masz być dla siebie taka surowa.

Jennifer do Beth:

Nie rozumiesz? Naprawdę?

Beth do Jennifer:

Nie. To, co się stało, było straszne, ale ty sama nie jesteś straszna.

Jennifer do Beth:

To, co się stało, stało się, bo jestem straszna. Jak ślub i wesele?

Beth do Jennifer:

Nie, to nieprawda. Oczywiście, że nie. Czy naprawdę uważasz, że nieszczęścia

przydarzają się tym, którzy na nie zasługują?

Jennifer do Beth:

Generalnie nie. W tym przypadku tak.

Pamiętasz, jak położna mi mówiła, żebym rozmawiała z dzieckiem, dzieliła się z nim swoimi emocjami i myślami? Ja powiedziałam, że to dziwne, a ty stwierdziłaś, że coś w tym musi być.

Teraz się z tobą zgadzam. Coś w tym było.

Dziecko wyczuwało, co chcę, a czego nie chcę. Przekazywałam mu swoje matczyne emocje za pośrednictwem pępowiny czy czegoś takiego. I przez pierwsze sześć czy siedem tygodni sygnał, który do niego docierał, był taki: „Idź sobie”. Idź sobie, idź sobie. I tak zrobiło.

Możesz się ze mną nie zgadzać i mówić mi, że to nie moja wina, że takie rzeczy się zdarzają. Ale mam świadomość, że mimo swoich życzliwych zapewnień wiesz lepiej niż ktokolwiek inny, jak negatywnie byłam nastawiona, jaka zła i przestraszona. I zdaję sobie sprawę, że stawiałam cię w niezręcznej sytuacji.

Beth do Jennifer:

Przyznaję, że byłaś rozdarta i nieszczęśliwa, ale mnóstwo nieszczęśliwych ludzi ma dzieci. Nie można doprowadzić do poronienia przez negatywne myślenie.

Jennifer do Beth:

Nie tylko negatywne. Destrukcyjne.

Beth do Jennifer:

Ale przecież przeszłaś przez to. Pogodziłaś się z tym, że jesteś w ciąży. Nie tylko się pogodziłaś, ale cieszyłaś się z tego.

Jennifer do Beth:

Co za ironia losu, no nie? (Ironia losu czy tylko smutny zbieg okoliczności? Czasami mi się to myli).

Beth do Jennifer:

Proszę, przestań. Nie upraszczaj tak wszystkiego, co przeżyłaś. To naturalne, że nasuwają ci się te okropne refleksje. Musisz się z nimi zmierzyć – ze swoją goryczą i zniechęceniem – aby zrozumieć, że nie chcesz ich więcej doświadczać.

Jennifer do Beth:

Na razie jestem straszliwie rozczarowana. Tyle wiem.

Beth do Jennifer:

Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć w tym, co się zdarzyło, przejaw jakiejś uniwersalnej sprawiedliwości, weź pod uwagę, że może nie chodzi o to, abyś popadła w cynizm, nawet jeśli tak ci jest najwygodniej. Może chodzi o to, żebyś się pozbiierała, podniosła.

Jennifer do Beth:

To brzmi dość surowo.

Beth do Jennifer:

Chyba chciałaś, żebym była szczerą.

Jennifer do Beth:

Jeśli tak wygląda twoja szczerść, chyba wolę, żebyś trzymała się tradycyjnych wyrazów współczucia w stylu: odwagi, musisz sobie poradzić, coś w tobie umarło i przykro mi z tego powodu. Nie potrzeba mi rady: „Wyrwij się z tego”.

Beth do Jennifer:

Nie to miałam na myśli. Przepraszam.

Jennifer do Beth:

Nie? Tak powiedziałaś.

Beth do Jennifer:

Nie powinnam była.

ROZDZIAŁ 76

Od: Jennifer Scribner-Snyder

Do: Beth Fremont

Wysłano: w poniedziałek, 14.02.2000, o godz. 15.15

Temat: Nieważne...

Jak było na ślubie i weselu?

Beth do Jennifer:

Czy to znaczy, że wybaczyłaś mi brak wrażliwości?

Jennifer do Beth:

Prawdę mówiąc, nie. Być może nie wybaczę ci aż do śmierci – któregoś z nas. (Nic na to nie poradzę, lubię nosić w sobie urazę). Ale dopóki nie znajdę nowej przyjaciółki, nie mogę sobie pozwolić, żeby gniewać się na ciebie.

Beth do Jennifer:

Naprawdę przepraszam. Nie chcę, abyś miała wrażenie, że nie możesz rozmawiać ze mną o tym, co się stało.

Jennifer do Beth:

Proszę. A z kim innym miałabym rozmawiać? Opowiedz mi o weselu.

Beth do Jennifer:

Dobrze. Ale ostrzegam cię, to długa historia. Być może dłuższa niż ślub i wesele razem. Łącznie z mszą katolicką. Daj mi kilka tygodni, żeby ją wystukać.

Jennifer do Beth:

Daję ci kilka godzin. Chyba w międzyczasie znajdę coś do zredagowania.

Beth do Jennifer:

Na pewno między nami już wszystko dobrze? Bo mogę jeszcze cię przepraszać. Odbyć ciężką pokutę.

Jennifer do Beth:

Po prostu opowiedz mi o weselu.

ROZDZIAŁ 77

Od: Beth Fremont

Do: Jennifer Scribner-Snyder

Wysłano: w poniedziałek, 14.02.2000, o godz. 16.15

Temat: Mieć i zatrzymać

Dobra, zapisałam to na dysku, żeby nie stracić wszystkiego i nie zaczynać od nowa. Upewnij się, że nie poszło do wydania porannego, okej?

Na pewno jesteś gotowa do czytania? To naprawdę długa historia.

I czy na pewno już się na mnie nie gniewasz? Może chcesz porozmawiać jeszcze o dziecku? Bo historia z weselem może poczekać. (Nie jest to już sensacyjna wiadomość z ostatniej chwili).

Jennifer do Beth:

Tak, jestem gotowa, i nie, że już się nie gniewam. Dawaj!

Beth do Jennifer:

W porządku, oto ona.

Sam ślub był uroczy.

Tak jak się spodziewałam, wyglądałam w sukni drużny monstrualnie. Ale chyba widziałam to tylko ja i miałam już dość słuchania własnego marudzenia, więc po prostu robiłam dobrą minę do złej gry. I ta mina okazała się znacznie atrakcyjniejsza niż miny większości pozostałych druchen. Wszystkie zażyczyły sobie „smoky eyes” – no wiesz, jak Helen Hunt na Oscarach. W efekcie chyba tylko ja i moja siostra Gwen nie wyglądałyśmy na ślubnych fotografiach jak ofiary przemocy domowej.

Podczas samej uroczystości były wzruszające chwile, ale trwała ona tak nieziemsko długo – z całą mszą, jak wspomniałam – że trudno mi było skupić się na czymś innym niż próbie ustania na nogach, żeby nie zemdleć. (Coś takiego zdarzyło się na ślubie mojej kuzynki. Jeden z drużbów upadł na krzesło i rozciął sobie ucho. Poplamił krwią smoking – z wypożyczalni). Bałam się, że gdybym upadła na drobniutką drużnę z korporacji studenckiej, mogłabym ją zmiażdżyć.

Chris sprawował się wzorowo. Podczas ceremonii siedział obok moich rodziców,

a później poznał wszystkich członków mojej licznej rodziny. Był tak czarujący, że zaczęłam nazywać go Chrisem ze Stepford.

A kiedy przyszła pora na wspólne rodzinne zdjęcie ze wszystkimi dziećmi, ich małżonkami oraz wnukami, Kiley uparła się, żeby Chris też do niego pozował. Nie dała mu możliwości protestu. „Jesteś z nami dłużej niż niektórzy z naszych mężów” – oświadczyła.

Obiad był pyszny – stare Włoszki z kościoła, do którego chodzą moi rodzice, upiekły mostaccioli i przyrządziły włoską kiełbasę z czerwoną papryką. Siostra tak się bała zaplamić suknię, że nie chciała jeść niczego oprócz pieczywa czosnkowego. (Czy zjadłam jej pastę? A dlaczego nie, owszem, zjadłam).

Kiley i Brian prezentowali się cudownie, tańcząc Louisa Armstronga. Ona wyglądała przepięknie. Musiałam zatańczyć na weselu z jednym z chłopaków z bractwa studenckiego – do tematu przewodniego z *Titanica* – i facet był najwyraźniej urzeczony moją suknią, generalnie obciachową, ale dość twarzową. Widocznie nie straciłam jeszcze tego czegoś.

Gdy tylko moje oficjalne obowiązki jako druhny dobiegły końca, narzuciłam na ramiona sweter i od razu poczułam się sto razy lepiej. Odetchnąwszy z ulgą, że najgorsze mam już za sobą, byłam wręcz w doskonałym nastroju i naprawdę się cieszyłam, że resztę wieczoru spędzę z Chrisem. Nigdy nie byłam w nim tak zakochana.

Po pierwsze, wyglądał zabójczo przystojnie. Miał na sobie grafitową marynarkę, którą mu kupiłam, i coś w rodzaju krawatu z miękkiej niebieskiej satyny; gdzieś to wynalazł. Wyglądał jak francuski poeta. (Uwodzący swoimi wierszami dziewczęce). Moja matka spytała go, czy ma na szyi szalik.

Po drugie, wiedziałam, że tak się stara ze względu na mnie. Bo mnie kocha. Uznałam jego ujmujące zachowanie za dobitny dowód, że mu na mnie zależy. Nie powinnam potrzebować takiego dowodu, ale może on być bardzo uspokajający.

Podczas obiadu Chris wyszedł na dwór, żeby zapalić i uciec na chwilę od mojej rodziny, i kiedy odnalazłam go za tylnymi drzwiami, wyraźnie ucieszył się na mój widok.

– Czy teraz już jesteś moja? – zapytał. Powiedział, że pięknie wyglądam. Pocałował mnie. I kazał mi zdjąć sweter.

– Wracajmy do domu – poprosił na koniec.

Odpowiedziałam, że nie mogę jeszcze wyjść, obiecałam siostrze, że będę tańczyć. Nie chciała, żeby to było jedno z tych wesel, na których tańczą tylko dzieci, więc zobowiązała wszystkie druhny, żeby zostały na parkiecie przynajmniej do

Kaczuszek.

„W takim razie chyba musimy zatańczyć” – oświadczył i po raz ostatni zaciągnął się papierosem. Kiedy to robi, pochyla głowę, patrząc na mnie; rozumiem, dlaczego dwunastolatki uważają palenie za takie cool.

Wróciliśmy więc na przyjęcie i tańczyliśmy do wszystkich piosenek po kolei. W każdym razie można to nazwać tańcem. Kiwaliśmy się przytuleni do siebie i całkowaliśmy się po eskimosku.

Pamiętasz, jak wariowałam na punkcie tej małej litewskiej knajpki w centrum? Była otwarta tylko wtedy, gdy prowadzącą ją stara jędza miała ochotę ją otworzyć. Podjeżdżałam tam codziennie, ale bez powodzenia. I kiedy już miałam pogodzić się tym, że nigdy więcej nie skosztuję napoleonki – podjeżdżam i widzę w oknie tabliczkę: „Otwarte”.

Cóż, mój związek z Chrisem to jak próba dostania się do takiej restauracji. Nigdy nie wiem, kiedy będzie dostępny i w jakim stopniu. Prawie nigdy nie jest cały dla mnie. Prawie nigdy nie jest taki, jaki był na weselu Kiley – otwarty, z całą swoją ofertą.

Pomyślałam mimowolnie, że tak chciałabym tańczyć na własnym weselu. (Gdyby nie było piosenek Dixie Chicks i Alana Jacksona). To nie tyle taniec, ile zespolenie z muzyką. Zamykasz oczy i myślisz, jak byś powiedziała komuś, że go kochasz, gdyby nie było mowy i seksu.

Chris jedną ręką obejmował mnie w talii, a drugą wsunął mi we włosy. Z uśmiechem pocałował mnie w czoło. Spojrzał mi w oczy, w głąb mnie, i wtedy się poczułam, jakbym była zakochana w słońcu.

I wówczas – na pewno zaczniesz się ze mnie śmiać – didżej zagrał *Rocky Mountain High*.

Uwielbiam *Rocky Mountain High*, do cholery. Masz gdzieś orły, jeziora i całe Kolorado. Dla mnie *Rocky Mountain High* to wyraz euforii. Kiedy John Denver śpiewa: „Narodził się latem w dwudziestym siódmym roku życia...”, jak tu nie odnieść wrażenia, że twoje serca otwiera się na kosmos?

Kiedy więc z głośników popłynął ten utwór, zaczęłam całować Chrisa, jakbym nie mogła doczekać się refrenu, z całym tym uniesieniem, bezbronnością i „Widziałem na niebie ognisty deszcz”. I Chris odpowiedział tym samym. A kiedy się odsunął – przy słowach mówiących, że choć życie jest cudowne, sercem wciąż targa niepokój – powiedział:

- Beth, kocham cię. Kocham cię bardziej, niżbym chciał. Bardziej, niż potrafię wyrazić.

Chciałam odpowiedzieć, że też go kocham, ale mi nie pozwolił, pocałował mnie i rzucił:

- Poczekaj, jeszcze nie skończyłem. To ważne.

Czy uznasz mnie za idiotkę, gdy powiem, że zaświtała mi myśl: może zamierza mi się oświadczyć? Nie byłam tego pewna. Pewnie bym na to nie postawiła. Ale jeśli kiedykolwiek miał to zrobić, lepszy - doskonalszy - moment by się nie trafił.

- Czasami - podjął - kocham cię tak bardzo, że nie daję sobie z tym rady. Czasami to mnie przerasta, nie mam tyle energii, żeby znieść tak wielkie uczucie. Nie mogę nad nim zapanować, ograniczyć go. Czasami męczy mnie już sama świadomość, że się z tobą zobaczę.

Byłam tak odurzona, że nie rozumiałam. Pomyślałam: „Ale to takie dobre, rozkoszne zmęczenie, prawda?”.

- Zawsze będę cię kochał - mówił dalej - ale musisz wiedzieć, że nigdy się z tobą nie ożenię.

Musiałam wyglądać na zdezorientowaną, bo zaczął powtarzać. Z naciskiem.

„Beth. Nigdy się z tobą nie ożenię”.

Wciąż patrzył na mnie tym czułym, kochającym wzrokiem. Gdybyś przyglądała nam się z odległości kilku metrów i zobaczyłabyś wyraz jego twarzy, pomyślałabyś, że naprawdę właśnie mi się oświadczył.

Dotarło do mnie, niemal od razu, że w tym, jak to ujął, jest pewne okrucieństwo. W słowach, że nigdy się ze mną nie ożeni. Nie mógł powiedzieć, że nigdy się nie pobierzemy? Nie mógł zasugerować, że to byłaby wspólna decyzja? Czy tak nie byłoby delikatniej?

Wtedy próbował mnie pocałować, właściwie kontynuować pocałunek, z całą poprzednią miłością i namiętnością, która przepełniała nas jeszcze przed chwilą. Ale ja czułam potrzebę, żeby dowiedzieć się więcej. Odsunęłam się i zapytałam:

- Chcesz powiedzieć, że nigdy się nie ożenisz? Czy że nigdy nie ożenisz się ze mną?

Zastanawiał się przez moment.

- Jedno i drugie - odparł, gładząc mnie po włosach - ale głównie to drugie.

- Głównie, że nie ożenisz się ze mną.

Kiwnął głową.

- Nie dlatego, że cię nie kocham. Bo naprawdę cię kocham. Kocham aż za bardzo. Ale jest ciebie za wiele.

Odepchnęłam go i próbowałam zejść z parkietu. Omijając tańczących, w końcu dotarłam do drzwi wyjściowych. Przez chwilę kręciłam się po parkingu, a potem

uświadomiłam sobie, że nie wiem, gdzie Chris postawił samochód ani czy mam kluczyki. (Gdybym należała do osób, dla których zakochanie się oznacza w końcu małżeństwo, pozwoliłabym moim druhnom włożyć suknie z kieszeniami). Obejrzałam się więc i zobaczyłam Chrisa stojącego w drzwiach.

- Nie rób tego! - zawołał.

- Nie robię! - odkrzyknęłam. - Ty to robisz!

I uznałam, że prędzej skonam, niż zbliżę się do niego choćby na krok. Zażądałam, żeby rzucił mi kluczyki. Odmówił, powiedział, że odwiezie mnie do domu. Ale nie chciałam się na to zgodzić, uparłam się i już.

- Wiedziałem, że tego nie zrozumiesz - odparł. - Że źle to przyjmiesz.

A jak miałam przyjąć?

Powiedział, że chciał, abym dostrzegła prawdę.

- Że kocham cię na tyle, aby być z tobą szczerzy.

- Ale nie na tyle, aby się ze mną ożenić - skwitowałam.

- Za bardzo, aby się z tobą ożenić.

Nawet w stanie, w którym byłam, zdołałam przewrócić oczami.

- Nie wciskam ci kitu! - krzyknął. - Spójrz na mnie. Wiesz, że mówię prawdę. -

I po raz pierwszy, może od samego początku, nie był taki wyluzowany. W jego głosie brzmiała lekka panika. I lekka złość. - Nie chcę kochać kogoś tak, żeby wypełniał całą moją głowę, zajmował całą przestrzeń. Gdybym wiedział, że będę czuł coś takiego do ciebie, dawno bym odszedł, kiedy jeszcze mogłem.

Wciąż domagałam się, żeby rzucił mi kluczyki. Chyba nazwałam go „straszonym draniem”. Jakbym miotała obelgi w obcym języku. Wreszcie rzucił mi klucze, które jak piłka bejsbolowa trafiły w stojący za mną samochód.

- Nie wracaj do domu! - zawołałam. - Nie chcę cię widzieć!

- Muszę wrócić! - odkrzyknął. - Po gitarę!

Widziałaś *Dziewczynę na pożegnanie*? Nie oglądaj, jeśli chcesz w przyszłości mieć przyjemność z oglądania komedii romantycznych. Przy niej każdy film z tego gatunku, z Julią Roberts albo Sandrą Bullock, to żenada. I jeśli nie chcesz do końca życia uważać Richarda Dreyfussa za szaleńczo przystojnego, nawet w takich filmach jak *Co z tym Bobem?* i *Symfonia życia*.

W *Dziewczynie na pożegnanie*, w cudownej scenie finałowej, bohaterka (Marsha Mason, wyglądająca jak zraniona wróżka), która zrezygnowała z miłości, bo porzuciło ją kilku aktorów nieudaczników, uświadamia sobie, że bohater grany przez Richarda Dreyfussa wróci do niej, jak obiecał, bo zostawił w ich wspólnym mieszkaniu gitarę. Na tej podstawie zaczyna się orientować, że on ją naprawdę

kocha.

Kiedy Chris powiedział o gitarze, zrozumiałam, że tak naprawdę mnie nie kocha. Odwrotnie niż w Marsha Mason w filmie.

Wsiadłam do samochodu i jechałam długo przed siebie, żeby Chris nie mógł mnie dogonić, choć tak naprawdę nie podejrzewałam, że spróbuje to zrobić. Stałam na parkingu przed McDonalodem i próbowałam się wypłakać, ale byłam jeszcze zbyt osłupiała. Zatrzymałam się na etapie, kiedy dostajesz cios w brzuch i nie możesz złapać oddechu, żeby powiedzieć: „Cholera, ale boli”. Czułam się zmęczona, niewyobrażalnie zmęczona, ale nie mogłam wrócić do domu; byłam pewna, że Chris tam będzie. A wszyscy, którzy pozwoliliby mi u siebie zanoć, byli nadal na weselu. Więc wynajęłam pokój w Holiday Inn naprzeciwko McDonalda i oglądałam darmowe HBO, dopóki nie zasnęłam.

Spałam aż do końca doby hotelowej i zostawiłam w pokoju tę diabelską suknię. (Miałam w samochodzie ciuchy do ćwiczeń). I wróciłam do domu.

Oczywiście zastałam tam Chrisa – parzył herbatę. Właśnie wyszedł spod prysznic. Wciąż miał mokre włosy i był bez koszulki, która leżała na krześle. Przysięgam, że między końcem jego szyi a górnym guzikiem dżinsów jest z pięć kilometrów. Powiedział, że się o mnie martwił.

- Nie chciałam cię widzieć – odparłam.

- Nie chciałaś? – zapytał, nalewając wrzątku do dwóch kubków.

- Nie chcę.

- Beth... – Odzyskał dawny luz. Popatrzył na mnie tak, jakby sądził, że to wystarczy. – Nie możesz tak po prostu odejść. Za wiele nas łączy. Próbowałem tylko... Między nami są czary – powiedział. – Magia.

Odrzekłam, że nie chcę magii, chcę kogoś, kto mnie nie zostawi, nawet jeśli będzie mógł. Kto nie będzie miał poczucia, że związek ze mną mu ciąży.

- Traktuję związek z tobą poważnie – odparł. – Nigdy cię nie zdradziłem.

Nie to miałam na myśli.

- Powiedziałaś, że męczy cię nawet mój widok – zauważyłam. – Powiedziałem, że czasami twój widok mnie przytłacza.

- Chcę być z kimś, kto myśli inaczej. Kto ma na tyle duże serce, żeby mnie do niego przyjąć.

- Chcesz być z kimś, kogo będziesz mogła okręcić sobie wokół palca.

- Powinieneś to zapisać – odcięłam się. – Brzmi jak tekst piosenki.

To było zimne i okrutne, ale traciłam nerwy. Rozejrzałam się po kuchni, spojrzałam na niego i pomyślałam, że mieliśmy fajne życie, naprawdę. I że to

absurdalne, abym zerwała z nim dlatego, że powiedział na głos coś, o czym od dawna wiedziałam. I że mogłoby być miło i przyjemnie, byłby wspaniały dzień, gdybym tylko potrafiła odpuścić.

- Chcę, żebyś się wyprowadził - oznajmiłam.

- Dokąd mam pójść?

- To już nie mój problem.

- Nie twój? Jestem już dla ciebie nikim?

- Możesz przenieść się do Stefa. Albo rodziców.

- To także mój dom.

- Więc ja się wyprowadzę - odpowiedziałam. - Będziesz musiał podpisać nową umowę najmu. - To było podle z mojej strony. Wiedziałam, że sam nie będzie w stanie opłacić czynszu.

- Beth, przestań. Daj spokój. Spójrz na mnie.

- Nie mogę już na ciebie patrzeć.

Kłóciliśmy się jeszcze jakiś czas, zanim zgodził się odejść. Potem wyszłam, żeby mógł się spakować. Pojechałam do rodziców.

Rodzice... bardzo się ucieszyli, gdy im powiedziałam, co się stało. Byli chyba bardziej uszczęśliwieni moim zerwaniem z Chrisem niż małżeństwem Kiley.

- Wiedziałam, że to błąd zapraszać go do rodzinnej fotografii - oświadczyła matka.

- Moja mądra, silna dziewczynka - powtarzał tata.

Chris zadzwonił do mnie raz, kiedy się pakował, żeby spytać o odtwarzacz płyt. Ja go kupiłam, ale tylko on słuchał płyt. Powiedziałam mu, że może go wziąć, tak jak resztę sprzętu stereo.

- Jezu - odparł - gdybym wiedział, że będziesz taka łaskawa, spakowałbym wszystkie twoje cedeki. - To mnie nawet trochę rozbawiło. - Wczoraj - dodał - byłaś tylko moja. Do ostatniego piega. A dziś rozmawiamy o tym, kto weźmie wideo.

- Wideo biorę ja - odrzekłam.

Od tamtego pory nie miałam z nim kontaktu. Dzwoni do mnie, ale ja nie oddzwaniam. Jestem za słaba. Zostawił w szafie jeden ze swoich swetrów i od pięciu tygodni wypłakuję się w niego. Czuję się tak, jakbym wyrzuciła z mieszkania jedną ze swoich nerek.

Dobra, to chyba wszystko. Oto, jak było na weselu mojej siostry.

Jennifer do Beth:

Beth... odebrało mi mowę. To znaczy, odebrało mi władzę w palcach. Dlaczego

przez tak długi czas nic mi nie powiedziałaś?

Beth do Jennifer:

Próbowałam zadzwonić do ciebie z McDonalda, ale nie było cię w domu, a kiedy zadzwoniłam ponownie w poniedziałek, zorientowałam się, że miałaś jeszcze gorszy weekend niż ja. Gdy powiedziałaś mi o dziecku, nie mogłam zawracać ci głowy Chrisem. Nie chciałam, abys traciła na mnie choć odrobinę energii.

Jennifer do Beth:

Jesteś taką dobrą przyjaciółką. Nie mogę wyjść z szoku. Nie sądziłam, że kiedykolwiek z nim zerwiesz.

Beth do Jennifer:

Mimo że chciałaś, abym tak zrobiła.

Jennifer do Beth:

Czasami.

Beth do Jennifer:

Zawsze wiedziałam, że Chris jest egoistą, lubi sobie dogadzać i bywa leniwy, ale gitarzysta nie może być inny. Wiedziałam także, że zasadniczo jedyną rzeczą w życiu, która naprawdę się dla niego liczy i dla której potrafi się wysilić, jest muzyka. Myślałam jednak, że w „zasadniczo” znajdzie się miejsce dla mnie. Jak mogłam z nim zostać, wiedząc, że uczucie do mnie to krzyż, który musi nieść?

Jennifer do Beth:

Nie mogłaś.

Beth do Jennifer:

I ta myśl, że skoro jest już tak przytłoczony miłością, to małżeństwo go zmiążdży...

Jennifer do Beth:

To tylko wykręt.

Beth do Jennifer:

Tak, wiem. Kiedy się nad tym zastanawiam, czyli niemal stale, nie mogę rozstrzygnąć, czy:

a) jest zdolny do prawdziwego związku, tylko mnie dostatecznie nie kocha; czy

też:

b) nie jest zdolny i to po prostu dupek.

Jennifer do Beth:

Pewnie jedno i drugie.

Beth do Jennifer:

Ale raczej to drugie.

Czy uważasz, że zmarnowałam dziewięć lat życia?

Jennifer do Beth:

Nie, tylko ostatnie dwa albo trzy. Kiedy poznałaś go w stowarzyszeniu studentów, nie mogłaś wiedzieć, że jego serce jest o trzy rozmiary za małe.

Beth do Jennifer:

Chyba chcesz być miła. A tak naprawdę sądzisz, że Chris był niedostępny emocjonalnie już od pierwszego dnia - i że to z jakichś niezdrowych powodów mi się podobało.

Jennifer do Beth:

Rzeczywiście, tak sądzę.

Beth do Jennifer:

I sama jestem sobie winna?

Jennifer do Beth:

Być może. Nie wiem. To chyba nie ma znaczenia, co sądzę i czy to przewidywałam, czy nie. Musiałaś przekonać się sama. I przejrzeć na oczy.

Beth do Jennifer:

Dzięki za szczerść.

Jennifer do Beth:

Jeśli zadam ci trudne pytanie, odpowiesz szczerze?

Beth do Jennifer:

Tak.

Jennifer do Beth:

Czy twoim zdaniem sama jestem winna, że poroniłam?

Beth do Jennifer:

Nie.

W 93 procentach nie. Nie sądzę, żeby winne było twoje nastawienie, choć pewnie nie pomogło.

Jennifer do Beth:

Nie jestem pewna, że te 93 procent mi wystarczą, aby żyć dalej.

Beth do Jennifer:

Wystarczą.

Jennifer do Beth:

Chciałabym znowu zajść w ciążę. Czy to nie okropny przejaw nieprzystosowania?

Beth do Jennifer:

Zależy od powodu.

Jennifer do Beth:

Powód jest taki, że naprawdę chcę mieć dziecko. Ale nie do końca mam pewność, że w mojej podświadomości nie kryje się jakiś inny pokręcony motyw. Czuję, że straciłam coś ważnego. Wiem, że na nie nie zasługuję. To znaczy, nie zasługuję na dziecko.

Beth do Jennifer:

Nikt nie zasługuje na dziecko.

Jennifer do Beth:

Mam poczucie, że powinniśmy o tym rozmawiać przy butelce czegoś mocniejszego.

Beth do Jennifer:

Mój błąd. Przyszło mi to do głowy na samym początku.

Jennifer do Beth:

Myśl, że trudno cię kochać, jest nedorzeczna.

ROZDZIAŁ 78

Świadomość, że Beth jest singielką, niczego nie zmieniała. On był singlem od tygodni. Praktycznie całych miesięcy.

Co to miało zmienić? Nic, no nie? Tak naprawdę nic.

- Słuchasz? - zapytała Doris. Grali w karty i jedli kanapki kupione z automatu. (Doris nigdy nie brała stamtąd niczego za darmo). Lincoln znowu nocował w swoim mieszkaniu i z niego przyjechał do pracy.

- Mówię to już z dziesiąty raz - dodała.

Chris nigdy nie był problemem. W każdym razie nie największym. Ale to już nie miało znaczenia.

- To nie jest takie skomplikowane - powiedziała Doris.

Nic się nie zmieniło. Nic.

- Posłuchaj - ciągnęła. - Muszę z tobą o czymś porozmawiać. Wczoraj zadzwoniła do mnie twoja matka.

- Co takiego?

- Miała mi dać przepis na swojego kurczaka z marchewką, tego z selerem. I z ryżem. W końcu wyznała, że się o ciebie martwi. Podobno nie wracasz do domu na noc. Nie mówiłaś mi, że ta sprawa z mieszkaniem to tajemnica. I że wolisz nie mówić mamie o przeprowadzce.

- Na razie się nie wyprowadzam. Nie zabrałem niczego z domu.

- Gadanie. To przez tę dziewczynę?

- Jaką dziewczynę?

- Wiem od twojej matki, co ci zrobiła... ta aktoreczka.

- Masz na myśli Sam? Nic mi nie zrobiła - odparł.

- Nie rzuciła cię z dla jakiegoś Portorykańczyka?

- Nie - odpowiedział. - To znaczy, nie do końca.

- A teraz do ciebie wydzwania.

- Sam do mnie dzwoni?

- Nie winię twojej matki, że ci o tym nie mówi - oznajmiła Doris. - Ty też masz przed nią sekrety. Spotykasz się z tą dziewczyną w moim mieszkaniu?

- Nie.

- To by tłumaczyło, dlaczego jesteś taki rozkojarzony. I dlaczego nie wracasz

uwagi na żadne inne spódniczki.

- Nie. - To go zaczęło już przerastać. Ucisnął palcami skronie, starając się, żeby jego następne pytanie nie zabrzmiało płaczkliwie: - Powiedziałaś mamie o apartamencie?

- Jestem za stara, żeby okłamywać cudze matki - odrzekła Doris.

Kiedy Lincoln wrócił tej nocy do domu, było już za późno na rozmowę z matką.

Gdy nazajutrz zszedł na parter, była w kuchni - kroїła ziemniaki w plasterki. Na gazie stał garnek, nad którym unosiła się para. Lincoln pochylił się nad blatem obok niej.

- Och, nie wiedziałam, że tu jesteś.

- Jestem.

- Głodny? Mogę ci zrobić śniadanie. Ale pewnie pędzisz do siłowni.

- Nie - zaprzeczył. - Nie jestem głodny. I nigdzie nie pędzę. Chciałem z tobą porozmawiać.

- Gotuję zupę ziemniaczaną - odparła - ale mogę dodać do niej mniej bekonu. Zjesz jajecznicę na bekonie? - I zaczęła wbijać jajka na żeliwną patelnię, dolewając mleka i mieszając. - Mam też angielskie muffiny. Z tych dobrych.

- Naprawdę nie jestem głodny. - Matka jednak na niego nie patrzyła. Położył więc rękę na jej ramieniu, gdy skrobała widelcem po dnie patelni. - Mamo - odezwał się.

- To takie dziwne... - zaczęła. Nie mógł zorientować się po jej głosie, czy jest zła, czy smutna. - Pamiętam czasy, kiedy byłem ci potrzebna na każdym kroku. Kiedy stawiałam cię na ziemi, od razu płakałeś. Nie wiem, jak udawało mi się wziąć prysznic czy ugotować obiad. To było chyba niemożliwe. Bałam się trzymać cię zbyt blisko kuchenki.

Lincoln spojrzał na jajka. Nie znosił, gdy tak mówiła. Czuł się tak, jakby przypadkiem zobaczył ją w koszuli nocnej.

- Jak myślisz, dlaczego ja to pamiętam, a ty nie? - zapytała. - Dlaczego natura nam to robi? W jaki sposób ma to służyć ewolucji? Były to najważniejsze lata w moim życiu, a ty ich sobie nie przypominasz. Nie rozumiesz, dlaczego tak mi trudno oddać cię komuś. Chcesz, żebym zachowywała się jak gdyby nigdy nic.

- Nikomu mnie nie oddajesz. Nie mam nikogo.

- To ta dziewczyna. Ta okropna dziewczyna.

- Nie ma żadnej dziewczyny. Nie widuję się z Sam.

- Lincoln, ona tu dzwoni. Nie musisz kłamać.

- Nie rozmawiałem z nią. Nie wiedziałem, że tu dzwoniła. Posłuchaj,

przepraszam, że cię okłamałem, że nie powiedziałem ci o mieszkaniu. Ale nie jestem z Sam. Ani z nikim innym. Chciałbym kogoś mieć i powinienem. Mam prawie dwadzieścia dziewięć lat. Ty też powinnaś chcieć, żebym miał.

Naburmuszyła się.

- Chciałbym pokazać ci to mieszkanie - powiedział.

- Nie muszę go oglądać.

- Ale ja chcę, żebyś je zobaczyła.

- Porozmawiamy później, kiedy zjesz.

- Mamo, mówiłem ci, nie jestem głodny... - Wziął ją za rękę i odciągnął od kuchenki. - Proszę. Pojedziesz ze mną?

Matka niechętnie wsiadła do samochodu. Nie lubiła siedzieć na fotelu dla pasażera, mówiła, że od razu robi jej się niedobrze. (Zdaniem Eve robiło jej się niedobrze, gdy traciła kontrolę nad sytuacją na dłużej niż pół minuty). Milczała, kiedy Lincoln wiózł ją do mieszkania, w dzielnicy odległej zaledwie kilka kilometrów od jej domu, i parkował przed budynkiem.

- To tutaj - oznajmił.

- Co mam powiedzieć? - zapytała.

- Nie musisz nic mówić. Chciałem tylko, żebyś je zobaczyła.

Wysiadł z wozu, zanim zdążyła się sprzeciwić. Niechętnie poszła za jego przykładem i stanęła na środku chodnika, u stóp schodów. Nie zatrzymał się przy niej, więc ruszyła za nim. Weszła do budynku, po schodach, za próg.

- *Willkommen*. - Przytrzymał jej drzwi. Matka zrobiła kilka kroków w głąb mieszkania - rozejrzała się, zerknęła w górę - i zbliżyła się do okien. Słońce wpadało do salonu grubymi złotymi snopami. Wyciągnęła ku światłu otwartą dłoń.

- Pokażę ci kuchnię - powiedział po chwili Lincoln, zamykając drzwi. - Jest tam. Możesz zobaczyć ją z tego miejsca. A tu jest sypialnia. - Matka podążyła za nim do następnego pokoju, spoglądając na nowy materac. - A łazienka mieści się tam. Jest malutka. - Podeszła do okna w sypialni, wyjrzała przez nie, a potem usiadła na ławce.

- Miło, prawda? - zagadnął.

Podniosła głowę i patrząc na niego, skinęła głową.

- Piękne miejsce. Nie wiedziałam, że można w tej okolicy znaleźć takie mieszkanie.

- Ja także - odparł.

- Sufity są takie wysokie - ciągnęła.

- Nawet na trzecim piętrze.

- I te okna... Mieszkała tu Doris?

Kiwnął głową.

- Do ciebie pasuje bardziej.

Chciał się uśmiechnąć i poczuć ulgę, ale coś mu mówiło - jej głos, to, w jaki sposób siedziała - że nie powinien tego robić.

- Nie rozumiem tylko jednego - powiedziała, opierając się o szybę. - Dlaczego?

Miło tu i pięknie. Nie rozumiem jednak, dlaczego chcesz się wyprowadzić, skoro nie musisz. Skoro nie masz dziewczyny. Dlaczego wolisz mieszkać sam?

Nie wiedział, co powiedzieć.

- Dopóki mieszkasz w domu, możesz oszczędzać pieniądze na inne rzeczy - mówiła dalej. - Masz własny pokój, robisz, co chcesz, a ja w razie potrzeby jestem w pobliżu... Więc dlaczego? I nie mów mi, że ludzie się wyprowadzają. Bo... bo kogo obchodzi, co robią inni? A poza tym wcale tak nie jest. To nowy zwyczaj. Zachodni zwyczaj. Tylko powoduje rozpad rodziny. A gdybyś po powrocie z Kalifornii nie miał gdzie się podziać? Gdybym powiedziała ci to samo, co usłyszałam od swojej matki, kiedy odeszłam od ojca Eve? „Musisz sobie radzić - zacytowała. - Jesteś dorosłą kobietą”. Miałam wtedy dwadzieścia lat. I byłam sama. Tułałam się po domach, spałam na kanapach. Z córeczką. Eve była taka mała... Spała tutaj - położyła rękę na piersi, tuż pod szyją - bo bałam się, że ją upuszczę albo zgubię wśród poduszek... Ty nigdy nie będziesz zdany tylko na siebie, Lincoln. Nigdy nie będziesz musiał być sam. Więc dlaczego tego chcesz?

Oparł się o ścianę sypialni i zsunął po niej, przysiadając na żeliwnym kaloryferze.

- Ja po prostu... - zaczął.

- Po prostu?

- Muszę mieć własne życie.

- A teraz go nie masz? - zapytała. - Przecież ci nie mówię, co masz robić.

- Wiem, ale...

- Ale?

- Nie czuję się tak, jakby miał własne życie.

- Jak to?

- Wydaje mi się, że dopóki mieszkam w domu, jestem częścią twojego życia.

Jakbym wciąż był dzieckiem.

- To niemądre - odparła.

- Może.

- Twoje własne życie zaczęło się, kiedy przyszedłeś na świat. A nawet wcześniej.

- Mam wrażenie, że dopóki mieszkam z tobą, nie zdołam... nie będę... To jak z George'em Jeffersonem.

- Z tego serialu?

- Tak. W *All in the Family* był postacią, dzięki której historia Archie'ego Bunkera stawała się bardziej interesująca. Nie miał nic własnego. Nie stanowił odrębnego wątku, nic go nie łączyło z innymi postaciami. Nie wiem, czy kiedykolwiek widziałem jego dom. Ale kiedy został głównym bohaterem kontynuacji serialu, zyskał własny salon i kuchnię... i chyba sypialnię. Miał nawet własną windę. Miejsca, w których mógł żyć, żeby jego historia toczyła się dalej. I tak jest z tym mieszkaniem. To coś mojego.

Popatrzyła na niego podejrzliwie.

- Sama nie wiem - odparła. - Nie oglądałam *Jeffersonów*.

- A *Rhodę*? - zapytał.

Zmarszczyła brwi.

- Więc mówisz, że chcesz być gwiazdą własnego serialu. I ja powinnam zejść z ekranu.

- O rany, nie - zaprotestował. - *All in the Family* wcale się nie skończyło, kiedy zaczęli się *Jeffersonowie*.

- Przestań mówić o telewizji. I skończ z porównaniami.

- Dobrze - odpowiedział, starając się myśleć trzeźwo. - Chcę mieć swoje życie. I chcę, żebyś ty miała swoje. Oddzielne.

- Ale ty jesteś moim życiem! - odpowiedziała z frustracją, wybuchając płaczem. - Stałeś się nim w dniu, w którym się urodziłeś. Jesteś częścią mnie, ty i Eve, i to najważniejszą. Jak mam się od tego odseparować?

Lincoln nie odpowiedział. Matka minęła go i wyszła z pokoju. Zsunął się niżej, na podłogę, i ukrył twarz w dłoniach.

Siedział tak przez jakieś dwadzieścia minut, póki nie uświadomił sobie, że trwanie w takiej pozycji wymaga wysiłku, póki nie poczuł się bardziej zmęczony niż winny czy zły.

Zastał matkę w salonie; siedziała na podłodze, patrząc w górę na żyrandol.

- Możesz zabrać kanapę z oszklonej werandy - powiedziała, kiedy wszedł - tę brązową. Tamto pomieszczenie jest zbyt zagracone. Będzie tu pasowała. W tym świetle przybierze purpurowy odcień.

Pokiwał głową.

- I znajdę ci jakieś ładne naczynia stołowe w sklepie ze starzyzną. Nie kupuj

plastikowych. Przenikają do jedzenia i powodują wytwarzanie estrogenu, który zatrzymuje się w komórkach tłuszczowych i powoduje raka piersi... choć nie wiem, czy to dotyczy mężczyzn. Szkoda, że nie wiedziałam, że potrzebujesz naczyń. Któregoś dnia widziałam cały komplet w Goodwill, z maselniczką, sosjerką i tak dalej. Białe w małe niebieskie kwiatki. Może nie męski, ale zawsze...

- Nie jestem wybredny - odparł.

Kiwnęła głową i kiwała dalej.

- Możesz wziąć ze swojego pokoju wszystko, co chcesz, albo zostawić go w takim stanie, jak jest. To zawsze będzie twój pokój. Tak jak jest z pokojem twojej siostry. Zawsze możesz wrócić do domu, jeśli będziesz potrzebował albo nawet chciał. Ten dom jest twój, dopóki tylko będzie należał do mnie.

- Dobrze - odpowiedział. - Dziękuję ci.

Podszedł do niej, podał jej rękę i pomógł wstać. Ona uściśnęła jego dłoń, a potem zaczęła wygładzać długą spódnicę.

- Przypuszczam, że twoja siostra już wie - zagadnęła.

- Nie - odrzekł.

- Och. - To sprawiło jej przyjemność. - Może do niej zadzwonię. Zapytam, czy pomoże mi wyposażyć twoją kuchnię.

- Jasne. - Uściśnął ją mocno, żałując, że nie pomyślał o tym wcześniej.

- To naprawdę piękne mieszkanie - orzekła.

Eve zadzwoniła do niego do pracy następnego dnia. Jedyne, co potrafiła powiedzieć, to: „Cieszę się” i „Jestem z ciebie dumna”. Zaoferowała pomoc Jake'a seniora w przeprowadzce, gdyby Lincoln zdecydował się zabrać coś z rodzinnego domu.

- Biorę tylko kanapę - wyjaśnił.

- Ale gdybyś brał więcej... - odparła Eve.

Tak naprawdę jednak miał niewiele do zabrania oprócz ubrań i komputera.

W następnym tygodniu codziennie jeździł do domu matki na lunch. Ona wyprawiała go z miskami na płatki i szklankami. Etażerką. Stolikiem do kawy, który ledwie zmieścił się na tylnym siedzeniu samochodu. Ręcznie wyszywanymi ściereczkami do kuchni.

- To wszystko jest stare - zauważyła Eve, kiedy przyszła obejrzeć mieszkanie. - Jakbyś wprowadził się do mieszkania po zmarłej babci.

- A mnie się podoba - odpowiedział.

- Kupię ci coś ze stali nierdzewnej - skwitowała. - Coś bardziej odpowiedniego

dla kawalera.

ROZDZIAŁ 79

Od: Beth Fremont

Do: Jennifer Scribner-Snyder

Wysłano: we wtorek, 29.02.2000, o godz. 15.48

Temat: Powiedziałam Derekowi o Chrisie...

I już cała wschodnia połowa działu newsów wie, że jestem singielką. Przyszła Melissa i przez 20 minut - przysięgam - klepała mnie po ręce. Obiecała, że wybierzemy się do fantastycznego klubu - od ściany do ściany faceci - w którym po dziesiątej wieczorem w weekendy można dostać appletini za pół ceny.

Powiedziałam Derekowi, że jeśli będę musiała pić w weekendy appletini, to będzie wina jego długiego jęzora.

Jennifer do Beth:

Co masz przeciwko temu drinkowi?

Beth do Jennifer:

Nie rozumiem, dlaczego wszystko musi być jak martini. Nie lubię pić z kieliszków do martini; trzeba układać usta w idiotyczny dziobek, żeby nie rozlać zawartości.

Jennifer do Beth:

Jak chcesz poznać nowego faceta, jeśli nie zamierzasz pić martini?

Beth do Jennifer:

Pewnie nie poznam. Kiedy ostatnim razem byłam na pierwszej randce, jeszcze nie wolno mi było pić alkoholu.

Jennifer do Beth:

W ogóle interesują cię jeszcze randki?

Beth do Jennifer:

Nie wiem. Jakoś nie czuję się singielką. Moje życie nie zmieniło się tak bardzo, odkąd zerwałam z Chrisem, co chyba świadczy o tym, jak niewiele spędzałam z nim czasu. Mogłabym wręcz udawać, że nadal jestem w poważnym związku. Derek

uwaga, że powinnam zdjąć wszystkie zdjęcia Chrisa ze swojego boksu. (Czy, jak się wyraził: „Chryste Panie, Beth, znudziło mi się patrzeć na tego dupka”). Co o tym sądzisz?

Jennifer do Beth:

Sądzę, że to zależy od ciebie. Przykro ci na nie patrzeć?

Beth do Jennifer:

Tak. Powinnam je zdjąć.

Jennifer do Beth:

Twój fajny facet nigdy się z tobą nie umówi, jeśli będziesz siedziała w boksie wytapetowanym zdjęciami innego.

A poważnie... Teraz nie ma już powodu, żebyś nie mogła nawiązać z nim kontaktu wzrokowego.

Beth do Jennifer:

Nie mogę wejść z nim w poważny związek. Śledzę gościa od miesięcy. Gdybyśmy zaczęli się spotykać, musiałabym mu w końcu powiedzieć, że po kinie jechałam za nim do domu. I wyszłabym na maniaczkę.

Jennifer do Beth:

Ale on jest taki miły.

Beth do Jennifer:

Mówisz tak, bo odstąpił ci swoje frytki.

Jennifer do Beth:

Mówię tak, bo był naprawdę, naprawdę miły.

Beth do Jennifer:

Powinnam spotykać się z facetem, którego nie skaziłam ksywką.

ROZDZIAŁ 80

W czwartek wieczorem, pomiędzy kolejnymi wydaniem gazety, Emilie wstąpiła do działu IT. Robiła to teraz kilka razy w tygodniu, żeby się przywitać. Hm, nie tylko żeby się przywitać; Lincoln wiedział, że jej się podoba. Nie zdecydował jednak, co z tą wiedzą począć.

Jemu z kolei podobało się to, jak czuł się w towarzystwie Emilie. Jak coś najjaśniejszego, najatrakcyjniejszego w pokoju. Wysoki. Inteligentny. I dowcipny. Przy Emilie nie wychodził z roli Christophera Walkena. Ale w jej oczach nie widział nic oprócz swojego odbicia. A teraz, kiedy Beth wróciła do gry, nawet nie chciał widzieć.

Emilie zawijała na palcu swój koński ogon.

- Więc kilkoro z nas wybiera się dziś wieczorem na karaoke, w Bellevue jest taki obskurny bar, powinieneś z nami pójść, będzie ubaw...

- Brzmi ciekawie - odpowiedział Lincoln. - Ale w sobotnie wieczory gram w Dungeons & Dragons. Przeważnie. - Ostatnio kilka sesji opuścił, bo chciał mieć weekendy dla siebie w nowym mieszkaniu. - Przez kilka ostatnich tygodni nie grałem, więc chciałbym nadrobić zaległości.

- Och, grasz w Dungeons & Dragons?

- Uhm... - odparł.

- Fajnie...

Lincoln się uśmiechnął. Na co Emilie uśmiechnęła się jeszcze bardziej. A wtedy on poczuł się winny.

Drzwi otworzył mu Dave. Spojrzał na Lincolna i ściągnął brwi. - Albo z nami grasz, albo nie grasz - powiedział, gdy Christine postawiła przed Lincolnem talerz z domowym tacos i dzbanem (prawdziwym dzbanem) piwa. - Nie możesz wpadać od czasu do czasu.

Wskazał Troya, który starał się nie poplamić sosem od tacos spranego T-shirta z koncertu Rush.

- Troy ciągnie twojego nieprzytomnego karła na saniach, żebyś nie wypadł z gry. Ale to wyczerpuje jego czarodziejską moc.

- Przynajmniej tyle mogę zrobić - odezwał się oficjalnym tonem tamten. -

Zawdzięczam Smovowi życie od czasu wspólnej walki w wolnym mieście Greyhawk.

- Troy, to było siedem lat temu - zwrócił mu uwagę Dave - i ta przygoda stanowiła epizod.

- Nie spodziewam się, że taki niedorostek jak ty zrozumie, na czym polega wdzięczność za uratowanie życia - oświadczył Troy.

- Dziękuję ci, Troy - powiedział do niego Lincoln, skłaniając głowę.

- To kwestia honoru, bracie.

- Usiłuję prowadzić kampanię - podjął Dave. - Tu nie ma miejsca na improwizację. To wymaga planowania. Muszę wiedzieć, z kim pracuję.

- Może Lincoln miał powód, żeby zostać w Omaha - odezwała się Christine. Uśmiechnęła się do niego z nadzieją.

- Wszyscy mamy powody, żeby być gdzie indziej - włączył się Larry, marszcząc brwi. - Myślicie, że nie mam ważniejszych rzeczy do roboty?

- Ja mógłbym być teraz w szpitalu i ratować ludzkie życie - dodał Teddy bezbarwnie.

- A ja na zjeździe szkolnym - mruknął Rick.

- Panowie, nie pomagacie - zauważyła Christine. Znowu spojrzała na Lincolna, unosząc w oczekiwaniu brwi.

- Dobra - powiedział Lincoln, przełykając ślinę. - Mam nowiny. - Christine klasnęła w dłonie. - Przeprowadziłem się do siebie.

Wszyscy zwrócili na niego spojrzenia.

- Wyniosłeś się od mamy? - zapytał Troy.

- Najwyższa pora - skomentował Larry.

- Smov - rzekł Troy, pochylając się, żeby go wziąć w pachnące drewnem sandałowym objęcia - jestem z ciebie dumny. - Lincoln odpowiedział uściskiem.

Rick się uśmiechnął.

- Ja też jestem z ciebie dumna - dodała Christine. - Nie spodziewałam się aż takich dobrych wiadomości.

- A ja tam nie wiem - zabrał głos Dave, pocierając brodę. - Gdybym mógł mieszkać u kogoś za darmo, to dlaczego nie?

- Nie spodziewałem się, że to zrobisz, Lincoln - powiedział Larry. - Myślałem, że jesteś jednym z tych facetów...

Lincoln się skrzywił.

- Ja się nie spodziewałem, że wyprowadzisz się z akademika - dorzucił Dave.

- Dobra - odezwał się Lincoln. - Wystarczy tego. - Chciał, żeby cieszyli się ze względu na niego, ale nie aż tak bardzo. Nie z takim zdziwieniem. Nie zdawał sobie

sprawy, że wszyscy mu współczują – nawet Troy, który mieszkał nad warsztatem samochodowym. To jak usłyszeć gratulacje z powodu utraty wagi, gdy człowiek nie zdawał sobie sprawy, że pozostali widzieli, że powinien schudnąć.

Christine uśmiechała się do niego zza stołu. Szczerzyło się nawet dziecko w nosidełku. Lincoln więc także postanowił się uśmiechnąć.

– Gramy czy nie? – zapytał Teddy. – Za sześć godzin zaczyna się moja zmiana.

– Teraz musimy ci jeszcze znaleźć dziewczynę – zauważył Troy, waląc Lincolna w plecy.

– Dość o tym – odparł. – Grajmy.

– „I przy wtórze grzmotu – zaczął Dave – nad wzgórze Kara-Tur napłynęły czarne chmury...”.

ROZDZIAŁ 81

Od: Jennifer Scribner-Snyder

Do: Beth Fremont

Wysłano: w poniedziałek, 13.03.2000, o godz. 15.08

Temat: Ten e-mail miał być o czipsach

Ale chyba nie mam tego w sobie. Nie umiem mówić o banałach.

Beth do Jennifer:

Cicho, co masz na myśli?

Jennifer do Beth:

Ostatnio interesują mnie tylko sprawy życia i śmierci, na nich skupiam całą uwagę. Mam wrażenie, że wszystko inne jest stratą czasu. Zeszłego wieczoru obejrzałam *60 Minutes* zamiast *Grease*. A dziś rano w drodze do pracy nawet słuchałam w radiu stacji informacyjnej.

Beth do Jennifer:

Zaraz, zaraz, w telewizji nadawali *Grease*? Cholera.

A czego zwykle słuchasz w drodze do pracy?

Jennifer do Beth:

Flame 98, „nadajemy najnowsze przeboje country prosto z serca ich ojczyzny”. Naprawdę lubię rankiem Kat i Mowzera. Przynajmniej lubiłam. Ostatnio nie mogę ich słuchać – ani żadnej z ich porannych audycji. To wszystko tylko wściekłość i wrzask, idiotyczne gadanie, które nic nie znaczy.

Beth do Jennifer:

Pierwszy raz ktoś niemal zacytował Szekspira w odniesieniu do Kat i Mowzera.

Jennifer do Beth:

Wydaje mi się, że szkoda czasu na wszelkie banały. Co wieczór, kiedy Mitch wraca do domu, wciągam go w bolesnie głębokie rozmowy – zwykle o tym, czy powinniśmy znowu postarać się o dziecko, co to znaczy być rodzicem i czy

naprawdę lepiej kochać i stracić niż w ogóle nigdy nie kochać.

Beth do Jennifer:

Ja sama ostatnio rozmyślałam o tym ostatnim.

Jennifer do Beth:

Trzymasz się jakoś?

Beth do Jennifer:

Tak. Przeważnie. Zeszłego wieczoru miałam chwilę słabości, kiedy zdałam sobie sprawę, że kupuję jednego banana. Nie ma nic smutniejszego niż kupowanie jednego banana. To jakby oznajmić wszem wobec, że w najbliższej przyszłości nie podzielisz się chlebem z nikim na świecie. I nie kupuję już nawet chleba. Nie daję rady zjeść całego bochenka, zanim spleśnieje. Nie wiem, co jest bardziej żałosne: zakupy w spożywczaiku dla jednej osoby czy samotne jedzenie w knajpie.

Jennifer do Beth:

Powinnaś przyjść na kolację do nas. Mitch zawsze gotuje coś zdrowego i smacznego. Zeszłego wieczoru jedliśmy tempurę z krewetek.

Beth do Jennifer:

I jeszcze słyszę, że prowadzicie głębokie rozmowy.

Jennifer do Beth:

Zawsze jesteś mile widziana. Poważnie, może przyjdiesz do nas dziś wieczorem?

Beth do Jennifer:

Tylko pod warunkiem, że mi opowiesz, o co chodzi z tymi czipsami.

Jennifer do Beth:

Nie ma wiele do opowiadania. Poszłam dziś po emememsy do pokoju socjalnego i w kolejce do automatu ze słodyczami stanęłam za wydawcą. Byłam pewna, że wybierze jakąś tradycyjną, konserwatywną przekąskę – może orzeszki koktajlowe albo batona czekoladowego – ale nie, bez zastanowienia wziął czipsy.

Beth do Jennifer:

To przeczy całej mojej wiedzy o linii zespołu redakcyjnego – przynajmniej w moim rozumieniu.

Jennifer do Beth:

Właśnie. Jak ktoś, kto je chipsy, może tak ostro sprzeciwiać się małżeństwu gejowskiemu?

Beth do Jennifer:

I akcjom afirmacyjnym.

Jennifer do Beth:

I rądzom na drogach.

Beth do Jennifer:

Nie mogę uwierzyć, że uznałaś tę kwestię za banalną.

Jennifer do Beth:

A ty... masz do opowiedzenia jakąś ciekawą historyjkę z pokoju socjalnego? Okupujesz automat z suszoną wołowiną, nawet jeśli nie jesteś głodna?

Beth do Jennifer:

O nie. A od kiedy wspierasz takie zachowania?

Jennifer do Beth:

Mówiłam ci. Całkowicie zmieniłam stanowisko w kwestii twojego fajnego faceta. Teraz jesteś wolna, a on należy do tych mężczyzn, którzy pomagają damom w opałach. Chwytaj dzień, powiadam. Carpe tego fajnego!

Beth do Jennifer:

To wciąż dla mnie takie dziwne. I chyba nie jestem jeszcze gotowa, żeby chodzić na randki. Nie jestem nawet gotowa ruszyć z miejsca. Miałabym wrażenie, że podrywam kogoś na pogrzebie swojego męża.

Jennifer do Beth:

Chris nie był twoim mężem i nikt nie umarł.

Beth do Jennifer:

Mimo wszystko.

ROZDZIAŁ 82

Nocą, leżąc w swoim nowym łóżku i patrząc w nowy sufit, Lincoln myślał gorączkowo. W głowie kłębiły się te same myśli i w końcu nie mógł się ich pozbyć, tak jak nie można pozbyć się z głowy natrętnej piosenki.

„Cześć, mam na imię Lincoln. Widziałem cię w pokoju socjalnym”.

„Cześć, jestem Lincoln, przyjaźnię się z Doris”.

„Cześć, czy myśmy się już nie spotkali? W pokoju socjalnym? Przyjaźnię się z Doris”.

„Cześć, jestem Lincoln. Pracuję na dole, w dziale IT”.

„Cześć, pracuję na dole, w dziale informatycznym, nazywam się Lincoln. Posłuchaj, wiem, że to może być zaskakujące, ale czy nie chciałabyś pójść ze mną na kawę?”.

„Czy nie poszłabyś kiedyś na kolację?”.

„Nie przyłączyłabyś się do mnie i Doris w pokoju socjalnym? Jadamy razem kolacje, które przygotowuje moja mama”.

„Nie chciałabyś gdzieś wyskoczyć? Na drinka? Kawę? A może kolację?”.

„Zanim się umówimy, muszę ci coś powiedzieć”.

„Mam tajemnice, Beth, tajemnice, których nie mogę zdradzić, i będziesz musiała się z tym pogodzić. Taki już ze mnie facet”.

„A gdybym ci powiedział, że mam pewną tajemnicę, jedną tajemnicę, o którą nie możesz pytać? Bo jeśli spytasz, będę musiał powiedzieć ci prawdę. A jeśli powiem prawdę, już nigdy nie będziemy szczęśliwi. To jak w *Pięknej i bestii*/*Królewnie Śnieżce*/*Kopciuszku*„.

„Cześć, mam na imię Lincoln, pracuję na dole. Nie chciałabyś się kiedyś ze mną spotkać, może gdzieś wyskoczyć?”.

W weekend Lincoln urządził parapetówkę. Pomysł podsunęła mu Eve.

- To będzie jak twój coming out - powiedziała.

- O rany - odparł Lincoln - tylko nie pisz tak w zaproszeniu.

Mama dostarczyła poczęstunek - lasagne, nadziewane karczochy i placek z ricottą i miodem - a także srebrną zastawę, płyty CD z muzyką z całego świata i świeże kwiaty. Uparła się, że będzie otwierać drzwi.

- Zachowuje się tak, jakby to było jej mieszkanie - zauważyła z niezadowoleniem siostra.

Lincoln się uśmiechnął. Właśnie jadł karczochoy. Tak jak Eve.

- Czy nie wystarczy wiedzieć, że tak nie jest?

Doris była pierwszym gościem spoza rodziny. Przyszła z osobą towarzyszącą, emerytowanym dziennikarzem, oraz całym półmiskiem brownie. Przywitała się z matką Lincoln, jakby były starymi kumpelkami ze szkoły.

- Maureen! To ty!

Zjawił się Chuck. Z żoną, z którą wyraźnie zaczęli od nowa. Justin i Dena nie mogli przyjść, bo wyjechali na weekend do Vegas. Zjawiła się natomiast większość znajomych z sobotnich gier w D&D, a Dave i Christine przyprowadzili dzieci. (I na wszelki wypadek wzięli gości do gry).

Wszyscy chwalili mieszkanie, a jeszcze bardziej lasagne. Po wyjściu Doris i Chucka przyjęcie rzeczywiście zamieniło się w sesję D&D. Jake junior był zafascynowany. Chciał zostać i nauczyć się grać. Eve się przeraziła.

- Jesteś na to za młody - orzekła - i zbyt podatny na wpływy.

- Na jedenaste urodziny kupię mu kości - zapowiedział Lincoln.

Matka została prawie do północy. Razem z Christine pozmywały naczynia i przez dwie godziny rozmawiały o naturalnych porodach i niepasteryzowanym mleku. Wymieniły się numerami telefonu.

- Twoja matka jest taka mądra - oznajmiła później Christine. - Tyle się można od niej dowiedzieć.

Kiedy wyszedł ostatni gość, Lincoln pomyślał, jak by to było, gdyby miał kogoś, kto stałby z nim w progu. Wyobraził sobie Beth zbierającą kieliszki i szklanki w salonie, kładącą się obok niego do łóżka.

„Cześć, nazywam się Lincoln, kilka razy prawie poznaliśmy się w pokoju socjalnym. Posłuchaj, wiem, że to dość niespodziewane, ale nie wybrałaś się gdzieś ze mną? Żeby porozmawiać?”.

ROZDZIAŁ 83

Przed pójściem do pracy w poniedziałkowy wieczór Lincoln poszedł do zakładu fryzjerskiego. Fryzjerka z Great Cuts zapytała go, jak ma go ostrzyć, więc odpowiedział, że na Morrisseya. Zawsze chciał mieć taką fryzurę jak Morrissey. Ona jednak nie wiedziała, kto to jest ani jak wygląda.

- A James Dean? - podsunął.

- Porozmawiam z kierowniczką - odparła.

Kierowniczka była po czterdziestce. Miała przy sobie jaskraworóżowy grzebień, z rączką ostrą jak sztylet.

- James Dean... - powtórzyła, uderzając grzebieniem o brodę. - Jest pan pewien, że nie chce pan się ostrzyć na George'a Clooneya? - Był pewien.

- Postaramy się więc - odrzekła.

Lincoln był krępująco zadowolony z efektu. Kupił coś, co nazywało się woskiem do stylizacji, i zostawił siedemdziesięciopięcioprocentowy napiwek (dziewięć dolarów).

Postanowił wrócić do mieszkania i przebrać się do pracy. Włożył biały T-shirt z krótkimi rękawami i starał się nie napinać mięśni, kiedy patrzył na siebie w lustrze. Czy tak czuły się kobiety, wkładając minispódniczki?

Przyjechawszy do „Couriera”, poszedł prosto do działu newsów i skierował się w stronę biurka Beth. Nie bardzo wiedział, co robi, kiedy już się przy nim znajdzie. Nie zastanawiał się nad tym, bo gdyby się zastanowił - gdyby to przemyślał - nie odważyłby się na ten krok. A musiał się odważyć. W tej chwili, tego dnia, w tym życiu, w tym wcieleniu, w ten poniedziałkowy wieczór. Lincoln musiał porozmawiać z Beth.

I to on musiał zainicjować tę rozmowę. Musiał zatrzymać się przy jej biurku, w blasku dnia, z podniesioną głową i wyprostowanymi ramionami, z rękami... Boże, co miał zrobić z rękami? Tylko o tym nie myśl. Nie myśl. Choć raz w swoim żalonym życiu nie myśl.

Lincoln podszedł do boksu Beth, starając się nie udawać, że robi coś innego. Nie skradać się. Nie podchodzić ukradkiem. (Nie to, żeby ktoś w ogóle zwracał na niego uwagę).

Podszedł prosto do jej boksu.

Ale jej tam nie było.

Lincoln nie przewidział, jak się zachowa, jeśli nie zostanie Beth. Stał więc tylko przy jej boksie. Z podniesioną głową, wyprostowanymi ramionami i tak dalej. Zerknął na jej biurko. Rozejrzał się wokoło. Przypomniawszy sobie, że ostatnim razem próbował z nią porozmawiać w sylwestra, ale skrewił. Tym razem nie skrewię – postanowił.

Facet w sąsiednim boksie – „Derek Hastings”, jak głosiła plakietka z nazwiskiem – rozmawiał właśnie przez telefon, ale jednocześnie obserwował Lincolna. Po chwili, kończąc rozmowę o miejscowym zoo i pandach, odłożył słuchawkę.

– Mogę w czymś pomóc? – zagadnął.

– Eee... nie – odpowiedział Lincoln. – Muszę porozmawiać z Beth, Beth Fremont.

– Nie ma jej tu – odrzekł Derek.

Lincoln skinął głową.

– Coś jej przekazać? – spytał tamten. – Jakiś problem z jej komputerem?

Więc on wie, czym się zajmuję, kim jestem – pomyślał Lincoln. – To nie żaden sekret.

– Nie – odparł, broniąc swojego terytorium. Czy raczej terytorium Beth.

Derek przyjrzał mu się podejrzliwie, po czym niespiesznie odpakował lizaka, z rodzaju tych, jakie dają dzieciom w bankach dla zmotoryzowanych. Lincoln mógł znieść jego podejrzliwy wzrok, ale lizak był ponad jego siły.

– Przyjdę później – powiedział raczej do siebie niż do Dereka.

Nie mogę z nią porozmawiać, jeśli jej nie ma – pomyślał. – Więc to nie ucieczka.

ROZDZIAŁ 84

Od: Beth Fremont

Do: Jennifer Scribner-Snyder

Wysłano: w poniedziałek, 20.03.2000, o godz. 12.22

Temat: Pamiętasz, jak mówiłam, że jeszcze nie jestem gotowa na randkę?

Chyba się myliłam. Umówiłam się.

Jennifer do Beth:

Ze swoim fajnym facetem?

Beth do Jennifer:

Z fajnym facetem, ale nie moim fajnym. Przypominasz sobie, jak w zeszłym roku, kiedy zaczęłam pisać o kinie Indian Hills, powiedziałam fajnemu studentowi farmacji, że jestem zaręczona?

Więc spotkałam go zeszłego wieczoru na wielkiej gali pożegnalnej w budynku kina.

Podszedł do mnie i powiedział, że od czasu tamtej naszej rozmowy czytuje moje recenzje i tekst o *Titanicu* bardzo go rozśmieszył. A ja na to, że mnie bardzo rozśmieszył sam *Titanic*. A potem, gdy oboje pośmialiśmy się z mojego dowcipu, zapytał, czy to byłby konflikt interesów, gdyby postawił mi drinka.

Uznałam, że chyba byłby, więc to ja postawiłam mu drinka. I skończyło się na tym, że podczas ostatniego seansu w Indian Hill, *Jak zdobyto Dziki Zachód*, jednego z ostatnich filmów nakręconych w technice Cineramy, siedzieliśmy obok siebie.

Film trwał 162 minuty, prawie trzy godziny, a do tego przerwa. Tyle razy chodziłam do kina sama, że już zapomniałam, jak to jest siedzieć obok faceta, faceta, który co kilka minut zerka na ciebie, tak jak ty zerkasz na niego. Zapomniałam, jak to jest: to stykanie się ramion, szeptanie komentarzy, nachylenie się.

Podczas przerwy zostaliśmy z Seanem na miejscach - a tak, facet ma imię, prawdziwe imię, nie będzie żadnym „atrakcyjnym protestantem” ani „rudym studentem farmacji” - i mówiliśmy o tym, że Henry Fonda jest lepszy niż John Wayne, a Karl Malden najlepszy z nich wszystkich.

A kiedy film się skończył, obejrzeliliśmy napisy końcowe, a potem jeszcze staliśmy w holu. I wreszcie Sean zagadnął:

- Pewnie wciąż jesteś zaręczona.

- Tak się składa - odparłam - że już nie. (Niektórzy mogliby powiedzieć, że nigdy nie byłam).

Zrobił cudownie zaskoczoną minę, jakby ta odpowiedź kompletnie zbiła go z tropu.

- Och, chyba powinienem powiedzieć: „Bardzo mi przykro”?

Pokręciłam głową.

- Nie musisz.

A później wyznał, że choć nastawił się na smutny, przygnębiający wieczór, był na „najsympatyczniejszej pierwszej randce” w życiu.

I zapytał, czy jeszcze się spotkamy.

Jennifer do Beth:

I co ty na to?

Beth do Jennifer:

Że tak!

Ale wyjaśniłam, że dopóki nie skończę pisać o Indian Hills, nie możemy umawiać się na randki. Ze względu na konflikt interesów i tak dalej. Wtedy zapowiedział, że obrońcy kina nie będą już występować z żadnymi skargami ani protestami do komisji planowania przestrzennego.

- Cieszę się, że nie możemy nic więcej zrobić - oświadczył. - Akcja protestacyjna jest skończona.

Powiedziałam mu, że mój ostatni artykuł będzie poświęcony zburzeniu budynku.

- Przyjdę na nie - zapowiedział.

- Ja też.

- Wobec tego - zaśmiał się i to, co następnie powiedział, zabrzmiało miło i ujmująco, a nie ckliwie i głupio - jesteśmy umówieni.

Więc - idę na randkę!

Jennifer do Beth:

Gratulacje! Cieszysz się chyba?

Beth do Jennifer:

Tak, naprawdę. Wiem, że to dość wcześnie. Ale naprawdę polubiłam tego faceta

i on naprawdę polubił mnie. (Naprawdę, naprawdę – mogłabym powiedzieć). Gdybym odmówiła, kto wie, kiedy znowu nadarzyłby się następny fajny facet, który by mnie polubił? Może już nigdy.

Poza tym chociaż jest miły i przystojny, i dobrze się z nim bawiłam, nie mam poczucia, że rzucił na mnie miłosny czar (jak Chris).

Może nawet jest przeciwieństwem Chrisa. Student farmacji? Lokalny aktywista? Facet, który chodzi w granatowym garniturze? I jest co najmniej piętnaście centymetrów od niego niższy.

Jennifer do Beth:

Hm, jeśli chcesz rady, carpe fajnego. Masz moje błogosławieństwo. Kiedy wyburzają kino?

Beth do Jennifer:

W sobotę. Studenci pielęgniarstwa muszą gdzieś parkować.

Jennifer do Beth:

Więc praktycznie idziesz na randkę z tym facetem przed napisaniem ostatniego artykułu o Indian Hills. Lepiej gościa nie cytuj; to byłoby nieetyczne.

Beth do Jennifer:

Wyobraź sobie ten cytat:

„- Całujesz się na pierwszej randce? – zapytał jeden z protestujących.

- Czy są karmelki dla dzieci? – odpowiedziała pytaniem reporterka”.

ROZDZIAŁ 85

Lincoln zniszczył wiadomości. A potem dokopał się na dysku do WebSharka i zaczął usuwać wszystko. Kasować na każdym poziomie pamięci, wysyłać w niebyt.

Po tym nikt nie mógłby już sprawdzić, kogo WebShark blokował, ile razy i dlaczego. Oczyszczył także swój twardy dysk, wykasowując praktycznie nieistniejącą historię poczty elektronicznej. Wyczyścił wszystko i ponownie zainstalował programy.

Opróżnił także biurko – no, szufladę, którą oddała mu Kristi. Nie było tego wiele. Guma do żucia. Popcorn do mikrofalówki. Kilka płyt CD.

Skończył po dziesiątej; było już za późno, żeby dzwonić do Grega. Postanowił, że porozmawia z nim nazajutrz. Odnalazł Doris w pokoju socjalnym. Układała pasjansa i dojadała ostanie pistacje.

– Cześć – powiedział.

– Cześć, kochanie. Ojej, inaczej się ostrzygłeś. Podoba mi się. Kiedyś taką fryzurę nazywało się kaczy kuper.

Przesunął ręką po włosach, próbując je przygładzić, ale były zlepione woskiem do stylizacji.

– Jadłeś już? – Podsunęła mu orzeszki.

– Nie, chyba o tym zapomniałem. Posłuchaj, Doris, przyszedłem ci powiedzieć... że jutro odchodzę.

– Już jutro? A co się stało?

– Nic takiego – odparł, postanawiając, że nic się nie stanie także w przyszłości. – Nigdy nie lubiłem tej roboty.

– Naprawdę? – Wyglądała na zdziwioną. Czy kiedyś narzekał przy niej na to, co robi?

– Uhm – potwierdził. – Nie znośłem. Tak samo jak godzin pracy. Nie znoszę czytać cudzych e-maili.

– Dlaczego musisz je czytać?

– Na tym polega moja praca – wyjaśnił. – I nienawidzę tego. Nienawidzę siedzieć sam w biurze. Nienawidzę przebywać tu w nocy. Nawet nie lubię tej gazety. Nie odpowiadają mi wstępniaki, a poza tym nie ma tu żadnego z moich ulubionych komiksów.

- Nie lubisz *Blondie*? - zapytała. - Ani *FoxTrota*?

- *FoxTrot* może być - odparł.

- Naprawdę się zwalniasz?

- Uhm.

- Hm... skoro tak uważasz. Nie ma sensu tkwić w miejscu, w którym nie chce się być. Niech ci się wiedzie. Ja skorzystałam na tym, że tak długo tu wytrzymałeś. Masz już inną pracę?

- Jeszcze nie. Ale znajdę sobie. Mam oszczędności, więc nie muszę się z tym spieszyć.

- Powinniśmy to uczcić - oznajmiła Doris.

- Tak?

- Pewnie. Urządzimy ci przyjęcie pożegnalne.

- Kiedy?

- Zaraz - odpowiedziała. - Zamówimy pizzę i pogramy w pinochle do końca zmiany.

Nie sądził, że ma ochotę świętować, ale okazało się, że tak jest. Co za dużo, to niezdrowo - pomyślał. - Co za dużo, to bardzo niezdrowo. Zamówili więc pizzę z Pizza Hut - po jednej średniej z mięsem i podwójnym serem. I Doris ograła go sześć razy. Kiedy przyszła pora iść do domu, trochę się wzruszyła.

- Dobry z ciebie chłopak - powiedziała - i dobry przyjaciel.

- Będziemy się widywać - obiecał. - Kiedy przejdziesz na emeryturę, będę cię zabierał na kolację.

W drodze do działu IT zatrzymał się przy biurku Chucka.

- Nie mogę gadać, mam nóż na gardle - oświadczył Chuck.

- Chcę ci tylko powiedzieć, że odchodzę.

- Co? Nie możesz odejść - sprzeciwił się Chuck.

- Nie lubię swojej pracy.

- Nikt z nas nie lubi. Co nie znaczy, że chcemy się zwolnić. Zwalniają się tylko cieniasy.

- Ja się zwalniam.

- No to musimy się pożegnać - powiedział Chuck.

- To nie pożegnanie. Możemy nadal grać w golfa.

- Phi - skwitował tamten. - Znajdziesz sobie pracę na dzienną zmianę. Zapomnisz o nas. Nie będziemy mieli nikogo, kto pomagałby nam w obliczeniach.

- Może masz rację.

- Drań.

- Nie mów nikomu do jutra.

- Drań i tchórz.

Wróciwszy do swojego biurka, Lincoln postanowił, że nie przyjdzie tu następnego dnia, żeby osobiście złożyć wypowiedzenie. Nie zamierzał tu wracać. Nie chciał zobaczyć Beth. Nie chciał otworzyć folderu WebSharka, obiecawszy sobie tysięczny raz, że tego nie zrobi.

Wyjął blok z kartkami i napisał dwa listy. Pierwszy do Grega. Z wypowiedzeniem i przeprosinami.

Włożył pismo do koperty i postawił na klawiaturze jego komputera, żeby Greg zauważył je zaraz po przyjściu nazajutrz do pracy.

Nad drugim listem się zastanowił. Nie musiał go pisać. I pewnie nie powinien. Pragnął jednak tego wieczoru (a właściwie nocy) odejść z gazety z poczuciem całkowitej wolności, z sumieniem na tyle czystym, na ile było to możliwe bez publicznego wyznania grzechów.

„Beth” - napisał, po czym zaczął od nowa. Nie byli ze sobą po imieniu.

„Cześć,

nie poznaliśmy się, ale to ja zajmuję się ochroną systemu informatycznego firmy. Twoje e-maile nie spełniają wymogów bezpieczeństwa. Często. Powinienem był wysłać Ci upomnienie, jak wszystkim innym, ale tego nie zrobiłem - bo Cię polubiłem, czytając Twoją korespondencję. Nie ostrzegłem Cię, że naruszasz zasady, bo chciałem wiedzieć, co u Ciebie i Twojej przyjaciółki Jennifer.

To poważne naruszenie Waszej prywatności i bardzo za to przepraszam.

Nie będę miał do Ciebie pretensji, jeśli powiadomisz o tym kierownictwo, a poza tym i tak odchodzę. Nie powinienem był przyjmować tej pracy i nie lubię osoby, którą się tu stałem.

Piszę ten list, ponieważ jestem Ci winien przeprosiny - choćby i tchórzliwe, anonimowe - i ponieważ uznałem, że powinienem Cię ostrzec przed wysyłaniem prywatnych e-maili ze służbowego komputera.

Naprawdę bardzo mi przykro”.

Złożył list i zakleił kopertę, zanim zmieniłby zdanie czy spróbowałby napisać list inaczej. Nie musiała wiedzieć, że się w niej zakochał. Nie było też sensu pisać czegokolwiek więcej poza tym, co konieczne.

Lincoln dawał Beth do ręki dowód, pisemny dowód, że czytał jej korespondencję, i nie wiedział, co z tego wyniknie. Greg nie mógłby go zwolnić, nawet gdyby chciał. A pewnie by nie chciał. Czytanie cudzych e-maili należało do obowiązków Lincolna. Greg pozwalał mu czytać, co tylko będzie chciał, nawet nieoznakowane

wiadomości. Na jego miejscu pewnie robiłby gorsze rzeczy.

Lincoln pragnął się przyznać. Pragnął przeprosić. I chciał sobie odciąć drogę powrotną.

W dziale newsów było ciemno, kiedy tam wszedł. Włączył światło i zbliżył się do biurka Beth. Zostawił list na klawiaturze i na wszelkie wypadek przykleił go taśmą, żeby nie spadł. A potem wyszedł.

Co za dużo, to niezdrowo.

ROZDZIAŁ 86

Następnego rana za piętnaście siódma obudził Lincolna telefon. Dzwonił Greg. Był wkurzony, ale chciał, żeby Lincoln zmienił decyzję.

- Nie zmienię - odpowiedział, nawet nie otwierając oczu.

Greg zaproponował mu podwyżkę, i to dużą. Lincoln pożałował, że nie złożył wymówienia kilka miesięcy wcześniej, zanim był gotowy do odejścia.

- Nie dałeś mi nawet dwóch tygodni - zarzucił mu Greg.

- Tak, to nieładnie z mojej strony. Przepraszam.

- Zostań jeszcze dwa tygodnie.

- Nie mogę - odparł Lincoln. - Naprawdę mi przykro.

- Znalazłeś już sobie nową robotę?

- Nie.

Greg wrzeszczał na niego jeszcze chwilę, po czym przeprosił i zapewnił, że Lincoln, jeśli tylko zechce, zawsze będzie mógł liczyć na referencje.

- Napisałbyś, że w czym jestem taki dobry? - zagadnął Lincoln. - W siedzeniu na tyłku?

- Nie siedziałeś na tyłku - odrzekł Greg. - Ile razy mam ci powtarzać? Pilnowałeś ognia w obozowisku. Ktoś musi odbierać telefony i mówić: „Tu pomoc informatyczna”.

- Na pewno znajdziesz kogoś, kto to potrafi.

- No, nie wiem. - Greg westchnął. - Tylko czubki biorą pracę na nocną zmianę.

Lincoln był ciekaw, czy Beth przeczytała jego list - pewnie jeszcze nie - i czy złoży na niego skargę. Wciąż wydawało mu się to zbyt mało realne, żeby mogło go martwić. Miał nadzieję, że jej nie przestraszył; nie chciałby tego. Może powinien był przemyśleć swój krok.

W sobotni rano Lincoln pojechał na róg 84th Street i West Dodge Road, żeby zobaczyć, jak ekipa rozbiórkowa burzy kino Indian Hills. Dzień wcześniej oczyścili teren. Zostały tylko ogrodzenie i sam budynek. Na parkingu zebrał się spory tłum, ale Lincoln nie podszedł na tyle blisko, żeby rozpoznać jakieś twarze; obserwował wszystko z parkingu przed ciastkarnią po drugiej stronie ulicy. Po godzinie wszedł do sklepu i kupił dwa racuchy, karton mleka i gazetę. Usiadł i otworzył dział

ogłoszeń.

Potem wyjął stary kołonoatnik i go rozłożył. Na liście tego, w czym jest dobry. Na marginesie strony z ogłoszeniami przepisał cztery ze swoich specjalności.

„19. Uruchomianie komputerów/rozplątywanie naszyjników”.

„23. Pomaganie innym”.

„5. Niemartwienie się tym, czym nie trzeba”.

I wreszcie: „36. Życzliwość”.

W gazecie pełno było propozycji pracy dla komputerowców. Wykreślił te, które brzmiały niejasno, podstępnie albo głosiły: „Wymagany dobry kontakt z ludźmi”.

W końcu zakreślił jedno: „Potrzebny starszy technik komputerowy. St. James University, Wydział pielęgniarstwa. Pełen etat. Opłata za studia + świadczenia socjalne”.

ROZDZIAŁ 87

Eve śmiała się z niego, że pracuje na terenie kampusu i chodzi na prawie wszystkie zajęcia.

- To tak, jakbyś robił kolejne studia - zauważyła po pierwszym semestrze. - Tak lubisz się uczyć? Jesteś uzależniony od zapachu zatęchłych sal wykładowych?

Może i był uzależniony. Od zatęchłych sal wykładowych. Skrzypiących krzeseł w bibliotece. Szerokich trawników.

Lincoln miał własne biurko w dziekanacie. Był jedynym mężczyzną w administracji i jedynym pracownikiem poniżej czterdziestki piątki. Jego wiedza komputerowa zadziwiała panie z biura. Traktowały go jak boga. Dostał własne biurko, ale nie musiał przy nim siedzieć. Mógł chodzić na zajęcia i robić, co tylko chciał, byle sprzęt komputerowy działał.

Do jego obowiązków należała także ochrona systemu - ale obejmowało to niewiele ponad uaktualnianie programów antywirusowych i przypominanie pozostałym pracownikom, żeby nie otwierali podejrzanych załączników. Jego szef w centrali działu IT powiedział, że w collegu'u nigdy nie przyłapano nikogo na oglądaniu pornosów i że wszystkim wolno robić w sieci, co tylko chcą, byle nie wchodzili na strony pornograficzne ani nie uprawiali hazardu.

- Czy jest jakiś filtr e-mailowy? - zapytał Lincoln.

- Chyba żartujesz - odparł tamten. - Senat uczelni by się nie zgodził.

Lincoln wciąż myślał o Beth. Początkowo przez cały czas.

Zaabonował „Couriera”, żeby przy śniadaniu, a potem lunchu czytać jej recenzje filmowe. Próbował zorientować się z nich, jak ona się ma. Czy sprawia wrażenie szczęśliwej? Jest zbyt surowa wobec komedii romantycznych? Czy zbyt pobłażliwa?

Czytanie jej recenzji nie pozwalało mu o niej zapomnieć, choć może tak byłoby lepiej. Wspomnienie Beth żyło w nim jak wieczny ogień. Czasami było bolesne, kiedy napisała coś szczególnie dowcipnego czy przenikliwego albo kiedy w jej słowach potrafił wyczytać coś, co o niej wiedział. Ale i ten ból powoli przechodził. Uczucia słabną. Jeśli im pozwolić.

Kiedy zaczęły się pierwsze zajęcia, Lincoln zadurzył się w wykładowczyni literatury średniowiecznej, błyskotliwej kobiecie po trzydzieste. Miała pełne biodra

i zamasyście obciętą grzywkę, a kiedy mówiła o *Beowulfie*, wyraźnie ją ponosiło. Podkreślała fragmenty jego prac zielonym atramentem i pisała na marginesach komentarze: „Właśnie!” albo: „Co za ironia, prawda?”. Myślał o tym, żeby umówić się z nią po zakończeniu semestru. Albo zapisać się do niej na seminarium.

Jedna z pań w dziekanacie próbowała go wyswatać ze swoją córką, Neveen, copywriterką w agencji reklamowej, palącą organiczne papierosy. Spotkali się kilka razy i Lincoln polubił ją na tyle, że zabrał ją na ślub Justina i Deny.

Odbył się on w wielkim kościele katolickim na przedmieściach. (Kto by pomyślał, że Justin był katolikiem? I to tak wierzącym, że nakłonił Denę, żeby przyjęła jego wiarę. „Moje dzieci nie wyrosną na unitarian” - oznajmił Lincolnowi po próbie przyjęcia weselnego. „Te sukinsyny prawie nie wierzą w Jezusa”).

Przyjęcie urządzono w miłym hotelu kilka kilometrów dalej. Przygrywał kwartet smyczkowy i na bufet składały się dania kuchni polskiej. Lincoln niepokoił się występem Sacajawei. Dlatego objadł się pierogami.

Zespół wszedł na scenę po pierwszych tańcach: młodej pary (*My Heart Will Go On*), druhen i družbów (*Leather and Lace*) i pani młodej z ojcem (*Butterfly Kisses*). Kiedy rozstawiali sprzęt, Justin zabrał głos, ostrzegając starszych krewnych, żeby udali się do baru albo zbierali się do domu, „bo zaraz tu robi się czadersko”.

Mimo swoich obaw Lincoln nie poczuł nic przykrego na widok Chrisa. Gitarzysta wciąż robił wrażenie męską urodą. Kilka nastoletnich kuzynek Deny podeszło do niego i kręciło na palcach naszyjniki. Z zespołem przyjechała starsza dziewczyna, w wieku studentek college'u. Miała długie blond włosy, świetlistą cerę i między kolejnymi piosenkami podawała Chrisowi piwo oraz wodę w butelce.

Lincoln nie odczuł nic przykrego. Nawet kiedy Chris go rozpoznał i pomachał do niego. Teraz - przynajmniej dla Lincolna - był tylko facetem, który kiedyś chodził z Beth.

Trudno było tańczyć do muzyki stanowiącej połączenie Zeppelina z Radiohead, ale większość przyjaciół Justina i Deny było na tyle pijanych, że ich to nie zniechęcało. Dotyczyło to także partnerki Lincolna. On sam się nie upił, ale był w nastroju do zabawy, skakał, pokrzykiwał i za głośno śpiewał. Łapał skaczących ze sceny. Okręcał Neveen na parkiecie, aż dostawała zawrotów głowy.

ROZDZIAŁ 88

Było zimno jak na październik. Dzieciaki musiały włożyć ciepłe płaszcze na stroje halloweenowe i w każdym domu pytano je, za kogo się przebrały.

Październik – myślał sobie Lincoln. – Hej ho!

Stał przy otwartym oknie sypialni, tylko na chwilę ulegając wspomnieniom. Szczęśliwego października.

Jedną z zalet jego mieszkania było to, że niedaleko od niego znajdowało się kino. Stare kino studyjne o nazwie The Dundee, w odległości około kilometra. Było to jedyne znane mu miejsce, w którym podawano RC colę z beczki. Chodził tam prawie w każdy weekend. Przeważnie nie wiedział nawet, jaki film wyświetlają.

Tego wieczoru Lincoln włożył gruby golf, spodnie khaki i swoją dżinsową kurtkę. Po drodze do wyjścia zerknął w lustro. Wciąż strzygł się na Morrissey'a – chociaż Eve mówiła, że wygląda jak Luke Perry. Albo stara się wyglądać jak on.

– Potrzebne ci to? – pytała. – Nie jesteś wystarczająco wysoki?

– Niepotrzebne – odpowiadał. – Ale tak mi się podoba.

Tego dnia zaprosiła go do siebie, ale nie pojechał. Miał spotkać się później ze znajomymi, w jakimś barze w Iowa, w którym podawano pomidorowe piwo. Może się tam wybierze... A może nie.

O wpół do siódmej wieczorem było już ciemno. To mu pasowało. Tak jak chłód.

W drodze do kina widział ludzi jedzących kolację w wielkich domach. Mieszkańcy tej dzielnicy nie zaciągali zasłon w swych panoramicznych oknach.

– Wiesz, dlaczego w tych starych domach są takie wielkie okna od frontu? – zapytała go kiedyś matka. – Bo kiedy umarł ktoś z rodziny, czuwano przy zwłokach. Żeby można było potem wynieść trumnę, potrzebne było duże okno.

Lincoln wolał wierzyć, że okna są duże, aby widać było przez nie choinki na Boże Narodzenie.

Kiedy doszedł do The Dundee, pracownik kina właśnie zmieniał plakaty reklamowe z *Tańcząc w ciemności* na *Billy'ego Elliotta*.

Lincoln wślizgnął się do małego holu, żeby kupić bilet, colę i pudełko popcornu z masłem. Sala była niemal pusta, więc wybrał miejsce z przodu. Fotel z czerwonego aksamitu. Teraz, po likwidacji Indian Hills, musiało to być ostatnie miejsce, w którym nie było plastikowych albo podwójnych foteli z regulowanymi

podłokietnikami. Ekran zasłaniały kotary, które odsuwano, kiedy zaczynały się zwiastuny. Lincoln kiedyś uważał, że to bez sensu. Teraz na to czekał.

Wtedy, właśnie podczas tego czekania, komuś z tyłu rozsypały się cukierki, twarde, bo zabrzmiało to głośno, ememesy albo everlasting gobstoppers, i potoczyły się po pochyłej betonowej podłodze. Lincoln odwrócił się odruchowo. I wówczas ją zobaczył, siedziała kilka rzędów za nim, nieco z boku.

Beth.

Taka ładna.

Ciemne włosy. Twarz w kształcie serca. Piegi. Beth.

Kiedy dotarło do niego, że to ona, pospiesznie odwrócił głowę - ale ona już go zauważyła. Patrzyła prosto na niego. Wyglądała... Jak wyglądała?

Na zaskoczoną. Po prostu zaskoczoną.

Można by sądzić, że myślał o tej chwili, tak jak w ostatnich miesiącach myślał o samej Beth. Przecież nie mieszkali w Tokio, Bombaju ani innej metropolii, gdzie ludzie rzeczywiście mogą się nawzajem zgubić. To było małe miasto. Małe miasto z niewielką liczbą miejsc, do których można by pójść, zwłaszcza będąc recenzentem filmowym. Lincoln myślał o The Dundee jako o swoim kinie, ale w gruncie rzeczy wkroczył na teren Beth.

I musiał go opuścić. Pewnie tak by sobie życzyła. Szczególnie gdy poskładała wszystko w całość. Kolejna rzecz, której nie przewidział. Czy Beth wciąż myślała o nim jako o swoim fajnym facecie? Czy uznała go za świra, który czytał jej e-maile?

Musiał wyjść. Jak najszybciej. Nie. Kiedy tylko zgasną światła. Nie mógł znieść myśli, że mogłaby znowu na niego spojrzeć.

Pochylił się w fotelu, zasłaniając twarz ręką i modląc się w duchu, żeby zgasły światła. I po kilku długich minutach tak się stało. Światła zgasły, projektor został włączony, stare zasłony się rozsunęły i Lincoln zaczął wkładać kurtkę.

I w tej chwili usiadła obok niego Beth.

Znieruchomiał z jedną dłonią w rękawie. Nie odezwał się. Ani nie poruszył. Tylko stężał.

Nie mógł wyjść, nie teraz, kiedy zajęła sąsiednie miejsce - po co przy nim usiadła? - ale też nie mógł na nią spojrzeć. Opadł więc powoli na oparcie, starając się jej nie dotknąć. Wyprostował się i czekał, co będzie dalej.

Beth jednak się nie odzywała.

Nic nie mówiła. Ani się nie ruszała. Milczała.

W końcu Lincoln musiał na nią spojrzeć. Zerknął więc w bok. Beth patrzyła prosto w ekran, jakby czekała na wskazówki od samego Ducha Świętego, lekko

wytrzeszczając oczy i trzymając w obu dłoniach długopis. Z głośników leciał utwór T. Rex ze ścieżki dźwiękowej. *Cosmic Dancer*.

Lincoln ponownie zwrócił głowę przed siebie. Powiedział sobie, że musi zachować cierpliwość, poczekać, aż Beth coś zrobi albo powie. Ale to czekanie go wykańczało. A może wykańczało go siedzenie tak blisko niej. Pragnienie, żeby znowu na nią spojrzeć.

Wtedy mimowolnie powiedział coś, co zawsze mówił kobietom i co właściwie musiał powiedzieć Beth.

- Przepraszam - szepnął, zerkając w bok.

- Nie ma za co - odpowiedziała.

Patrzyła teraz na niego, bezpośrednio i z determinacją. Miała zaciśnięte usta. Musi wiedzieć - pomyślał i serce zamarło mu w piersi. Musi wiedzieć, że ma do czynienia ze świrem. Może nawet zaraz zacznie na niego krzyczeć. Albo go uderzy. Próbował obliczyć dzielącą ich odległość. Coś około czterdziestu centymetrów. Nigdy wcześniej nie miał okazji znaleźć się tak blisko niej, aby widzieć jej uszy. Były doskonałe.

Wówczas uniosła rękę, wciąż z długopisem, do jego twarzy. Dotknęła jego brody.

Zamknął oczy. Wydało mu się to jedyną możliwą reakcją, niezależnie od tego, co miało się zdarzyć dalej. Wyczuł, że Beth dotyka opuszkami palców jego policzka, czoła, powiek. Zaczerpnął powietrza i poczuł zapach tuszu i mydła.

- To ja byłem głupia - usłyszał jej szept, z bliższej odległości, niż się spodziewał, drżący i dziwny.

Pokręcił głową, żeby zaprzeczyć. Ale bardzo lekko, tak że mógł to zauważyć tylko ktoś, kto dotykał jego policzka i szyi.

- Tak - potwierdziła, jeszcze bliżej. Nie poruszył się, nie otworzył oczu. A gdyby tak je otworzył i zobaczył, co ona robi?

Pocałowała go w policzek i odruchowo skłonił głowę w jej stronę. Potem pocałowała w drugi policzek. I w brodę. W zagłębienie pod dolną wargą.

- Głupia dziewczyno - podjęła w pobliżu kącika jego ust z niedowierzaniem i namaszczeniem jednocześnie - co ty sobie myślisz?

Lincoln odzyskał mowę.

- Doskonała dziewczyno - odparł tak cicho, że mógł go usłyszeć tylko ktoś z dłońmi w jego włosach i ustami przy jego ustach. - Śliczna dziewczyno. - Odnalazł jej wargi. - Idealna. - Pocałunek. - Czarująca. - Pocałunek. - Jedyna.

Są takie chwile, kiedy nie można uwierzyć, że dzieje się coś cudownego. I takie, gdy całą swoją świadomość przepełnia absolutna pewność, że dzieje się coś takiego.

Lincoln miał wrażenie, jakby zanurzył głowę w zlewie pełnym strzelających cukierków i odkręcił wodę.

Zrzucił kurtkę na podłogę i objął Beth ramieniem.

Mógł myśleć tylko o niej. I pozwolić, żeby jego marzenie się spełniło.

Nawet nie słyszał, kiedy film się skończył. Przez dwie godziny nie słyszał nic oprócz głośnego bicia własnego serca i od czasu do czasu uderzenia jej zębów o jego zęby. Beth jednak podskoczyła, kiedy włączyły się światła. Podskoczyła i usiadła prosto, odsuwając się od niego. To było, jakby wstał z ciepłutkiego łóżka w lodowaty poranek. Więc zbliżył się do niej, nie chcąc utracić poczucia tej bliskości. Pełen lęku, że stanie się coś okropnego, że zegar gdzieś wybije północ.

- Jestem w niedoczasy - powiedziała Beth. Dotknęła swoich ust, a potem włosów spiętych w koński ogon. - Muszę iść, muszę... - Zwróciła się w stronę ciemnego ekranu, jakby coś mogła jeszcze na nim zobaczyć. Kurtyna zaczęła się zasuwac.

Dziewczyna przykucnęła na podłodze, szukając czegoś.

- Moje okulary - wyjaśniła. - Czy miałam okulary? - Wpadły w szczelinę między oparciem fotela a siedziskiem. Lincoln wydobył je ostrożnie.

- Dziękuję - rzuciła. Pomógł jej wstać i starał się zatrzymać ją na chwilę, ale gdy wstała, odsunęła się i pospiesznie ruszyła do wyjścia. - Nigdy wcześniej nic takiego mi się nie zdarzyło - wyjaśniła. Patrzyła na ekran. - Obejrzałeś chociaż fragment? Tańczyli, prawda? Na pewno chodziło o taniec. - Potem się obejrzała, przestraszona, że ktoś ją słyszy. Znowu podniosła dłoń do ust, dotykając ich, jakby chciała się upewnić, że są na miejscu.

A później pobiegła - prawie pobiegła - do drzwi; początkowo się oglądała, ale w końcu zwróciła wzrok przed siebie.

Lincoln nie pamiętał nic z drogi powrotnej do domu, a kiedy dotarł pod drzwi mieszkania, nie miał ochoty wejść do środka. Bał się, że czar pryśnie. Usiadł więc na schodach od frontu i odtwarzał w pamięci ostatnie dwie godziny. Świadcząc przed sobą samym: tak, to właśnie się zdarzyło.

„Co ty myślisz?” - spytała samą siebie.

Co mogła sobie myśleć? Przecież go nie znała. Nie to, żeby on znał ją. Wiedział jednak, dlaczego pragnął ją pocałować. Bo była piękna. A wcześniej dlatego, że była dobra. A jeszcze wcześniej, bo była bystra i dowcipna. W odpowiedni sposób bystra i dowcipna. Bo potrafił sobie wyobrazić, że wybiera się z nią w długą podróż i ani przez chwilę się nie nudzi. Bo zawsze, kiedy widział coś nowego i ciekawego albo

nowego i śmiesznego, zastanawiał się, co by na to powiedziała – ile gwiazdek by przyznała i z jakiego powodu.

Wiedział, dlaczego chciał ją pocałować. I chciał całować dalej. Wciąż czuł ją na ustach i w objęciach. W głowie, niczym mgłę. Czy tak się czuł, całując Sam? (Już nie pamiętał i nie chciał pamiętać). Jeśli tak, może dziewięć lat to nie tak długo, żeby się z kogoś wyleczyć.

Przez ten cały czas, kiedy pracował w redakcji „Couriera”, czytając korespondencję Beth, myśląc o niej, nigdy tak naprawdę nie przypuszczał, że bieg wydarzeń, ścieżka czy droga przez czasoprzestrzeń doprowadzi go do tego punktu.

Tak. To się wydarzyło.

I może... może działa się dalej.

Lincoln zerwał się na nogi i sprawdził, czy ma w kieszeni kluczyki do samochodu. Ile czasu minęło, od kiedy go opuściła? Trzydzieści minut? Czterdzieści pięć? Pewnie była jeszcze w redakcji. A on już nie musiał trzymać się z daleka. Nie chciał już tylko marzyć, tęsknić i cierpieć w poczuciu winy. Nie musiał myśleć o honorze. A może pojęcie honoru zmieniło się w chwili, kiedy Beth usiadła przy nim w kinie. Może wszystko się zmieniło.

Zaparkował samochód za „Courierem”, przy rampie załadunkowej. Stało tam już na jałowym biegu kilka ciężarówek, podczas gdy kierowcy ładowali na nie paczki z pierwszym wydaniem gazety. Wbiegł do budynku, mijając krzątających się pracowników – strażnik na warcie poznał go i wpuścił do środka – a następnie popędził schodami do działu newsów, jakby walczył o życie i zatrzymanie się groziło mu powrotem do dawnego siebie, utknięciem w dawnym zapętleniu.

Chuck podniósł głowę, kiedy Lincoln przebiegł obok jego biurka. Ten skinął mu tylko głową, nie zwalniając. Spojrzał w stronę działu wiadomości miejskich – Beth tam nie było. W dziale rozrywki w głębi pomieszczenia panował mrok, ale Lincoln pędził dalej, starając nie myśleć o tych wszystkich nocach, kiedy szedł tędy, pewny, że Beth już wyszła.

Teraz była na miejscu, rozmawiała przez telefon. Siedziała w swoim boksie, tak że monitor oświetlał jej twarz niczym świeca.

– No, wiem – mówiła do słuchawki. Rozpuściła włosy i nie miała okularów. Wciąż sprawiała wrażenie odurzonej i zacałowanej na śmierć. – Wiem – powtórzyła, pocierając czoło. – Posłuchaj, to nie potrwa...

Lincoln zatrzymał się przy sąsiednim boksie i starał się nie sapać jak koń pociągowy. Beth uniosła głowę, spojrzała na niego i urwała w połowie zdania.

Nie wiedział, jak się w tej sytuacji zachować, więc tylko się uśmiechnął,

z nadzieją, i przygryzł wargę.

- Dzięki - powiedziała Beth do telefonu. - Wiem. Dziękuję... dobrze. - Rozłączyła się i popatrzyła na niego.

- Co tu robisz? - zapytała.

- Mogę odejść - powiedział, cofając się o krok.

- Nie. - Wstała. - Ależ nie. Ja tylko...

- Pomyślałem, że powinniśmy porozmawiać - wyjaśnił.

- Dobrze - odparła.

- Fajnie. - Skinął głową.

Dzieliło ich tylko pół metra i ścianka bosku.

- A może jednak nie powinniśmy - powiedziała Beth, splatając ręce na piersi.

- Słucham?

- Mam wrażenie, że jeśli zaczniemy o tym rozmawiać, coś pójdzie nie tak. A jeśli zostawimy to tak jak jest, może... sama nie wiem... pójdzie dobrze.

- Tak jak jest? - zapytał.

- Właśnie - odpowiedziała, mówiąc zbyt szybko. - Możemy spotykać się w ciemnych salach kinowych... a jeśli będę musiała coś ci powiedzieć, napiszę w e-mailu do kogoś innego.

Lincoln zrobił krok w tył, jakby dała mu w twarz.

Skrzywiła się i przymknęła oczy.

- Przepraszam - rzuciła. - Przepraszam. Uprzedzałam cię. Nie umiem mówić. Lepiej mi idzie pisanie.

Ona wie - myślał gorączkowo Lincoln - że jestem świrem. Nie żadnym fajnym facetem. Wie... Ale mimo to usiadła przy mnie.

- Skończyłaś? - zapytał.

- Robić z siebie idiotkę? Pewnie nie.

- Pisać recenzję.

- To tak.

- Więc chodź ze mną.

Lincoln wyciągnął do niej rękę i kiedy po chwili wahania ją ujęła, poczuł się, jakby coś wygrał. Ruszył ku wyjściu z pomieszczenia, nie wiedząc, gdzie zabrać dziewczynę. W „Courierze” nie było żadnego romantycznego zakątka. Ani balkonu. Ani zacisznego przedziału w kacie.

Skończyli więc przed pokojem socjalnym.

- Poczekaj - powiedziała Beth, kiedy pchnął drzwi. W pomieszczeniu było pusto. Stoły zniknęły. Automaty wciąż stały, rozświetlone i buczące, ale puste.

- To miejsce jest zamknięte - wyjaśniła cicho. - Otworzyli nowe na dole. Tu chyba będą biura. Dla ludzi od Internetu.

Zerknęła nerwowo w głąb korytarza i zabrała rękę.

- Doskonale - oznajmił Lincoln. Wszedł do pokoju i przytrzymał Beth drzwi. Spojrzała na niego ze zdziwieniem i ruszyła za nim. Kiedy drzwi zatrzasnęły się za nimi, Lincoln przystanął na chwilę, żeby wzrok przyzwyczaił mu się do światła automatu z pepsi. Pod ścianą, obok automatu z kawą, dostrzegł puste miejsce. Beth poszła za nim - wciąż się obawiał, że tego nie zrobi - i zwróceni ku sobie usiedli na podłodze.

Miał ochotę ją dotknąć, znowu wziąć za rękę, ale ona obciągnęła spódnicę i położyła zaciśnięte dłonie na kolanach. Wcześniej nie zauważył, w co jest ubrana. Miała na sobie dżinsową spódnicę do kolan, różowy rozpinany sweter, niebieskofioletowe rajstopy i wysokie granatowe skórzane botki. Wygląda jak zachód słońca - pomyślał.

- Będziemy rozmawiać? - zapytała.

- Chyba powinniśmy - odparł Lincoln.

Beth spojrzała na swoje ręce.

- Nie przychodzi mi do głowy nic, czego byś jeszcze nie wiedział.

- Nie mów tego - odparł. - To nie tak.

- Nie? - Wyglądała na zagniewaną.

- Przepraszam.

- Nie przepraszaj - powiedziała i głos jej się załamał. - Proszę. Naprawdę nie chcę, żeby ci było przykro.

- Nie?

- Nie - powtórzyła.

- To co mam powiedzieć?

- Chciałabym, żebyś powiedział... sama nie wiem, co takiego... coś, co by tłumaczyło, dlaczego tu jestem - mówiła szybko, drżącym głosem, jakby zaraz miała się rozplakać. - Bo Jennifer, jeśli jej o tym opowiem, urodzi przedwcześnie. Wciąż uważa, że powinniśmy na ciebie donieść... ale za co? I do kogo? Zarzuca mi, że mam do ciebie słabość z powodu twojego wielkiego uroku... uroczej wielkości...

- Jennifer jest w ciąży? - zapytał, uśmiechając się szeroko.

Beth rękawem swetra otarła oczy i przyjrzała mu się.

- Uhm.

- To wspaniale - powiedział z radością. - Naprawdę wspaniale.

- Tak... - potwierdziła, wciąż na niego patrząc, a potem ukryła twarz w dłoniach.

- O mój Boże, to takie dziwne.

- Przykro mi.

- Przestań.

- Dobrze, przepraszam. Posłuchaj, czy to coś pomoże, jeśli ci powiem, że nie zamierzałem czytać twoich e-maili? Ani Jennifer? Ani niczyich innych? Po prostu sprawdzałem, co zatrzymał filtr, i znajdowałem waszą korespondencję, bo naruszałyście zasady bezpieczeństwa. Czytałem jedynie oznakowane wiadomości i tylko wasze. Może to jeszcze pogorszy sprawę, ale nie czytywałem e-maili żadnych innych osób. I odchodząc z pracy, zostawiłem list tylko do ciebie.

- Dlaczego zostawiłeś ten list? To chyba było najdziwniejsze.

- Chciałem przeprosić - odparł, opierając się pokusie, żeby odwrócić wzrok.

- Ale po co przeproszać? Czy to było takie ważne?

- Ty byłaś ważna - odpowiedział. - Chciałem wszystko między nami wyjaśnić.

- Anonimowo?

Lincoln nie chciał znowu przeproszać, więc zamilkł.

- Wciąż o tobie myślałam - podjęła Beth. - Zastanawiałam się, jak by to było w książce albo na filmie. W wersji Jane Austen nie wyglądałoby to jeszcze tak źle - ty przechwytywałbyś moje listy, a ja zerkałabym zza żywopłotu w twoim ogrodzie...

Komputery wszystko komplikują.

- Ja wszystko skomplikowałem - poprawił ją. - Nie powinienem był pisać tego listu do ciebie. To znaczy, na koniec. Przepraszam, że wytrąciło cię to z równowagi.

- W tym rzecz... - powiedziała. - Nie wiem, czy wytrąciło mnie z równowagi. Może początkowo, kiedy pomyślałam, że jakiś dziwny facet czytał moją korespondencję. Ale szybko doszłam do tego, że to byłeś ty. Przestałam widywać cię w budynku. I któregoś dnia zagadnęłam Dereka - znasz go, siedzi obok mnie - „Co się stało z tym wysokim facetem o ciemnych włosach, który jadał z Doris kolacje?”. A on na to: „Tego z IT? Odszedł”. I wtedy wszystko zrozumiałam. Że to byłeś... ty.

Przestała płakać i oparła się o ścianę. Spódnica jej się podciągnęła, odsłaniając kolana. Lincoln miał ochotę złożyć na nich głowę. Wciąż siedzieli nieco bokiem, patrząc na siebie. Beth położyła dłoń na podłodze obok jego ręki, tak że ich palce niemal się stykały.

- A jak to byłoby w filmie? - zapytała, patrząc na ręce ich obojga i łagodniejąc z każdą sylabą. - Jak Meg Ryan i Tom Hanks poradziłiby sobie z tą sytuacją?

- W *Bezsenności w Seattle*? - zapytał.

- Tak - odparła. - Albo w *Masz wiadomość*. Myślę, że przede wszystkim

odbylibyśmy tę rozmowę poza kamerą. Jest zbyt porąbana.

- Gdyby to był film z Meg Ryan i Tomem Hanksem - orzekł Lincoln - po prostu bym cię pocałował, pewnie w środku zdania. I to wszystko by załatwiło.

Uśmiechnęła się. Czy kiedykolwiek widział ją tak uśmiechniętą? Całą swoją piegowaną twarzą?

- I zaśpiewałyby Louis Armstrong - dodała.

- Ale cię nie pocałuję. - Musiał to powiedzieć.

- Nie?

- Nie. Bo masz rację. To musi być wytłumaczalne. My powinniśmy być wytłumaczalni. Chciałbym, żebyś mogła spojrzeć z perspektywy czasu na to, co się dziś wydarzyło, i uwierzyć, że takie rzeczy są możliwe, że dwoje ludzi może się nawzajem odnaleźć.

- Ach - powiedziała. - *Kiedy Harry poznał Sally*. - Gdyby uśmiechnęła się szerzej, nie wytrzymałaby tego.

- *Joe kontra wulkan* - dodał.

- *Jerry Maguire* - rzuciła.

- *Imperium kontratakuję*.

Zaśmiała się.

- Nie zachowałabym się tak w kinie, gdybym nie... Cóż, zapytałam o ciebie Doris.

- Tak?

- A ona powiedziała, że jesteś jednym z najmilszych ludzi, jakich poznała, miłszym nawet od jej męża, Pete'a...

- Paula.

- Paula - poprawiła się. - I że dzieliłeś się z nią jedzeniem na kolację, pomogłeś jej w przeprowadzce. Zdradziła mi też, że jesteś singlem... że dziewczyny z redakcji próbowały cię poderwać, ale jesteś prawdziwym dżentelmenem. Mówiła, że odszedłeś, bo czytając cudze e-maile, czułeś się jak podglądacz, a pracując nocami - jak Drakula.

- Powiedziała ci to wszystko?

- I to tutaj. W ciągu trzech wieczorów przy grze w pinochle.

- Powinnaś była zostać w dziale reportażu.

- Widzisz? - zapytała szeptem, przymykając na moment oczy. - Mówiłam. Co takiego mogę ci o sobie powiedzieć, czego byś już nie wiedział? Co mogę powiedzieć, mając świadomość, że ty wiesz?

- To nie tak - powtórzył.

- Wszystko, co o tobie pisałam, jak cię nazywałam...

- Wiedziałem, że się wygłupiasz - wyjaśnił. - I że masz chłopaka.

- I dlatego czytałeś moje e-maile? Bo się w tobie zadurzyłam?

- Nie, kiedy zaczęłaś o mnie pisać, ja już czułem do ciebie... wszystko.

- Wcale się nie wygłupiałam - wyznała. - Nie przyznałabym się do tego nawet przed Jennifer. Chodziłam za tobą, gdzie tylko mogłam. Kiedyś pojechałam za tobą do domu.

- Wiem - odparł słabo.

Opuściła wzrok. Obciągnęła spódnicę.

- Od początku coś do ciebie czułam - wyjaśniła. - Czy to głupie?

- Mam nadzieję, że nie.

Zamilkli.

- Dobra - odezwała się znowu Beth, przybierając poważną minę i pochylając się gwałtownie, jakby podjęła jakąś decyzję. - Gdy byłam w ósmej klasie, zobaczyłam fragment teledysku Sundays, z piosenką *Here's Where the Story Ends*. Znasz ją?

Kiwnął głową. Odsunęła włosy za uszy.

- Prawie nigdy nie oglądałam MTV, tylko wtedy, gdy byłam u swojej przyjaciółki Nickie, pod nieobecność jej rodziców. Ale gdy obejrzałam ten teledysk, nawet nie w całości, zrozumiałam, że to będzie moja ulubiona piosenka na... na całe życie. I tak się stało. To wciąż mój ulubiony utwór... Lincoln, nazwałam cię fajnym facetem, bo nie wiedziałam, jak to inaczej określić... i czy mi wolno tak mówić. Ale za każdym razem, kiedy cię widziałam, miałam wrażenie, jakbym pierwszy raz słyszała tę piosenkę.

Rzucała mu pod nogi gwiazdy. Wręcz nie był w stanie tego słuchać. Wciąż mu się wydawało, że coś kradnie.

- Lincoln? - zagadnęła.

- Tak?

- Czy wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia?

Zmusił się, żeby spojrzeć jej w twarz, szeroko otwarte oczy, zmarszczone czoło. Nieznośnie słodkie usta.

- Nie wiem - odparł. - A czy ty wierzysz w miłość sprzed pierwszego wejrzenia?

Zaparło jej dech, jakby dostała czkawki.

Wtedy już nie mógł się powstrzymać, musiał ją pocałować.

Chętnie padła mu w ramiona. Oparł się o automat do kawy i przyciągnął ją do siebie. To był znowu trudny do opisanego pocałunek. Tak powinien się skończyć 2001 rok - pomyślał. - Nieskończonością.

Wreszcie Beth odsunęła się od niego, ale on znowu ją przyciągnął.

- Nie wiem... - odpowiedziała, siadając mu na kolanach i opierając policzek o czubek jego głowy. - Nie wiem, co miałeś na myśli, mówiąc o miłości sprzed pierwszego wejrzenia.

Lincoln wtulił twarz w jej ramię i zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Tylko to, że... wiedziałem, co do ciebie czuję, zanim jeszcze cię zobaczyłem - wyjaśnił. - Kiedy jeszcze myślałem, że mogę nigdy cię nie zobaczyć...

Ujęła jego głowę i odchyliła ją do tyłu, żeby spojrzeć mu w twarz.

- To śmieszne - powiedziała. Co go rozbawiło.

- Absolutnie - przyznał.

- Nie, mówię serio - wyjaśniła. - Mężczyźni zakochują się oczami. - Zamknęła mu powieki. - To dowiedzione naukowo - dodała.

- Może - odparł. Miło było czuć jej palce we włosach. - Ale nie mogłem cię zobaczyć, więc...

- Więc co widziałeś?

- Po prostu... dziewczynę, która mogłaby napisać to, co ty pisałaś.

- Czyli co?

Otworzył oczy. Przyglądała mu się uważnie. Miała sceptyczną minę - może nie tylko wobec tego, co właśnie powiedział. To ważne - zdał sobie sprawę.

- Wszystko - powiedział, siadając prosto i obejmując ją w pasie. - Wszystko, co pisałaś o pracy, o swoim chłopaku... To, jak podtrzymywałaś na duchu Jennifer i ją rozśmieszałaś po stracie dziecka i później. Wyobraziłem sobie dziewczynę, która to potrafi, jest taka zabawna. Dziewczynę tak pełną życia...

Patrzyła na niego nieufnie. Widział w jej oczach, że albo ją zdobędzie, albo straci.

- Dziewczynę, której nie nudzą się ulubione filmy - ciągnął łagodnie. - Która zachowuje sukienki jak bilety, która umie zachwycić się pogodą... Dziewczynę, która potrafi sprawić, że każda chwila, wszystko, czego się tknie, staje się piękniejsze i słodsze. Wyobrażałem sobie ciebie taką, jaka jesteś - powiedział. - Tylko nie wiedziałem, jak wyglądasz. A później, kiedy już się tego dowiedziałem, zaczęłaś wyglądać jak dziewczyna, która ma wszystkie te cechy. Jak dziewczyna, którą pokochałem.

Palce Beth zadrżały w jego włosach. Opuściła czoło, opierając je o jego głowę. Na jego usta spadła gorąca łza i ją zliżał. Przytulił Beth do siebie, najmocniej, jak potrafił. Jakby się nie przejmował, czy będzie mogła oddychać. Jakby byli tylko oni i jeden spadochron.

- Beth - szepnął, przytulając twarz do jej twarzy, aż zetknęły się ich rzęsy, i przyciskając dłoń do jej pleców, tuż nad pupą. - Nie umiem tego wytłumaczyć.

Wyrazić jaśniej. Ale będę próbował. Jeśli mnie zechcesz.

Niemal pokręciła głową.

- Nie - powiedziała - nie trzeba więcej tłumaczenia. Ani przeprosin. To już nieważne, jak do tego doszło, że się tu znaleźliśmy. Chcę tylko... chcę zostać... chcę...

Wtedy ją pocałował.

Wreszcie.

W środku zdania.

ROZDZIAŁ 89

- Twoja mama chyba mnie nie polubiła - powiedziała Beth. Jechali do jego mieszkania i trzymała na kolanach wielką brytfannę z resztkami lasagne.

- Sądzę, że cię pokochała - odparł. - Dlatego wyglądała na taką przybitą. Wolałaby, żebyś miała jakieś bardziej ewidentne wady. Szkoda, że nie widziałaś jej twarzy, kiedy powiedziałaś, że głosowałaś na Ralpha Nadera.

- Widziałam. Sprawiała wrażenie wkurzonej.

- Bo uwielbia Ralpha Nadera.

- A dlaczego twoja siostra się śmiała?

- Bo lubi, kiedy matka jest zbita z tropu.

Beth pokręciła głową. Na dworze padało, więc miała wilgotne włosy, które wiły jej się wokół twarzy.

- To jakieś pokręcone.

- Wreszcie zaczynasz łapać - podsumował.

Postanowili nie mówić jego matce ani Eve - ani nikomu innemu - jak właściwie się poznali. Mówili po prostu, że znają się z pracy. („Co jest prawdą - zauważyła Beth. - Technicznie rzecz biorąc”). Całą prawdę znała tylko Christine - oraz oczywiście Jennifer i pewnie Mitch. Beth doszła do wniosku, że kiedyś będą mogli powiedzieć każdemu, komu tylko zechcą - gdy będą ze sobą już na tyle długo, że cała ta sprawa wyda się jedynie dziwnym epizodem w ich związku. A nie dziwaczną, niepokojącą historią.

- Moi rodzice cię uwielbiają - podjęła, przytulając lasagne. - W tym nie ma żadnego haczyka. Mama uważa, że masz świetne poczucie humoru, a tata powiedział, że jego zdaniem jesteś całkiem przystojny. „Po męsku”. A nawet skomentował wielkość twoich rąk. Nie bądź zdziwiony, jeśli zechce z tobą zatańczyć na naszym weselu... - Urwała nagle. Kiedy Lincoln na nią spojrzał, odwróciła twarz do okna.

- Chętnie zatańczę z twoim ojcem - odparł, kładąc dłoń na jej karku i gładząc kciukiem policzek. - Jeśli tylko będzie prowadził. Ja nie umiem.

Kiedy się do niego uśmiechnęła, poczuł, że serce rośnie mu w piersi. Teraz czuł się tak cały czas. Nawet jeśli była blisko, miał wrażenie, jakby coś w nim usiłowało się wyrwać i ją objąć.

- Nie wiedziałam, że tak to może być - wyznała później.

Nie tego wieczoru. Ale innego, podobnego. Kiedy leżała w jego ramionach, otulając go sobą.

Lincoln prawie już zasnął.

- Jak? - zapytał.

- Nie miałam pojęcia, że miłość może mieć przez cały czas włączone światła.

Wiesz, co mam na myśli.

- Nie bardzo - odparł, przyciągając ją jeszcze bliżej. Ledwie widział w ciemności jej sylwetkę, uniesioną głowę, włosy opadające na jego pierś.

- Myślałam, że miłość wymaga drzemek - wyjaśniła, szukając odpowiednich słów.

- Albo musi mrugać. Nie wiedziałam, że może tak trwać i trwać bez przerwy, bez końca. Jak pi.

- Jakie „pi”? - wymamrotał.

- Liczba pi - wytłumaczyła.

- Lincoln...

Nie odpowiedział.

- Lincoln? Śpisz? Nie wiedziałam, że ktoś może mnie tak kochać - ciągnęła. - Kochać mnie i kochać, i kochać... nie potrzebując przestrzeni.

Lincoln nie spał. Przetoczył się na nią.

- W przestrzeni nie ma powietrza - odrzekł.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję mojej wspaniałej siostrze, Jade, która chciała wiedzieć, co się dalej wydarzy. Dziękuję też DeDra - za inspirację, Brianowi - za zachętę do pisania, i Erice - za czujność, gdy się zagalopowałam. Specjalne podziękowania dla Christophera za rady, przyjaźń i e-maile.

[1] „Ms” - amerykańskie czasopismo dla nowoczesnych liberalnych kobiet (wszystkie przypisy tłumaczki).

[2] Dzień Pamięci - święto poległych na polu chwały, przypadające zwykle w ostatni poniedziałek maja.

[3] Sacajawea, Kobieta Ptak (1784-1812 lub 1884) - indiańska przewodniczka i tłumaczka.

[4] Roger Ebert (1942-2013) - amerykański krytyk filmowy i dziennikarz.

[5] Fragment piosenki Maria z *West Side Story*.

[6] *Where Everybody Knows Your Name*.

[7] Fragment w przekładzie Marii Skibniewskiej.

[8] *Auld Lang Syne* - popularna szkocka pieśń ludowa, tradycyjnie śpiewana podczas sylwestra w krajach anglosaskich.

[9] Przekład Zofii Kierszys.